

# **ALISTAIR MACLEAN'S UNFAC**



**CODE BREAKER**

**ALASTAIR MACNEILL**



# MACLEAN ALISTAIR

Lamacz kodow

**ALISTAIR MACLEAN**

**Alastair MacNeill**

***Alistair MacLean's Code Breaker***

***Przełożyli Juliusz Garztecki i***

**Witold Nowakowski**

## **Prolog**

**We wrześniu 1979 roku (dokładnej daty nie podano do wiadomości) sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych zwołał nadzwyczajne posiedzenie z udziałem czterdziestu sześciu delegatów reprezentujących niemal wszystkie kraje świata. Porządek dzienny obrad obejmował tylko jeden punkt: eskalację międzynarodowej przestępczości. Postanowiono powołać do życia międzynarodowe siły szybkiego reagowania, które działałyby pod egidą Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych jako Organizacja do Walki z Przestępczością, czyli UNACO. Do jej zadań miało należeć: „zapobieganie międzynarodowej przestępczości, a także zwalczanie, ściganie oraz eliminowanie osób i grup prowadzących międzynarodową działalność przestępczą”. Każdy z delegatów wysunął jedną kandydaturę na stanowisko dyrektora UNACO, a ostatecznego wyboru dokonał sekretarz generalny.**

**Tajna działalność UNACO rozpoczęła się 1 marca 1980 roku.**

## *Dwudziesty trzeci grudnia*

Cywilnie ubrany funkcjonariusz Special Forces Brigade – elitarnej jednostki antyterrorystycznej, działającej w Portugalii – pośpiesznie przeprowadził dwóch mężczyzn przez komorę celną lizbońskiego lotniska Portela. Wszystkie niezbędne formalności załatwiono już wcześniej, a z chwilą gdy goście weszli do pomieszczenia dla VIP-ów, czekająca stewardesa wręczyła im ostemplowane paszporty i pokładówki. Obaj mężczyźni, Siergiej Kolczynski oraz profesor Abraham Silverman, należeli do grupy naukowców delegowanych przez UNESCO na tygodniowe sympozjum badawcze w Portugalii. Oczywiście był to tylko kamuflaż. Przez cztery ostatnie dni uczestniczyli w tajnej konferencji, zwołanej przez Special Forces Brigade, na którą przybyli przywódcy wszystkich europejskich sił antyterrorystycznych. Kolczynski i Silverman piastowali wysokie stanowiska w UNACO. Pierwszy z nich, były major KGB, od trzech lat pełnił funkcję zastępcy dyrektora UNACO, drugi zaś – uznawany przez wielu za najlepszego kryptoanalityka na świecie – pracował uprzednio dla izraelskiego Mossadu. Do UNACO trafił w połowie lat osiemdziesiątych. Teraz, w przypiętej do przegubu walizce, niósł sprawozdanie z przebiegu zebrania i dane dotyczące działalności UNACO, przywiezione z Nowego Jorku przez Kolczynskiego. Silverman osobiście zakodował dokumenty i tylko on jeden znał klucz do ich rozszyfrowania...

Szef UNACO, pułkownik Malcolm Philpott, chciał początkowo, by obu delegatom towarzyszyła w drodze do Lizbony grupa agentów z zespołu operacyjnego, lecz władze Portugalii twierdziły, że oddziały Special Forces Brigade zapewnią wszystkim dostateczną ochronę. Kolczynski i Silverman znaleźli się dodatkowo pod stałą opieką porucznika Carlosa Pereiry, którego otwarte, wręcz przyjacielskie zachowanie jaskrawo kontrastowało z wiecznie ponurą miną majora Joao Inacia, pełniącego służbę szefa sił bezpieczeństwa. Philpott prosił Inacia, by uzbrojony Pereira towarzyszył Kolczynskiemu i Silvermanowi w czasie powrotnej podróży do Nowego Jorku, gdzie mieli zostać przejęci przez zespół operacyjny i bezpiecznie odwiezieni do siedziby Narodów Zjednoczonych. Inacio załatwił sprawę z władzami, dzięki czemu celnicy nie robili żadnych trudności. Wszystko szło zgodnie z planem...

Kolczynski odmówił kawy. Gdy Silverman i Pereira odeszli w stronę baru, usiadł przy oknie wychodzącym na pas startowy. Wyjął z kieszeni nową paczkę papierosów, odpieczętował ją i zapalił jednego. Był pięćdziesięcioletnim mężczyzną o czarnych, nieco przerzedzonych włosach, posępnych rysach oraz lekko zaokrąglonej budowie ciała, zdradzającej, że większość dorosłego życia spędził za biurkiem. Wstąpił do KGB po to, by samemu sobie udowodnić, iż jest znakomitym taktykiem. W wieku dwudziestu trzech lat otrzymał stopień majora, lecz wśród kolegów po fachu nie cieszył się zbyt dużą popularnością, gdyż zdecydowanie oponował przeciw

brutalnym metodom zwalczania wszelkich przejawów antykomunizmu. Kiedy na dobre wyczerpał cierpliwość swych przełożonych, wysłano go na Zachód, gdzie, jako attache wojskowy, przez szesnaście lat objął się po różnych radzieckich ambasadach. W końcu wezwano go do Moskwy i obsadzono w Drugim Dyrektoriacie na Łubiance, w placówce kontrwywiadu. Po latach spędzonych na Zachodzie nie potrafił się przyzwyczaić do siermiężnej rzeczywistości Rosji, skorzystał więc z pierwszej okazji i bez zbyteńnego wahania przyjął stanowisko zastępcy dyrektora UNACO.

Ostatnio znalazł się w punkcie zwrotnym swej kariery. Wszystko zaczęło się z początkiem roku, gdy Philpott dostał ataku serca i zdecydował, że czas na wcześniejszą emeryturę. Kolczyński zajął jego fotel, lecz od samego początku borykał się z wieloma trudnościami. Kiedy podczas akcji w Londynie zginęli wszyscy członkowie jednego z zespołów operacyjnych, natychmiast podniosły się głosy żądające, by nowy dyrektor złożył rezygnację. Kolczyński początkowo opierał się naciskom, lecz wkrótce, osamotniony i otoczony niechęcią polityków z Organizacji Narodów Zjednoczonych, doszedł do wniosku, że nie zdoła utrzymać swej pozycji i podał się do dymisji. Philpott musiał porzucić spokojne życie emeryta i wrócił na fotel. Przede wszystkim przekonał Kolczyńskiego, by pozostał w UNACO, jako Numer Drugi. Ten zgodził się na to z tym warunkiem, że pod koniec roku będzie mógł ponownie przemyśleć swą sytuację. Teraz nadeszła pora na wnioski. W zasadzie podjął ostateczną decyzję przed końcem konferencji, ale uznał, że będzie mądrzej, jeśli zachowa ją dla siebie do czasu powrotu do Stanów. Miał jeszcze niewielkie wątpliwości, lecz już od dawna nauczył się ufać swym instyngtom i w głębi duszy wiedział, że postępuje słusznie...

Palił drugiego papierosa, gdy Silverman i Pereira wrócili z kafejki.

–Mam szczerą ochotę się tego pozbyć – mruknął Silverman, wskazując na zaciśnięte wokół przegubu kajdanki.

–Może pan przecież odstawić neseser, póki nie każą nam wejść na pokład samolotu – powiedział Pereira. – Tu jest bezpiecznie.

–Odstawię go dopiero w ONZ-cie – nieco opryskliwie odparł Silverman. – Ani chwili wcześniej.

Pereira wzruszył ramionami i z wolna powiódł wzrokiem po sali. W kącie zobaczył świątecznie przystrojoną choinkę. Zdawała mu się całkiem nie na miejscu, gdyż w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy nie było ani jednego dziecka. Boże Narodzenie kojarzył wyłącznie z dziećmi. Miał dwóch synów i zawsze brał wolne w pierwszy dzień świąt, a w razie potrzeby wymieniał się na dyżury z jakimś kawalerem, który chciał się pobawić w sylwestra. Sam nie brał udziału w podobnych imprezach – liczyła się dla niego tylko rodzina.

–Myśli pan teraz o swych dwóch chłopcach, prawda? – spytał Silverman. Delikatnie położył dłoń na ramieniu Pereiry.

–Tak – z uśmiechem odparł Portugalczyk. – Ma pan dzieci, profesorze?

–Córkę, w Izraelu. Wyjadę z początkiem roku, by u niej zamieszkać.

–Tak, prawda, to pańska ostatnia misja dla UNACO.

Przechodzi pan na emeryturę. Pewnie już trudno się panu doczekać.

–Proszę zapytać mnie za rok o tej samej porze, będę umiał udzielić lepszej odpowiedzi – odrzekł Silverman i z rezygnacją wzruszył ramionami. – Mam już sześćdziesiąt cztery lata. Pożyję jeszcze jakieś dziesięć lub piętnaście, pod warunkiem że zachowam spokój i będę uważał na serce. To dość czasu, by zastanowić się nad życiem.

–Pańska rodzina wciąż przebywa w Rosji? – Pereira zwrócił się do Kolczyńskiego.

–Co? – Zapytany oderwał wzrok od szyby. Uśmiechnął się z zażenowaniem. – Przepraszam, błędnie myślałem gdzieś daleko.

–Pytałem, czy pańska rodzina jest wciąż w Rosji.

–Krewni zmarłej żony mieszkają w Estonii. Poza tym nie mam nikogo.

–Tęskni pan za Rosją?

–Czasami – wymijająco odparł Kolczyński, po czym wskazał na saszetkę Silvermana. Z bocznej kieszeni wystawał egzemplarz „International Herald Tribune”.  
– Dzisiejszy?

Silverman skinął głową i podał mu gazetę. Pereira domyślił się, o co chodzi, i wpatrzony w połyskującą lampkami choinkę, na powrót popadł w zamyślenie.

Trzem pielęgniarzom pełniącym dyżur na lotnisku popołudnie mijало względnie spokojnie. Jaime Fernandes zaczynał pomału tego żałować. Dla zabicia czasu namówił kolegów na partyjkę pokera i choć stawki nie były zbyt wygórowane, stracił wystarczająco dużą sumę, by narazić się na gniew żony po powrocie do domu. Teraz jednak był przekonany, że z tymi kartami, jakie miał w ręku, zdołałby odzyskać znaczną część pieniędzy. Zerknął na pozostałych. Augusto, najmłodszy z całej trójki, już spasował. Luis, najlepszy przyjaciel Fernandes, siedzący naprzeciw, z wolna uniósł powieki.

–No dobra, rzućmy okiem na to, co tam masz, Jaime – powiedział, niecierpliwie

**popukując palcem w blat stołu.**

**–Wózek! – zawołał z triumfem Fernandes i rozłożył przed sobą karty. – Potrafisz to przebić?**

**Luis popatrzył na stół. Pokiwał głową.**

**–Nieźle... nieźle... lecz kolor jest lepszy.**

**Jaime uniósł dłonie w geście rozpaczy i zawisł ciężko na krześle, gdy kumpel zgarniał wygraną.**

**W drzwiach za Luisem pojawiła się wysoka, barczysta postać. Mężczyzna ubrany był w kombinezon obsługi technicznej, a w okrytej rękawicą dłoni niósł skrzynkę z narzędziami. Za nim pojawił się drugi, niższy, o czarnych błyszczących włosach. Starannie zamknął drzwi. Też miał na sobie kombinezon i też taszczył skrzynkę.**

**–Ola - pozdrowił ich z uśmiechem Jaime. – Z czym kłopot? – spytał, po czym jęknął z przerażenia, gdyż zobaczył, że wyższy wyjmuje z kieszeni pistolet z tłumikiem.**

**Nie zdążył powiedzieć nic więcej; pierwszy pocisk rozłupał mu czaszkę. Augusto zaledwie kątem oka zdołał zerknąć na intruzów, gdy także padł z kulą w głowie. Wystraszony Luis zerwał się z krzesła i skoczył do drugiego wyjścia, wiodącego do garażu, gdzie czekał ambulans. Dwa strzały w plecy rzuciły go twarzą na ścianę. Osunął się bez życia.**

**Niższy z zabójców pośpiesznie rozejrzał się po pokoju, zgarnął wiszące na tablicy kluczyki od karetki i poszedł za swym kompanem do garażu. Przy ambulansie czekał trzeci mężczyzna. Zręcznie chwycił rzucone klucze i otworzył tylne drzwi samochodu.**

**Wysoki uchylił wieczko skrzynki narzędziowej, wrzucił do środka pistolet, a w zamian wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer. Natychmiast uzyskał połączenie.**

**–Weszliśmy do środka – powiedział po rosyjsku. – Jesteś gotów?**

**–Tak – zabrzmiała prędką odpowiedź. – Mam znakomity widok na pas startowy. Zobaczę Kolczynskiego i Silvermana, jak tylko wyjdą z terminalu.**

**–Będziemy czekać – burknął wysoki i zakończył rozmowę. Wstawił skrzynkę na tył karetki, wspiął się do wnętrza wozu, gdzie czekał już brunet, i po niemiecku krzyknął do trzeciego, by zamknął drzwiczki.**

**–Jak za dawnych czasów – rzekł z uśmiechem niższy. Wyciągnął pistolet maszynowy Heckler Koch MP5.**



Wysoki bez słowa naciągnął na twarz czarną pończochę wyjętą z kieszeni, sięgnął po drugi automat i położył go na kolanach. Spojrzał na zegarek. Najwyższy czas, by głośniki zapowiedziały lot do Nowego Jorku...

Kolczyński podniósł kołnierz płaszcza, by osłonić policzki przed zimnym powiewem wieczornego powietrza. Wraz z Silvermanem i Pereirą włączył się w sznur pasażerów zdążających do boeinga 747 linii TAP, stojącego opodal terminalu. Konferencja była męcząca; Rosjanin z niecierpliwością myślał o powrocie do domu. Czułby się znacznie lepiej, gdyby neseser Silvermana spoczął już w sejfie kwatery Narodów Zjednoczonych. Zza magazynów wyjechał ambulans i z błyskającym „kogutem” skierował się w stronę samolotu. Kolczyński rozejrzał się bystro. Chorych przywożono zazwyczaj na końcu, gdy wszyscy pasażerowie byli na pokładzie. Zadrzał ze zdenerwowania i spojrzał na Pereirę. W oczach Portugalczyka także zobaczył niepokój. Karetka sunęła wprost na ludzi. Jedna z latarni na moment oświetliła wnętrze szoferki i Kolczyński dostrzegł, że twarz kierowcy jest ukryta za czarną maską.

Obrócił się, by krzyknąć na Pereirę, lecz Portugalczyk już zdążył wydobyć z kabury swą astrę.

–Padnij! – wołał do pasażerów.

Ambulans zatrzymał się z piskiem opon, na płytę lotniska wypadły dwa dymne granaty. Rozległy się krzyki, część ludzi zaczęła uciekać przez grubą zasłonę dymną z powrotem do terminalu, inni szukali schronienia w samolocie. Samochód blokował drogę odwrotu, więc Kolczyński popędził za Silvermanem w stronę trapu. Pereira desperacko usiłował ich osłaniać, lecz nic nie widział w czarnej i duszącej chmurze. Usłyszał tylko metaliczny stuk otwieranych drzwi wozu, a chwilę później dostrzegł zielonkawy błysk strzałów z broni automatycznej. Więcej nie zdążył zobaczyć, gdyż dwie kule przeszły mu serce. Zginął na miejscu.

Kolczyński z przerażeniem spojrzał na padające mu wprost pod stopy ciało Pereiry. Natychmiast przejął inicjatywę, kazał Silvermanowi wejść do samolotu i pochylił się, by podjąć z ziemi pistolet. Zanim się wyprostował, z dymu wyskoczył jakiś mężczyzna, który dopadł trapu i odwrócił się w stronę Silvermana. Kolczyński uniósł astrę, lecz nie zdążył wypalić, gdyż Silverman bez namysłu wyrzucił napastnika neseserem w głowę. Krawędź walizki trzasnęła o kość policzkową. Bandyta wydał okrzyk bólu, zatoczył się na schodki i wypuścił z rąk automat. Kolczyński przez chwilę miał doskonałą okazję do strzału, lecz nagle kolejny kłęb dymu zasłonił mu widoczność. Zaklął pod nosem i skoczył do przodu, wyciągając przed siebie dłoń z pistoletem. Obłok zniknął równie prędko, jak się pojawił, a Silverman leżał rozciągnięty na betonie. W karku tkwiła mu strzałka wypełniona środkiem usypiającym.

**Nad kryptoanalitykiem pochylał się wysoki facet w kombinezonie. W dłoni trzymał pistolet-wiatrówkę.**

**–Zabij go – warknął po rosyjsku do swego kompana na widok Kolczyńskiego.**

**Głos... Kolczyński znał ten głos! Palec zaciśnięty na spuście znieruchomiał przez chwilę i to wystarczyło, by zza karetki wyskoczył jeszcze jeden napastnik z uniesionym do strzału automatem. Kolczyński kątem oka zauważył nagłe poruszenie i obrócił się w tamtą stronę, lecz był dopiero w połowie ruchu, gdy pocisk rozszarpał mu trzewia. Zachwiał się pod wpływem przeszywającego bólu i wypuścił pistolet ze zdrętwiałych palców. Nogi ugięły się pod nim i runął na ziemię.**

C. W. Whitlock stanął pod zamkniętymi drzwiami kuchni i z uśmiechem słuchał pomruków żony, Carmen, niedbale podśpiewującej do nagrań z kasyty Michaela Feinsteina. Dostała ją od niego na ostatnie urodziny. Zwykle lubiła towarzystwo w czasie przygotowywania posiłków, lecz dziś stanowczo wyprosiła męża do pokoju. A on wiedział, że nie ma sensu się spierać...

Wszedł do salonu i nalał sobie nieco whisky. Clarence Wilkins Whitlock był przystojnym, czterdziestoczteroletnim Kenijczykiem o jasnej karnacji skóry. Miał starannie przystrzyżony czarny wąsik, który nosił od uniwersyteckich czasów. Po ukończeniu studiów na Oksfordzie wrócił do Kenii, gdzie dość krótko służył w wojsku, a potem został zwerbowany do wywiadu. Jako agent pracował dziesięć lat, aż doczekał się stopnia pułkownika. Był jednym z pierwszych, którzy przeszli pod rozkazy Philpotta po utworzeniu UNACO.

Jego trwające sześć lat małżeństwo nie zawsze przypominało idyllę. Carmen od samego początku nie chciała, by narażał się na niebezpieczeństwa, on zaś niechętnie myślał o zamianie pracy w terenie na spokojną i nudną posadę za biurkiem w centrali organizacji. Dopiero pod groźbą rozwodu z niechęcią zdecydował się na przeprowadzkę do zarządu. Został zastępcą Kolczynskiego po odejściu Philpotta i dzięki temu zyskał nieco spokoju w domu, choć w głębi duszy czuł się mocno nieszczęśliwy. Gdy Philpott wrócił na stanowisko dyrektora, Whitlock natychmiast poprosił o przeniesienie i dołączył do dawnych kolegów z Trzeciego Zespołu Operacyjnego, Mike'a Grahama i Sabriny Carver.

Reakcja Carmen była równie zaskakująca jak zagadkowa. Whitlock spodziewał się nie lada piekła, tymczasem obyło się bez łez, gróźb i krzyków. Z filozoficznym spokojem przyjęła jego decyzję. Nie wątpił, że była wściekła, lecz nie okazała tego nawet najdrobniejszym gestem. Nie wątpił także, że w swoim czasie nastąpi odwet...

–Kolacja będzie za jakiś kwadrans – odezwała się Carmen, stając w progu za plecami męża. Była Portorykanką o przystrzyżonych do ramion czarnych włosach i świeżej, dziewczęcej urodzie, chociaż zdążyła już przekroczyć czterdziestkę. Podeszła do okna. Z położonego na siódmym piętrze apartamentu rozciągał się widok na przysypany drobnym śniegiem fragment pięknie oświetlonego Central Parku.

Whitlock otoczył ją ramieniem.

–Mogę już wejść do kuchni?

–Nie – odpowiedziała z uśmiechem. – Mówiłam ci, że dzisiejszy wieczór będzie czymś wyjątkowym. Przygotowałam specjalne danie. To wszystko. I nie próbuj

podglądać, póki nie nakryję do stołu.

–Mógłbym ci jakoś pomóc? – spytał. – Przynieść sztućce, otworzyć butelkę wina...

–Wszystko przygotowałam – powtórzyła cicho. – Ciesz się spokojem, póki możesz.

–Lepiej mi o tym nie przypominaj. Ostatni dzień wolności, nim jutro twoja matka przyleci z Portoryko. – Wywrócił oczami.

–Jak możesz wygadywać tak okropne rzeczy. – Spojrzała na niego z lekko nadąsaną miną. – Tyle czekała na ponowne spotkanie z rodziną. To jej pierwszy przyjazd do Nowego Jorku od czasu naszego wesela.

–Niech tylko nie wpadnie w nałóg podróżowania – kpiąco mruknął Whitlock i uchylił się przed kuksańcem.

–Lepiej pójdę sprawdzić, co w kuchni – oświadczyła Carmen i wyszła z pokoju.

Whitlock zagłębił się w swym ulubionym fotelu i sięgnął po pilota, by włączyć telewizor na dziennik, lecz w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Wstał z niechętnym pomrukiem i podniósł słuchawkę.

–C.W.?

–Dobry wieczór, pułkowniku – odparł Whitlock, od razu poznając mocny celtycki akcent Philpotta.

–Masz Kod Czerwony.

Whitlock przysiadł powoli na krawędzi kanapy i przesunął dłonią po twarzy. „Kod Czerwony” oznaczał natychmiastową gotowość do akcji. W tym sęk, że wypadło to w najmniej stosownym momencie.

–C.W., jesteś tam jeszcze?

–Tak, oczywiście – zapewnił pośpiesznie.

–Odprawa za pół godziny – powiedział Philpott.

–Już jadę.

Połączenie zostało przerwane.

Whitlock odłożył słuchawkę i wstał. Dopiero teraz zobaczył stojącą w drzwiach Carmen. Miała mocno zaciśnięte usta i chłodne, pytające spojrzenie.

**–Kiedy? – odezwała się krótko.**

**–Natychmiast – z ponurą miną odparł Whitlock. – Przepraszam, Carmen...**

**–Daruj sobie! – przerwała mu ze złością. – Mogłam przewidzieć, że tak będzie.**

**–Wiedziałaś, że przed świętami będę miał dyżur – próbował się bronić, lecz jednocześnie sięgnął po marynarkę.**

**–Nie doszłoby do tego, gdybyś pozostał na stanowisku zastępcy dyrektora – warknęła. – Tylko że nawet nie spróbowałeś!**

**–I tak wytrzymałem dość długo. W końcu nie mogłem znieść myśli, że przez resztę życia będę uwiązany za biurkiem.**

**–Mówisz do mnie, C.W. – odpowiedziała nieco spokojniej. – Może i umiesz oszukiwać kolegów, lecz ja czytam w twoich myślach niczym w otwartej księdze. To nie ma nic wspólnego z siedzeniem za biurkiem. Drżysz przed starością, prawda? Zawsze się tego bałeś. Dlatego z takim pośpiechem wróciłeś do akcji. Ostatni, desperacki skok, by udowodnić coś przed samym sobą. – Otarła łzę z kącika oka. – Nie jesteś trzydziestolatkiem. Najwyższy czas, żebyś z tym skończył.**

**–Muszę iść na odprawę – szorstko powiedział Whitlock.**

**–Więc idź! – krzyknęła. – Lecz nie licz na to, że mnie zastaniesz po powrocie. Póki nie zaczniesz się zachowywać jak w pełni odpowiedzialny ojciec, będę radziła sobie bez ciebie.**

**Whitlock zamarł z ręką na klamce. Powoli obrócił głowę.**

**–Ojciec?**

**Przez chwilę patrzyła mu w oczy, nim odpowiedziała:**

**–Miałam powiedzieć ci przy kolacji. Jak w normalnej rodzinie. Chciałam, byśmy oboje na zawsze zapamiętali dzisiejszy wieczór. I to w pewnym sensie się udało, nie sądzisz? Whitlock spoglądał na nią z niedowierzaniem.**

**–Mówisz, że będę ojcem?**

**–Tylko wówczas, gdy będziesz postępował jak ojciec – odpaliła.**

**Otworzył usta, lecz nie potrafił wykrztusić ani słowa. Szeroko rozłożył ręce i potrząsnął głową, jakby wyznanie Carmen wciąż do niego nie docierało. Uśmiechnął się, ale gdy próbował ją objąć, odepchnęła go szybko.**

**–Masz odprawę, pamiętasz? – spytała zgryźliwie.**

**–Carmen...**

**–Porozmawiamy o tym, kiedy znajdziesz nieco wolnego czasu – ucięła krótko, obróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni.**

**Whitlock chciał za nią pobiec, lecz się opamiętał. Cholerny Philpott i jego odprawy. Rzucił ostatnie, tęskne spojrzenie w stronę kuchni i z ociąganiem wyszedł na korytarz.**

**–Chyba nie wyjdiesz tak na ulicę?**

**–Nie – odpowiedziała Sabrina Carver. Wyjęła z kieszeni czapeczkę z daszkiem, ozdobioną symbolem „New York Giants” i mocno nasadziła ją na głowę. – Teraz już jestem gotowa.**

**George Carver obrzucił ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty.**

**–Te džinsy są na ciebie zbyt obszerne. A skórzana kurtka wygląda, jakby przez pół roku leżała zmiętoszona na dnie szafy.**

**–Taka jest teraz moda, tato – z uśmiechem oświadczyła Sabrina.**

**Starszy pan wzruszył bezradnie ramionami i wrócił do rozpisywania krzyżówki. Przez ostatnie trzy lata George i Jeanne Carver przyjeżdżali z Miami, by spędzić święta z Sabriną w jej małym manhattańskim mieszkaniu. Dzięki temu mogli nie tylko zobaczyć się z córką, lecz także obejrzeć kilka przedstawień na Broadwayu, a to była forma rozrywki raczej niedostępna na Florydzie. George nawet pamiętał czasy, gdy Sabrina towarzyszyła im w każdej wyprawie do teatru bądź music-hallu. Teraz już rzadko wychodzili gdzieś razem. Specjalnie się nie dziwił, gdyż miała własne życie i własnych przyjaciół, a poza tym, podobnie jak matka, była niezwykle uparta i niezależna. Podniósł głowę, by na nią popatrzeć. Sabrina siedziała na brzegu kanapy i za pomocą pilota bez większego zainteresowania przerzucała kanały w telewizji. George uśmiechnął się w duchu. Taaak... zupełnie jak matka...**

**Sabrina była piękną, dwudziestoosmioletnią kobietą. Miała sięgające do ramion blond włosy, tu i ówdzie przyciemnione kasztanową farbą, oraz niezwykle zgrabną figurę, utrzymywaną w nienagannym stanie dzięki zajęciom aerobiku, w których uczestniczyła trzy razy w tygodniu. Swego czasu zdobyła też czarny pas w karate, a teraz, w centrum Bronxu, dwa razy w miesiącu prowadziła kurs samoobrony dla kobiet. Ukończyła katedrę romanistyki w Wellesley, po otrzymaniu dyplomu przez jakiś czas praktykowała na Sorbonie, a później wstąpiła do FBI, głównie za sprawą ojca, który miał niezłe koneksje w kołach rządowych. Już podczas pierwszego roku udowodniła swą klasę i zyskała znakomite wyniki. Niestety, większość kolegów**

uwagała, że ojciec wciąż pociąga za odpowiednie sznurki, by pomagać jej w dalszej karierze, i w rezultacie skłonili ją do rezygnacji. Dyrektor Biura przesłał jej akta Philpottowi, gdyż sądził, że może być przydatna dla UNACO. Została przyjęta natychmiast, tym razem bez niczyjej protekcji. Jak dotąd, wciąż była jedyną kobietą pracującą w zespołach operacyjnych.

–Dokąd się dziś wybierasz? – spytał w końcu George Carver. Odłożył gazetę.

–Do „Fat Tuesday’s” – odpowiedziała Sabrina. – To klub jazzowy przy Third Avenue.

–Będzie z nią Mike Graham – odezwała się wchodząca do pokoju Jeanne Carver. Jej akcent wciąż zdradzał ślady francuskiego pochodzenia.

–Nic dziwnego – pośpiesznie rzuciła Sabrina. – Jest moim partnerem i oboje lubimy słuchać dobrego jazzu.

–Nie wspominając o futbolu – ze znaczącym uśmiechem dodała Jeanne i usiadła obok córki. – Jeszcze całkiem niedawno serdecznie nie cierpiałaś tego sportu, aż tu nagle stałaś się zagorzałą fanką Giantsów. To właśnie im kibicuje Mike, *n'est-ce pas?*

–Byłam parę razy na meczach rozgrywanych na Meadowlands, to wszystko – próbowała się bronić Sabrina. – Myśl sobie co chcesz, *maman*, ale jak dotąd, Mike Graham jest tylko moim partnerem z zespołu. Kropka.

–Masz zamiar przedstawić go nam w te święta? – spytała Jeanne.

–Po co? – Sabrina wywróciła oczami i wręczyła jej pilota. – Masz, pooglądaj telewizję. Zobaczymy się rano.

Ruszyła ku drzwiom, lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon. Szybko podniosła słuchawkę. Po chwili z posępną miną odłożyła ją na widełki.

–Pułkownik Philpott – powiedziała rodzicom. – Ogłoszono stan gotowości. Za pół godziny mam odprawę.

–I po jazzie – z filozoficznym uśmiechem mruknął George Carver.

–I po świętach – westchnęła Sabrina. Z rezygnacją wzruszyła ramionami, wzięła kluczyki od samochodu i wyszła.

Żona i syn Mike’a Grahama zginęli zamordowani przed dwoma laty. Zdążył się już przyzwyczaić do myśli o ich śmierci, lecz nagle poczuł, że czeka go najcięższa próba – święta Bożego Narodzenia. Poprzednią Gwiazdkę spędził u matki, w Kalifornii. W tym roku pani Graham zdecydowała się na pobyt z rodziną brata, w Australii. Mike

**został sam...**

**Jak każdej środy, przyjechał z Vermontu, gdzie mieszkał, do Nowego Jorku, by zanieść świeże kwiaty na grób znajdujący się na cmentarzu w pobliżu swego dawnego mieszkania w Murray Hill. Po powrocie do hotelu znalazł pod drzwiami kartkę. Sabrina zapraszała go na wspólny wieczór w „Fat Miesday’s”. Ucieszył się, że choć kilka godzin będzie mógł spędzić w czyimś towarzystwie...**

**Sypał drobny śnieg. Mike po wyjściu z hotelu wsunął ręce w kieszenie i przyśpieszył kroku. Wszedł na najbliższą stację metra. Nie musiał zbyt długo czekać na pociąg. Wsiadając zauważył, że wagon jest prawie pusty, co o tej porze dnia zdarzało się raczej rzadko. Przynajmniej mógł sobie usiąść...**

**Graham był młodzieńczo przystojnym, trzydziestoosmioletnim mężczyzną o atletycznej budowie ciała i wiecznie zmierzwionych, opadających na kołnierz kasztanowych włosach. Utalentowany sportowiec, już w ogólniaku przewodził szkolnym drużynom futbolu i koszykówki. Po ukończeniu wydziału nauk politycznych na UCLA podpisał kontrakt z New York Giants. Miał debiutować jako rozgrywający, lecz miesiąc później otrzymał powołanie do wojska. Wysłany do Wietnamu, został ranny w ramię, co na dobre przekreśliło obiecującą karierę futbolisty. Trafił do wietnamskiej bazy CIA, gdzie bardzo szybko rozpoznano jego talenty przywódcze. Po powrocie do Stanów zwerbowano go do elitarniej jednostki antyterrorystycznej Delta.**

**Jedenaście lat później awansował na dowódcę oddziału B.**

**Podczas pierwszej misji miał się przedostać z pięcioma ludźmi do Libii i zniszczyć bazę terrorystów, zlokalizowaną na przedmieściach Benghazi. Kiedy już byli gotowi do ataku, otrzymał wiadomość, że jego żona Carrie i pięcioletni syn Mikey zostali uprowadzeni spod drzwi mieszkania w Murray Hill przez trzech zamaskowanych mężczyzn. Wiedział, że chodzi o to, by zmusić go do powrotu, wypełnił jednak zadanie do końca. Bazę udało się zniszczyć, choć dwaj jej dowódcy, Salim Al-Makesh i Jean-Jacques Bernard, zdołali uciec. FBI podjęła zakrojone na szeroką skalę poszukiwania rodziny Grahama, lecz nie przyniosło to żadnych rezultatów. Mike odszedł z Delty na własną prośbę, a jego akta przesłano Philpottowi, który zaoferował mu pracę w UNACO.**

**W czasie jednej z akcji odnalazł wreszcie Bernarda – człowieka odpowiedzialnego za porwanie Carrie i Mikeya. Wówczas też poznał całą prawdę. Bernard pracował dla jednego z dyrektorów CIA, Roberta Bailey, i był zbyt cenny, by zginąć w czasie ataku Delty na libijską bazę. Urowadzenie miało dać mu możliwość ucieczki. Graham wyciągnął od Bernarda, gdzie pogrzebano zwłoki Carrie i Mikeya, ekshumował szczątki i przeniósł na cmentarz przy kościele, w którym z Carrie brali ślub. Nareszcie oba ciała spoczęły w pokoju...**



Pociąg wjechał na kolejną stację; drzwi otworzyły się z sykiem. Graham od razu dostrzegł dwóch młodzieńców, którzy wskoczyli na koniec wagonu. Skini, w podartych dżinsach i mocno zniszczonych skórzanych kurtkach. Jeden z nich splunął na podłogę, chwycił się wiszącej nad głową poręczy i szepnął koleśowi coś na ucho. Ze złośliwym uśmiechem spojrzeli na siedzącą w głębi ładną brunetkę. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Skini pomału sunęli przez wagon, aż stanęli przed dziewczyną. Rzuciła im wystraszone spojrzenie, po czym wbiła wzrok w podłogę.

–Jak masz na imię, słodziutka? – spytał jeden, pochylając się w jej stronę.

Próbowała wstać, lecz drugi pchnął ją z powrotem na ławkę.

–Niegrzeczna jesteś. Jak masz na imię?

–Proszę... Nie chcę kłopotów... – wymamrotała nerwowo. W jej głosie słychać było niemiecki akcent.

–Mamy tu cudzoziemkę, Joe – powiedział pierwszy. Wyszczrzył zęby.

Joe usiadł obok dziewczyny i przesunął dłonią po jej włosach. Chciała odwrócić głowę, lecz chwycił ją za podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

–Co z tobą, kotku? Nie jestem w twoim typie? – Wskazał na wciąż pochylonego kumpla. – A może wolisz Matta?

Rozejrzała się z przerażeniem, ale pozostali pasażerowie unikali jej wzroku. Matt zarechotał hałaśliwie.

–Witamy w Nowym Jorku, słodziutka. Lekcja numer jeden w metrze. Nikt nie pomaga nikomu. Jesteś sama. Spróbuj się odprężyć i cieszyć przejażdżką.

Graham z narastającą niechęcią patrzył w ich stronę. Gdzie, u diabła, jest jakiś patrol? Gdzie straż metra? Nie chciał plątać się w sprawę, która mogła wywołać niepotrzebne zainteresowanie jego osobą oraz organizacją, w której pracował, lecz jeden rzut oka na wnętrze wagonu przekonał go, że nikt inny nie przyjdzie dziewczynie z pomocą. Młokos miał rację. W metrze każdy był zdany na siebie. Jeden z chłopaków wsunął dłoń dziewczynie pod bluzę. Usiłowała go odepchnąć, lecz drugi błysnął jej tuż przed twarzą sprężynowcem i przystawił czubek ostrza do szyi. Przestała się szarpać. Siedziała z mocno zaciśniętymi powiekami, a ręka skina wciąż błędziła pod jej bluzą.

Graham zaklął wściekle pod nosem. To trwało już zbyt długo. Wstał i podszedł do napastników.

Matt przestał się uśmiechać.

**–Na co się gapisz, kolego?**

**–Zostaw ją – powiedział ostro Mike.**

**Joe z wolna spojrzał w jego stronę.**

**–Proszę, proszę. Pojawił się prawdziwy Bernie Goetz. Zjeżdżaj pan, póki jest okazja, bo potem może być bieda.**

**Matt podniósł się z ławki, ponuro wykrzywił usta i wyciągnął nóż przed siebie. Niemal w tej samej chwili Joe chwycił Grahama od tyłu, przyciskając mu ręce do ciała. Mike energicznie szarpnął głową. Skin zawył z bólu, zakrył dłońmi zmiażdżony nos, zachwiał się i upadł na kolana. Matt skoczył do przodu z dzikim pchnięciem, lecz Graham sparował cios przedramieniem, drugą ręką złapał wyrostka za przegub, wykręcił i odepchnął. Napastnik stracił równowagę, a Mike podciął mu nogi i gdy tamten ciężko runął na podłogę, z całej siły kopnął go piętą w krocze. Matt wypuścił nóż ze zdrętwiałych palców. Z bolesnym skowytom przycisnął dłonie do podołka. Graham podniósł broń i spojrzał na drugiego wyrostka, który wciąż klęczał oparty o drzwi, zasłaniając twarz skrwawionymi dłońmi. Przez najbliższy czas żaden z nich nie powinien sprawiać kłopotu, pomyślał z satysfakcją. Schował sprężynowiec do kieszeni i usiadł przy wystraszonej dziewczynie.**

**–Wszystko w porządku? – spytał cicho.**

**Przytaknęła ze łzami w oczach.**

**–Dziękuję.**

**–Masz zamiar złożyć skargę przeciwko tym dwom sukin... tym facetom?**

**–Nie chcę kłopotów – powtórzyła kręcąc głową.**

**–Bardzo mądrze – stwierdził Graham. – Nie są tego warci.**

**–Tu wysiadam – powiedziała niespokojnie, gdy pociąg zaczął zwalniać.**

**Mike zaczekał, aż wyszła, nim wytaszczył obu wyrostków na peron. Do miejsca, gdzie ich położył, nadbiegł policjant i popatrzył pytająco w jego stronę.**

**–Odwalilem za was robotę! – ze złością krzyknął Graham. – Nie byłoby takiej potrzeby, gdyby choć jeden mundurowy pojawił się we właściwym czasie!**

**–Co się stało? – dopytywał się policjant.**

**Graham opisał mu zajście.**

**–Gdzie teraz jest ta kobieta?**

**–Zniknęła zaraz po wyjściu z wagonu – odparł Mike. – Nie można jej za to winić.**

**Policjant wezwał przez radio wóz patrolowy i kiwnął dłonią do maszynisty, że może ruszać.**

**–Potrzebuję od pana kilku dodatkowych informacji – oświadczył, gdy pociąg zniknął w tunelu. Wyjął z kieszeni notatnik. – Nazwisko?**

**–Michael Green. – Mike podał mu pseudonim, jakiego czasem używał w UNACO.**

**–Adres?**

**Też fikcyjny. Mike zdawał sobie sprawę, że UNACO ukręci łeb śledztwu, lecz jednocześnie wiedział, iż Philpott będzie się wściekał za zamieszanie. Co nie znaczyło, że choć przez chwilę żałował swej decyzji. Ani trochę...**

**Policjant zadał mu jeszcze parę pytań, po czym zamknął notatnik.**

**–Skontaktujemy się z panem w razie potrzeby.**

**Graham zerknął w stronę dwóch umundurowanych stróżów prawa, którzy właśnie zjawili się w polu widzenia. Po krótkiej rozmowie z kolegą postawili skinów na nogi i zabrali ich ze sobą.**

**–Mam nadzieję, że to wszystko, gdyż za dwadzieścia minut muszę być na spotkaniu z przyjaciółką – powiedział Mike i spojrzął na zegarek. – Tym razem wezmę taksówkę.**

**–Hej! – krzyknął za nim policjant. – Nieźle pan sobie dał radę z tymi szczeniakami. Gdzie się pan tego nauczył?**

**–Oglądam mnóstwo seriali – odparł i odszedł w stronę schodów wiodących do wyjścia na ulicę.**

**–Przepraszam – usłyszał za sobą kobiecy głos, nim zdążył postawić nogę na pierwszym stopniu.**

**Obrócił się. Miała około trzydziestu pięciu lat. Wysoka, szczupła i ładna, o długich rudych włosach związanych z tyłu głowy w koński ogon.**

**–Zgubił pan to w wagonie – powiedziała, podając mu portfel.**

**Odruchowo pomacał kieszeń. Rzeczywiście, była pusta.**

**–Dziękuję – odparł z uśmiechem i wyciągnął rękę.**

**–Wypadł, gdy wywlekał pan tych dwóch na peron.**

**–Nawet nie zauważyłem, że go nie mam.**

**–Nazywam się Katherine Warren, jestem dziennikarką z „New York Sentinel” – dodała. – Chciałabym coś o panu napisać. Nic tak nie budzi zainteresowania czytelników, jak mściciel z metra.**

**Graham zaczął gwałtownie szukać wyjścia z sytuacji. Dziennikarka. Wiedział, że musi czym prędzej jej umknąć, lecz w taki sposób, by nie budzić podejrzeń. Skrzywił usta w uśmiechu.**

**–To bardzo miło z pani strony, ale nie szukam popularności. Działalem pod wpływem chwilowego impulsu.**

**–Nie jest pan gliną, prawda? – spytała. – Choć radził pan sobie jak prawdziwy zawodowiec.**

**–Nie, nie jestem – odparł z krótkim parsknięciem. – Po prostu należę do grupy mniej gruboskórnych obywateli.**

**–Służył pan kiedyś w wojsku?**

**–Prawdę mówiąc, jestem już nieźle spóźnio... – przerwał na głośny pisk pagera. Pośpiesznie uciszył urządzenie. – Musi mi pani wybaczyć. Jeszcze raz piękne dzięki za zwrot portfela.**

**Nim zdążyła powiedzieć następne słowo, wbiegł na schody i zniknął na ulicy. Katherine uśmiechnęła się do siebie. Wyczuwała, że jest na tropie czegoś ciekawego. Dlaczego w rozmowie z policjantem ów nieznajomy podawał się za Michaela Greena, skoro w portfelu miał karty kredytowe na nazwisko Michael Graham? Kim był naprawdę i co próbował ukryć? Postanowiła dowiedzieć się prawdy. Zapięła kurtkę i ruszyła za swym niedawnym rozmówcą. Ostrożnie...**

**Graham zamienił z Philpottem kilka słów przez telefon, po czym zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pokazał przepustkę strażnikowi czuwającemu na Dag Hammarskjöld Plaza i wszedł do wnętrza budynku. Winda zawiozła go na dwudzieste drugie piętro. Stał przed nie oznaczonymi drzwiami na końcu korytarza i wystukał odpowiedni kod na tarczy wpuszczonej w ścianę przy framudze. Drzwi otworzyły się z mechanicznym szcękaniem. Graham wszedł do małego, skromnie umeblowanego pokoju. Trzy ściany były pokryte kremową tapetą; czwarta, zabudowana tekowymi panelami, skrywała dwoje rozsuwanych drzwi, które można było uruchomić jedynie za pomocą miniaturowego nadajnika akustycznego. Po prawej mieściło się dźwiękoszczelne Centrum Dowodzenia, gdzie zespoły analityków przez dwadzieścia cztery godziny na**

dobę monitorowały na bieżąco wahania sytuacji międzynarodowej. Drzwi po lewej, wiodące do prywatnego biura dyrektora, były otwarte. Sabrina dostrzegła wchodzącego Grahama na monitorze w gabinecie Philpotta, więc stanęła w progu i ruchem dłoni wezwała go do środka.

–Gdzie pułkownik? – spytał Mike widząc, że dziewczyna jest sama.

–W Centrum Dowodzenia – wskazała na drzwi za biurkiem Philpotta. – Mam go zawołać, gdy będziemy już wszyscy.

Graham usiadł na bliższym z dwóch czarnych skórzanych foteli.

–Mówił ci skąd ten nagły alarm?

Pokręciła głową i podeszła do stojącego w rogu dystrybutora.

–Chcesz kawy?

–Tak, zwłaszcza po tym, co dziś przeszedłem – odparł. Sabrina napełniła kubek, dodała śmietanki, cukru i wyciągnęła dłoń w stronę Mike'a.

–Co masz na myśli mówiąc: „po tym, co dziś przeszedłem”? – spytała podejrzliwie. Usiadła.

Powiedział jej o bójce w pociągu i o rozmowie z Katherine Warren.

–Pułkownik dostanie szału, jeśli ta dziennikarka wysmaży jakiś artykuł – oświadczyła Sabrina. – Wiesz, co sądzi o akcjach, które ściągają niepotrzebną uwagę na UNACO.

–A jak, u diabła, miałem postąpić? – ze złością warknął Graham, zrywając się z fotela. – Nikt inny nie kiwnąłby nawet palcem w obronie dziewczyny.

–Spoko, przez cały czas jestem po twojej stronie – powiedziała szybko, by złagodzić narastające napięcie. – Na pewno zrobiłabym to samo.

–Tak, wiem. Przepraszam. Trochę jestem wkurzony. To przez tę reporterkę. – Wskazał na monitor. – Przyszedł C.W.

Sabrina sięgnęła po słuchawkę jednego z telefonów stojących na biurku Philpotta i wystukała numer Centrum Dowodzenia. Natychmiast usłyszała głos oficera dyżurnego.

–Proszę powiadomić pułkownika Philpotta, że Trzeci Zespół Operacyjny jest gotów do odprawy.

**Whitlock nie miał ochoty mówić kolegom, że Carmen jest w ciąży – przynajmniej do czasu, aż będzie mógł z nią spokojnie porozmawiać. Rozumiał jej gniew i frustrację, lecz nie mógł pozwolić, by miało to jakiś wpływ na jego zachowanie, zwłaszcza że został objęty Kodem Czerwonym...**

**Philpott wszedł do pokoju i za pomocą miniaturowego pilota zamknął za sobą drzwi. Był pięćdziesięciosześcioletnim Szkotem o kanciastej twarzy i przerzedzonych rudych włosach. Wyraźnie kulał na lewą nogę, co było pozostałością rany, jaką odniósł w ostatnich dniach wojny koreańskiej. Oparł laskę o biurko, usiadł i położył przed sobą otwartą teczkę z aktami.**

**–Jest pewna sprawa, o której chciałem pana poinformować przed odprawą, panie pułkowniku- odezwał się Graham. Niespokojnie popatrzył na Sabrinę.**

**Philpott powoli oderwał wzrok od papierów. Miał zmęczony wyraz twarzy i podkrążone oczy.**

**–Słucham.**

**Graham dokładnie opisał mu przebieg wypadków w pociągu i na stacji, a potem zebrał się w sobie, czekając na wybuch gniewu.**

**Nic takiego nie nastąpiło. Philpott potarł powieki i zapisał kilka zdań w notatniku.**

**–Zrobię wszystko, by śledztwo nie wkroczyło na nasz teren.**

**Mike i Sabrina wymienili podejrzliwe spojrzenia. To nie w stylu Philpotta. Skąd ta nagła łagodność?**

**–W innych okolicznościach stanąłbyś do raportu za świadome naruszenie przepisów UNACO o zakazie podejmowania akcji mogących wywołać niepotrzebne zainteresowanie naszą organizacją – powiedział Philpott, zauważywszy ich zdziwienie. – Lecz teraz mamy do czynienia z najpoważniejszym kryzysem w historii UNACO. Zdobyliście więcej doświadczenia niż jakikolwiek inny zespół operacyjny, więc chcę, byście myśleli wyłącznie o czekającym was zadaniu. – Ponownie zerknął w akta. – Przez cztery ostatnie dni Siergiej był w Portugalii jako oficjalny delegat UNACO na tajnej konferencji przywódców europejskich brygad antyterrorystycznych. Z pracowników ONZ-tu, poza mną i Siergiejem, wiedziały o tym jedynie dwie osoby: sekretarz generalny i profesor Abe Silverman, który towarzyszył Siergiejowi w podróży do Lizbony, by odszyfrować uprzednio zakodowane dokumenty. Dwie godziny temu trzech zamaskowani mężczyźni zastrzelili sanitariuszy pełniących dyżur na lizbońskim lotnisku, po czym skradzionym ambulansem zaatakowali Siergieja i profesora Silvermana, zmierzających do samolotu odlatującego do Nowego Jorku. Oficer ochrony, członek portugalskiej Special Forces Brigade, został zabity, gdy próbował interweniować. Siergiej otrzymał**

postrzał w brzuch. Żyje, lecz wciąż przebywa na oddziale intensywnej terapii.

–Wyjdzie z tego? – z niepokojem spytała Sabrina.

–Lekarze są zdania, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Na moją prośbę agenci Special Forces Brigade przez całą dobę czuwają w szpitalu, gdyż może się zdarzyć, że zamachowcy spróbują dokończyć swego dzieła.

–Uważa pan, że to możliwe?

–Wątpię, lecz nie możemy zaniechać ostrożności.

–Co się stało z profesorem? – odezwał się Whitlock.

–Profesor Silverman został uśpiony i wrzucony do karetki, którą zamachowcy posłużyli się w czasie ataku. Zdołali zbiec, nim na miejsce wypadków dotarła ochrona lotniska. Porzucony ambulans odnaleziono w pobliskim lesie, lecz profesor i porywacze zniknęli bez śladu. – Przerwał na chwilę. – Silverman miał przykuty do ręki neseser z zestawem niezwykle istotnych dokumentów. Była tam między innymi zakodowana lista wszystkich dziesięciu zespołów operacyjnych oraz szczegółowy opis ważniejszych akcji, podejmowanych przez UNACO w ciągu ostatnich pięciu lat.

Sabrina pochyliła się w przód i dłońmi podparta brodę. Wbiła wzrok w nie istniejącą płamę na dywanie. W końcu powoli opuściła ręce i westchnęła głęboko.

–Jeżeli porywacze użyją siły, mogą zmusić profesora Silvermana do odszyfrowania dokumentów.

–A jeśli to zrobi, wykorzystają zdobyte wiadomości do wyrównania prywatnych porachunków z organizacją – ze złością zasyczał Graham.

–Dlatego musimy odnaleźć ich wcześniej, zanim podejmą przeciw nam jakieś działania – uzupełnił Philpott.

–Z pańskich słów wynika, iż nie wierzy pan, by profesor zbyt długo opierał się naciskom – powiedział Whitlock.

–To prawda – stwierdził Philpott. – Jak wiecie, Silverman w zeszłym roku miał atak serca. Wciąż bierze leki przeciw dusznicy bolesnej. Nietrudno go będzie złamać.

–Skąd pomysł, żeby to właśnie on niósł neseser? – chciał wiedzieć Graham. – Akta byłyby bezpieczniejsze w rękach Siergieja.

–Masz rację, szczególnie gdy spojrzeć na bieg wypadków z obecnej perspektywy –

**zgodził się Philpott. – Lecz teraz to bez znaczenia, prawda?**

**–Jest coś, od czego możemy zacząć? – spytała po chwili Sabrina, by przerwać nieprzyjemną ciszę.**

**–Tak, znaleźliśmy pewien ślad. W karetkce, pod siedzeniem kierowcy, leżało pudełko zapalek pokryte licznymi odciskami palców, nie pochodzącymi od żadnego sanitariusza zatrudnionego na lotnisku. Po identyfikacji komputerowej ustaliliśmy, że należą do Heinricha Bergera. Przez ostatnie dwa lata pracował jako płatny zabójca dla pewnego gangstera z Marsylii, niejakiego Emile’a Jannoca. Chodzą słuchy, że niedawno się rozstali, lecz nie bardzo w to wierzę.**

**–Dlaczego? – zapytał Whitlock.**

**–Pół roku temu młodszy brat Jannoca, Christian, został zabity podczas strzelaniny w marsyjskim Starym Porcie. Emile złożył przysięgę nad trumną, że pomści śmierć brata.**

**–Przepraszam, lecz nie widzę żadnego związku – zauważył Whitlock.**

**–Ósmy Zespół Operacyjny próbował po cichu rozpracować firmę Jannoca. Uczestniczyli w starciu, w którym zginął Christian. Późniejsze testy balistyczne wykazały, że pocisk znaleziony w ciele Christiana nie pochodził z broni używanej przez nas, lecz mimo to musieliśmy przerwać akcję i odwołać zespół.**

**–Jannoc zdołał ustalić, że agenci UNACO byli zamieszani w wydarzenia w Marsylii, i obarczył nas winą za śmierć brata – podsumował Graham.**

**–Nie wie jednak dokładnie, który zespół działał wówczas na tamtym terenie, i z tego względu szuka szczegółów operacji – dodała Sabrina.**

**–To dlaczego go nie zgarniemy? – spytał Graham.**

**–Ponieważ nie mamy dostatecznych dowodów, by łączyć jego pogroźki z incydem na lotnisku – odparł Philpott. – Mamy jedynie odciski palców Bergera na pudełku zapalek. Ale Berger podobno opuścił Jannoca przed trzema miesiącami. Z drugiej strony, jeśli nawet zdołamy udowodnić, że wciąż ich coś łączy, nie daje to żadnej pewności, iż jednocześnie odnajdziemy profesora Silvermana lub teczkę z dokumentami. Gorzej, możemy się wówczas przyczynić do ich lepszego ukrycia. Nie chcę do tego dopuścić. Kto wie, co by się mogło wydarzyć w przyszłości? – Potrząsnął głową. – Nie. Nawet nie dotkniemy Jannoca, póki nie odzyskamy wszystkich papierów.**

**–Skąd Jannoc mógł wiedzieć o konferencji w Lizbonie? – spytał Whitlock. – Wspomniał pan, że była otoczona ścisłą tajemnicą.**



**Philpott wyprostował się w fotelu.**

**–To właśnie tkwi mi ością w gardle od chwili, gdy usłyszałem o wydarzeniach na lotnisku. Ktoś musiał przekazać mu informację i podejrzewam, że był to ktoś z naszej organizacji. Żaden z delegatów nie wiedział, iż neseser znajdzie się w rękach profesora... lecz to już moja sprawa. Na was czekają inne zmartwienia.**

**–Co mamy robić? – niecierpliwił się Graham.**

**–Ty i Sabrina polecicie do Lizbony. – Philpott wręczył im wyjęte z teczki dwie szare koperty. Wewnątrz był krótki wykaz zadań. Należało go zniszczyć zaraz po przeczytaniu. Poza tym bilety lotnicze, potwierdzenie rezerwacji hotelowej, dossier agenta uczestniczącego w sprawie ze strony portugalskiej oraz pewna kwota pieniędzy w escudos.**

**–W Portugalii skontaktujecie się z majorem Joao Inaciem, starszym oficerem Special Forces Brigade. Zawiadomcie go zaraz po swoim przybyciu. Tym razem musimy ściśle współpracować z miejscowymi władzami.**

**–Tak jest – odparł Graham, unosząc się z miejsca.**

**–Wiem, że znajdziecie się na linii ognia, jeśli te dokumenty zostaną odkodowane i wpadną w niepowołane ręce – powiedział Philpott. – Lecz nie traktujcie swego zadania jak osobistej zemsty. Liczy się dyscyplina i profesjonalizm.**

**Mike doskonale zdawał sobie sprawę, że uwagi pułkownika skierowane są pod jego adresem, lecz nie odezwał się ani słowem.**

**–A co ze mną? – spytał Whitlock.**

**–Z tobą porozmawiam za chwilę – stwierdził Philpott, po czym ponownie zwrócił się do Mike'a i Sabriny: – Oczekuję regularnych raportów, co najmniej dwa razy dziennie. Teraz już idźcie; musicie zdążyć na samolot.**

**–Tak jest – powtórzył Graham i wyszedł za Sabriną. Philpott wyjął z teczki trzecią szarą kopertę i wręczył ją Whitlockowi.**

**–Pojedziesz do Marsylii. Po drodze, w Paryżu, będzie na ciebie czekał Jacques Rust z naszej europejskiej kwatery w Zurychu. Wprowadzi cię w szczegóły.**

**–Jasne – Whitlock wstał. – Kiedy zaczynam?**

**–Dziś wieczór. Masz rezerwację na lot z Nowego Jorku do Paryża.**

**Whitlock milczał przez chwilę.**

**–Co będzie, jeśli nie odzyskamy papierów przed ich rozszyfrowaniem?**

**–Postaraj się, aby do tego nie doszło – odparł Philpott i zamknął teczkę. – To wszystko, C.W.**

**–To on – powiedziała Katherine Warren, śledząca Grahama przez lornetkę z noktowizorem. – Możesz mu zrobić zdjęcie?**

**–Pewnie – padła zdecydowana odpowiedź.**

**Katherine śledziła Mike’a aż do budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych, a później, po zapłaceniu za taksówkę, zatelefonowała do dyżurnego redaktora „New York Sentinel” i zażądała, by natychmiast przysłano jej fotografa. Teraz siedzieli oboje w samochodzie zaparkowanym na wprost gmachu ONZ-tu.**

**–Hej, a to kto? – spytał fotograf na widok wychodzącej Sabriny. Zagwizdał cicho. – Jezu... Niezła sztuka.**

**Katherine dostrzegła Sabrinę w chwili, gdy ta podeszła do Mike’a i zachęcającym gestem wskazała mu stojącego w pobliżu mercedesa 500 SEC w kolorze szampana. Razem ruszyli w stronę samochodu.**

**Fotograf zrobił kilka zdjęć, w tym jedno samochodu, po czym opuścił aparat.**

**–Co dalej?**

**–Jedziemy za nimi.**

**–Kim jest dziewczyna? – zapytał ponownie, gdy Sabrina włączyła starter.**

**–Nie mam pojęcia – odpowiedziała Katherine. Odłożyła lornetkę. – Przynajmniej na razie. Wiem tylko, że jej uroda przyda smaku całej historii.**

**–Pod warunkiem, że będziesz miała o czym pisać – mruknął fotograf.**

**Katherine Warren lekko przesunęła językiem po wargach i uśmiechnęła się tajemniczo.**

## *Dwudziesty czwarty grudnia – Wigilia*

Jacques Rust od dwóch i pół roku był przykuty do wózka inwalidzkiego. Nie uważał tego za ułomność i z niezwykłą ostrością traktował wszelkie objawy współczucia. Właśnie czegoś takiego doświadczył rano, po przyjeździe do paryskiego hotelu. Osobisty szofer, który zawsze towarzyszył mu w zagranicznych podróżach, ustawił wyjęty z bagażnika składany fotel przy tylnych drzwiach samochodu. Wiedział, że nie należy pomagać Rustowi przy wysiadaniu, ale chwilę później pojawił się usłużny portier... Rust zdawał sobie sprawę, iż każdy samarytanin miał na względzie wyłącznie jego dobro, lecz ich zachowanie wywoływało u niego poczucie uzależnienia. A tego nie cierpiał...

Gdy został wreszcie sam w hotelowym pokoju, podjechał do okna i patrzył przez chwilę na panoramę Paryża. Był czterdziestodwuletnim Francuzem o krótko przyciętych czarnych włosach, błyszczących niebieskich oczach i twarzy mocno poranej zmarszczkami. Spędził czternaście lat we francuskiej Service de Documentation Exterieur et de Contre-Espionnage, nim trafił do UNACO i zaczął współpracować z Whitlockiem. Kiedy sekretarz generalny zezwolił Philpottowi zwiększyć liczbę agentów o dziesięć, było ich teraz trzydziestu, dołączyła do nich Sabrina i w ten sposób powstał pierwotny skład Trzeciego Zespołu Operacyjnego.

Pół roku później Rust i Sabrina znaleźli się w dokach Marsylii, by przeprowadzić rutynową akcję przeciwko handlarzom narkotyków, przewożącym towar między Algierią i Francją. Nieoczekiwanie wpadli w pułapkę. Rust osłaniał odwrót Sabriny, lecz kiedy sam próbował uciec, otrzymał postrzał w kręgosłup i został sparaliżowany od pasa w dół. Philpott, który zawsze miał wiele uznania dla zdolności Francuza, zaoferował mu szefostwo europejskiej filii UNACO, z bazą w Zurychu. Rust pełnił tę funkcję już od półtora roku i zrezygnował z szansy powrotu do Nowego Jorku, gdy Philpott odszedł na wcześniejszą emeryturę, zwalniając stanowisko dyrektora organizacji. Nie chciał opuszczać Zurychu, co zresztą nikogo specjalnie nie dziwiło, gdyż zdążył głęboko wniknąć w europejską politykę i miał bardzo rozbudowaną sieć kontaktów, obejmującą cały kontynent. Jacques Rust był europejskim mózgiem UNACO.

Rozległo się pukanie do drzwi. Rust przejechał przez pokój, by otworzyć. Ze zdziwieniem spojrzął na stojącego w progu Whitlocka.

–Spodziewałem się ciebie dopiero za godzinę.

–Jeśli chcesz, mogę przyjść później – odparł z uśmiechem Whitlock.

–Wchodź – wesóło powiedział Rust, zapraszając go gestem do środka. Zamknął

drzwi i obrócił fotel przodem do gościa. – Dobrze wyglądasz, *mon ami*. Jak ci idzie z Carmen?

–Prawdę mówiąc, mogłoby być lepiej – z westchnieniem odpowiedział Whitlock. Usiadł. – To już trzecie święta z rzędu, które przyjdzie mi spędzić poza domem. Nie jest z tego zadowolona.

Rust poważnie skinął głową.

–Wierzę. Lecz na tym polega nasza praca.

–Spróbuj to wytłumaczyć Carmen.

–Powinieneś w końcu pomyśleć o stworzeniu prawdziwej rodziny, C.W. To was bardziej zbliży.

–Możliwe – mruknął Whitlock.

–Na pewno – stwierdził Rust. – Nie wątpię, że będziecie wspaniałymi rodzicami.

Whitlock nonszalancko wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że wypadło to przekonująco. Rust był jego zaufanym i bliskim przyjacielem, lecz nie mógł mu powiedzieć, że Carmen jest w ciąży. Jeszcze nie teraz. Wstał, podszedł do okna, po czym ponownie spojrzał na Francuza.

–Słyszałem od pułkownika, że masz mnie wprowadzić w szczegóły akcji planowanej w Marsylii.

Rust sięgnął po aktówkę, otworzył ją i wyjął plik dokumentów.

–Ile już wiesz?

–W czasie lotu przejrzałem dossier Jannoca. To wszystko. Reszta należy do ciebie.

Rust wręczył mu zdjęcie czarnoskórego mężczyzny.

–Nazywa się Frank Royce. Lub raczej nazywał. Dziesięć dni temu zginął w wypadku samochodowym.

–I mam się podszyc pod jego nazwisko?

Rust skinął głową.

Whitlock przyglądał się fotografii.

–Przynajmniej mamy ten sam kolor skóry – powiedział w końcu. – Dobry początek.

**–Nie musisz się martwić podobieństwem; nikt cię nie rozpozna.**

**Whitlock oddał mu zdjęcie.**

**–Chciałbym coś więcej usłyszeć o tym facecie.**

**–W dniu śmierci miał trzydzieści osiem lat. Urodzony w Londynie, osierocony w drugim roku życia. Prosto ze szkoły zaciągnął się do wojska, lecz rok później został zwolniony za pobicie podoficera. Wyjechał do Afryki, gdzie zdobył spory rozgłos jako najemnik. Panowała opinia, że trudno się z nim dogadać, ale nigdy nie zrywa kontraktu. Jak na ironię, zginął podczas pierwszej po dziesięciu latach wizyty w Zjednoczonym Królestwie. Zderzył się z kilkutonową ciężarówką na przedmieściach Londynu. Nie miał bliskich przyjaciół, więc jego śmierć przeszła bez echa. W aktach znajdziesz pozostałe informacje na jego temat. Postaraj się zapamiętać jak najwięcej; może się zdarzyć, że w przyszłości będziesz musiał je wykorzystać. Na razie masz znakomitą osłonę.**

**–Po co? – spytał Whitlock, siadając na łóżku.**

**–Po to, by wejść w szeregi organizacji Jannoca i znaleźć Silvermana.**

**–Czytałem, że Jannoc zatrudnia wyłącznie byłych legionistów – zauważył Whitlock.**

**–Royce służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej?**

**–Nie, ale to punkt na twoją korzyść – odparł Rust. – Nie spotkasz wśród ludzi Jannoca dawnych znajomków.**

**–A skąd pewność, że Jannoc nagle zmieni zdanie i zgodzi się mnie przyjąć?**

**Rust wyjął z teczki kolejną fotografię i podał ją Whitlockowi.**

**–To jego jedenastoletnia córka Mathilde. Nie wątpię, że będzie ci wdzięczny, jeśli dziś wieczór udaremnisz próbę jej porwania. A gdy usłyszysz, że poszukujesz zajęcia...**

**–Porwania? – podejrzliwie spytał Whitlock.**

**Rust skinął głową.**

**–Dostałem wiadomość z Marsylii, że Mathilde Jannoc idzie dziś do kolegi na przyjęcie urodzinowe. Po południu ochroniarz odwiezie ją pod wskazany adres i zaczeka do końca imprezy, czyli mniej więcej do ósmej. Kidnaperzy przystąpią do działania, gdy będzie wracała do domu.**

**–Skąd wiesz o porwaniu?**

**Na twarzy Rusta pojawił się tajemniczy uśmiech.**

**–Sam je zaaranżowałem.**

**–Powinienem od razu wyczuć, o co chodzi – mruknął Whitlock.**

**–Emile Jannoc ma wielu wrogów, zwłaszcza w okolicach Marsylii. Z tego powodu nigdzie nie puszcza córki bez ochrony. Wie, że dziewczynka jest jego słabym punktem i co gorsza, że inni też zdają sobie z tego sprawę. Parę miesięcy temu usiłowano ją porwać i to wydarzenie podsunęło mi pomysł zorganizowania dzisiejszej akcji. Wynająłem w Nantes dwóch eks-skazańców. – Rust pokazał Whitlockowi zdjęcia opryszków. – To oni. Sebastian Ronnet i Pierre Mensel. Męty jakich mało, z kartoteką grubości ramienia, lecz myślą, że jestem pośrednikiem działającym z rozkazu anonimowego gangstera, chcącego załatwić z Jannocem dawne porachunki.**

**–Zatem są przekonani, że chodzi o prawdziwe porwanie – podsumował Whitlock. – Nie ustąpią bez walki. Mam rację?**

**–To był jedyny sposób, by zdobyć ich zaufanie – odparł Rust i przeprasząco rozłożył ręce. – Na pewno dasz sobie radę, C.W. To tylko zwykli przestępcy.**

**–Będą uzbrojeni?**

**–Dostali wyraźne polecenie, by nie zabierać pistoletów. Taka była umowa.**

**–Niezbyt mnie to uspokaja – stwierdził Whitlock. – Ochroniarz nosi gnata?**

**–Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej, lecz Mensel i Ronnet mają wystarczająco oleju w głowie, by zadbać o własną skórę. Poza tym będą działać z zaskoczenia. – Rust zamknął aktówkę i wręczył ją Whitlockowi. – Za dwie godziny masz lot do Marsylii.**

**–A jeżeli Jannoc mnie nie zatrudni?**

**–Postaraj się, by to zrobił. Jeśli to on stoi za wczorajszym napadem w Lizbonie, a jestem przekonany, że tak było, bez wątpienia zna miejsce pobytu Abego Silvermana. I tylko wówczas możemy mieć szansę na odzyskanie dokumentów, nim zostaną rozszyfrowane. – Przerwał na chwilę. – Pułkownik chce, byśmy pozostawali w ciągłym kontakcie. Po południu wracam do Zurychu. Pamiętaj o nawiązaniu łączności.**

**–Na pewno – obiecał Whitlock.**

**–C.W.! – krzyknął Rust za odchodzącym Kenijczykiem. Zawołany obrócił głowę w jego stronę. – Powodzenia.**

**–Coś mi mówi, że tym razem będę naprawdę potrzebował szczęścia – markotnie odparł Whitlock i zniknął za drzwiami.**

**Na lizbońskim lotnisku Sabrinę i Mike'a powitał major Joao Inacio. Był wysokim, dobiegającym pięćdziesiątki mężczyzną, weteranem wojen w Mozambiku i Angoli, gdzie służył w jednostce piechoty morskiej, tak zwanej Corpo de Fuzileros, nim przeniósł się do elitarnej Special Forces Brigade.**

**–Na zewnątrz czeka samochód, który zabierze państwa do hotelu – powiedział nienaganną angielszczyzną i wskazał główne wyjście.**

**–Czy są jakieś wieści o Siergieju? – spytała Sabrina.**

**–Niestety, stan rannego nie wykazuje żadnej poprawy – odparł Inacio. – Pan Kolczynski wciąż jest nieprzytomny i przebywa na oddziale intensywnej terapii.**

**Kierowca, siedzący w nie oznakowanym białym mercedesie, pośpiesznie opuścił swe miejsce na widok majora wychodzącego z budynku terminalu. Odebrał walizki z rąk Sabrinę i Mike'a, włożył je do bagażnika, po czym ponownie zasiadł za kierownicą i włączył starter.**

**–Hotel Altis – szorstko zakomenderował Inacio. Obrócił się z fotelem tak, by mógł patrzeć na siedzących z tyłu Grahama i Sabrinę. Z kieszeni marynarki wyjął niewielką plastikową fiolkę. – To znaleziono na płycie lotniska, w pobliżu miejsca, gdzie uprowadzono profesora Silvermana.**

**Graham wziął fiolkę do ręki. Poczuł gwałtowny skurcz żołądka, kiedy przeczytał napis na nalepce. Nitrogliceryna. Silverman używał tych tabletek w czasie ataków dusznicy, którym ulegał dość często po ostatnim zawale. Mike wręczył fiolkę Sabrinie.**

**Z posępną miną zerknęła na nalepkę, po czym wlepiła niespokojny wzrok w Grahama.**

**–Dla profesora to jedyna szansa ratunku. Nigdy się z nimi nie rozstawał.**

**–I długo bez nich nie wytrzyma – powiedział Graham.**

**–Być może już nie żyje – odezwał się Inacio, przerywając nagłą ciszę.**

**Graham i Sabrina milczeli. Wiedzieli aż nadto dobrze, że major ma rację.**

**–Śmierć Silvermana przyniosłaby nam wiele pożytku – sucho stwierdził Inacio. – Bez jego pomocy nikt nie mógłby rozszyfrować skradzionych dokumentów. W ten sposób porywacze znaleźliby się w punkcie wyjścia, prawda?**

**Silverman obudził się na wąskim, niewygodnym łóżku, stojącym w kącie ciemnego pokoju. Przez małą kratkę w metalowych drzwiach wpadał z korytarza cienki promień**

światła. Silverman chciał usiąść, lecz poczuł ostry ból tuż u nasady czaszki. Wciągnął głęboko powietrze przez zaciśnięte zęby, po czym powoli opuścił głowę na wytarty siennik. Zamknął oczy i łagodnie masował kark, aż ból zaczął ustępować. Przez kilka minut, leżał bez ruchu. W końcu spróbował wstać. Ból wrócił, lecz nie tak silny jak poprzednio. Silverman spuścił nogi na podłogę i dźwignął tułów. Usiadł, wsparł głowę na rękach i wrócił myślami do wydarzeń bezpośrednio poprzedzających jego porwanie.

Wciąż widział Pereirę, podskakującego groteskowo w chwili, gdy trafiły go kule. Po raz pierwszy oglądał taką scenę i przekonał się, że wszystko, co mówili koledzy z Mossadu i UNACO, jest prawdą: wydawało mu się, że patrzy na film puszczone w zwolnionym tempie. Pamiętał także upadek Kolczynskiego. Oszołomiony i ogarnięty paniką, nawet nie słyszał kolejnych strzałów. Potem poczuł ukłucie w kark. Pocisk ze środkiem usypiającym. Skrzywił się, gdy dotknął siniaka na policzku, w miejscu gdzie jego twarz gwałtownie zetknęła się z betonową płytą lotniska. Opuchlizna jeszcze nie zesza. Potem już nic nie pamiętał. Ani przez chwilę nie wątpił, co było prawdziwym powodem porwania. Neseser zniknął, więc ktoś chciał poznać treść zakodowanych dokumentów. Silverman przetarł czoło. Dokąd go wywieziono? Jak długo był nieprzytomny? Musiał się tego dowiedzieć.

Jego oczy zdołały już przywyknąć do półmroku. Silverman powoli potoczył wzrokiem wokół siebie. Był w celi – pustej, jeśli nie liczyć łóżka. Wstał i ostrożnie podszedł do drzwi. Osłonił twarz przed oślepiającym blaskiem nagiej żarówki, zwisającej z sufitu i popatrzył przez kratkę. Na korytarzu nie było nikogo. Wzdłuż ścian ciągnęły się wejścia do innych więziennych pomieszczeń, najpewniej „nie zamieszkanymi”, gdyż w budynku panowała głucha cisza. Silverman uznał to za pomyślny zbieg okoliczności. Z wolna zaczął analizować szczegóły planu.

Walnął pięścią w drzwi i skrzywił się z bólu, który załomotał mu w głowie. Wiedział jednak, że jeśli chce doprowadzić sprawę do końca, musi ściągnąć do celi strażnika. Bębnił więc dalej, aż wreszcie usłyszał echo kroków. Chwilę później jakiś cień zasłonił kratkę.

–Czego chcesz? – odezwał się głos z wyraźnym niemieckim akcentem.

–Szkłanki wody. Zaschło mi w gardle.

Strażnik odszedł w głąb korytarza. Po chwili wrócił i otworzył drzwi, używając karty magnetycznej. W jednym ręku trzymał pistolet maszynowy Heckler Koch MP5, w drugim – kubek z wodą.

–Siadaj na łóżku – warknął i znacząco machnął bronią. Silverman posłusznie spełnił polecenie.



**–Gdzie jestem? – spytał.**

**Strażnik postawił plastikowy kubek na podłodze pośrodku celi.**

**–A co cię to obchodzi? – burknął opryskliwie.**

**–Obchodzi, gdyż trafiłem tu wbrew swej woli! – zawołał Silverman, zrywając się z miejsca.**

**Lufa pistoletu natychmiast skierowała się w jego stronę.**

**–Ani kroku dalej – brzmiał rozkaz wypowiedziany ciężką angielszczyzną.**

**–Nie możesz mnie zabić! – buńczucznie odpalił Silverman. Miał nadzieję, że brzmiało to dość przekonująco, by zamaskować rosnące w nim uczucie strachu. – Jestem wam potrzebny. W przeciwnym wypadku nie musielibyście mnie porywać.**

**–Nie zabiję cię – zgodził się strażnik. – Lecz jeśli zechcesz uciekać, strzelę ci w nogi. Nie będziesz mógł więcej chodzić. *Verstehen?***

**–Jak mogę uciec, skoro przez cały czas celujesz we mnie z automatu? – prychnął Silverman, a potem wskazał na kubek. – Mogę się w końcu napić?**

**Mężczyzna skinął głową. Silverman wziął kubek do ręki i upił kilka łyków.**

**–Gdzie twoi kolesie? – spytał ostrożnie.**

**–Kolesie? – nie zrozumiał Niemiec.**

**–Reszta towarzystwa – ostro wyjaśnił Silverman.**

**–Przyjdą później. Wtedy zabierzesz się do pracy.**

**–Tak ci się... – Silverman nagle wypuścił kubek i złapał się za serce. Ciężko dysząc, osunął się na podłogę. – Tabletki... Potrzebuję tabletek. Daj mi... – wyjęczał.**

**Niemiec stał w progu z niepewną miną. Nie wiedział, co robić, gdyż z jednej strony obawiał się podstępu, a z drugiej nie chciał zostawić Silvermana bez pomocy, jeśli atak bólu był prawdziwy. Śmierć jeńca na pewno nie spodobałaby się Rosjanom. Zamknął drzwi i podszedł do leżącego profesora.**

**–Proszę... pomóż... – szeptał Silverman przez zaciśnięte zęby. – Tabletki... Potrzebuję tabletek.**

**Strażnik, wciąż przygotowany do strzału, przykucnął przy leżącym i obrócił go na plecy. Poluźnił mu krawat. Silverman złapał go za koszulę. Wyraźnie chciał coś**

powiedzieć, strużka śliny ciekła mu z kącika szeroko otwartych ust. Niemiec odruchowo pochylił się niżej, by lepiej słyszeć. Silverman błyskawicznie uniósł rękę i z całej siły wbił mu palec w oko.

Strażnik ryknął z bólu i zasłaniając twarz, szarpnął się do tyłu. Jedną ręką po omacku dłubał przy automacie, lecz nim zdążył coś zrobić, Silverman podciął mu nogi. Niemiec zwałił się ciężko, pistolet stuknął o podłogę. Silverman szybko pochwycił broń i trzasnął przeciwnika kolbą w bok głowy, pozbawiając go przytomności. Przetrzęsnął kieszenie leżącego strażnika, znalazł kartę-kłucz i wybiegł na korytarz. Szybki rzut oka na wszystkie strony upewnił go, że w tej części budynku nie ma nikogo. Wsunął kartę w szczelinę i zatrzasnął za sobą celę. Metalowe drzwi w drugim końcu korytarza nie były zamknięte. Silverman znalazł się w obszernej hali. Otarł pot z oczu i usiłował odgadnąć, które z licznych przejść prowadzi ku wolności. Ostrożnie kluczył wśród połamanych skrzyń, zaśmiecających podłogę, aż dotarł na drugi koniec pomieszczenia. Przystanął ponownie, by zebrać siły, i zauważył, że w jednym z korytarzy brak cel, są za to podwójne drzwi bezpieczeństwa. Do tej pory mijał tylko pojedyncze. Z podnieceniem ścisnął kartę w dłoni i podszedł do progu. Zamek ustąpił bez trudu. W sieni wyłożonej czarno-białą mozaiką widniały trzy pary drewnianych drzwi. Silverman nawet nie spojrzał w ich stronę. Minął korytarz i stanął przed kolejną przegrodą. Wsunął kartę w szczelinę zamka. Z ulgą usłyszał metaliczny szczęk. Droga wolna. Zrobił krok do przodu i potoczył wzrokiem dokoła...

Nagły paroksyzm bólu, promieniujący z klatki piersiowej do krtani i pleców, wyrwał mu z gardła zduszony okrzyk. Silverman zatoczył się w głąb korytarza. Mocno przyciskał ręce do piersi. Tabletki. Gdzie są tabletki? Może zabrał je strażnik? Chyba nie, miał ścisły rozkaz, by zachować jeńca przy życiu... Nieważne. Silverman wiedział, że już nie zdążyłby wrócić do celi. Nie mógł się ruszać, przed oczami miał tylko rozmazane cienie. Było mu zimno. Bardzo zimno.

Kolejny, pulsujący atak bólu rzucił go na kolana. Przez kilka sekund tkwił w kleszczach agonii, aż w końcu zanurzył się w kojącą otchłań ciemności i upadł, nie widzącym spojrzeniem wpatrując się w magnetyczną kartę, leżącą zaledwie kilka centymetrów od jego wyciągniętej ręki.

Po przybyciu do hotelu Graham i Sabrina z dużą ulgą przyjęli oświadczenie Inacia, iż nie zamierza im matkować podczas pobytu w Portugalii. Podał jedynie numer telefonu, pod który dzień i noc mogli dzwonić w razie nagłej potrzeby. Philpott musiał powiedzieć mu po cichu, że najbardziej lubią pracować sami. I bardzo dobrze...

Przebrali się szybko, a potem zeszli na dół, do foyer, uzbrojeni w beretty 92, które wręczył im Inacio przed opuszczeniem hotelu. Graham miał też kluczyki do białego forda sierry, czekającego na hotelowym parkingu. Jedynym śladem, od którego mogli rozpocząć dochodzenie, były zapalniczki znalezione w karetkce: białe pudełko ze

słabo zarysowaną niebieską sylwetką kobiety oraz adresem winiarni „A Azul Senhora” – Błękitna Dama – mieszczącej się przy Rua de Sao Pedro, w Alfamie, czyli na Starym Mieście.

Latem Rua de Sao Pedro była prawdziwą pułapką na turystów, ze swymi *tabernas*, restauracjami oraz praktycznie niezliczonymi ulicznymi kramami, gdzie nadziany forszą obcokrajowiec mógł kupić tonę świecidełek i miejscowych osobliwości. O tej porze roku ulica świeciła pustką. Jedynie paru tubylców kręciło się po sklepach w pogoni za ostatnimi gwiazdkowymi upominkami. Gdy Graham zatrzymał wóz przed jedną z *tabernas*, rozradowany kupiec pośpieszył w stronę jezdni. Mike szybko odprawił go z kwitkiem. Pociągnął Sabrinę na schody wiodące do baru.

Samotny barman niechętnie uniósł wzrok znad gazety.

–Jeszcze zamknięte – burknął obcesowo, po czym ponownie zajął się przeglądaniem doniesień sportowych.

–Nie przyszliśmy na drinka – odparł Graham i wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie Bergera. Położył je na kontuarze. – Widział pan kiedyś tego człowieka?

Barman sięgnął po fotografię, lecz natychmiast pokręcił głową. – Nie.

–Może pan jeszcze raz spojrzysz – odezwała się po portugalsku Sabrina. – Myślę, że bywał tu ostatnio.

Barman popatrzył w jej stronę.

–Kim jesteście? – spytał, wyraźnie zadowolony, że może rozmawiać w ojczystym języku.

–Jego przyjaciółmi – odpowiedziała. – Dziś rano mieliśmy się spotkać na lotnisku. Nie przyszedł i dotąd nie możemy go znaleźć. Kiedy ostatni raz rozmawiałam z nim przez telefon, wspomniał o tym barze. Na pewno pan go nie widział?

Barman uważniej przyjrzał się fotografii. Po chwili zwrócił ją Sabrinie i ponownie pokręcił głową.

–Nie.

–Mogę też spojrzeć? – rozległ się z tyłu głos bez wątplenia należący do Amerykanina.

Graham i Sabrina obrócili głowy w kierunku stojącego przy schodach młodzieńca. Miał około dwudziestu lat, mocno opalony, o włosach spłowiałych od słońca i ze złotym kolczykiem w lewym uchu. Uśmiechnął się promiennie i podszedł do

**szynkwasu.**

**–Nazywam się Ricky Hardin. Robię tutaj. Nie gniewajcie się na Luisa, bo on nabiera oglądy dopiero wówczas, gdy zobaczy kolor szmalu.**

**Barman mruknął coś pod nosem, zabrał gazetę i zaszył się w kącie.**

**–Masz kawał drogi do domu – powiedziała Sabrina do Ricky’ego.**

**–Przyjechałem tylko na lato. Polubiłem kraj i okolicę, więc zostałem. To miejsce żyje z turystów; dlatego dostałem pracę. – Wyciągnął rękę po zdjęcie. – Pozwól, że rzucę okiem.**

**Sabrina podała mu fotografię.**

**Hardin z namysłem wydał usta. Potrząsnął głową.**

**–Niestety. Nigdy go nie widziałem. Na pewno tu bywał?**

**–Na pewno – odparł Graham.**

**–Mam pomysł. – Hardin przysunął się bliżej do Sabriny. – Dajcie mi numer telefonu, zadzwonię, jak tylko się zjawi.**

**–Mieszkamy w hotelu Altis. Pytaj o Grahama. Hardin się uśmiechnął.**

**–Przepraszam, lecz przed otwarciem baru muszę jeszcze uzupełnić zapas trunków.**

**Mike schował zdjęcie i ruszył do wyjścia.**

**–To twój chłopak? – zagadnął Hardin spoglądając na Sabrinę.**

**–Tak – odpowiedziała z uśmiechem.**

**–Szczęściarz – zamruczał Hardin. Kątem oka zobaczył, że Luis opuścił gazetę i chłodnym wzrokiem patrzył za odchodzącymi, więc szybko chwycił z kontuaru kolorową ulotkę.**

**–Zaczekajcie! – Dogonił ich tuż przy schodach. – Dziś wieczór mamy imprezę z okazji Wigilii. Jak przed dziesiątą pokażecie to bramkarzowi, będziecie mogli wejść za darmo.**

**–Dzięki, ale nie skorzystamy – odparł Graham.**

**–Ten facet był u nas – szepnął Hardin, po czym wcisnął ulotkę w dłoń Sabriny. – Nie wygłupiajcie się, weźcie – dodał głośno.**

**–Kiedy?**

**–Tu nie możemy rozmawiać – syknął Hardin. – Przyjdę do hotelu, gdzieś koło czwartej po południu. Ale wieści kosztują, kolego. Patola. W amerykańskiej walucie.**

**–Co? – spytał Mike. – Nie mamy...**

**–Albo forsa, albo nici z rozmowy – odparł Hardin. Cofnął się kilka kroków i wskazał na ulotkę. – Początek p ósmej. Wpadnijcie. Zapowiada się niezła balanga.**

**Mike i Sabrina wyszli na ulicę.**

**–Co o tym myślisz?**

**–Coś musi wiedzieć – stwierdził Graham. – Tak samo jak ten drugi. Śmierdział strachem na odległość.**

**Sabrina skinęła głową.**

**–Też wydawało mi się, że coś ukrywa.**

**–Przy odrobinie szczęścia dowiemy się całej prawdy od Hardina – powiedział Graham, po czym otworzył drzwi samochodu.**

**Sabrina spojrzała na niego ponad dachem.**

**–Co dalej?**

**–Do czasu spotkania z Hardinem nie mamy nic do roboty. To nasz jedyny ślad. Miejmy nadzieję, że udowodni swą wartość.**

**Larry Ryan siedział przy telefonie, gdy rozległo się ciche pukanie, a potem zza drzwi wyjrzała Katherine Warren. Zaprosił ją gestem do środka i wskazał krzesło stojące przed biurkiem. Był czterdziestokilkuletnim mężczyzną o dużym doświadczeniu w pracy dziennikarskiej. Niegdyś pełnił funkcję zastępcy redaktora w „Miami Herald” i w „Washington Post”, a całkiem niedawno przeniósł się do „New York Sentinel”.**

**Prywatnie od ośmiu lat był mężem młodszej siostry Katherine Warren, Louise, popularnej prezenterki telewizyjnej, występującej w programach dla dzieci. Rok temu, ku obopólnej radości małżonków, Katherine zaczęła się spotykać z ich najlepszym przyjacielem, też dziennikarzem, Markiem Randallem, którego poznała w czasach, gdy razem pracowali w „Washington Post”. Po dwóch miesiącach Ryan był świadkiem na ślubie. Niestety, małżeństwo Randallów szybko zaczęło się rozpadać. Mark chciał mieć dzieci, Katherine myślała wyłącznie o swojej karierze. Louise rzecz jasna stanęła po stronie siostry, a Larry czuł się jak między młotem a kowadłem. W**

skrytości ducha popierał jednak dążenia Katherine. Była cudowną dziennikarką i za wszelką cenę usiłował zatrzymać ją w redakcji. Wszystko stanęło na głowie, gdy zmarł jej ojciec i postanowiła wyjechać do Nowego Jorku, by być bliżej matki. Randall został w Waszyngtonie, a to oznaczało definitywny koniec ich związku.

Ryan odłożył słuchawkę.

–Telefonowała twoja mała siostrzyczka, Katy. Przesyła ci moc całusów i przypomina, że dziś wieczór masz wpaść do nas na drinka.

Katherine już od dzieciństwa domagała się, by zwracać się do niej pełnym imieniem. Nie „Kate” ani „Kathy”, lecz „Katherine”. Ryan zawsze nazywał ją „Katy”, a mimo to, sama nie wiedząc dlaczego, nie strofowała go. Widocznie on jeden stanowił wyjątek od reguły.

–Nie zapomniałam, lecz nie wiem, czy znajdę chwilę czasu.

–Co to znaczy? – podejrzliwie spytał Ryan. – Wiesz, że Louise od pół roku planowała dzisiejsze przyjęcie. Będzie niepokieszona, jeśli nie przyjdiesz.

–Myślę, że na coś wpadłam, Larry. Na coś naprawdę dużego.

Ryan odchylił się na krześle i splótł ręce za głową.

–Słucham.

Katherine opisała mu wczorajsze zajście w metrze i zachowanie Grahama.

–Facet wyraźnie nie chciał być nagabywany – stwierdził Ryan. – Dlatego podał gliniarzom lipne nazwisko. Nie możesz go za to winić, jeśli wziąć pod uwagę rumor, jaki prasa zrobiła wokół Berniego Goetza.

–To jeszcze nie koniec, Lany – Katherine wspomniała o wizycie Grahama w budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wyjęła z aktówki dużą kopertę i położyła ją na biurku. – Zostały zrobione wczorajszego wieczoru, przed ONZ-tem.

Ryan otworzył kopertę i bez pośpiechu zaczął przeglądać jej zawartość. W końcu trafił na zdjęcie Sabriny.

–A to kto? Całkiem niezła laska.

–Wiedziałałam, że cię zainteresuje – odpowiedziała Katherine z lekkim uśmiechem. – Śledziłam ich aż do lotniska Kennedy’ego. Polecieli do Portugalii. Po powrocie do domu przefaksowałam kilka fotografii znajomemu szpiegowi z Langley, który miał wobec mnie dług wdzięczności.

**-I? – spytał Ryan z rosnącym zainteresowaniem.**

**-Tu mam ich dane. – Podała mu arkusz papieru. – Dostałam je faksem dziś rano.**

**Ryan uważnie przeczytał formularz.**

**-Są niekompletne.**

**-Zauważyłam to samo, więc jeszcze raz zatelefonowałam do swojego informatora. Niestety, wszystko co dotyczy Grahama, od chwili gdy odszedł z Delty, i Carver, od chwili gdy opuściła FBI, zostało objęte klauzulą „ściśle tajne”.**

**-I nawet on nie może się przez to przebić?**

**-Nie ma właściwych uprawnień, choć pełni znaczącą funkcję w CIA.**

**-Zatem są rzeczywiście dobrze chronieni. Myślisz, że pracują dla Firmy?**

**Katherine wstała z krzesła i podeszła do okna.**

**-Wątpię. Dziś rano, po przeczytaniu faksu, zatelefonowałam do ONZ-tu. Graham jest zatrudniony jako doradca do spraw polityki zagranicznej przy delegacji amerykańskiej, a Carver jako tłumaczka z francuskiego, w Zgromadzeniu Ogólnym. Pełen kamuflaż, wzięwszy pod uwagę ich przeszłość.**

**-Do czego zmierzasz? – spytał Ryan.**

**Katherine obróciła się w jego stronę.**

**-Myślę, że są powiązani z UNACO.**

**Ryan zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.**

**-Pod warunkiem, że coś takiego w ogóle istnieje – powiedział z namysłem.**

**-Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Jeśli Graham i Carver wyruszyli z jakąś misją, muszę ustalić, o co chodzi. To będzie prawdziwa bomba! Pomyśl tylko: supertajna organizacja do walki z przestępczością, działająca pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Cykl artykułów na prawach wyłączności.**

**Ryan wziął do ręki zdjęcie Sabriny.**

**-Naprawdę niezła...**

**-Jej portret wystarczy, by z zyskiem sprzedać całą historię. Wydarzenie roku. Co ty na to, Larry?**

Ryan przez chwilę w milczeniu palił papierosa.

–Chcę mieć dowód, że UNACO naprawdę działa – powiedział w końcu. – Chcę mieć dowód, że Graham i Carver są agentami UNACO. Bez spełnienia tych dwóch warunków lepiej zapomnieć o całej sprawie. Nie możemy opierać się tylko na domysłach, a jak dotąd mamy zaledwie nikłe poszlaki. Daj mi coś konkretnego, a obiecuję, że twoje nazwisko będzie na ustach każdego wydawcy w tym kraju.

Katherine uśmiechnęła się do niego.

–Możesz na mnie liczyć, Larry.

–Chcesz kogoś do pomocy?

–Nie, będę pracować z Edem Millerem. To mój stary przyjaciel, który teraz jako „wolny strzelec” pisuje reportaże z Portugalii i Hiszpanii. Ma dom w Lizbonie. Damy sobie radę.

–Miller? – Ryan zmarszczył brwi. – Ten pedał, któremu Mark musiał przyłożyć podczas waszego wesela?

–Już wtedy powinnam była zauważyć, że wychodzę za chama – gorzko odparła Katherine.

–Miller... – powtórzył Ryan. – Można mu ufać?

–Bardziej niż komukolwiek w tej redakcji – warknęła gniewnie. – O co ci chodzi, Larry? Nie lubisz homoseksualistów? Właśnie dlatego próbujesz podważyć umiejętności zawodowe Eda?

Ryan obronnym ruchem uniósł obie dłonie.

–Przestań, Katy, znasz mnie przecież nie od dzisiaj. Wszystko jedno czy facet to pedzio, czy całkiem normalny, chcę tylko wiedzieć, czy da sobie radę w podbramkowej sytuacji. Może być niezły kipsis, gdy UNACO się dowie, że ktoś z naszej branży próbuje tropić jej agentów.

–Ed był na wojnie w Nikaragui, w Salwadorze i całkiem niedawno w Bośni. Potrafisz znaleźć gorsze miejsca?

–W porządku – odparł Ryan, podjąwszy szybką decyzję, że czas zmienić taktykę. – Czego oczekujesz ode mnie?

–Zatrudniłam już kogoś, by powęszył na temat UNACO w rozmaitych agencjach wywiadowczych. Potrzebuję tylko pieniędzy.



–Weź, ile chcesz, z funduszu na opłacanie informatorów. Potem podpiszę papiery. – Pochylił się do przodu i wsparł dłonie na biurku. – Zrób to, Katy. Sporządź naprawdę wystrzałową historię. Liczę, że mnie nie zawiedziesz.

–Nie zawiodę.

–Najgorsze, że nie masz rezerwacji. W czasie świąt trudno o miejsce w samolocie. Uruchomię kilka kontaktów, być może uda mi się coś załatwić.

–Nie ma potrzeby. – Katherine pokazała mu bilet lotniczy. – Wiedziałam, że nie zrezygnujesz z dobrego artykułu, więc już rano pociągnęłam za odpowiednie sznurki.

Ryan uśmiechnął się kwaśno.

–O której masz odlot?

–O jedenastej. Zdążyłam się już spakować.

–Więc co tu jeszcze robisz? – spytał przeciągle i zgasił niedopalek.

–Dzięki, Larry. – Katherine ruszyła do drzwi.

–Katy? – Ryan czekał, aż spojrzała w jego stronę. – Wesołych Świąt.

–Coś mi mówi, że będą naprawdę udane – odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem i zniknęła za drzwiami.

Zadzwieczał telefon. Mike szybko sięgnął po słuchawkę.

–Graham? Tu Hardin.

–Spóźniasz się – warknął Mike, spoglądając na zegarek.

–Chciałem mieć pewność, że nikt za mną nie łązi – padła odpowiedź. – Zdobyłeś forszę?

–Zdobyłem – odparł z irytacją Graham.

–Dobrze. Za pięć minut będę w alejce na tyłach hotelu.

W słuchawce zapadła cisza.

Graham zadzwonił do pokoju Sabriny. Umówili się w foyer. Wepchnął berettę do kabury pod pachą, zarzucił skórzaną kurtkę, zaciągnął suwak, schował pieniądze do kieszeni i windą zjechał do foyer. Sabrina już czekała. Wyszli na zewnątrz hotelu, pod ciemne i zachmurzone niebo. Deszcz wisiał w powietrzu. Ostrożnie wkroczyli w

uliczkę za budynkiem, gdzie jakiś kelner ładował tekturowe pudła do metalowego pojemnika na śmieci, stojącego naprzeciw tylnego wyjścia. Rzucił im podejrzliwe spojrzenie, po czym wrócił do kuchni.

Hardin pojawił się w drugim końcu uliczki. Ręce trzymał głęboko wepchnięte w kieszenie obszernej czarnej kurtki. Rozejrzał się uważnie, po czym podszedł do Grahama.

–Pokaż forszę – powiedział krótko.

Mike pomachał mu przed oczami plikiem banknotów.

–Widziałeś, to teraz spróbuj na nie zarobić.

Hardin wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił.

–Kim w ogóle jesteście? Federalni czy jak?

–Mów, co wiesz, i tyle – niecierpliwie ponaglił go Graham.

Hardin wzruszył ramionami i zaciągnął się dymem.

–W zeszłym tygodniu wpadłem do baru, na zaplecze, by odebrać wypłatę. Najpierw nie mogłem znaleźć Luisa...

–Tego, który był tam dzisiaj? – przerwał mu Graham.

–Tak. Luis Caldere. Właściciel całego interesu. Kawał łobuza, lecz dobrze płaci, więc tkwię tu do tej pory. W pewnej chwili usłyszałem rozmowę dochodzącą z baru. Trochę mnie to zdziwiło, gdyż o tej porze lokal powinien być jeszcze zamknięty. Otwieramy tylko wieczorem, w dni powszednie. Chciałem sprawdzić, kto tam siedzi, i nagle poznałem głos Luisa. O coś się wściekał. Wrzeszczał o jakimś porwaniu. Stałem jak wryty, gdyż nie lubię mu wchodzić w drogę, gdy jest w takim humorze. Potem zerknąłem przez lustro wiszące nad szynkwasm. Tam, z drugiej strony jest szyba i widać wewnątrz lokalu. Zobaczyłem trzech facetów siedzących przy stoliku. Jednym z nich był Luis, a drugim gość ze zdjęcia. Mówił obcym akcentem: pomyślałem, że pewno Niemiec. Twarzy trzeciego nie mogłem dostrzec. Siedział tyłem do mnie, ale sądząc z mowy, był to ktoś z miejscowych.

–Słyszałeś, o czym rozmawiali? – spytała Sabrina.

–Trochę – odparł Hardin. – O porwaniu jakiegoś faceta, tu, w Lizbonie. Miał się nazywać Silver, coś w tym rodzaju. Luis nie chciał się mieszać do przestępstwa, lecz ten z fotografii zgodził się na kierowcę, choć wyczytałem z jego miny, że nie był zbyt zadowolony.

**–Wiesz może, dokąd chcieli zabrać swą ofiarę? – odezwała się Sabrina.**

**Hardin potrząsnął głową.**

**–Powiedziałem już wszystko, co usłyszałem. Musiałem się zbierać, gdyż Luis wstał i podszedł do kontuaru. Nie mam pojęcia, czego szukał, lecz nie czekałem, aż mnie zobaczy. To pewnie ma związek z przedwczorajszym wypadkiem na lotnisku, prawda?**

**–Dlaczego nie poszedłeś na policję, gdy dowiedziałeś się o porwaniu? – spytał Graham, ignorując ostatnie słowa Hardina.**

**–Miałem już z miejscowymi gliniarzami kilka zatargów, od czasu gdy tu przybyłem. Niechętnie się widujemy. A poza tym nic by nie zapłacili za info. Muszę z czegoś żyć, nie?**

**–Nic więcej nie masz do powiedzenia? – spytał Graham.**

**–To mało? Przecież teraz możecie przycisnąć Luisa. Chyba o to chodziło?**

**–A wówczas stracisz pracę – podejrzliwie stwierdziła Sabrina. – Dobrze płatną pracę.**

**Hardin lekceważąco wzruszył ramionami.**

**–Siedzę tu od ośmiu miesięcy. Czas zmienić klimat. – W kącikach warg igrał mu lekki uśmiech. – Za tego patola będę mógł odfrunąć do Stanów.**

**–Możesz coś dodać na temat Luisa? – Graham wyciągnął rękę w jego stronę.**

**Kardin wziął pieniądze i zaczął je liczyć.**

**–Żonaty, dwóch synów. Obaj równie paskudni jak tatuś. Twierdzi, że był kiedyś żołnierzem. Ot i wszystko, co mam do powiedzenia. Nie kolegowaliśmy się po pracy. – Poklepał się po kieszeni, do której schował banknoty, a potem wycelował palec w Grahama. – I nie próbuj mnie ciągnąć na świadka do sądu. Przyszedłem tu tylko po to, żeby wam nadać właściwy kierunek i zgarnąć nieco szmalu na pokrycie wydatków. Resztę musicie działać sami. Dla mnie nie było żadnej rozmowy. Chyba się rozumiemy. Wesołych Świąt.**

**–Nie miał krzty pojęcia, że przyszło mu grać w pierwszej lidze – z niesmakiem odezwał się Graham po jego odejściu.**

**–Dzięki temu nie podbił ceny – powiedziała Sabrina.**

**–Wolałbym, żeby wziął więcej. Przynajmniej zyskałbym pewność, że nie mam do**

czynienia z jakimś cholernym amatorem. Tacy są najgroźniejsi: chcą rozmawiać z każdym, kto płaci.

–Inacio mógłby go przymknąć – zaproponowała Sabrina.

–Nie, jeśli nie chcemy wystraszyć Luisa – odparł Graham. Wziął ją pod rękę i poszli w stronę hotelu.

Na chodnik zaczęły kapać pierwsze krople deszczu.

–Co robimy? – spytała Sabrina, gdy znaleźli się w foyer.

–Nic. Przynajmniej do czasu, aż sprawdzimy Luisa. Jeśli Hardin nie kłamał, może nas doprowadzić do porywaczy. – Wskazał na windę. – Chodź. Chcę porozmawiać z Inaciem i zerknąć do kartoteki pana Luisa Calderego.

–Czego się dowiedziałeś o tym człowieku? – spytał Philpott, gdy Graham skończył składać telefoniczne sprawozdanie z wydarzeń minionego dnia.

–Odsłużył piętnaście lat w portugalskich siłach zbrojnych i jest weteranem walk kolonialnych w Angoli i Mozambiku. Trzy lata temu odszedł z piechoty morskiej i kupił bar. Żonaty, z dwojgiem dzieci, mieszka w centrum.

–Więc nie ma żadnych powiązań z Jannocem lub Legią Cudzoziemską? – upewniał się Philpott.

–Inacio nic o tym nie wie, sir – odparł Graham. – Mamy przystąpić do bardziej zdecydowanych działań?

–Nie, to by tylko zmniejszyło szansę odnalezienia dokumentów. Podejrzewam, że ów Caldere jest mało znaczącym pionkiem w całej rozgrywce. Na pewno nie wie o wielu istotnych szczegółach. Najlepiej wziąć go pod obserwację. Może was doprowadzi do Bergera, a może do innych porywaczy. Wtedy zaczniecie akcję.

–Będziemy musieli skorzystać z pomocy Inacia – kwaśno powiedział Graham.

–Wiem, że niełatwo z nim współpracować, Mike, lecz to cholernie dobry fachowiec – przypomniał mu Philpott. – Możesz go prosić o cokolwiek, twardo stoi po waszej stronie.

–Tak jest – odparł Graham. – Są wieści o Siergieju?

–Wciąż w stanie śpiączki. Dzwoniłem do szpitala, by powiadomiono was natychmiast, gdy zajdą jakieś zmiany w jego stanie. W ten sposób będziecie mogli w porę dotrzeć na miejsce.

**–Zdołał już pan ustalić źródło przecieku?**

**–Ograniczyłem dochodzenie do pięciu osób. Prezesów departamentu – wyjaśnił Philpott. – Tylko oni mogli coś wiedzieć o konferencji, choć wciąż nie mogę uwierzyć, by któryś z nich dopuścił się zdrady.**

**–A jednak informacja wyszła na zewnątrz – stwierdził Graham.**

**–Zostaw mnie to zmartwienie. Zatelefonuj do majora Inacia i powiedz, że bar oraz dom Calderego mają się znaleźć pod dwudziestoczterogodzinną obserwacją. Z zachowaniem pełnej dyskrecji. Jak dotąd jedynie Caldere może nas naprowadzić na trop porywaczy. Nie wolno go wystraszyć.**

**–Zaraz się tym zajmę – zapewnił Graham.**

**–Bądź ze mną w kontakcie, Mike – powiedział Philpott i odłożył słuchawkę.**

**Międzynarodowy port lotniczy Marignane, obsługujący Marsylię, leży dwadzieścia pięć kilometrów na północ od miasta. Whitlock przyleciał wczesnym rankiem i podjechał autobusem do głównego dworca kolejowego, Gare St-Charles, gdzie wyjął ze skrytki na bagaż czekającą na niego walizkę. W jej wnętrzu znalazł spłowiałe dzinsy, sweter, parę znoszonych butów i płaszcz z grubego tweedu. Rust był zdania, że taki strój przyda autentyczności wizerunkowi Franka Royce'a. Whitlock przebrał się w męskiej toalecie, a walizkę z własnym ubraniem wstawił z powrotem do schowka. W samolocie dokładnie przestudiował plan miasta, więc wiedział, gdzie Mensel i Ronnet będą chcieli przechwycić samochód wiozący córkę Jannoca z przyjęcia. Opuszczona zagroda na peryferiach. Po namyśle doszedł do wniosku, że nie może skorzystać z taksówki, gdyż prawdziwy Frank Royce był w chwili śmierci niemal bez pensa przy duszy. Wsiadł więc do autobusu, by dojechać do pętli. Resztę drogi zamierzał odbyć piechotą.**

**Dochodziło już wpół do siódmej, gdy dotarł na farmę. Uważnie rozejrzał się po okolicy, a potem poczłapał czterdzieści metrów błotnistym podjazdem, wiodącym do frontowego wejścia. Skrzywił się słysząc przenikliwy zgrzyt drzwi, po czym podszedł do wybitego okna, wychodzącego na drogę. Zgodnie ze słowami Rusta, Mensel i Ronnet mieli parkować na podjeździe w oczekiwaniu, aż złociste BMW 850i Jannoca pojawi się w pobliżu zagrody. Znakomite miejsce na zasadzkę, osłonięte od strony szosy rzędem sękatych dębów. W kuchni Whitlock znalazł stare, przerdzewiałe cynowe wiadro, postawił je dnem do góry przy oknie w salonie, usiadł i zaczął czekać na przybycie Mensela i Ronneta.**

**Minęła godzina. Zimny wiatr hulał na zewnątrz budynku i z wyciem wpadał przez okna z potłuczonymi szybami. Whitlock porządnie zmarzł mimo grubego płaszcza. Zapiął się aż pod szyję i wcisnął ręce głęboko w kieszenie, żeby zachować choć**

nieco ciepła. Niezły sposób na świętowanie Wigilii! Carmen wraz z matką siedziały pewnie teraz przed telewizorem i popijały *egg-nog*, a z kuchni unosił się smakowity zapach pieczonego indyka. Whitlock zaklął pod nosem. Skup się na pracy, chłopie. Lecz kilka minut później znów był myślami przy Carmen. Nie potrafił o niej zapomnieć od chwili wyjazdu z Nowego Jorku. Carmen i dziecko. Poczucie winy stawało się coraz dokuczliwsze i niczym uporczywa migrena pulsowało mu w głowie. Był zły, gdyż w gruncie rzeczy nie miał się czego wstydzić. Niezwykle mocno czuł się związany z UNACO i nie mógł opuścić organizacji w chwili największego zagrożenia...

Z zadumy wyrwał go warkot silnika. Ostrożnie wyjrzał przez okno. Na podjazd wtaczał się właśnie czarny mercedes. Whitlock cofnął głowę, nim samochód dotarł do budynku. Przez krótką, straszną chwilę miał wrażenie, że porywacze zaparkują tuż przed domem, lecz mercedes zatoczył łuk i odjechał. Zatrzymał się kilka metrów od bramy. Silnik umilkł, zgasły reflektory. Od strony pasażera wysiadł mężczyzna, którego Whitlock rozpoznał jako Pierre'a Mensela. Spod czapki z daszkiem opadały mu na ramiona długie, czarne, zmierzwione włosy. Drugi, Ronnet, podał mu przez otwarte drzwi zapalonego papierosa. Mensel zgarnął coś jeszcze z deski rozdzielczej. Whitlock początkowo nie wiedział, co to było, lecz kiedy Mensel przypiął ów przedmiot do pasa, domyślił się, że chodzi o krótkofalówkę. Aaaa... więc w ten sposób chcieli zamknąć pułapkę. Mensel miał zająć pozycję przy szosie i powiadomić Ronneta o nadjeżdżającym BMW. Co będzie, jeśli zignorują polecenia Rusta i zdecydują się na podjęcie akcji bliżej miasta? – przemknęło przez głowę Whitlockowi. Po głębszym namyśle uznał, że to niemożliwe. Ronnet i Mensel nie znali Marsylii – było to jednym z głównych powodów, że zostali wybrani przez Rusta – a poza tym, jak wynikało z ich kartoteki, nie mieli dość sprytu ani rozumu, by obmyślić własny plan porwania. Należeli do psów gończych, nie myśliwych.

Whitlock zaczekał, aż Mensel odejdzie, po czym wypełził z budynku i pod osłoną zarośli przysunął się na jakieś piętnaście metrów od mercedesa. Przykucnął za drzewem i spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Siódma czterdzieści pięć. Postawił kołnierz płaszcza, obrócił się plecami do wiatru i zamarł w oczekiwaniu.

Minęło kolejne dwadzieścia minut, nim mercedes z głośnym kasznięciem powrócił do życia. Whitlock czujnie podniósł się z miejsca. Samochód z wyłączonymi światłami powoli ruszył do przodu, podjechał do bramy i stanął. Chwilę później na pustej szosie błysnęły reflektory innego pojazdu, zmierzającego w stronę farmy. Ronnet wciąż czekał. Na co? – zastanawiał się Whitlock. Znał szczegóły planu: mercedes miał zablokować drogę i zmusić ochroniarza małej Jannoc do zahamowania lub zjechania na pobocze. Warkot silnika rozbrzmiewał coraz głośniej, nadjeżdżający samochód był coraz bliżej miejsca, gdzie czarny smukły mercedes zamarł w bezruchu niczym lampart śledzący zdobycz. Whitlock dostrzegł za drzewami metaliczny błysk karoserii złocistego BMW 850i. W tej samej chwili domyślił się, co zamierza zrobić Ronnet.

**BMW było zaledwie kilka metrów od bramy, gdy Ronnet wcisnął pedał przyśpieszenia i mercedes strzelił jak z procy, taranując niczego nie podejrzewającą ofiarę. Siła uderzenia była tak duża, że samochód Jannoca obrócił się dookoła i stanął tyłem do dawnego kierunku jazdy. Drzwi od strony kierowcy zostały całkiem zniszczone. Ochroniarz zwiślał w pasach bezpieczeństwa, oparty głową o kierownicę, z twarzą zalaną krwią ściekającą z rany nad okiem. Siedząca z tyłu Mathilde Jannoc szamotała się jeszcze z zamkiem od pasa, gdy Mensel wsunął rękę przez rozbite okienko i zwolnił blokadę drzwi. Odpiął pasy, wyciągnął dziewczynkę na zewnątrz i wrzeszcząc poniósł w stronę mercedesa.**

**Whitlock przystąpił do akcji już w chwili zderzenia. Wyskoczył zza krzewów. Gdy dopadł wrót farmy, Ronnet akurat otwierał drzwi samochodu, by wpuścić Mensela. Obaj byli odwrócenii plecami. Mensel wepchnął dziewczynkę na tylne siedzenie, lecz kiedy próbował usiąść przy niej, podrapała mu twarz paznokciami. Whitlock usłyszał jęk bólu. Mathilde rzuciła się do ucieczki, ale Ronnet zdążył ją chwycić za ramię. W tym samym momencie Mensel zobaczył Whitlocka i krzyknął ostrzegawczo. Spóźnił się. C.W. wpadł na niego całym ciężarem ciała i obaj runęli na ziemię. Pięść porywacza musnęła nos Whitlocka. Mensel przeturlał się, kopnął niemal na oślep i ponownie trafił, tym razem w żebra. C.W. przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Nim zdążył się pozbierać, Mensel stał już nad nim i wyjmował z kieszeni pistolet. Nie zdołał strzelić, gdyż Whitlock podciął mu nogi. Ciężko zatoczył się na samochód, a C.W. skorzystał z okazji i skrył się za BMW. Porywacz otarł krew z policzka i chwiejnie ruszył przed siebie.**

**–Zostaw go! – ze złością zawołał Ronnet. – Musimy się zbierać, nim jeszcze ktoś nadjedzie!**

**–Może nas sypanąć – odparł Mensel, nie odwracając głowy.**

**–Wsiadaj do wozu i zajmij się gówniarą! – warknął Ronnet, wciąż szamoczący się z dziewczynką.**

**Mensel zaklął wściekle, po czym wskoczył do mercedesa i usiadł obok Mathilde. Samochód odjechał w stronę miasta.**

**Whitlock bezskutecznie próbował otworzyć drzwi BMW, wygięte i zakleszczone wskutek zderzenia. Zaczekał, aż mercedes się nieco oddali, przebiegł na drugą stronę i wsiadł od tyłu. Uwolnił z pasów nieprzytomnego mężczyznę i bezceremonialnie przepchnął go na fotel pasażera. Ochroniarz miał pod pachą automatycznego siga P225. Whitlock odebrał mu broń, wsunął ją do kieszeni, wgramolił się za kierownicę i zaciskając zęby ze zdenerwowania, sięgnął w stronę stacyjki. Cała robota na nic, jeśli silnik uległ uszkodzeniu, pomyślał. Nigdy nie dogonię mercedesa. Szarpnął dźwignią rozrusznika i odetchnął z ulgą. Samochód był mu posłuszny. Wcisnął pedał do dechy i pognał za porywaczami. Bał się, że zdołają**

dojechać do przedmieścia Marsylii, nim ich dogoni. Nie chciał dopuścić do strzelaniny w gęsto zaludnionej dzielnicy, zwłaszcza w Wigilię. Co prawda z mapy wynikało, że stara droga ciągnie się kilka ładnych kilometrów, a potem przechodzi w szosę A50, prowadzącą prosto do centrum miasta. Przy odrobinie szczęścia mógł zdążyć...

Mimo pogruchotanej karoserii BMW spisywało się bez zarzutu, prowadzone doświadczoną ręką Whitlocka. Po niecałej minucie w świetle reflektorów zamajaczyła sylwetka mercedesa. Odległość stawała się coraz mniejsza, Whitlock mógł już rozróżnić postacie Mensela i Ronneta, lecz wciąż nie widział dziewczynki. Ogłuszyli ją, żeby mieć spokój? Nie miał czasu na dalsze rozmyślenia, gdyż Mensel wychylił się przez tylne okno i strzelił. Whitlock odruchowo pochylił głowę, lecz pocisk i tak przeleciał daleko od samochodu. Okna BMW były prawdopodobnie zabezpieczone kuloodpornymi szybami, lecz nie zamierzał sprawdzać, czy tak jest w istocie. Zaczekał, aż Mensel ponownie wychylił głowę, po czym gwałtownie wcisnął pedał przyśpieszenia, zmienił światła na długie i huknął zderzakiem w tył mercedesa. Mensel poleciał do przodu i uderzył głową o ramę okna. Whitlock natychmiast zjechał na drugą stronę szosy, lecz gdy zaczął wyprzedzać, Ronnet wycelował pistolet w jego stronę. C.W. szarpnął kierownicą. BMW stuknęło bokiem o mercedesa i Francuz musiał odrzucić broń, by utrzymać właściwy kierunek jazdy. Whitlock skorzystał z okazji i trzykrotnie strzelił w najbliższą oponę. Trafił raz, lecz to wystarczyło, by mimo rozpaczliwych wysiłków Ronneta mercedes natychmiast odskoczył na pobocze. Przeorał pas ziemi i stanął jak wryty kilka metrów od kępy drzew. Whitlock wdusił hamulec, obrócił BMW o sto osiemdziesiąt stopni, skierował reflektory na unieruchomionych przeciwników i zdążył wyskoczyć na zewnątrz, nim pierwsze pociski załomotały w karoserię.

Ostrożnie wyjrzał zza samochodu. Ronnet z zakrwawioną twarzą leżał na kierownicy. Przednia szyba była stłuczona, więc prawdopodobnie uderzył w nią głową w momencie hamowania. Mensel zniknął, pewnie krył się za mercedesem. Co z dziewczynką? C.W. wciąż nie mógł jej dostrzec. Jeśli coś jej się stało...

Kolejna kula stuknęła w blachę. Whitlock padł na brzuch i popatrzył pod samochodem, w nadziei że zobaczy nogi Mensela. Nic nie widział. Nagle jakiś ruch przykuł jego uwagę. Porywacz próbował prześliznąć się na drugą stronę. Whitlock oblizał spieczone usta, chwycił pistolet w obie dłonie i pociągnął za spust. Mensel wrzasnął z bólu, gdy pocisk przebił mu kostkę. C.W. zerwał się z ziemi i biegiem pokonał kilka metrów dzielących go od mercedesa. Przykucnął za bagażnikiem i mocniej zacisnął palce na kolbie. Zerknął za winkiel. Mensel kulił się, jedną ręką trzymając za pokrwawioną nogę, a w drugiej ściskając pistolet.

–Rzuć broń! – po francusku krzyknął Whitlock.

Mensel obrócił się jak fryga, lecz nim zdążył wypalić, Whitlock strzelił mu



dwukrotnie w pierś. Porywacz rąbnął plecami o karoserię, a potem osunął się na ziemię. Whitlock ostrożnie podszedł do niego i wziął go za puls. Nie wyczuł. Odrzucił broń Mensela w trawę, po czym otworzył tylne drzwi mercedesa. Mathilde Jannoc siedziała ze związanymi rękami wciśnięta między fotele. Usta miała zalepione kawałkiem plastra. Spoglądała przed siebie szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami, a po policzkach płynęły jej łzy. Whitlock uśmiechnął się łagodnie i miał zamiar wyciągnąć ją z samochodu, gdy naraz usłyszał odległy łoskot nadlatującego śmigłowca. Po chwili maszyna pojawiła się w polu widzenia. Whitlock ze strachem spojrzął na napis *Police* widniejący na jej kadłubie. Ostre światło reflektora przemknęło po ziemi i zatrzymało się na mercedesie. Whitlock zmrużył oczy i popatrzył w górę, lecz nic nie widział poza kręgiem blasku.

–Odrzuć broń i odejdz z rękami w górze od samochodu – zaskrzeczał głośnik zawieszony pod brzuchem helikoptera.

Skąd się tu wzięli? Kto ich powiadomił? Whitlock wiedział, że na pytania przyjdzie czas później. Nie próbował uciekać, choć w kilku skokach mógł dotrzeć do BMW. Musiał uwolnić Mathilde Jannoc, choć zdawał sobie sprawę, że dziewczynka nie pójdzie z nim dobrowolnie. Z drugiej strony, jego aresztowanie mogło narazić na szwank całą operację. Jak miał się spotkać z Emile'em Jannokiem, gdyby trafił za kratki? Misternie opracowany plan okazał się niewart funta kłaków.

–Powiedziałem: rzuć broń i odejdz z rękami w górze od samochodu – ponownie dobiegło z głośnika.

Katherine Warren jako jedna z pierwszych opuściła pokład boeinga 747, który wylądował na lizbońskim lotnisku Portela. Po odprawie celnej zabrała walizkę i weszła do zatłoczonej hali przylotów. Niemal od razu zauważyła Eda Millera. Jak zwykle wyróżniał się z tłumu; nikt inny nie miał tak błyszczącej łysiny, krzykliwej marynarki i cienkiego cygara, sterczącego z kącika ust. Znali się dłużej, niż mogła spa pamiętać.

–Jak minął lot? – spytał, całując ją lekko w policzek.

–Nudnie – odpowiedziała. – Znalazłeś mi jakiś pokój?

–Pomyślałem sobie, że skoro mamy pracować w różnych dziwnych godzinach, będzie najlepiej, jeśli zatrzymasz się u mnie – oświadczył Miller. – Przygotowałem ci przytulne gniazdko.

–Cudownie – odparła. – A co z naszymi „podopiecznymi”?

–Ostatnio byli mocno zajęci. – Opowiedział jej o wizycie Sabriny i Mike’a w barze Luisa i o spotkaniu z Hardinem na tyłach hotelu.

–Udało ci się podsłuchać, o czym mówili? – spytała Katherine, gdy wsiedli do samochodu.

–Nie chciałem ryzykować. Bałem się, że mnie zauważą – wyjaśnił Miller i z przygnębieniem wzruszył ramionami. – Musiałem użyć nie lada sprytu, by nie odkryli, iż są śledzeni. To zawodowcy.

–Jesteś pewien, że niczego nie podejrzewają? – zapytała.

–Tak – zdecydowanie odparł Miller.

–Czego się dowiedziałeś o tym Hardinie?

–Tylko tego, że jest Amerykaninem. Jeździ po Europie i chwyta się różnych zajęć, żeby zarobić na życie.

–Powinniśmy z nim porozmawiać – stwierdziła.

–Tak się składa, że dziś wieczór urządzają w barze wigilijne przyjęcie. – Miller wskazał na ulotkę leżącą przy przedniej szybie. – Jeśli zdążymy przed dziesiątą, będziemy mogli wejść za darmo.

Katherine spojrzała na zegarek.

–Mam dość czasu, by przebrać się w lepszą sukienkę.

Miller z uśmiechem włączył starter i skierował samochód na ulicę.

Katherine, ubrana w czarną obcisłą sukienkę, ściągała na siebie zachwycone spojrzenia mężczyzn kręcących się przed barem. Olbrzymi bramkarz o posturze kulturysty niechętnie odwrócił wzrok od jej smukłych nóg, przesłoniętych cienką siatką pończoch, odebrał ulotkę z rąk Millera i otworzył szklane drzwi, wiodące do wnętrza lokalu.

Katherine spokojnie rozejrzała się po barze. Tandetne dekoracje bez wątpienia odzwierciedlały gusta turystów. Latem musiało tu być tłoczno. W rogu, na parkiecie, kręciło się kilkoro gości w średnim wieku, podrygujących w takt monotonnej muzyki disco, rodem wprost z lat siedemdziesiątych.

Miller wziął ją za rękę.

–Czego się napijesz?

–Pozwól, że ja zamówię drinki – odparła. – Będę miała okazję pogawędzić z naszym przyjacielem. Przypuszczam, że to ten z kolczykiem, o wypłowiałych włosach?

Miller już wcześniej opisał jej Hardina oraz Luisa, więc teraz tylko skinął głową.

–Znajdę jakiś stolik.

–Byle jak najdalej od tańczących – mruknęła Katherine i z wyraźnym niesmakiem zmarszczyła nos, gdyż z głośników popłynęły dźwięki kolejnej odkurzonej melodii. – Na co masz ochotę?

–Na wino. Z miejscowej piwnicy. To jedyna dobra rzecz, jaką mają do zaoferowania.

Katherine odczekała chwilę, aż Hardin skończył rozmowę z jakimś klientem, po czym podeszła do kontuaru. Drugi z barmanów – przypuszczalnie Caldere – wyłonił się z zaplecza i zrobił kilka kroków w jej stronę, lecz Amerykanin był szybszy. Ze zwycięskim uśmiechem stanął przed dziennikarką. Caldere rzucił mu posępne spojrzenie i pocłapał do innych gości.

–Czym mogę służyć? – spytał Hardin, pochylając się w stronę Katherine.

–Jesteś z Los Angeles, zgadłam? – Wycelowała w niego palcem.

–Tak, skąd wiesz?

–Poznałam po akcencie. Mój były mąż też pochodził z L.A.

**–Jasne. – Hardin pokiwał głową. – A ty skąd jesteś?**

**–Z Nowego Jorku. Urodzona i wychowana.**

**–Naprawdę? – Hardin wyjął spod kontuaru plaketkę podobną do tej, którą miał przypiętą do kamizelki: na białym tle widniała bladoniebieska sylwetka kobiety. Wyciągnął rękę do Katherine. – Proszę. Tutejsza pamiątka. Możesz ją zabrać do Nowego Jorku.**

**–Dzięki – odpowiedziała, mocując ją sobie do sukni.**

**–A przy okazji, nazywam się Ricky Hardin.**

**–Katherine Warren – odparła. Uścisnęli sobie dłonie.**

**–Ten tam, to twój chłopak? – Hardin popatrzył na Millera.**

**–Nie, raczej partner w interesach – powiedziała. – Ale polecał mi wasze wino.**

**–Zna się na rzeczy – mruknął z uśmiechem Hardin. – Dwa kieliszki?**

**Katherine skinęła głową.**

**–I jeden dla ciebie.**

**–Dzięki. – Barman powrócił chwilę później i postawił przed nią na kontuarze dwa napełnione winem kieliszki. – Jeśli dziś wieczór nie masz nic do roboty, moglibyśmy się gdzieś spotkać. Co o tym sądzisz?**

**–Ekstrapomysł – odparła. – Może opowiesz mi o Amerykanach, których spotkałeś na tyłach hotelu Altis.**

**Hardin przestał się uśmiechać.**

**–Nie wiem, o czym mówisz – wybąkał.**

**–Bez obaw, nie jestem gliną – uspokoiła go szybko, po czym podała mu wyjętą z torebki wizytówkę. – Prawdę mówiąc, krótka pogawędka ze mną może być dla ciebie dość opłacalna.**

**–Dziennikarka? – podejrzliwie spytał Hardin.**

**–Tak masz tu napisane. I co ty na to?**

**–Dlaczego chcesz wiedzieć...**

**–Nieważne – ucieła krótko. – Ile ci zapłacili?**

**–Dwa patyki – odparł, próbując podbić stawkę.**

**–Dostaniesz cztery, gdy słowo w słowo powtórzysz, o czym rozmawialiście. Lecz jeśli później się dowiem, że usiłowałeś mnie wykiwać, mój kumpel zrobi wszystko, by ci utrudnić życie w Portugalii. No jak, panie Hardin, umowa stoi?**

**–Jasne – rzekł barman, po czym rzucił szybkie spojrzenie na Luisa zajętego w drugim końcu baru. – Tu nie możemy rozmawiać. Znasz Lizbonę?**

**–Gdzie mam przyjść? – spytała bez wahania.**

**–Czekaj przy stacji Santa Apolonia. To niedaleko.**

**–O której?**

**Hardin popatrzył na zegarek.**

**–Zamykamy po pierwszej. Dla pewności umówmy się o wpół do trzeciej. I przynieś forszę.**

**–Na pewno – odpowiedziała Katherine. Położyła na ladzie kilka banknotów. – Na zdrowie.**

**Hardin zerkał za nią, gdy szła do stolika. Zaczął uprzątać puste kieliszki. Nagle usłyszał terkot telefonu. Wystawił aparat spod kontuaru i podniósł słuchawkę.**

**–Caldere?**

**–Nie, zaraz go zawołam – odparł po portugalsku Hardin, zakrył słuchawkę dłonią i krzyknął na Luisa.**

**Caldere podszedł, przytknął palec do drugiego ucha, gdyż muzyka jęczała coraz głośniejsze, i z wykrzywioną twarzą usiłował zrozumieć, co do niego mówią. W końcu odłożył słuchawkę i schował telefon pod ladę.**

**–Zostaw, skończę za ciebie – warknął do Hardina, który ponownie zajął się uprzątnięciem szklanek i kieliszków. – Trochę się poluźniło. Wynieś śmieci.**

**Hardin wszedł na zaplecze, gdzie pod ścianą czekały trzy mocno wypchane plastikowe worki. Otworzył drzwi, dźwignął niewdzięczne brzemie i wyszedł na zewnątrz. Wiatr przewiewał mu cienką nylonową koszulę, więc szybko podbiegł do najbliższego pojemnika i cisnął worki do środka. Zamknął pokrywę i chciał wracać do baru, gdy nagle z cienia wynurzyła się jakaś postać. Twarz obcego była częściowo ukryta pod rondem czarnego kapelusza, lecz kiedy podszedł bliżej, padło na niego**

światło znad wejścia do budynku. Hardin nie wiedział, z kim ma do czynienia. Zauważył duży ciemny siniak na prawym policzku intruza. Mężczyzna powoli wyjął ręce z kieszeni. Nosił rękawiczki. W prawej dłoni trzymał automatycznego walthera z nałożonym tłumikiem. Hardin chciał uciekać. Drzwi baru były odległe o zaledwie parę metrów, lecz on nie mógł się ruszyć. Nogi miał jak z ołowiu. Próbował coś powiedzieć, lecz strach ścisnął mu gardło. Obcy, z nieporuszoną twarzą, uniósł pistolet i strzelił Amerykaninowi dwa razy wprost w serce.

Odkręcił tłumik i schował walthera do kabury zawieszanej pod pachą. Kiedy odwrócił się, by odejść, zobaczył, że drogę blokuje mu bramkarz. Po raz pierwszy skrzywił wargi w lekkim uśmiechu. Rozprostował palce i ruszył w stronę groźnej postaci, stojącej u wylotu zaułka. Bramkarz skoczył na niego, zaatakował silnym ciosem w głowę, lecz obcy z łatwością sparował uderzenie i wbił łokieć w żebra przeciwnika. Olbrzym jęknął z bólu i zgiał się w pół. Z trudem próbował unieść głowę. Otrzymał silny cios w skroń i padł nieprzytomny. Obcy zatarł dłonie, wyszedł z zaułka i wszedł do czekającego opodal forda escorta.

Inacio zatelefonował do Grahama chwilę po tym, gdy się dowiedział o zamordowaniu Hardina. Czekał przy wejściu do zaułka.

–Profesjonalna robota – powiedział do Mike’a i Sabriny. Ekipa dochodzeniowa przeczesywała uliczkę w poszukiwaniu śladów. – Dwie kule prosto w serce. Śmierć na miejscu.

–Pańscy obserwatorzy nic nie zauważyli? – spytał Graham.

Inacio pokręcił głową.

–Nie. Siedzieli wówczas w samochodzie zaparkowanym w drugim końcu ulicy.

–A co z bramkarzem? – nie ustępował Mike. – Nie może podać rysopisu mordercy?

–Już to zrobił, lecz opis jest, delikatnie mówiąc, bardzo pobieżny – odparł Inacio. – Twierdzi, że było ciemno i że facet nosił kapelusz z szerokim rondem, nisko nasunięty na czoło.

–Może to Caldere? – podsunął Graham.

–Miał motyw, gdyż wiedział, że Hardin rozmawiał wcześniej z wami – zgodził się major. – Lecz są świadkowie, którzy przez cały czas widzieli go w barze. Poza tym zabójca odjechał czerwonym fordem escortem.

–Numer rejestracyjny? – spytała Sabrina.

–Tablice miał zaklejone plastrem.

**–Zatem zostaje nam Berger lub ktoś inny z bandy, która uprowadziła Silvermana – podsumował Graham. – Być może Hardin wiedział coś więcej, niż chciał powiedzieć.**

**–Możliwe – zgodził się major. – Rozesłałem już listy gończe za Bergerem, lecz w dalszym ciągu uważam, że najprędzej dopadniemy go przez Luisa. Zgodnie z waszą prośbą, Caldere został objęty całodobową obserwacją. Zawsze istnieje możliwość, że będzie próbował nawiązać kontakt z Bergerem. A wtedy aresztujemy ich obu.**

**–Proszę nie robić niczego bez porozumienia z nami – wtrącił Graham.**

**–Moi ludzie muszą działać szybko – rzekł Inacio. – Mogą nie mieć dość czasu na nawiązanie kontaktu.**

**–Niech wezmą na wstrzymanie – poradził mu Graham. – W końcu tu chodzi o nasze głowy. Nie wolno wam podejmować żadnych samowolnych działań. Wyrażam się jasno?**

**Inacio gniewnie zagryzł wargę, lecz wiedział, że nie ma sensu się kłócić. Otrzymał wyraźne rozkazy, by służyć agentom UNACO wszelką możliwą pomocą.**

**–Tak jest – przytaknął, po czym pod byle pretekstem odszedł w głąb zaułka.**

**–Uspokój się, Mike – powiedziała Sabrina, gdy major znalazł się poza zasięgiem głosu. – Niczego nie osiągniemy, jeśli będziesz go drażnił. To jego rejon i jego ludzie. Lepiej, by stał po naszej stronie.**

**–Masz rację – mruknął Graham, niezupełnie przekonany. Wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu. – Wracamy. Tu już i tak nie ma nic do roboty.**

**–Miejmy nadzieję, że C.W. działał coś więcej w Marsylii – odpowiedziała.**

**Wsiedli do auta i pojechali w stronę hotelu.**

**Whitlock od czterech godzin siedział w policyjnym areszcie. Z przygnębieniem przycupnął na brzegu pryczy. Wiedział, że bez pomocy Rusta lub Philpotta ma raczej niewielkie szansę odzyskania wolności, nawet za kaucją. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, iż każda próba nawiązania kontaktu z UNACO równałaby się zdemaskowaniu jego prawdziwej tożsamości. Początkowo pocieszał się nadzieją, że powodowany uczuciem wdzięczności Jannoc uruchomi swoje kontakty, lecz z każdą upływającą minutą i ta możliwość stawała się coraz mniejsza. Nie był tym specjalnie zdziwiony. Nie wątpił, że gangster ma swoich informatorów w szeregach policji i już dawno otrzymał szczegółowy opis wypadków oraz zeznanie złożone przez Whitlocka po przybyciu na posterunek. C.W. spędził niemal dwie godziny w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu, gdzie dwaj detektywi zasypywali go gradem pytań – oczywiście po francusku – i próbowali znaleźć jakąś lukę w jego**

odpowiedziach. Nie dał się zrobić. Przedstawił dokładny opis porwania i ani słowem nie zdradził, kim jest naprawdę. Z przydzielonego adwokata nie miał żadnego pożytku, gdyż facet się wściekał, że kazano mu pracować w wigilijny wieczór. W końcu Whitlockowi pozwolono wrócić do celi. Choć tu mógł zaznać nieco spokoju i zebrać myśli w oczekiwaniu, aż detektywi znów go zapędzą na przesłuchanie...

Nie słyszał, że ktoś się zbliża, gdyż jakiś pijak, zamknięty w sąsiednim pomieszczeniu, od pół godziny urządzał dzikie wrzaski. Podniósł głowę dopiero na zgrzyt klucza w zamku. W progu stanął umundurowany policjant, lecz Whitlock przeniósł wzrok na towarzyszącego mu cywila. Był to mężczyzna po czterdziestce, wysoki na metr osiemdziesiąt, o suchej, ogorzałej skórze i twarzy naznaczonej poszarpaną szramą, ciągnącą się od ust do podbródka. Skinął głową policjantowi i wszedł do celi. Strażnik stanął na korytarzu, plecami do wnętrza pomieszczenia.

–Frank Royce? – spytał przybysz.

–Zgadza się – rzekł Whitlock, wstając z pryczy. – A pan kto?

–*Parlez-vous français?*

–Z trudnością – szczerze odpowiedział Whitlock.

–Nie szkodzi. Będziemy rozmawiać po angielsku. Nazywam się Saisse. Fabien Saisse. Pracuję dla pana Emile’a Jannoca.

Whitlock znał to nazwisko z dokumentów otrzymanych od Rusta. Saisse był kiedyś podoficerem Legii Cudzoziemskiej, a teraz pełnił funkcję zastępcy Jannoca lub – jak to bardziej obrazowo ujął Rust – „osobistego kata”.

–Ojca dziewczynki? – z udawanym zdziwieniem spytał C.W.

Saisse skinął głową.

–Właśnie. *Monsieur* Jannoc prosił, by przekazać panu wyrazy ubolewania, iż tak długo musiał pan przebywać w areszcie, lecz pewne formalności zabrały mu trochę czasu. Pójdzie pan ze mną. *Monsieur* Jannoc chciałby się z panem spotkać.

–Wpłacił za mnie kaucję? – zadał pytanie Whitlock, gdy wyszli z celi.

–To nie było konieczne – odparł Saisse.

–Nie rozumiem – C.W. zmarszczył brwi.

–Policja nie podjęła dochodzenia. To wszystko.

–Co takiego?! – zawołał ze zdumieniem. – Boże, przecież córka Jannoca mogła



**zostać porwana! I gliny nie mają zamiaru nic zrobić w tej sprawie? Przecież to bzdury!**

**–Nie musi pan wiedzieć nic więcej! – warknął Saisse, łypiąc ponuro w jego stronę.**

**Whitlock umilkł, odebrał swoje rzeczy z policyjnego depozytu i wyszedł na ulicę. Saisse podprowadził go do białego BMW, zaparkowanego przed posterunkiem. Nic dziwnego, że Jannoc z łatwością zatuszował sprawę. Z kartoteki przechowywanej w Centrum Dowodzenia UNACO wynikało, że ma od lat ustalone kontakty z wieloma politykami i przedstawicielami lokalnej administracji. Łapówki i szantaż robiły swoje, z goryczą pomyślał Whitlock. Wiedział, że Rust dopilnuje, by po szczęśliwym zakończeniu operacji francuskie władze przeprowadziły śledztwo w sprawie wszelkich uchybień prawnych. To dawało mu pewną pociechę.**

**–Słyszałem, że był pan żołnierzem? – odezwał się Saisse, przerywając milczenie.**

**–Tak.**

**–Najemnikiem?**

**–Czasami.**

**–Gdzie pan walczył?**

**–Etiopia, Sudan, Czad... Praktycznie wszędzie, gdzie zaszła potrzeba.**

**–A co pan robi w Marsylii? – Saisse spojrział na odbicie Whitlocka we wstecznym lusterku.**

**–Szukałem jakiegoś transportu do Afryki. Wydałem całą forszę na podróż z Londynu. Dlatego też wyglądam jak łajza. Chryste, od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem.**

**–Jak chciał pan bez pieniędzy dostać się do Afryki? Whitlock się domyślał, że Saisse poddaje go próbie. Trudniejsze pytania pewnie zada później.**

**–Myślałem, że złapię pracę na statku idącym w rejs wzdłuż północnoafrykańskiego wybrzeża. Robiłem to już przedtem. O tej porze roku marynarze zazwyczaj piją, bądź trafiają do pudła. W pierwszy dzień świąt chciałem przejść się po dokach i zobaczyć, komu brakuje załogi. Długo bym nie musiał szukać.**

**–To prawda – odparł Saisse z miną sugerującą, iż w przeszłości też korzystał z podobnych okazji. Zrezygnował z pustej uprzejmości i spytał wprost: – Skąd się wzięłeś na farmie? Od lat stoi pusta.**

–Gdy byłem tam ostatnio, tętniła życiem. W rzeczywistości przypominała małą gospodę. Nieźle się zdziwiłem, gdy zobaczyłem ją w ruinie. Co się stało z *Madame Noiret*?

Saisse znów rzucił mu szybkie spojrzenie.

–Zmarła. Dwa lata temu.

–Przykro słyszeć. Lubiałem ją. Czego nie mogę powiedzieć o kotach. Musiała ich mieć chyba ze trzydzieści. Same znajdy.

–Pamiętam – mruknął Saisse z lekceważącym ruchem dłoni. – Jak długo tam siedziałeś?

–Przyjechałem rano. Mówiłem już, że brak mi forsy, więc pomyślałem: tam, do diabła, pobiwakuję do świąt w pustej chacie. Taki miałem pomysł... a potem zaczęła się rozróżba.

Saisse poprosił go, by jeszcze raz opisał swój udział w wieczornych wypadkach. Whitlock zamruczał z niechęcią, że ma już dość gadania w kółko o tym samym, lecz w końcu spełnił życzenie Francuza. Saisse przerywał mu czasem jakimś pytaniem o ten i ów szczegół, ale poza tym słuchał w milczeniu. Cierpliwie czekał, aż Whitlock dociągnie swą opowieść do końca, tak że nim dotarli, do miejsca przeznaczenia, miał już wyrobiony pogląd na całą sprawę.

„Le Boudin” należał do najpopularniejszych nocnych klubów Marsylii. Pobudowany na nadbrzeżu Vieux Port, błyszczał rzeświście oświetloną fasadą, co mimo mroku pozwalało zobaczyć długi rząd smukłych jachtów kołyszących się lekko na wodach przystani. Saisse wprowadził samochód na parking należący do klubu.

–To własność Jannoca?

–*Monsieur* Jannoc posiada w mieście kilka klubów, nie tylko „Le Boudin” – odparł Saisse i używając małego nadajnika, otworzył boczne drzwi wiodące do budynku.

–„Le Boudin”? – powtórzył Whitlock. – To chyba tytuł marsza Legii Cudzoziemskiej? Jest jakiś związek?

–*Monsieur* Jannoc był oficerem *Légion Etrangère* - wyjaśnił Saisse. Popchnął Whitlocka do środka i zamknął drzwi. – Wciąż utrzymuje ścisłe kontakty z Legią. Dobiera swych pracowników wyłącznie z dawnych legionistów i często zaprasza do siebie oficerów z biura werbunkowego Bas-Fort Saint-Nicholas, mieszczącego się tu, w Marsylii.

–Więc ty także służyłeś w Legii?

–Jako *sergent w Police Militaire*.

–Słyszałem o was. Przede wszystkim łapiecie dezertarów, prawda?

Saisse stanął na szczycie schodów.

–Żołnierze *Légion Etrangère* dopuszczają się wielu zbrodni. Najpoważniejszą z nich jest dezercja. Dostałem nie jada zaszczytu, że zostałem wybrany, by ścigać przestępców i doprowadzać ich za mury *citadelle* przed trybunał sądu wojennego.

–Wszystko zależy od punktu widzenia.

–Ty tego nie zrozumiesz, Royce. Jesteś tylko najemnikiem. Czekasz wyłącznie na forszę. Dla mnie prawdziwą ojczyzną jest *la Legion*.

–To dlaczego w dalszym ciągu nie ścigasz po Afryce tak zwanych tchórzy? – spytał Whitlock. Bez zmrużenia oka wytrzymał zimne spojrzenie Francuza.

–Nie twój interes! – wściekle warknął Saisse.

C.W. świetnie rozumiał jego niechęć do głębszych zwierzeń. Z dokumentów Rusta wyczytał, że sierżant Saisse spędził trzy lata w wojskowym więzieniu, gdyż zatłukł łopatą na śmierć schwytanego dezertera. Po zwolnieniu został zdegradowany i usunięty z szeregów Legii.

Podeszli do drzwi na końcu korytarza. Za nimi była przepięknie urządzona łazienka, w której nie brakło nawet basenu i *jacuzzi*.

–Możesz się tu wykąpać. Potem zostaniesz przyjęty przez pana Jannoca. Przyślę ci świeże ubranie. Gdy będziesz gotów, naciśnij dzwonek przy umywalce; ktoś ze służby zaprowadzi cię do gabinetu.

–Czuję się nieco przytłoczony tą gościnnością – odparł Whitlock z lekkim sarkazmem, lecz zaraz dodał poważnie: – Naprawdę potrzebuję kąpieli.

–Jesteś głodny?

–Jak cholera – mruknął C.W.

–Podeślę ci coś na ząb razem z... – Saisse urwał gwałtownie na widok człowieka, który pojawił po drugiej stronie korytarza.

Whitlock zamarł ze zdziwienia. Niemal od razu rozpoznał wysokiego mężczyznę, kroczącego w ich stronę dumnym, sprężystym krokiem. Pułkownik Nikołaj Zlotin, ponoć największy kolekcjoner orderów i odznaczeń w dziejach radzieckich sił specjalnych. Za swą prawdziwą matkę uważał Specjalnoje Naznaczenije, czyli

specnaz. Każdy agent UNACO znał jego życiorys. Wielu wręcz uważało go za wzór do naśladowania. Z danych zawartych w komputerze wynikało, że był czterdziestotrzyletnim Ukraińcem, lecz poprzetykane siwizną ciemnoblonde włosy i mocno porwana bruzdami, ogorzała twarz nadawały mu bardziej dystyngowany wygląd, niż można to było wywnioskować ze zdjęć przechowywanych w Centrum Dowodzenia UNACO w Nowym Jorku.

–Musimy porozmawiać – burknął do Saisse’a po francusku. Płynnie władał ośmioma językami.

Saisse spojrzał na Whitlocka.

–Mam parę spraw do załatwienia – wyjaśnił, po czym odprowadził Zlotina do windy.

C.W. zamknął za nimi drzwi łazienki i przysiadł na brzegu basenu. Nie ulegało wątpliwości, że Saisse znał Zlotina, gdyż w przeciwnym wypadku zareagowałby całkiem inaczej na jego widok. Lecz czy Zlotin był zamieszany w porwanie Silvermana? Czy był jednym z trzech zamaskowanych mężczyzn na lotnisku? A jeśli tak, dlaczego współdziałał z takim gangsterem jak Jannoc? Wypełniał tajną misję specnazu? Może działał na własną rękę? Czy Jannoc i Saisse w ogóle wiedzieli, że Zlotin jest pułkownikiem w radzieckich siłach specjalnych?

Whitlock przetarł twarz dłońmi. Nagle pojawiło się mnóstwo pytań domagających się szybkiej odpowiedzi. Postanowił, że skontaktuje się z Rustem dopiero po spotkaniu z Jannocem. Przed złożeniem raportu chciał poznać jak najwięcej szczegółów. Położył płaszcz na krześle stojącym w kącie łazienki, po czym odkręcił kran z gorącą wodą. Musiał mieć chwilę czasu, by zebrać myśli.

–Co tu robisz? – syknął Saisse, zamykając za sobą drzwi prywatnego gabinetu Jannoca.

–Wyjaśnię to twemu szefowi, gdy go zobaczę – posępnie odparł Zlotin.

–*Monsieur Jannoc wie, że jesteś?*

–Do tej pory go nie widziałem. Jeden z bramkarzy miał mu powiedzieć, że przyszedłem – odrzekł Zlotin i z wolna skierował się w stronę sześciu płócien, namalowanych w stylu ekspresjonizmu abstrakcyjnego, które wisiały w równych odległościach od siebie na trzech ścianach pokoju. Na czwartej, za antycznym orzechowym biurkiem, było ukryte obustronne lustro, w tej chwili zasłonięte żaluzjami. Zlotin stanął przed najbliższym obrazem i przez chwilę usiłował z niego coś odczytać. Cokolwiek. W końcu ze smutkiem potrząsnął głową.

Nigdy nie widział nic ciekawego w abstrakcyjnej plątaniu linii i kleksów, rzucanych na płótno jakby pod wpływem kaprysu artysty. Nie uważał tego za sztukę. –

**Prawdziwe?**

**–Bez wątpienia – burknął Saisse.**

**–Więc sprzedaż heroiny małodatom ma także dobre strony.**

**–Na twoim miejscu bardziej bym uważał na słowa – wycedził Saisse, celując palcem w Zlotina.**

**Do gabinetu wszedł Emile Jannoc. Był niskim, grubawym mężczyzną, dobiegającym pięćdziesiątki, o czarnych włosach gładko szesanych z ospowatej twarzy i zawiązanych z tyłu głowy w krótki kucyk. Nosił smoking i czarną muszkę. Podszedł do biurka, siadł na obrotowym krześle i zapalił papierosa.**

**–Mówiłem ci, żebyś tu nie przychodził. Dlaczego lekceważysz moje rozkazy?**

**–Silverman nie żyje – krótko oświadczył Zlotin.**

**–Nie żyje? – z niedowierzaniem powtórzył Jannoc. – Co się stało?**

**–Dostał ataku serca podczas próby ucieczki. Nawiasem mówiąc, prawie mu się udało.**

**–Dlaczego nie siedział w celi? – ze złością spytał gangster.**

**–Siedział, kiedy wychodziliśmy. Berger miał go pilnować pod naszą nieobecność. Silverman zwabił go do siebie, ogłuszył i uciekł. Po powrocie znaleźliśmy Bergera za kratkami.**

**–Gdzie jest teraz? – zapytał Jannoc.**

**–Nie żyje – lekceważąco odparł Zlotin. – Zabiłem go, gdy opowiedział o wszystkim, co zaszło. Nie znoszę tego typu niekompetencji u moich podwładnych.**

**–On nie był twoim podwładnym, draniu! – warknął Saisse, groźnie ruszając w jego stronę. – Należał do nas. Najlepszy, jakiego miałem, dlatego przeznaczyłem go do tej akcji. Dostawał rozkazy ode mnie, nie od ciebie!**

**–Jeśli on był najlepszy, to znak, że wasza organizacja tkwi po uszy w kłopotach – kpiąco stwierdził Zlotin.**

**–Zaraz zobaczysz...**

**–Siadaj, Fabien! – uciął Jannoc.**

**Saisse rzucił Zlotinowi wściekłe spojrzenie, po czym posłusznie wrócił na swoje**

miejsce.

–Czy Silverman zdążył przed śmiercią rozszyfrować jakiś dokument? – spytał Jannoc.

–Nie.

–Więc wróciliśmy do punktu wyjścia. – Gangster huknął pięścią w blat biurka. – Nigdy nie poznam prawdy o śmierci brata! Cała operacja okazała się zwykłą stratą czasu i pieniędzy.

–Przeciwnie – odezwał się Zlotin. – Już w czasie naszego pierwszego spotkania opracowałem plan na wypadek podobnej okoliczności. Nie widzę powodów, by nie zadziałał.

Jannoc zgasił niedopałek, siadł sztywno i oparł dłonie na biurku.

–Słucham.

–Jak pewnie wicie, przed wyjazdem do Izraela Silverman przez kilka lat wykładał na Sorbonie. Przez jego ręce przeszło wielu znakomitych studentów. Dwaj z nich, Günter Auerbach i Alain Fisier, stali się najlepszymi specjalistami w swych dziedzinach. Mówi się, że już dawno dorównali mistrzowi. Doktor Auerbach prowadzi zajęcia z kryptologii na uniwersytecie w Lipsku, a profesor Fisier czyni dokładnie to samo na Sorbonie. Moim zdaniem, są jedynymi ludźmi na świecie, zdolnymi złamać szyfr Silvermana.

–I proponujesz, by odczytali dokumenty UNACO? – spytał Jannoc.

–Na pewno będą potrzebowali zachęty. Auerbach jest wdowcem, lecz ma kilkunastoletnią córkę. Fisier jest żonaty. Mam niezachwianą pewność, że zgodzą się nam pomóc, gdy zatrzymamy obie kobiety jako zakładniczki.

Jannoc z podnieceniem oblizał usta.

–To mogłoby naprawdę zadziałać. Wiesz, gdzie w tej chwili są Auerbach i Fisier?

–Jeszcze nie, lecz informacja może nadejść w każdej chwili.

–Złamanie szyfru zajmie im kilka tygodni – wtrącił Saisse. – Nie mamy tyle czasu. UNACO wysłała dwójkę agentów do Lizbony. Byli już w barze Calderego...

–Tylko dlatego, że Berger zostawił w karetkce pudełko zapalek ze swymi odciskami palców – ostro przerwał mu Zlotin. – Bez obaw, damy im ścisły termin na odczytanie papierów i nie pozostawimy cienia wątpliwości, co będzie, jeśli zaczną się spóźniać.

**–Do roboty – zdecydował Jannoc. – Tym razem chcę widzieć jakieś rezultaty.**

**–Tym razem je dostaniesz – zapewnił go Zlotin.**

**–Co wiesz o agentach UNACO, przysyłanych do Lizbony? – spytał gangster. – Mogą stanowić dla nas jakieś zagrożenie?**

**–Oczywiście, że mogą – stwierdził Zlotin. – To zawodowcy. UNACO zatrudnia tylko najlepszych. Kobiety nie znam, lecz wiele słyszałem o jej partnerze, Mike’u Grahamie. Był w Delcie, w amerykańskiej jednostce antyterrorystycznej. Jest niezły. Uparty i wytrwały. Musimy go dobrze obserwować.**

**–Dlaczego po prostu go nie zabić?**

**–Przysłałiby w zamian kogoś innego – odparł Zlotin. – Lepiej borykać się ze znanym diabłem niż z obcym. Już ja się postaram, by go nie gonił za własnym cieniem. Rzecz jasna, potraktuję go odpowiednio, gdyby nam zaczął zbytnio przeszkadzać.**

**Ktoś zapukał.**

**–Entrez - zawołał Jannoc.**

**Intruz wsunął głowę przez drzwi.**

**–Monsieur Royce czeka w przedpokoju. Twierdzi, że miał się z panem spotkać.**

**Saisse przepaszająco uniósł rękę.**

**–Miałem pana uprzedzić, że sprowadziłem Royce’a z posterunku policji, lecz zapomniałem o wszystkim na widok Zlotina. Bardzo mi przykro.**

**–Poproś pana Royce’a, by jeszcze chwilę zaczekał. Zaraz go przyjmę.**

**Drzwi zamknęły się cicho.**

**–Kto to jest Royce? – zaciekawiał się Zlotin.**

**Jannoc powiedział mu o próbie porwania małej Mathilde, a Saisse streścił pokrótce monolog, którego wysłuchał, wioząc Whitlocka do „Le Boudin”.**

**–Co o nim myślisz? – spytał Jannoc, gdy opowieść dobiegła końca.**

**–Sam nie wiem... – mruknął Saisse. – Wydaje mi się trochę naciągane, że był na farmie akurat wówczas, gdy nastąpiła próba uprowadzenia. Oczywiście mogę się mylić.**

Jannoc z namysłem skinął głową, po czym poprosił Saisse'a, by wpuścił Whitlocka do gabinetu. Gdy C.W. pojawił się w proggu, Jannoc natychmiast zerwał się z biurka. Serdecznie potrząsnął dłonią Kenijczyka.

–Cieszę się, że w końcu mogliśmy się spotkać, panie Royce – powiedział po angielsku. – Nie wiem, jak panu dziękować za pomoc. Jestem pańskim dozgonnym dłużnikiem.

Saisse smutno potrząsnął głową i wrócił na krzesło. Mógł się domyślić już wcześniej, że Jannoc nie będzie miał żadnych podejrzeń wobec Royce'a. Widział jedynie faceta, który uratował mu maleńką kochaną córeczkę z rąk dwóch ohydnych bandziorów, i to wszystko. Mathilde bez wątpienia była achillesową piętą starego gangstera. Owinęła go wokół palca. Doprowadzała nawet do tego, że kłócił się z żoną. Saisse nieraz widział sińce na ładnej twarzy Brigitte. Przybywało ich zwłaszcza wówczas, gdy ośmielała się krytykować córkę. Zdaniem Saisse'a, mała Mathilde mogła się nieźle przyczynić do upadku Jannoca. Mogła go zniszczyć. Eks-legionista nie miał zamiaru czekać, aż to nastąpi.

–Myślę, że zdołaliśmy wyrównać rachunki w chwili, gdy zechciał pan wyciągnąć mnie z mamra – odparł Whitlock z przelotnym uśmiechem. – Wciąż nie wiem, jak się panu udało skłonić gliniarzy do zaniechania śledztwa. Musi pan mieć nieźle układy w tym mieście.

–Po prostu skorzystałem z uprzejmości kilku urzędników – rzekł Jannoc z pobłażliwym wzruszeniem ramion. – Uchodzę w Marsylii za dobrego biznesmena i wszyscy rozumieją, że wolałbym uniknąć tego rodzaju wątpiwej popularności. To mogłoby podsunąć innym głupie pomysły, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi...

Whitlock rozumiał bez trudu. Gdyby Mathilde została porwana, Jannoc musiałby spełnić żądania kidnaperów, a przez to stałby się bezbronny wobec innych przestępców, szczególnie gdy wieść o uprowadzeniu dostałaby się na łamy prasy. Otwarty sezon dla konkurencji...

Jannoc wyjął z szuflady biurka paszport Whitlocka i oddał go właścicielowi.

–Może pan w każdej chwili opuścić granice kraju.

–Co się stanie z ocalałym porywaczem? – spytał C.W., chowając dokument do kieszeni.

–Otrzyma należną karę, jak tylko opuści szpital. Dopilnuję tego. – Jannoc klasnął w dłonie. – Lecz to nie powinno pana martwić. Czego się napijemy?

–Jeśli jest, prosiłbym o bourbona – odparł Whitlock. Dobrze pamiętał ulubione trunki Royce'a.



Jannoc nalał mu podwójną porcję.

–Fabien wspominał, że był pan najemnikiem. Nigdy nie trafił pan do Legii Cudzoziemskiej?

–Nie, lecz podczas pobytu w Afryce poznałem kilku legionistów – odpowiedział Whitlock.

–W jakiej części Afryki pan walczył? – spytał Zlotin. Mówił po angielsku równie dobrze jak po francusku.

–To mój partner w interesach – pośpiesznie wyjaśnił Jannoc. Wskazał na Zlotina, lecz nie wymienił nazwiska.

–Spędziłem rok w Czadzie. Potem zrobiłem kilka wypadów do Sudanu. Byłem w akcji w Etiopii i w Somalii. Praktycznie wszędzie, gdzie w ciągu ostatnich dwunastu lat toczyła się jakaś wojna.

–Obieżyświat z pana – zauważył Zlotin.

–Chyba tak – zgodził się Whitlock. – Znam się tylko na tym. Dlatego chcę wrócić do Afryki. Myślałem, że w Marsylii zamustruję na jakiś frachtowiec. Zawsze szukają załóg po świętach.

–Ja się tym zajmę – powiedział Jannoc. – Dopilnuję, by trafił pan do Afryki.

–To byłaby ekstrapomoc – mruknął Whitlock.

–Chętnie bym zrobił dla pana coś więcej – oświadczył gangster. Położył mu dłoń na ramieniu i odprowadził do drzwi. – To oczywiste, że będzie pan moim gościem do dnia wyjazdu. Tuż obok urządzam małe przyjęcie. Ot, kilku przyjaciół i współpracowników. Nie zechce pan się przyłączyć? Zaraz tam zejść. Fabien wskaże panu drogę.

Zaczekał, aż obaj mężczyźni wyszli, a potem odchylił rolety zasłaniające lustro. Za szklaną taflą pojawił się widok zatłoczonej sali balowej. Saisse i Whitlock zeszli po schodach do baru. Jannoc spojrzał na Zlotina.

–Jak ci się spodobał ów Royce?

–Zbyttnio mu się nie przyglądałem – odparł Ukrainiec. – Dlaczego pytasz?

–Potrzebujemy kogoś za Bergera.

–I to ma być właśnie Royce? – ze zdziwieniem spytał Zlotin. – Przecież jest z zewnątrz.

–Jest jednak profesjonalistą. Jeśli otrzyma odpowiednią zapłatę, bez zbędnych pytań zrobi wszystko, co mu każemy.

–Zbytne ryzyko.

–Nie, gdyż po zakończeniu operacji możemy go po prostu usunąć. W ten sposób unikniemy późniejszych komplikacji.

–Nic o nim nie wiemy.

–Obaj mamy wystarczająco wiele kontaktów, by do rana otrzymać pełne dossier. – Jannoc usiadł za biurkiem. – Do tej pory tylko Berger i Saisse wiedzieli o akcji na lotnisku w Lizbonie. Saisse jest moim zastępcą. Potrzebuję go tutaj. Royce, w odróżnieniu od niego, nie ma pojęcia o tamtej operacji, więc jeśli zniknie po rozszyfrowaniu dokumentów, nikt nie będzie wnosił pretensji. Myślę, że warto spróbować.

Zlotin zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową na zgodę.

–Dobrze. Dam polecenie jednemu z pracowników specnazu, by go przewentylował. Jeśli wszystko zagra i facet będzie mógł dowieść, że naprawdę nazywa się Royce, dam mu zajęcie.

–A jeśli nie? – spytał Jannoc.

–To go zabiję. Tak czy owak pan Royce jest trupem.

Malcolm Philpott siedział z ponurą twarzą na tylnym fotelu mercedesa, który powoli przebijał się przez tłum innych pojazdów, wypełniających wczesnym wieczorem ulice Nowego Jorku. W odróżnieniu od rozgorączkowanych przechodniów, do ostatniej chwili poszukujących jakiegoś wspaniałego prezentu, szef UNACO nie myślał o Gwiazdce. Ostatnie dziesięć godzin spędził w biurze, porządkując zebrane w ciągu dwóch dni informacje o wszelkich możliwościach przecieku w zarządzie organizacji. Rano dysponował pięcioma nazwiskami. Po południu okroił listę do dwóch, a przed wieczorem już znał tożsamość zdrajcy, czekał jedynie na faks potwierdzający jego najgorsze obawy. Dopiero wówczas mógł przystąpić do działania...

Wciąż czekał, gdy dostał telefoniczną wiadomość od Rusta, dotyczącą najnowszego raportu Whitlocka. Obaj chcieli wiedzieć, co w towarzystwie marsylskiego gangstera robił najbardziej udekorowany agent specnazu, Nikołaj Zlotin. Być może uczestniczył w jakiejś tajnej misji, obliczonej przez twardogłowych politykierów na zdyskredytowanie zasług UNACO? Philpott także brał pod uwagę takie rozwiązanie, choć w gruncie rzeczy wydawało się mało prawdopodobne. A jeśli Zlotin po prostu wypiął się na Rosję, zniechęcony upadkiem narodu uznawanego niegdyś za światowe supermocarstwo? Jakkolwiek było, Philpott potrzebował odpowiedzi i znał

kogoś, kto mógł mu udzielić potrzebnych informacji.

Mercedes skręcił w Zachodnią Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Kierowca nie mógł znaleźć wolnego miejsca do zaparkowania, więc stanął po prostu przy krawężniku naprzeciw „Russian Tea Room”, wysiadł i otworzył tylne drzwi, by wypuścić Philpotta.

–To nie potrwa długo – powiedział szef UNACO. – Zaczekaj tutaj.

–Tak jest. – Szofer zasalutował.

Philpott wszedł do restauracji. Od razu pojawił się przy nim usłużny *maitre d'hôtel*.

–Dobry wieczór panu. Czy mogę w czymś pomóc?

–Owszem. Szukam ambasadora Żorewa – odparł Philpott. – Mam nadzieję, że jest na sali.

–Tak, proszę pana. Był pan proszony na kolację?

–Nie, lecz muszę niezwłocznie z nim porozmawiać. Proszę mu powiedzieć, że przyszedł pułkownik Philpott.

–Ambasador wydaje niewielkie przyjęcie...

–Proszę go powiadomić, że chcę z nim mówić – padła krótka odpowiedź.

*Maitre* skłonił się sztywno i zniknął za wewnętrznymi drzwiami. Po chwili wrócił w towarzystwie niskiego, grubego mężczyzny po pięćdziesiątce. Anatolij Żorew, zażarty przeciwnik dawnego komunizmu, od siedmiu miesięcy pełnił funkcję ambasadora Rosji w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Odczekał, aż *maitre* odejdzie na pewną odległość i dopiero wówczas zaczął rozmowę z Philpottem.

–Jakieś kłopoty, Malcolmie?

–Można to tak określić. Musimy porozmawiać.

–Wybrałeś niezbyt dobry moment – powiedział Żorew. – Dziś wieczór podejmuję grupę przyjaciół.

–Nie wyciągałbym cię z przyjęcia, gdybym nie miał ku temu ważnych powodów.

–Dobrze. O co chodzi? – W głosie Rosjanina zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

–Nie tutaj. – Philpott potoczył wzrokiem wokoło. – Na zewnątrz czeka samochód. Tam będzie o wiele spokojniej. Chyba że wolisz przy ludziach pogadać o Nikołaju

**Zlotinie.**

**Żorew zbladł jak ściana, nerwowo przełknął ślinę i wykonał nieokreślony ruch ręką w stronę drzwi.**

**–Przepraszę gości i zaraz wyjdę – powiedział cicho. – Poczekaj.**

**Po chwili wrócił i obaj opuścili restaurację. Szofer otworzył drzwi samochodu, poczekał, aż wsiądą, po czym zajął miejsce za kierownicą i spojrzał na Philpotta.**

**–Jedź wokół budynku – polecił mu pułkownik. Podniósł dźwiękoszczelną szybę, oddzielającą tył wozu od miejsca kierowcy.**

**–Pierwszy raz widzę cię tak roztrzęsionego, Anatoliju. Lepiej mi powiedz, co się dzieje.**

**Żorew oblizwał spieczone usta i spojrzał na swoje dłonie kurczowo zaciśnięte na kolanach.**

**–Czy Zlotin wmieszał się w jakąś akcję podjętą przez UNACO? – spytał cicho, nie patrząc na Philpotta.**

**–Tak – stwierdził pułkownik. – Ale to wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Ściśle tajne.**

**–Wiedziałem, że dojdzie do najgorszego – ze złością syknął Rosjanin. – Mówiłem im, lecz nie chcieli mnie słuchać. Przeciwnie, usiłowali wszystko ukryć.**

**–Nie rozumiem ani słowa, Anatoliju! – wybuchnął Philpott. – Kto i co chciał ukryć?**

**–Pozwolisz? – Żorew wyciągnął rękę w stronę niewielkiego barku, wbudowanego w oparcie przedniego fotela.**

**–Oczywiście – Philpott machinalnie skinął dłonią, wskazując na mahoniową szafkę.**

**Żorew wlał sobie solidną porcję whisky i wypił ją jednym haustem.**

**–Spotkałeś kiedyś Zlotina?**

**–Nie.**

**–Znam go dość dobrze. Wierz mi, ani przez chwilę nie szukałem jego towarzystwa, lecz tak się złożyło, że objął dowództwo garnizonu Kalinin, w czasie gdy ja tam pełniłem funkcję burmistrza. Pojawił się kilka dni po wyborach. Rzecz jasna, od samego początku dzieliła nas zasadnicza różnica poglądów. Zlotin pochodził z Ukrainy, lecz zawsze i wszędzie uważał się za Rosjanina. Nigdy za Ukraińca. Wierzył,**

że państwo powinno stanowić nierozdzielalną jedność, a nie federację autonomicznych republik. Był dumny z tego, że jest komunistą. Czczył Stalina jak boga i z wyraźną pogardą mówił o takich, jak Gorbaczow czy Jelcyn. Teraz już masz pewne pojęcie, co to za człowiek.

–Innymi słowy zaprzedał swój kraj, gdy runęły wszystkie wyznawane przez niego wartości – podsumował Philpott.

–O wiele gorzej – odparł Żorew. – Zlotin stał się zagorzałym przeciwnikiem nowej polityki Gorbaczowa. Był jednym z wielu oficerów, którym nie podobały się słowa *glasnost*, *pierestrojka* i *diemokratizacja*. Mimo to Gorbaczow nie widział wówczas konieczności, by poczynić stanowcze kroki przeciw wojskowym „jastrzębiom”. Jak wiesz, wszystko stało się na głowie, gdy wiceprezydent Rosji, Gennadij Janajew, oraz kilku wysoko postawionych konspiratorów – między innymi minister obrony, generał Dmitri Jazow – stanęli na czele nieudanego puczu w sierpniu 1991 roku. Demokratycznie nastawieni członkowie Politbiura odkryli, że Nikołaj Zlotin nie był jedynie szarym pionkiem w tej rozgrywce. Był człowiekiem Jazowa w specnazu. Gdyby Janajew nie ugiął się pod presją światowej opinii publicznej, przebieg wypadków mógłby być całkiem inny. Zlotin dawał wyraźnie do zrozumienia, że jego oddziały pójdą wszędzie, gdzie im rozkaże, nawet na ulice Moskwy i Sankt-Petersburga, zatłoczone demonstrantami nawołującymi za demokracją. Na szczęście wystraszony Janajew nie zwrócił się do niego o pomoc. Nim Zlotin zdążył się zorientować, że pucz słabnie, do Moskwy i Sankt-Petersburga weszły wojska lojalne wobec Gorbaczowa. Zlotin i jego dwaj adiutanci, major Wiktor Rodenko i kapitan Walentin Jemienkow, zostali aresztowani wraz z grupą innych oficerów specnazu, popierających buntowników. Rodenko i Jemienkow, podobnie jak Zlotin, należeli do najczęściej dekorowanych funkcjonariuszy służb specjalnych. Sąd uznał ich za winnych zdrady. Zdegradowani, mieli spędzić dwadzieścia pięć lat w więzieniu. – Żorew wziął głębszy oddech. – Konwój wiozący aresztantów do wojskowego więzienia na przedmieściach Moskwy został zaatakowany przez grupę zamaskowanych bandytów. Żaden z napastników nie wpadł w nasze ręce, więc możemy jedynie podejrzewać, że byli to agenci specnazu. Zlotin, Rodenko i Jemienkow uciekli. Rząd natychmiast zatuszował całą sprawę. Nic nie przedostało się do prasy, a dochodzenie, podjęte przez policję i żandarmerię, objęto ścisłą tajemnicą. Władze liczyły na to, że zdążą schwycić zbiegów, nim któryś z nich przedostanie się na Zachód. Po cichu powiadomiono wszystkie ambasady.

–Po co ta tajemnica, na miłość boską? – spytał Philpott.

–Rząd chciał za wszelką cenę pomniejszyć znaczenie wojska w przygotowaniach do puczu. Gdyby Zachód doszedł do wniosku, że w Rosji trwa konfrontacja pomiędzy politykami i armią, miałyby to fatalny wpływ na przebieg międzynarodowych negocjacji pokojowych.

**–W rzeczywistości chodzi o coś więcej, prawda? – powiedział pułkownik, widząc niepokój na twarzy Żorewa.**

**–Tak – potwierdził ambasador. – Przed paroma dniami z wiarygodnych źródeł otrzymaliśmy niepokojącą informację, że Zlotin planuje kolejną rebelię. Mówił o tym już przed aresztowaniem i zyskał wielu zwolenników wśród radykalnie nastawionych oficerów.**

**–Przecież wasz rząd mógł bez trudu przewidzieć taką sytuację i poczynić odpowiednie kroki, by zażegnać niebezpieczeństwo – odparł Philpott.**

**–Co można działać przeciw bombie nuklearnej, ukrytej gdzieś na terenie kraju? – spytał Żorew i spojrzał pułkownikowi prosto w oczy.**

**–Dobry Boże... – szepnął Philpott z pobladłą twarzą. – Jak można przeszmyglować taki ładunek, nie wzbudzając niczyich podejrzeń?**

**–Nie trzeba podejmować ryzyka. Na rosyjskim czarnym rynku bez trudu można kupić odpowiednią ilość plutonu. – Żorew pokiwał głową na widok przerażonej miny Philpotta. – Przecież przy takiej liczbie bomb i rakiet, rozrzuconych po wszystkich rozbitych częściach kraju, jakaś, choćby niewielka, ilość zapasów broni musiała przedostać się na czarny rynek. Jeśli Zlotin ma pluton, bez żadnych skrupułów dopuści się politycznego szantażu.**

**–Dlaczego nikt nie powiadomił UNACO? – spytał pułkownik.**

**–Gdyż wówczas podobną informację należałoby podać wszystkim agencjom wywiadowczym na świecie, a to w znaczący sposób podważyłoby wiarygodność mojego rządu. Nabraliśmy więc wody w usta. Teraz, gdy Zlotin zaczął łamać prawo poza obszarem Rosji, doszedłem do wniosku, że pora przerwać milczenie. Nie możemy spokojnie czekać na to, co może się stać. Wśród oficerów specnazu są tacy, którzy znają Zlotina lepiej niż którykolwiek z waszych agentów. Powinniśmy chyba połączyć siły. Wiem, że rząd w Moskwie przychylił się do decyzji o podjęciu wspólnej akcji. To dla nas jedyna szansa złapania Zlotina.**

**–Ten pomysł nie wchodzi w rachubę – gniewnie oświadczył Philpott. – Sami damy sobie radę.**

**–Malcolmie, spróbuj raz jeszcze rozważyć...**

**–Anatoliju, trzymaj swych ludzi z daleka od tej sprawy. Jeżeli tego nie zrobisz, powiadomię wszystkie agencje wywiadowcze o naszej dzisiejszej rozmowie. Możesz się wypierać, lecz mam każde twoje słowo nagrane na taśmie. Jeśli uważasz, że blefujesz, możesz spróbować szczęścia.**

**–Opowiedziałem ci o wszystkim w dobrej wierze – ze złością powiedział Żorew.**

**–Opowiedziałeś mi o wszystkim, gdyż zostałeś przyparty do muru. Chwytasz się brzytwy, by nie utonąć. Zawiodłeś mnie, Anatoliju. Gdzie *glasnost!* A może to tylko termin wymyślony dla prasy?**

**–Muszę wypełniać rozkazy – burknął Żorew.**

## ***Boże Narodzenie***

Tego ranka Graham obudził się o szóstej. Nie dlatego, by długo spał poprzedniej nocy. W sąsiednim pokoju odbywało się przyjęcie, ciągnące się do wczesnych godzin porannych. Hałas był taki, że wystarczył, aby obudzić człowieka o tak lekkim śnie. Ale nie złożył skargi. Wiedział, że tak czy owak nie pośpi długo z powodu niepewności związanej z zaginionymi dokumentami UNACO, a także z powodu myśli o Carrie i Mikeyu, nieustannie kłębiących się w jego głowie. Odwróciwszy się na łóżku, sięgnął po fotografię żony i synka. Poprzedniego wieczoru wyjął ją z portfela i ustawił na nocnym stoliku. Ostatnia fotografia, którą im zrobił. Lekko pogłaskał palcem twarz Carrie, a potem uśmiechnął się, patrząc na Mikeya w ulubionym pulowerze nowojorskich Gigantów, z piłką futbolową pod pachą i skierowanym do kamery figlarnym uśmiechem.

–Wesołych Świąt – powiedział cicho, a potem odstawił fotografię na stolik.

Wstał z łóżka, przebrał się w dres i przez czterdzieści pięć minut ćwiczył zgodnie ze swoim codziennym programem. Potem poszedł pod prysznic.

W dwadzieścia minut później, już w dżinsach i pulowerze, zamówił do pokoju śniadanie i egzemplarz „International Herald Tribune”. A potem zwałił się na łóżko, podłożył sobie poduszkę pod plecy i włączył telewizor. Przeskakując z roztargnieniem z kanału na kanał, wybrał wreszcie program z wiadomościami bieżącymi, choć nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiono. Pilota cisnął na łóżko obok siebie.

Rozległo się pukanie. Wyciągnął spod poduszki swą berettę, wsunął ją za pasek dżinsów na plecach, a potem podszedł do drzwi i zerknął przez judasza. Była to Sabrina. Otworzył drzwi i obdarzył ją kwaśnym uśmiechem.

–Wstałaś promienna, i to tak wcześnie. Myślałem, że nigdy nie wynurzasz się na powierzchnię przed ósmą trzydzieści, chyba że pod strasznym przymusem.

–Boże Narodzenie zawsze było wyjątkiem – odparła, wchodząc do pokoju. – Zdaje się, że w głębi duszy wciąż jestem dzieckiem.

–Prawdopodobnie to będzie nie byle jakie Boże Narodzenie – parsknął Graham, zamykając za nią drzwi.

–Powinno takie być – zgodziła się z uśmiechem, a potem lekko pocałowała go w usta. – Wesołych Świąt, Mike.



**–Taa, tobie też – odrzekł, kładąc berettę na nocnym stoliku. – Już zamówiłem coś na śniadanie. Czy chcesz, bym zamówił także dla ciebie?**

**–Oczywiście.**

**Poprosił o przyniesienie do pokoju jeszcze jednego śniadania. Gdy odłożył słuchawkę, stała przed nim Sabrina, z małym, świątecznie opakowanym prezentem w dłoni.**

**–Sabrino, umówiliśmy się, że nie będzie w tym roku żadnych prezentów. Zgodziliśmy się, że zamiast tego damy trochę pieniędzy na UNICEF.**

**–To tylko malutki upominek – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. – Wierz mi, to nic wielkiego. No, otwieraj.**

**Graham rozpaczliwie potrząsnął głową i odwinął papier. Wewnątrz znajdowało się podłużne pudełeczko ze szwajcarskim scyzorykiem oficerskim typu Mauser. W oliwkowozielonej oprawce znajdowało się główne ostrze ze stali nierdzewnej, nóż do skórowania, piła, wkrętak, otwieracz do kapsli i korkociąg.**

**–Zapamiętałam, że powiedziałeś mi w Wirginii, iż zgubiłeś swój szwajcarski scyzoryk wojskowy. A znam cię dość dobrze, by wiedzieć, że postaranie się o nowy zabierze ci wieki. Jest też na nim napis.**

**Obracał scyzoryk w dłoni, aż wreszcie znalazł ów napis: „Dla Mike’a, prawdziwego przyjaciela. Z miłością, Sabrina”.**

**–To wspaniałe, dziękuję – odparł z niezdarnym wzruszeniem ramion, które miało zamaskować jego oczywiste skrępowanie. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.**

**–Postaraj się go nie zgubić.**

**Znów zapukano do drzwi. Mike i Sabrina wymienili podejrzliwe spojrzenia. To nie mogła być obsługa hotelowa, nie tak szybko od chwili zamówienia. Ponownie zatknąwszy berettę za pasek dżinsów na plecach, Graham podszedł do drzwi i popatrzył przez judasza. Cofnął się, zdumiony.**

**–To Jacques! – zawołał i otworzył, by pozwolić Rustowi wtoczyć się do pokoju.**

**–Co ty tu robisz? – zapytała Sabrina, witając Rusta pocałunkiem w policzek. – Nie uprzedzono nas, że przyjeżdżasz.**

**–Czy doprawdy wolelibyście, bym telefonował do was o trzeciej rano po to, by zawiadomić, że jestem w drodze do Lizbony?**

**Rust otworzył dyplomatkę, wyjął z niej dwie koperty i wręczył im po jednej.**

**–Obawiam się, że nie jest to imponujący prezent bożonarodzeniowy.**

**–To Boże Narodzenie też nie jest szczególnie udane – odparła Sabrina, a potem podniosła kopertę do góry. – Co tam jest w środku?**

**–Kopie faksów, które pułkownik przysłał mi wcześniej dzisiejszego ranka. Powiedział, że mam je wam dostarczyć osobiście. Są przeznaczone wyłącznie do waszej wiadomości. Zrozumiecie dlaczego po przeczytaniu.**

**Otworzyli koperty i w milczeniu zapoznali się z treścią. Graham podszedł do okna, a potem odwrócił się i popatrzył na Rusta wzrokiem pełnym troski.**

**–Czy Kreml potwierdził wiadomość od Żorewa?**

**Rust kiwnął głową.**

**–Tak. Pułkownik zeszłej nocy rozmawiał osobiście z prezydentem Rosji. To wszystko prawda.**

**–Więc mamy kłopoty. Wielkie kłopoty.**

**Graham pokiwał głową, a potem usiadł na skraju łóżka.**

**–To koszmarny scenariusz, prawda? Teraz ładunek nuklearny nie będzie znajdował się w rękach jakiejś tam grupy terrorystycznej. Mówimy o jednym z najprzebieglejszych i najbłyskotliwszych taktyków, jakich kiedykolwiek wydała rosyjska milicja. We współczesnej Rosji jest on anachronizmem, przeżytkiem z epoki zimnej wojny, ale to właśnie czyni go jeszcze niebezpieczniejszym. Kto, u diabła, twierdził, że patriotyzm jest cnotą?**

**–W okresie gdy służyłeś w Delcie, miałeś okazję doskonale poznać Zlotina, prawda?  
– spytał go Rust.**

**–Taa, gromadzenie informacji o nim jako człowieku i żołnierzu zabrało mi dziesięć lat. Chociaż nie ma większej różnicy między jednym i drugim jego wcieleniem. Wydaje mi się, że właśnie dlatego jest tak dobry. Ale odkryłem jedną szczelinę w jego zbroi. Zlotin jest ideologiem. Całe jego życie to obsesyjna krucjata, podjęta w imię umacniania komunizmu. Lecz ten rozpalony fanatyzm jest jego jedyną słabością. Sprawił, że można przewidzieć jego zamierzenia.**

**–Co wiesz o Rodence i Jemienkowie?**

**–Gdy byłem w Delcie, widziałem kopię orzeczenia psychiatrycznego Rodenki.**

Zostało przeszmyglowane z ich kraju przez oficera specnazu, który stamtąd zdezerterował. Natychmiast po zwerbowaniu Rodenki psychiatra wojskowy zdiagnozował go jako psychotyka. Jakakolwiek inna jednostka sił specjalnych wywaliłaby go natychmiast na podstawie takiego orzeczenia. Ale wygląda na to, że kilku wyższych oficerów specnazu ceniło go bardzo wysoko. Orzeczenia nie ujawniono, a psychiatrę zobowiązano pod przysięgą do dochowania tajemnicy. Z pewnego punktu widzenia ci ludzie oczywiście mieli rację, bo wkrótce Rodenko znalazł się wśród tych, którzy w dziejach jednostki otrzymali najwięcej odznaczeń. Równocześnie, w czasie służby w Afganistanie, był odpowiedzialny za niektóre potworne, nieludzkie okrucieństwa popełniane na kobietach i dzieciach. Nigdy nie otrzymał nagany, tak więc oczywiste jest, że jego przełożeni gotowi byli przymknąć oczy na czarniejszą stronę charakteru Rodenki. Jeśli chodzi o taktykę i strategię, nie dorównuje Zlotinowi, ale na swój sposób jest równie niebezpieczny.

–A Jemienkow? – zainteresowała się Sabrina. Graham pokręcił głową.

–Nigdy o nim nie slyszalem, ale przeciez pułkownik poinformował nas w faksie, że Jemienkow ledwie zbliża się do trzydziestki. Oczywiście jest, że należy do oficerów, którzy wyróżnili się w Afganistanie. Natomiast to, że Zlotin tak wysoko go ceni, pozwala się domyślać, że jest równie niebezpieczny.

–Rosjanie zgodzili się dostarczyć nam szczegółowe dossier wszystkich trzech – powiedział Rust. – A więc gdy tylko je otrzymamy, będziemy mieli wyraźniejszy portret Jemienkova.

–A co sądzisz o wersji, zgodnie z którą Zlotin, gdy tylko sprzeda teczki z dokumentacją, użyje pieniędzy na zakup takiej ilości plutonu do głowic bojowych, że zmusi rząd rosyjski do oddania władzy komunistom? – zwróciła się do Grahama Sabrina.

–Uważam, że to jest bardzo realne – padła odpowiedź.

–Przecież to się nie uda, z pewnością on zdaje sobie z tego sprawę? – zauważył Rust. – Jeśli nawet rząd rosyjski w jakiś sposób ustąpi, naród nigdy się na to nie zgodzi.

–Jacques, w tej sprawie mamy do czynienia z fanatykami – stwierdził Graham. – Zlotin, Rodenko i grupa znajdujących się w Rosji anonimowych komunistów, którzy w rzeczywistości pociągają za sznurki, to fanatycy co do jednego. Wierzą, że wszystko, co robią, jest dobre dla ich kraju i nie cofną się przed niczym, by urzeczywistnić swe plany. Widzieliśmy już takie rzeczy. Japońscy piloci kamikaze podczas drugiej wojny światowej. Terrorysty libańscy w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych. Muzułmańscy szyici w Iranie i Iraku. Wszyscy oni gotowi byli umierać za sprawę. Więc sądzę, że jeśli Zlotinowi i jego towarzyszom uda

się położyć rękę na dostatecznej ilości plutonu nadającego się do zbudowania głowicy nuklearnej, z pewnością nie powstrzymają się i zdetonują ją, gdyby rząd nie podporządkował się ich żądaniom. Z takim właśnie fanatyzmem mamy do czynienia. – Po krótkiej przerwie Graham kontynuował: – Nie przypuszczam, by byli zmuszeni do kupowania odpowiedniego rodzaju plutonu i budowania bomby z podzespołów. Prawdę mówiąc, jestem zdania, że mogą zupełnie łatwo położyć ręce na więcej niż jednej bombie atomowej, pochodzącej ze źródeł wewnątrz kraju.

–Nie rozumiem – wtrąciła Sabrina.

–A ja rozumiem – oświadczył Rust, grożąc Grahamowi palcem. – Masz na myśli to, że teraz, gdy stary Związek Radziecki rozpadł się na mnóstwo mniejszych, niepodległych państw, istnieją zapasy utajonych broni jądrowych, które tylko czekają na to, by wpaść w niepowołane ręce.

–Krażą plotki, że niektóre już wpadły – odrzekł Graham.

–A więc, jeśli komuniści zakupiliby kilka bomb i rozmieścili je strategicznie po kraju, zapewniliby sobie pozycję w ewentualnych negocjacjach z władzami – zauważyła Sabrina.

–Jeśli w ogóle doszłoby do jakichkolwiek negocjacji – zauważył Graham. – Pomyślcie tylko, gdyby raketę jądrową wystrzelono z rozmysłem z terenu, powiedzmy, Gruzji na Rosję, wówczas Rosjanie natychmiast podjęliby działania odwetowe, ale zamiast trafić w Gruzję, ich rakietą wylądowałaby w sąsiedniej Armenii. W tej sytuacji Armenia decyduje się na odwet. W ten sposób może się to toczyć, aż pół tuzina głowic zostanie zdetonowanych w bardzo krótkim czasie w rozmaitych miejscach dawnego terytorium radzieckiego. Ale to nie poszczególne rządy nakażą represje; będą one dokonywane przez grupy rebelianckie, dysponujące bronią jądrową. Wśród ofiar z pewnością znajdą się poszczególni szefowie rządów; rebelianci postarają się o to. A taki stan bez wyjątków doprowadzi do chaosu i dezorientacji w całym kraju.

–Iz popiołów znów powstanie komunizm – wyciągnął wniosek Rust. – To ładny scenariusz, Mike, ale raczej nie-oryginalny. Opracowanie, które wyszło spod pióra oficera KGB, jeśli się nie mylę? Z tą różnicą, że zamiast słowa „komuniści” należy posłużyć się określeniem: „elementy dysydenckie wewnątrz Związku Radzieckiego”. Przypominam sobie, że czytałem coś takiego w czasach, gdy jeszcze należałem do SDECE. Jak zaatakować brzuch Niedźwiedzia od jego wnętrza. Teoretycznie pomysł był dobry, lecz tylko teoretycznie.

–To dlatego, że zetknąłeś się z tym, gdy mieliśmy do czynienia z jednolitym krajem, a nie z terytorium rozbitym na małe państewka, wyklócające się o łupy z podziału. Ale ten scenariusz nie był dziełem oficera KGB. Został napisany dwadzieścia lat temu

przez młodego oficera sił specjalnych podczas egzaminu dyplomowego w Wyższej Szkole Wojsk Spadochronowych imienia Lenińskiego Komsomołu w Riazaniu. Jego nazwisko brzmiało: Nikołaj Zlotin.

–Nie miałem pojęcia, że była to praca Zlotina – zdumiał się Rust.

–A więc, Mike, jeśli tak łatwo przewidzieć, co będzie robił, jak twierdzisz, to również jego zamierzenia mogą być podstawą działania wtedy, gdy główne jądrowe znajdują się na pozycjach – zwróciła się Sabrina do Grahama.

–To zależy od jego wpływu na bezpośrednich przełożonych – odrzekł Mike. – Jeśli pozostawią mu wolną rękę w zakresie prowadzenia operacji militarnych, to możliwe, że odwoła się do swego planu, który, jego zdaniem, się powiedzie. A niestety ten właśnie nadaje się znakomicie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odpowiedziała Sabrina i kelner z obsługi pokoiwniósł do środka dwa śniadania. Sabrina zaproponowała posiłek Rustowi, on jednak odmówił, gdyż jadł podczas lotu z Zurychu, i poprosił jedynie o kawę. Sabrina znalazła zapasową filiżankę i nalała mu.

Gdy tylko kelner opuścił pokój, odezwał się Graham.

–Jeśli Zlotin planuje tę operację od tak dawna, jak chcą nam wmówić Rosjanie, w takim razie jego pierwszym posunięciem powinno być wciągnięcie Jannoca do interesu korzystnego dla nich obu.

–Nasuwa się więc pytanie, w jaki sposób mógł się dowiedzieć, że UNACO była wmieszana w operację, która w końcu doprowadziła do śmierci Christiana Jannoca? – dopowiedziała Sabrina.

–Najdokładniej – przytaknął Graham. – I choć możliwe jest, że mógł wcześniej usłyszeć o planowanej konferencji antyterrorystycznej tutaj, w Lizbonie, skąd mógł wiedzieć, że również UNACO weźmie w niej udział?

–Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – odrzekł Rust po chwili namysłu. – Wiem, że pułkownik wciąż poszukuje kreta wewnątrz naszej organizacji. Jeśli zdemaskuje winnego, to poznamy odpowiedzi na te pytania.

–Być może – odparł bez przekonania Graham.

–Uważasz, że to nie jest prawdopodobne? – spytał Rust.

–Nie o to chodzi, Jacques. Zaniepokoiło mnie coś po przeczytaniu faksu. Szczerze mówiąc, nie kupuję pomysłu o przymierzu między Jannokiem i Zlotinem. To mi po prostu nie brzmi prawdopodobnie.

**–Dalej – przynaglił go Rust, gdy Graham zamilkł.**

**–Nie rozumiem, czemu Zlotin miałby wejść w porozumienie z kimś takim jak Jannoc. Chyba że miałby jeszcze jakiś głębszy motyw, korzystny dla jego sprawy. Dla Zlotina Jannoc i jemu podobni są napiętnowani. Kapitałiści całego świata. A jeśli chodzi o Jannoca, to zalicza go do skorumpowanych kapitalistów. Taki sojusz byłby w moim przekonaniu bardzo krępujący.**

**–Gdyby jednak Jannoc chciał mu hojnie zapłacić za udział w operacji, Zlotin miałby pieniądze na swoją sprawę – sprzeciwił się Rust.**

**–Jacques, interesuje go pluton do głowic jądrowych. Gdyby Zlotin chciał zakupić go w takich ilościach, by mógł zagrozić rządowi rosyjskiemu, musiałby wydać miliony. Ja wątpię w taką hojność Jannoca. A ty?**

**–A więc myślisz, że Zlotin zamierza przechytryć Jannoca i zachować teczki po odszyfrowaniu? – dokończyła myśl Sabrina.**

**–Tylko w ten sposób może odnieść z nich korzyść. Wówczas będzie mógł sprzedać teczki najwięcej oferującemu i możesz być pewna, że nie zabraknie takich, którzy, powodowani zemstą, zechcą zapłacić.**

**–To przekonujący argument – rzekł po namyśle Rust. – Ale w tej chwili jedynym waszym problemem jest odnalezienie tych teczek.**

**–Jesteś wielkim optymistą uważając, że przyskrzynimy tych sukinsynów – orzekł Graham, nalewając sobie następną filiżankę kawy.**

**–Znam konsekwencje chybionej akcji – odparł ponuro Rust.**

**–Uwaga przyjęta – odburknął Graham. Zapadła nagła cisza. Przerwała ją Sabrina pytając:**

**–Czy były jakieś nowiny od C.W.?**

**–Niczego od chwili, gdy poinformował mnie o Zlotinie – powiedział Rust. – Jeśli spróbuje skontaktować się ze mną dziś wieczorem, to zostawiłem wiadomość w Zurychu, by zatelefonował do mnie tutaj, do hotelu. Ale podczas ostatniej rozmowy nie wiedział, kiedy będzie w stanie znów się odezwać.**

**Właśnie zadzwonił telefon. Graham i Sabrina wymienili spojrzenia, oboje myśląc o tym samym. Graham szybko wyciągnął rękę po słuchawkę.**

**–Czy to pan Graham? – zapytał jakiś głos.**

**–Przy telefonie – odrzekł podejrzliwie Graham i potrząsnął głową w stronę Sabriny. Nie był to Whitlock. – Z kim rozmawiam?**

**–Mówi doktor de Sousa. Proszono mnie, bym się z panem skontaktował, gdy tylko pan Kolczyński odzyska przytomność.**

**–Kiedy się ocknął?**

**–Kilka minut temu – poinformował de Sousa.**

**–Już wyruszam – oświadczył Graham.**

**–Rozumie pan, że nie będzie pan mógł długo z nim rozmawiać. Jest jeszcze bardzo słaby. Po przybyciu do szpitala proszę zapytać o mnie. Doktor Eduardo de Sousa.**

**–Dziękuję, doktorze – rzekł Graham, odkładając słuchawkę. Odwrócił się twarzą do pozostałych. – Parę minut temu Siergiej odzyskał przytomność. Już tam jadę.**

**–Ja również – stwierdziła wstając Sabrina.**

**–Jedno z nas musi tu pozostać na wypadek, gdyby coś się wydarzyło – zauważył Graham.**

**–Ja zostanę – zaproponował Rust. – Muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych.**

**–Dziękuję, Jacques – powiedziała Sabrina, podchodząc do drzwi. – Wezmę żakiet z mego pokoju. Mike, spotkamy się w foyer na dole.**

**–Taa – odparł w roztargnieniu Graham, a potem wsunął berettę do kabury i umocował na plecach za paskiem dżinsów.**

**–Przełącz Siergiejowi moje wyrazy współczucia i powiedz mu, że wpadnę do szpitala później, by się z nim zobaczyć – rzekł Rust patrząc, jak Graham naciąga swą skórzaną marynarkę.**

**–Zrobi się – obiecał Graham i zamknął za sobą drzwi.**

**Katherine Warren stłumiła ziewnięcie i nalala sobie kawy z termosu, który leżał obok, na siedzeniu. Dodała jeszcze mleka w proszku, a potem zaklęła pod nosem, zdawszy sobie sprawę, że nie ma w ogóle cukru. Miller go nie używał, a to on przygotował kawę i kanapki poprzedniej nocy. Pociągnęła łyk, zmarszczyła nos, czując gorycz, a potem sięgnęła do plastikowego pojemnika, leżącego na tablicy rozdzielczej, po ostatnią kanapkę. Ugryzła ją.**

**Od dwóch godzin siedziała w samochodzie zaparkowanym naprzeciw hotelu Altis. Z tego miejsca mogła doskonale obserwować zarówno główne wejście do hotelu, jak i**

pochylnię prowadzącą do garażu. Jeśli Graham lub Carver zdecydują się opuścić hotel, zauważą ich. Jedynym jej kłopotem była senność. Nie wiedziała, czy zdoła czuć przez najbliższe trzy godziny, czyli do czasu przyścia Millera, który obiecał ją zmienić. Od przyjazdu do Lizbony udało jej się pospać zaledwie kilka godzin. Teraz zaczęła to odczuwać. Ale nie miała innego wyjścia. Postanowiła zdobyć materiał do swych artykułów...

W dalszym ciągu ogarniała ją wściekłość na myśl o tym, że zeszłego wieczoru, gdy rozmawiała z Hardinem, tak szybko opuścili winiarnię. Lecz, jak to stwierdził Miller, nie mogli w żaden sposób przewidzieć, co się zdarzy w chwilę po ich odejściu. Była to wątpliwa pociecha. Pojechali na spotkanie na stacji Santa Apolonia, ale oczywiście Hardin się nie pojawił. Dopiero kiedy powrócili do winiarni, dowiedzieli się, co się wydarzyło. Gdybyż tylko została tam, by dokończyć drinka. Pewnie byłaby jedyną dziennikarką obecną na scenie morderstwa. Miałyby najświeższe wiadomości i nie musiałyby polegać na Millerze, by uzyskiwać wszystkie istotne informacje z drugiej ręki. Było to absolutnie poniżające. Wiedziała, że zamordowanie Hardina wiązało się w jakiś sposób z reportażem, który przygotowywała na temat Grahama i Carver. Ale czy byli oni zamieszani w ten incydent? Wątpiła w to. Rysopis podany przez odźwiernego nie pasował do Grahama. Bardziej prawdopodobne wydawało się to, że Hardina uciszyli przeciwnicy. Kim byli ci ludzie? Gdyby tylko potrafiła to odkryć, zwiększyłaby wiarygodność swego artykułu. Prawdopodobnie sytuacja okazałaby się skrajnie niebezpieczna, lecz to jedynie wzmagало jej zaufanie do samej siebie. Najlepiej pracowała pod presją, gdy adrenalina pulsowała w jej organizmie. Znała też wartość dyskrecji, bo jeśli mieli do czynienia z UNACO, a teraz była przekonana, że tak właśnie jest, najłżejszy powiew zapachu prasy z pewnością spowoduje, że Graham i Carver znajdą się w pierwszym samolocie powracającym do Stanów. A to oznacza koniec jej reportażu.

Wlała kawę z powrotem do termosu i akurat zakręcała kubeczek, gdy dostrzegła, jak z parkingu wynurza się biały samochód marki Ford Sierra. Prowadził Graham. Obok niego siedziała Sabrina. Katherine odczekała, aż wóz ją minął, a potem, uruchomiwszy silnik, wjechała na jezdnię i, zachowując dyskretną odległość, zaczęła za nim podążać.

Doktor de Sousa spotkał Grahama i Sabrinę w recepcji szpitalnej, a potem zaprowadził do windy i nacisnął guzik trzeciego piętra.

–W jakim stanie jest pan Kolczynski? – zapytał Graham, gdy drzwi kabiny się zamknęły.

–Biorąc pod uwagę to, że zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu stosowaliśmy reanimację, powiedziałbym, że jego stan jest wyjątkowo dobry – odparł de Sousa. – Muszę przyznać, że podczas operacji były takie chwile, gdy myślałem, iż go utracimy. Ale to człowiek, który potrafi walczyć.



**–Taa, tak jest – potwierdził Graham, obdarzając Sabrinę znaczącym uśmiechem.**

**–Jak długo będzie musiał pozostać w szpitalu?**

**–Jest jeszcze zbyt wcześnie, by odpowiedzieć z całą pewnością, ale jeśli nie nastąpi nagłe załamanie, a muszę powiedzieć, że w tej chwili jest to raczej nieprawdopodobne, przewidywałbym, że mniej więcej tydzień.**

**Drzwi się rozsunęły, wysiedli z windy. Dwóch uzbrojonych strażników, siedzących na końcu korytarza, natychmiast ich zatrzymało. De Sousa dotknął palcem identyfikatora na swej białej marynarce. Graham i Sabrina pokazali legitymacje brygady sił specjalnych, które Inacio wydał im, gdy przybyli do Lizbony. Strażnicy usiedli ponownie.**

**–Mogę państwu pozwolić tylko na pięć minut rozmowy z panem Kolczyńskim – uprzedził ich de Sousa. – Jest bardzo słaby. Będziecie mogli pozostać dłużej podczas kolejnej wizyty.**

**–Dziękuję, doktorze – powiedziała Sabrina i weszła za Grahamem do separatki.**

**Kolczyński leżał nieruchomo na łóżku z kroplówką podłączoną do ręki. Twarz miał bladą, oczy zamknięte. Przez niepokojącą chwilę obawiali się oboje, że znów utracił przytomność. Gdy jednak zbliżyli się do nóg łóżka, zamrugał oczami, otworzył je, a w kącikach wyschniętych warg pojawił się słaby uśmiech.**

**Sabrina przysunęła sobie krzesło i łagodnie ujęła dłoń Kolczyńskiego.**

**–Jak się czujesz, Siergieju?**

**–Bywało lepiej – odparł słabym głosem.**

**–Dobrze, że znów jesteś z nami, kumplu – powitał go Graham. – Ale muszę ci powiedzieć, że martwiłeś nas przez ostatnie dni. W pewnym momencie wyglądało, że targujesz się o jednokierunkowy bilet do Walhalli.**

**–Pojadę tam, gdy będę gotów do tej podróży, nie wcześniej, Mike – odrzekł Kolczyński, przenosząc wzrok na Grahama. – Czy mogę dostać trochę wody?**

**Ze stojącego na nocnym stoliku dzbanka Sabrina wlała wody do szklanki i zbliżyła ją do warg chorego. Przełknął mały łyk, a potem drżącą ręką odepchnął szklankę od ust.**

**–Rozpoznałem jednego z ludzi, którzy zaatakowali nas na lotnisku – wyszeptał Kolczyński.**

**–Nikołaja Zlotina? – spytała Sabrina.**

**–Tak – padła pełna zdziwienia odpowiedź. – Złapaliście go?**

**–Jeszcze nie – uciął krótko Graham. Zdecydował, że nie będzie rozwodził się nad tą sprawą. Na to przyjdzie czas później.**

**–Co się stało z Abem?**

**–Został porwany przez Zlotina i jego kolegów – rzekł Graham. – Nie wiemy, gdzie jest przetrzymywany, ale pracujemy nad tym.**

**–A teczki?**

**–Też znikły.**

**–Po co specnazowi te dokumenty? – zapytał Kolczyński.**

**–Siergieju, nie ma czasu, by to teraz wyjaśniać – odezwała się Sabrina. – Obiecuję ci, że przyjdziemy później i opowiemy wszystko.**

**Kolczyński nagle ścisnął dłoń Sabriny.**

**–Musicie odnaleźć Abego. To chory człowiek. Pod naciskiem nie wytrzyma długo.**

**–Znajdziemy go, Siergieju – zapewniła Sabrina, a potem ostrożnie wysunęła dłoń z jego uścisku i wstała.**

**Kolczyński znów zamknął oczy, wyraźnie wyczerpany ich krótką wizytą. Sabrina spojrzała na Grahama, który gestem wskazał drzwi. Opuścili pokój i w milczeniu udali się do windy.**

**–Siergiej zawsze twierdził, że nie spotkał się ze Zlotinem w czasie, gdy pracował w KGB – powiedział Graham, wchodząc do kabiny i naciskając guzik parteru. – Więc skąd mógł być taki pewien, że na lotnisku był Zlotin? Naoczni świadkowie twierdzili, że Zlotin i jego ludzie mieli na twarzach maski z czarnych pończoch.**

**–Być może rozpoznał Zlotina na podstawie jednego ze zdjęć, które mamy w komputerze – rzekła Sabrina.**

**–Taa, z pewnością – sarkastycznie burknął Graham. – Czy rozpoznałabyś go w masce z pończochy?**

**Sabrina wzruszyła ramionami i szybko wyszła z windy, gdy tylko zjechali na parter. Graham chwycił ją za ramię.**

**–OK, co się dzieje?**

**–A co masz na myśli? – zapytała, odruchowo przenosząc spojrzenie na pielęgniarkę wychodzącą z sąsiedniej windy.**

**–Wiem, Sabrino, kiedy coś przede mną ukrywasz. Zawsze odwracasz wzrok. Co to takiego?**

**Nim odpowiedziała, odczekała, aż pielęgniarka znalazła się poza zasięgiem głosu.**

**–Siergiej spotkał się ze Zlotinem wcześniej, ale nie wówczas gdy służył w KGB. Pułkownik chciał zwerbować Zlotina do UNACO. Siergiej miał trzy długie spotkania ze Zlotinem w przeciągu dwóch tygodni. W czasie tych rozmów próbował go przekonać, aby przeszedł do nas. Za każdym razem Zlotin odmawiał nawet zastanowienia się nad tym pomysłem. Nie chciał opuścić specnazu. Wobec tego Siergiej powrócił do Stanów Zjednoczonych z pustymi rękami. O ile mi wiadomo, Zlotin jest jedyną osobą, która odrzuciła propozycję pracy w UNACO od czasu utworzenia organizacji.**

**–Czemu nic o tym nie wspomniano w dossier Zlotina? – zapytał Graham. – I skąd, u diabła, ty o tym wiesz?**

**Sabrina długo spoglądała na własne stopy, nim znowu podniosła wzrok na Grahama.**

**–Gdy Jacques przeszedł na emeryturę, pułkownik początkowo chciał, by jego miejsce w Trzecim Zespole Operacyjnym zajął Zlotin. Ponieważ nie udało mu się przekonać Zlotina, zamiast niego zwerbował ciebie. Jeśli nie liczyć Siergieja i pułkownika, C.W. i ja byliśmy jedynymi, którzy znali ten epizod. Pułkownik rozpaczliwie starał się wyciszyć tę sprawę, nie tylko dlatego, że chciał zachować twarz, ale także po to, by nie wprowadzać cię w zakłopotanie. Szczególnie że twoi dawni koledzy z Delty uważali cię za eksperta w sprawach specnazu, a w szczególności za znawcę Zlotina. Dlatego C.W. i ja przysięgliśmy zachować to w tajemnicy.**

**–Czemu nie powiedziałaś mi tego wcześniej? – syknął ze złością Graham.**

**–Bo to nie było ważne, oto dlaczego – odpaliła ostro.**

**–Taa, cóż, mogę zrozumieć, czemu pułkownik chciał Zlotina – rzekł Graham. – On jest najlepszy ze wszystkich.**

**–Powiedziałabym, że to kwestia opinii, nie uważasz? – Sabrina popatrzyła Grahamowi prosto w oczy.**

**Zrozumiał aluzję.**

**–Chodź, ruszajmy – burknął i skierował się do wyjścia.**

**W milczeniu podążyli do samochodu, Graham zaś, otwierając drzwiczki od strony kierowcy zauważył audi quattro zjedną tylko osobą w środku, zaparkowany w pobliżu. Szybko odwrócił wzrok i siadł za kierownicą.**

**–Mike, o co chodzi? – spytała Sabrina, dostrzegłszy wyraz niepokoju na twarzy Grahama.**

**–Pamiętasz, opowiadałem ci w Nowym Jorku o dziennikarce, która chciała napisać o mnie artykuł?**

**–Po incydencie w metrze? – zapytała.**

**–Zgadza się. To ona siedzi w niebieskim audi z tyłu za nami.**

**–Jesteś pewien, że to ona?**

**–Oczywiście, że jestem pewien – padła pełna oburzenia odpowiedź.**

**Zaniepokojona Sabrina zmarszczyła czoło.**

**–Chcesz spotkać się z nią twarzą w twarz?**

**–Nie – odrzekł pośpiesznie Graham. – To by tylko pogorszyło sytuację.**

**–Wobec tego co proponujesz? – zapytała.**

**–Wracamy do hotelu. Posłuchamy, co Jacques będzie miał do powiedzenia na ten temat.**

**–Tego tylko nam potrzeba! – warknął poirytowany Jacques, gdy Graham opowiedział mu o Katherine Warren. – Skąd w ogóle mogła się dowiedzieć, że jesteś tutaj?**

**–Po zejściu w metrze poszedłem prosto do gmachu ONZ-tu – odrzekł po chwili namysłu Graham. – Mogła mnie śledzić.**

**–Nie sprawdzałeś? – warknął ponownie Rust.**

**–Oczywiście, że sprawdzałem – oburzył się Graham, dotknięty do żywego podejrzeniem o to, iż mógł nie zastosować się do standardowej procedury. – Zapewne siedziała w taksówce. Chryste, wieczorem na nowojorskich ulicach są tysiące taksówek. Jeśli zachowywała odpowiednią odległość, jakim sposobem mogłem się dowiedzieć, że mnie śledzi?**

**–Hej, czy wy dwaj będziecie się w dalszym ciągu sprzeczać, czy też postaramy się zminimalizować szkodę, którą już ponieśliśmy? – zapytała Sabrina, spoglądając to na jednego, to na drugiego.**

**Rust westchnął z rezygnacją i popatrzył na Grahama.**

**–Sabrina ma rację. To nas do niczego nie doprowadzi. Połączę się telefonicznie z pułkownikiem i dowiem się, jak zareaguje. Może nawet zadecydować, że wy dwoje jesteście w tej chwili spaleni i odsunąć was od sprawy. No, nie wiem. To należy wyłącznie do niego.**

**Graham wyjął z barku butelkę wody mineralnej i podszedł do stojącej przy oknie Sabriny.**

**–Jacques mylił się, napadając tak na ciebie – powiedziała cicho, zerkając przez ramię na Rusta, który, siedząc tyłem do nich, rozmawiał przez telefon z Philpottem.**

**–W tej chwili wszyscy jesteśmy podenerwowani – odrzekł Graham i pociągnął z butelki. – Do diabła, przecież on może mieć rację. Zawaliłem sprawę, teraz więc musimy sobie radzić najlepiej, jak tylko potrafimy.**

**–W takim razie wina spada na nas oboje – odrzekła Sabrina, spoglądając na widoczną w dole ulicę. – To oczywiste, że śledziła nas także w drodze na lotnisko, bo w przeciwnym wypadku jak mogła się dowiedzieć, że wysiadziemy tutaj? A ja z pewnością nie zauważyłam w drodze na lotnisko, by ktokolwiek za nami jechał.**

**–Teraz już nie pora martwić się o to – skomentował Graham. – Co się stało, to się nie odstanie. Przynajmniej wiemy, że ona jest tutaj, a to oznacza, że możemy przedsięwziąć stosowne środki ostrożności, by jej unikać.**

**–Jeśli nadal będziemy włączeni w tę sprawę – przypomniała mu.**

**–W dalszym ciągu macie tę robotę – odezwał się zza ich pleców Rust. – Musimy liczyć się z najgorszym, czyli z tym, że ta Katherine Warren podejrzewa, iż wy dwoje należycie do UNACO. Zastąpienie was innym zespołem tylko potwierdziłoby jej podejrzenia. Nie wolno nam dopuścić do tego, by dowiedziała się, że mamy ją na oku, bo inaczej operacja może wziąć w łeb.**

**–Czy pułkownik nie mógłby sprawić, że odczepiłaby się od nas? – zapytała Sabrina.**

**–W tej chwili więcej byłoby z tego szkody niż pożytku – odparł Rust. – Gdyby ją odwołano, w gazecie mógłby się ukazać artykuł o tym, co zdołała już odkryć. Bardzo możliwe, że jej informacje są mało znaczące, ale nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko.**

–Pozostawienie jej w poczuciu zupełnej swobody wiąże się z dalszym zbieraniem informacji – sprzeciwiła się Sabrina.

–Niekoniecznie – stwierdził Rust. – Oboje jesteście tu zarejestrowani jako *bona fide* pracownicy ONZ-tu. Mike na stanowisku doradcy ambasadora Stanów Zjednoczonych, a ty jako tłumaczka przy Zgromadzeniu Ogólnym. A poza tym nie zapominajcie, że uchodzicie za osoby, które bardzo często widują się poza pracą. Jeśli nawet zauważyła was razem wychodzących z gmachu ONZ-tu, to fakt ten sam w sobie nie jest szczególnie podejrzany. Byliście w budynku, gdy telefonicznie przekazano wiadomość, że wasz wspólny przyjaciel, Siergiej Kolczyński, został postrzelony na lotnisku w Lizbonie podczas czegoś, co uznaliście za pozbawiony motywów napad. Przylecieliście tutaj, by się z nim zobaczyć. Tak będzie brzmiała historyjka, którą rozpowszechnimy, gdyby pojawiły się jakieś zapytania. Jest więc sprawą zasadniczej wagi, byście regularnie odwiedzali Siergieja, aby uwiarygodnić tę opowieść.

–Z pewnością Warren będzie obserwować hotel – zauważył Graham. – Mogą zdarzyć się komplikacje, jak trzeba będzie wymknąć się niepostrzeżenie. I co wtedy?

–Do Siergieja możecie jeździć sierrą, natomiast w bocznej uliczce powinien stać inny wóz. Poproszę majora Inacia, by dostarczono go tak szybko, jak tylko możliwe.

–A może powinno się wprowadzić inny zespół do wykonania zadania, a nas pozostawić do odegrania roli przynęty? – zapytała Sabrina.

–Postąpilibyśmy tak, gdyby w grę nie wchodził Zlotin – stwierdził Rust. – Mike zna Zlotina lepiej niż ktokolwiek w UNACO, a to może dać nam przewagę.

–Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję, Jacques – odezwał się Graham. – Ten facet jest jednym z najlepszych.

–Ty też jesteś – rzucił Rust. – I właśnie dlatego potrzebujemy cię tutaj. Stanowisz naszą jedyną realną szansę dotarcia do Zlotina. Zapamiętaj to sobie.

–Ironia losu, prawda? – Sabrina przerwała przeciągające się milczenie. – Możemy odzyskać dokumenty, lecz jeśli ta Warren opublikuje artykuł na nasz temat, organizacja i tak zostanie skompromitowana.

–Myślę, że pułkownik Philpott będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia – odrzekł Rust, pozwalając sobie na uśmiezek satysfakcji. – Zawsze ma asa w rękawie, gdy trzeba rozgrywać taką sytuację. Jeśli go znam, skorzysta z niego w chwili, gdy tamci będą się najmniej tego spodziewać.

A jednak Philpott nie miał asa, którym mógłby pokonać Katherine Warren. Tuż po objęciu stanowiska w UNACO zrozumiał, że posługiwanie się jedynie środkami

prawnymi, w celu zapewnienia tajności organizacji, może okazać się zarówno kosztownym, jak i czasochłonnym doświadczeniem. Zwerbował więc czterech byłych funkcjonariuszy FBI. Ich zadaniem było kolekcjonowanie niedyskrecji, a niekiedy informacji o nielegalnej działalności indywidualów, które Philpott uważał za zagrożenie dla organizacji. Choć nowo przyjęci znajdowali się na liście pracowników biura dezinformacji UNACO, wkrótce stali się znani wśród agentów operacyjnych jako „Brudny Kartel”. Wszelkie zebrane przez nich materiały były potwierdzone zeznaniami składanymi pod przysięgą oraz, gdy było to możliwe, kompromitującymi fotografiami... Jak dotąd UNACO nigdy nie została skompromitowana, a Philpott robił wszystko, aby tak było w dalszym ciągu. Jednym z głównych celów zespołu stali się redaktorzy wpływowych dzienników w kraju i za granicą. A ponieważ redaktorzy zmieniali się, przeto zespół musiał nieustannie rewidować i uaktualniać swe materiały. O poprzednim redaktorze „New York Sentinela” zebrano wystarczająco informacji, by się od nich odczepił. Ale jak dotąd nie zdobyli nic na Larry’ego Ryana. Philpott wezwał członków zespołu tego ranka i kazał znaleźć cokolwiek o Ryaniu lub Katherine Warren. Dobrze wiedział, że jest Boże Narodzenie, a wszyscy czterej mają rodziny, ale telefon od Rusta zmusił go do takiej decyzji. Musiał działać, szybko...

Samochód skręcił z Interborough Parkway w dzielnicę Queens, kontynuował jazdę przez jakieś dwieście metrów, a potem zatrzymał się przed metalową bramą. Znajdująca się obok tablica ostrzegała złowieszczco: **BUDYNKI GROŻĄCE ZAWALENIEM. NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE WCHODZIĆ!** Kierowca posłużył się nadajnikiem na desce rozdzielczej, aby uruchomić bramę, która automatycznie zamknęła się za samochodem. Niecały kilometr dalej rozciągał się kompleks złożony z pół tuzina zrujnowanych budynków. Kierowca podjechał do zamykanych garaży na skraju kompleksu i, posłużwszy się inną częstotliwością, uruchomił drzwi. Wjechał do środka, a drzwi znów się za nim zamknęły. Następnie w nadajniku zaprogramował kod, zmieniany każdego ranka. Wówczas podłoga zaczęła się opuszczać na potężnej prasie hydraulicznej, aż zatrzymała się piętnaście metrów poniżej poziomu ziemi. Znajdowali się w Ośrodku Szkoleniowym UNACO. Zbudowano go pod ziemią, aby zapewnić maksymalne bezpieczeństwo. Utworzono w nim wydziały: balistyczny, medyczny i badawczy. Przygotowano obszerną halę sportową, w której agenci operacyjni obowiązani byli spędzać minimum pięć godzin tygodniowo, intensywnie ćwicząc się w walce bez broni, oraz nowoczesną strzelnicę, wyposażoną w najnowsze urządzenia techniczne. To tutaj agenci operacyjni musieli wykazać swoje umiejętności w posługiwaniu się najnowocześniejszą bronią.

Philpott wysiadł z samochodu, kierowca zaś natychmiast odjechał na parking. Z windy wyłoniła się wysoka, łysa postać i zdecydowanym krokiem pomaszerowała do Philpotta. Major Neville Smylie, były oficer SAS, który wyróżnił się podczas służby w Malezji, Omanie i Irlandii Północnej, obecnie szef Ośrodka Szkoleniowego, od chwili gdy został zorganizowany na początku lat osiemdziesiątych. Był to surowy Anglik o

niewielkim poczuciu humoru. Chociaż agenci operacyjni niezbyt go lubili, to jednak wszyscy darzyli najwyższym szacunkiem. Jego krytyczne uwagi, które zawsze przyjmowano na serio, uratowały w przeszłości niejedno życie. Philpott znał Smyliego jeszcze z Malezji, ale, choć z niechęcią, przyznawał się, że on także nigdy tak naprawdę nie polubił byłego żołnierza SAS-u.

–Dobry, Malcolm – odezwał się Smylie, polykając końcówki słów, które wymawiał w sposób charakterystyczny dla absolwenta brytyjskiej prywatnej uczelni. Wyciągnął rękę. – Nie spodziewałem się dzisiaj ciebie tutaj.

–To samo mógłbym powiedzieć o tobie – odparł Philpott, potrząsając jego dłonią. – Na litość boską, to przecież Boże Narodzenie. Czemu nie jesteś w domu z Sheilą i rodziną?

–Miałem parę spraw, które musiałem załatwić tego ranka. Obiecałem Sheili, że wrócę na czas, by pokroić indyka na lunch. A co z tobą? Co cię tu sprowadza tak nagle?

–Interesy – odrzekł Philpott. – Dotyczą ataku na Abego i Siergieja dwa dni temu w Lizbonie.

–Jak się czuje Siergiej? – zapytał Smylie.

–Odzyskał przytomność dziś wczesnym rankiem. Lekarze są przekonani, że całkowicie wyzdrowieje.

–To wspaniała nowina – odparł Smylie, choć jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

–Nie przyjechałem tu tylko po to, by ci o tym opowiedzieć – zapewnił go Philpott. – Skoro już tu jesteś... – zawahał się, nim zaczął mówić dalej: – Podejrzywałem, że ktoś z organizacji dał cynk napastnikom na temat konferencji w Lizbonie. Tylko w taki sposób mogli się dowiedzieć, że Abe wiezie w swej dyplomatce dokumenty o kluczowym znaczeniu.

–I podejrzewasz kogoś stąd, z Ośrodka Szkoleniowego? – zdumiał się Smylie.

–Tak. Przeprowadziłem własne, dokładne śledztwo i teraz mam tę satysfakcję, że znam tożsamość kreta. Poprosiłem go dzisiaj tutaj pod pretekstem, że potrzebuję od niego pewnych informacji.

–Kto to taki? – zapytał Smylie.

Philpott wyciągnął ze swej dyplomatki kartonową teczkę i pokazał Smyliemu nazwisko na okładce.



**–Nie mogę w to uwierzyć – rzekł z niedowierzaniem Smylie.**

**–Ja też nie wierzyłem w pierwszym momencie – powiedział Philpott. – Z pewnością nie przyjechałbym tutaj dzisiaj, gdybym nie miał pewności co do faktów. To, co ustaliłem, stanowi niepodważalne dowody.**

**–Rozumiem – padła wypowiedziana bezbarwnym głosem odpowiedź.**

**–Jeśli można, chciałbym skorzystać z twego gabinetu.**

**–Tak, oczywiście – odrzekł Smylie, wskazując gestem windę.**

**Zjechali na drugie piętro kompleksu i wyszli na szary, betonowy korytarz. Po obu jego stronach znajdowały się liczne metalowe drzwi bez żadnych napisów. Prowadziły one do dźwiękoszczelnych pokoi, w których zebrano najnowocześniejsze urządzenia, umożliwiające personelowi UNACO kontynuowanie nieustającej walki z międzynarodową przestępczością.**

**Mężczyźni podeszli do drzwi na końcu korytarza, a Smylie uruchomił je miniaturowym nadajnikiem, który miał w kieszeni. Weszli do pokoju i Smylie zamknął drzwi.**

**Wojskowy życiorys Smyliego w sposób oczywisty ujawniał się dzięki oprawionym, czarno-białym fotografiom, które wisiały na trzech ścianach. Wszystkie były pamiątkami z jego służby w SAS, od Korei aż po Irlandię Pomocną. Czwartą ścianę zdobiła szabla w pochwie. Na jej rękojeści znajdowały się insygnia pułkowe. Szablę tę ofiarowali Smyliemu koledzy, gdy zrezygnował ze służby wojskowej, by rozpocząć pracę w UNACO.**

**Philpott usiadł za mahoniowym biurkiem i wybrał wewnętrzny numer telefoniczny. Wypowiedział kilka słów do mikrofonu, odłożył słuchawkę i spojrzał na Smyliego.**

**–Każ postawić wartownika za drzwiami. Zawiadomię cię, kiedy skończę.**

**–Oczywiście – odparł Smylie, a potem zawrócił na pięcie i wymaszerował z pokoju.**

**Philpott zamknął drzwi. Spojrzał z uwagą na leżącą przed nim teczkę. Wciąż jeszcze trudno mu było pogodzić się z tym, że ktoś, kogo tak szanował, mógł zwrócić się przeciw UNACO, i to w taki sposób. Szczególnie że chodziło o kierownika działu w Ośrodku Szkoleniowym. Profesor Marcel Toure był od trzech lat odpowiedzialny za wydział balistyki UNACO. Philpott poczuł się zdradzony. I bardzo rozgniewany...**

**Nad drzwiami zaczęło błyskać światelko, wskazując, że ktoś nacisnął przycisk dzwonka. Philpott spojrzał na monitor na biurku. Pojawił się na nim panoramiczny obraz postaci stojącej na korytarzu. Na widok profesora pułkownik lekko zacisnął**

wsparte na biurku pięści, ale szybko opanował emocje. Za pomocą nadajnika otworzył drzwi.

–Witaj, Malcolmie – powiedział Toure z wesołym uśmiechem, wchodząc do gabinetu. – Składam ci życzenia świąteczne.

–Siadaj – Philpott z trudem starał się opanować złość.

Toure rozsiadł się w najbliższym fotelu, wciąż uśmiechnięty.

–Malcolmie, rozmowa z tobą dzisiejszego ranka brzmiała bardzo tajemniczo, ale oczywiście przybyłem natychmiast. Wspomniałeś, że potrzebne ci są jakieś informacje. O co dokładnie chodzi?

–Co możesz mi powiedzieć o Emilu Jannocu? – zapytał Philpott, wlepiwszy wzrok w twarz profesora.

–Jannocu? – powtórzył z wahaniem zapytany. Jego uśmiech nagle zniknął. – Tak, teraz go sobie przypominam. Zeznawałem jako świadek na jego procesie. Oskarżono go o morderstwo. To było dobre pięć lat temu.

–A twoje świadectwo miało kluczowe znaczenie dla jego uniewinnienia, czyż nie?

–Podczas ekspertyzy stwierdziłem, że broń, którą mi przysłano, nie popełniono morderstwa. Gardzę Jannokiem i jemu podobnymi, jak każdy, ale zeznawałem pod przysięgą. Musiałem mówić prawdę.

–Detektyw, prowadzący śledztwo, twierdził po procesie, że przysłano ci broń, którą z pewnością posłużył się morderca. Sugerował, iż w jakiś sposób podmieniono ją, gdy znajdowała się u ciebie.

–Tak, pamiętam to – Toure wzruszył ramionami. – Zależało mu na wyroku skazującym, a gdy go nie uzyskał, oskarżył mnie w tak oburzający sposób. Późniejsze dochodzenie policyjne oczyściło mnie od zarzutu jakiegokolwiek zmyślenia z obroną.

Philpott wyjął arkusz papieru z obwoluty i położył go na biurku.

–To są wyniki śledztwa. Jak powiedziałaś, oczyszczono cię z wszelkich zarzutów. Czy pamiętasz, kto prowadził dochodzenie?

–Nie, nie mogę tak nagle przypomnieć sobie. O co w tym wszystkim chodzi, Malcolmie?

–Dochodzenie prowadził niejaki kapitan Alain Leroux z paryskiej Sûreté – odrzekł

**Philpott, zignorowawszy pytanie. – Oto jego podpis na dokumencie. Na początku tego roku Laroux aresztowano. Oskarżono go o korupcję. Podczas procesu wyszło na jaw, że przez osiem lat przyjmował łapówki od wielu czołowych osobistości przestępczego podziemia, z Emilem Jannokiem włącznie.**

**–Nie miałem pojęcia – odparł Toure, nagle pobladłszy.**

**–Budzi to poważne wątpliwości co do wyników zawartych w tym raporcie, nie uważasz? – Philpott wskazał gestem leżący na biurku dokument.**

**–Nie sugerujesz chyba, że byłem w zмовie z Jannokiem i Leroux? – powiedział Toure, nerwowo przełykając ślinę.**

**Philpott wyjął faks i położył go obok arkusza papieru.**

**–Otrzymałem to wczoraj późno w nocy. Pochodzi od mego odpowiednika w paryskiej Sûreté. Podpisane zeznanie Leroux. Wymienia ciebie, jako osobę, która podmieniła broń, zanim Jannoc stanął przed sądem.**

**–To szaleństwo – odpalił Toure. – On gotów powiedzieć cokolwiek, by uzyskać skrócenie wyroku.**

**–Policja nie wchodziła z nim w żaden układ – stwierdził Philpott. – To oświadczenie złożył dobrowolnie. Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? Jannoc trzymał cię za jaja i posługiwał się tobą wiele razy w późniejszym okresie. Byłeś dla niego źródłem licznych poufnych informacji, zgadza się?**

**–Nie wiem, o czym mówisz, Malcolmie – udał zdziwienie Toure, a w jego głosie pojawiły się nuty rozpacz.**

**–Nie obchodzi mnie ani trochę, czy ty i Leroux spiskowaliście, by wprowadzać w błąd wymiar sprawiedliwości we Francji, i czy brałeś od Jannoca łapówki za oddawane mu usługi – warknął ze złością Philpott. – Mnie obchodzi tylko UNACO. Sprzedałeś nas, Marcelu. Powiedziałeś Jannocowi o konferencji w Lizbonie, tak?**

**–Malcolmie, ja nie...**

**–Ty nie! – zagrział Philpott, waląc ze złością pięścią w biurko.**

**Toure pochylił się na fotelu, kryjąc twarz w dłoniach.**

**–Kiedy pomyślę, że Abe Silverman był twoim przyjacielem, to czuję mdłości. Ty wydałeś go Jannocowi. Mam nadzieję, że otrzymałeś pieniądze tego warte.**

**Toure powoli podniósł głowę, bliski płaczu.**

–Malcolmie, przysięgam, że nie wiedziałem, do czego to może doprowadzić. Obiecał mi, że Abemu nie stanie się krzywda. Powiedział, że nikomu nie stanie się krzywda. Gdy dowiedziałem się, co się wydarzyło w Lizbonie, poczułem się jak zbity pies.

–O, z pewnością – rzucił pogardliwym tonem Philpott.

–Nie chciałem brać w tym udziału, Malcolmie, ale Jannoc groził, że mnie wyda, jeśli nie wykonam jego żądań. – Toure przeczesał włosy zgiętymi palcami. – Nie miałem wyboru. Mam rodzinę. Musiałem ją chronić przed skandalem.

–Trochę na to za późno – powiedział gorzkim tonem Philpott.

–Co ze mną będzie? – zapytał Toure, jak gdyby po raz pierwszy zastanowił się nad skutkami swych zdradzieckich poczynań.

–To zależy od ciebie. Jeśli będziesz w pełni współpracować podczas śledztwa, z pewnością wyjdzie ci to na dobre.

–Będę współpracował – odrzekł przygnębiony Toure. – Co chcesz wiedzieć?

Philpott wyjął ze swej dyplomatki mikromagnetofon kasetowy i położył na biurku między nimi. Włączył go.

–Zadam ci kilka pytań. Bardziej szczegółowe przesłuchanie przeprowadzą dwaj starsi funkcjonariusze UNACO. Zrobią to jeszcze dzisiaj, w Ośrodku Szkoleniowym. Możesz zażądać obecności adwokata, zarówno teraz, jak i później. Czy chcesz zatelefonować?

Toure potrząsnął głową.

–Odpowiadaj głośno – powiedział Philpott, wskazując mikromagnetofon.

–W tej chwili nie chcę adwokata.

–Doskonale. Ile razy przekazywałeś Jannocowi informacje o UNACO, od chwili gdy zostałeś zaangażowany tutaj, w Ośrodku Szkoleniowym?

–To był jedyny raz, przysięgam.

–Kiedy po raz pierwszy skontaktował się z tobą w UNACO? – zadał kolejne pytanie Philpott.

–Nie mogę sobie natychmiast przypomnieć dokładnej daty, ale to było w kilka dni po pogrzebie jego brata.

–Czego chciał od ciebie?

**Toure pochylił się do przodu i wbił beznadziejne spojrzenie w dywan.**

**–Dowiedział się od informatora, że jeden z zespołów operacyjnych był odpowiedzialny za zabicie jego brata. Najpierw zażądał, abym ujawnił, który zespół był w Marsylii w tym czasie. Powiedziałem mu, że wszelkie informacje o agentach operacyjnych, z ich tożsamością włącznie, są tajne i znane tylko garstce wysokich urzędników UNACO. Dodałem, że nigdy nie zetknąłem się z agentem operacyjnym.**

**–Jak zareagował?**

**–Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Chciał nazwisk ludzi, a ja miałem je dla niego zdobyć. Więc z rozpaczy umieściłem pluskwę w gabinecie Abego. Wiedziałem, że w związku z zakresem swej pracy będzie znał nazwiska poszczególnych członków zespołów operacyjnych.**

**–Gabinety są sprawdzane co rano – stwierdził Philpott. – Jak zdołałeś ukryć pluskwę tak, że nie została wykryta?**

**–Musiałem ją usuwać co wieczór, nim poszedłem do domu, i znów umieszczać następnego ranka, gdy gabinet został sprawdzony. Nie było to oryginalne rozwiązanie, ale jedynie takie zdołałem wymyślić w tak krótkim terminie.**

**–I w ten sposób dowiedziałeś się o konferencji w Lizbonie?**

**Toure kiwnął głową.**

**–Tak. Usłyszałem, jak Abe wiele razy rozmawiał o niej z Siergiejem. Przekazałem informację Jannocowi, a on widocznie doszedł do wniosku, że kradzież teczek jest jedynym sposobem na wykrycie zabójcy brata.**

**–Czy rozmawiał o tym z tobą? – zapytał Philpott.**

**–Powiedział mi tylko, że chce zdobyć teczki podczas pobytu Abego w Lizbonie. Wówczas nie wiedział jeszcze, jak to zrobi. Gdybym przypuszczał...**

**–Chciałeś coś powiedzieć? – ponaglił Philpott, kiedy Toure przerwał.**

**Profesor poruszył się niespokojnie w fotelu.**

**–Nie wiedziałem, że Siergieja postrzelą. Nie miałem pojęcia, że Abe zostanie porwany. Przysięgam, nie wiedziałem.**

**–Nie kupuję tego – odparował bez ogródek Philpott. – Nie potrzeba wysokiej inteligencji, by zdać sobie sprawę, że dla Jannoca teczki pozostaną bezużyteczne, gdy zabraknie Abego. Tylko on mógł złamać szyfr. Jannoc potrzebował Abego,**

podobnie jak dokumentów.

–Nie chciałem, by to wszystko się zdarzyło, Malcolmie – wyznał cicho Toure. – Nie miałem jednak wyboru. Musisz to zrozumieć.

–Pozostaw swoje usprawiedliwienia dla sędziego – odrzekł Philpott, wyłączając mikromagnetofon. – Być może okaże się bardziej współczujący.

–Nie pozwolisz, by cokolwiek z tego dotarło do prasy, prawda?

–Oczywiście, że nie. Wszelkie procesy dotyczące UNACO zawsze odbywają się przy drzwiach zamkniętych. Wiesz o tym dobrze, bo w przeszłości niejednokrotnie byłeś świadkiem.

Philpott uruchomił drzwi i gestem wezwał wartownika.

–Zaprowadź pana profesora do pokoju przesłuchań. Nikt nie może się z nim kontaktować bez zezwolenia majora Smyliego lub mojego. Czy to jasne?

–Tak jest, panie pułkowniku – padła zwięzła odpowiedź.

Toure odtrącił dłoń wartownika i wstał. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi i nagle się potknął. Chwycił się najbliższego fotela, by nie upaść, a wartownik ujął go za ramię. W tej samej chwili Toure wyrwał pistolet automatyczny Heckler Koch z kabury strażnika i odsunął się od drzwi, celując w Philpotta.

–Odłóż broń, Marcelu – powiedział spokojnie Philpott. – I tak masz dość kłopotów. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Gdy wartownik zrobił krok w jego stronę, Toure skierował pistolet na niego.

–Nie chcę zranić żadnego z was, ale zrobię to, jeśli podejście choć trochę bliżej. Mam broń i to zapewnia mi przewagę... Nie zmuszajcie mnie, bym was zabił.

Philpott gestem nakazał wartownikowi cofnąć się.

–Marcelu, wiesz, że nigdy się stąd nie wydostaniesz. Więc może odłóżysz broń, a my zapomnimy, że ten incydent w ogóle się wydarzył.

–Chcę, abyście obaj stąd wyszli – wycedził Toure, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Zróbcie to!

Philpott wziął swą laskę i wysunął się zza biurka.

–Marcelu, to nie jest warte...

**–Daj spokój – przerwał mu Toure. – Nie ma odwrotu. Już nie. – Zrobił gest w stronę drzwi. – Wyjść. Obaj.**

**Philpott skinął głową, patrząc na wartownika. Wyszli na korytarz, a drzwi natychmiast zamknęły się za nimi. Toure zatrzęsął się w gabinecie.**

**–Złap majora Smyliego – warknął Philpott do wartownika – i powiedz mu, by przyniósł zapasowy nadajnik.**

**Strażnik pobiegł w głąb korytarza do telefonu. Gdy wrócił, zastał Philpotta patrzącego z ponurą miną na drzwi. Nie mogli w żaden sposób skontaktować się z profesorem, gdyż w celu zwiększenia bezpieczeństwa wszystkie drzwi w ośrodku były dźwiękoszczelne.**

**Po chwili z windy wybiegł Smylie.**

**–Co się dzieje? – zapytał zziębnięty,**

**Philpott zwięźle wyjaśnił mu sytuację. Smylie rzucił wartownikowi wściekle spojrzenie za to, że dał się tak łatwo nabrać, a potem wręczył nadajnik Philpottowi i wyciągnął z kabury brauning.**

**–Mam przecucie, że nie będzie ci potrzebny – rzekł Philpott, spoglądając na pistolet.**

**–Nie możemy ryzykować – odparł Smylie, stając obok wejścia do gabinetu.**

**Philpott uruchomił drzwi, a major wykonał półobrót, mierząc z pistoletu. Opuścił broń. Toure już nie był groźny, strzelił sobie w podniebienie. Pocisk przebił mu mózg, wyszedł z tyłu głowy i wbił się w spryskaną krwią ścianę za plecami profesora. Smylie wiedział, że Toure nie żyje, lecz sprawdził puls. Powoli skierował wzrok na Philpotta i potrząsnął głową.**

**–Sprowadź tu natychmiast dyżurnego lekarza – Philpott zwrócił się do wartownika.**

**Żołnierz wypadł z pokoju.**

**–Spójrz – Smylie wskazał mikromagnetofon zaciśnięty w dłoni profesora.**

**Philpott wyłuskał go z palców zmarłego. Aparat był włączony. Pułkownik wyłączył go i przewinął kasetę. Siadłszy za biurkiem, postawił aparacik przed sobą i obojętnie wysłuchał ostatnich słów Tourego:**

**„Malcolmie, zdaję sobie sprawę ze szkód, jakie wyrządziłem organizacji, ale przysięgam, że nie miałem pojęcia, iż do tego dojdzie. Wiem, że gdybym miał stanąć**

**przed sądem, mojej rodzinie przyniosłoby to jedynie wstyd i hańbę. Moja żona jest dumną i uczciwą kobietą. Gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, co zrobiłem, pękłoby jej serce, szczególnie że motywem były korzyści materialne. A moja córka jest na ostatnim roku Uniwersytetu Kolumbia. Nie chcę, by moje zbrodnie wycisnęły piętno na jej życiu. Dlatego wybrałem takie wyjście. Wiem, Malcolmie, że zawiodłem twoje zaufanie i możesz potępić mnie za moje czyny. Pozostawiam twemu sumieniu to, czy uznasz za właściwe opowiedzieć mojej rodzinie prawdę kryjącą się za tym, co wydarzyło się dziś. Wiem, że zrobisz to, co twoim zdaniem będzie właściwe”.**

**Po chwili dał się słyszeć huk wystrzału. Philpott wyłączył mikromagnetofon i odchylił się na oparcie fotela.**

**–Czy powiesz o wszystkim jego żonie? – zapytał Smylie.**

**–Nie – odrzekł po chwili namysłu Philpott, a potem sięgnął po laskę, wstał i skierował się ku drzwiom. – Wezwij mego kierowcę, dobrze? Mam przeczucie, że czeka mnie długi dzień.**



Zadzwoił telefon. Whitlock obudził się natychmiast, usiadł na łóżku i przyłożył słuchawkę do ucha.

–Royce? – usłyszał.

–Tak – wymamrotał Whitlock, przecierając oczy. Z nocnego stolika wziął swój zegarek. Była piąta trzydzieści rano. – Kto mówi?

–Jannoc. Ubieraj się. Mam propozycję, która może cię zaciekawić.

–O tej porze? – brzmiała niedowierzająca odpowiedź.

–Jesteś zainteresowany, czy nie? – warknął Jannoc.

–Oczywiście, że jestem zainteresowany – odrzekł Whitlock, teraz już zupełnie rozbudzony. – O co chodzi?

–Dyskusję na ten temat odbędziemy w moim gabinecie. Za dziesięć minut Saisse przyjdzie do ciebie. Przyprowadzi cię do mego biura. OK?

–Oczywiście – odparł Whitlock. Połączenie przerwano.

Myśli Whitlocka zaczęły galopować. Interes? Oczywiście było, że Jannoc go sprawdził i uznał za wiarygodne to, co mu o sobie powiedział. Nic dziwnego. Philpott zawsze trafnie przewidywał każdą ewentualność. Ale co to za interes? Czy Jannoc chce mu zaproponować pracę w swej organizacji? Taka odpowiedź wydawała się najprawdopodobniejsza. Jaką pracę? Czy umożliwi mu to dostęp do gabinetu Jannoca i zainstalowanie tam miniaturowych pluskiew, które Rust dał mu w Paryżu? Po chwili doszedł do wniosku, że szkoda czasu na jałowe spekulacje. Nie dowie się, o co chodzi Jannocowi, dopóki z nim nie porozmawia.

Wstał z łóżka i wziął szybki prysznic. Kończył się ubierać, gdy usłyszał pukanie. Naciągnął sweter i podszedł do drzwi.

–Jesteś gotów? – zapytał Saisse. – *Monsieur* Jannoc czeka na ciebie.

Podeszli do windy. Saisse wsunął klucz magnetyczny w odpowiednie wycięcie i w chwilę później winda podjechała. Gdy weszli do kabiny, ponownie użył klucza magnetycznego i zapaliła się tablica sterująca. Nacisnął przycisk do penthouse'u.

Gdy drzwi się otworzyły, mieli przed sobą prywatny gabinet Jannoca, ale za biurkiem zajmował miejsce Zlotin, pogrążony w czytaniu jakiegoś faksu. Jannoc siedział w jednym z foteli, trzymając w ręce filiżankę kawy. Whitlock wszedł do

**pokoju. Saisse natychmiast wyciągnął pistolet HK P7 i wskazał nim drewniane krzesło, stojące pośrodku pokoju.**

**–Co tu, u diabła, się dzieje? – spytał Whitlock, spoglądając na Jannoca.**

**–Siadaj – odrzekł Jannoc, wskazując krzesło ruchem wolnej ręki.**

**Whitlock usiłował zdławić ogarniającą go falę niepokoju. Podeszedł do krzesła i usiadł. Czy misternie ułożona historyjka przestała go chronić? Jeśli tak, to czemu po prostu nie zeszli do sypialni, gdy jeszcze spał? Dlaczego zdecydowali się budzić go i prowadzić do gabinetu Jannoca? Nie, im dłużej o tym myślał, tym mniej prawdopodobna stawała się ta sytuacja. Przecież UNACO była niezawodna w osłanianiu swoich agentów. Nigdy niczego nie zostawiano na los szczęścia. Zdecydował więc, że najwięcej korzyści może mu dać przejście do ofensywy. Nie tylko będzie to pasowało do Royce'a, ale również pozwoli ukryć niepewność co do rozwoju wydarzeń.**

**–Chcę wiedzieć, co się tu dzieje. Chryste, wyciąga się mnie z łóżka o piątej trzydzieści rano pod pretekstem omówienia jakiegoś interesu, a gdy przychodzę, macha mi się przed nosem pistoletem i każe siadać na środku pokoju, jak jakiemuś kryminaliście podczas przesłuchania. Co tu się, u diabła, wyprawia?**

**Zlotin powoli podniósł głowę i popatrzył na Whitlocka.**

**–Powiedziałeś przez telefon Jannocowi, że jesteś zainteresowany propozycją finansową, którą ma ci złożyć. Zgadza się?**

**–Zawsze interesują mnie propozycje finansowe, szczególnie te bardzo dochodowe – odpalił Whitlock.**

**–Jestem przekonany, że uznasz wynagrodzenie za więcej niż hojne, nawet dla kogoś takiego jak ty – odrzekł pogardliwie Zlotin. – Ale zanim cię weźmiemy, musimy mieć pewność, że jesteś tym, za kogo się podajesz.**

**–O czym ty mówisz? Jestem Frank Royce. Kim, do cholery, mam być według ciebie?**

**–Jak powiedziałem, musimy sprawdzić twoją wiarygodność. To dlatego Jannoc i ja, każdy na własną rękę, przeprowadziliśmy zeszłej nocy dochodzenia w twojej sprawie. Jannoc ma kontakt w Afryce, ja mam kontakt w Rosji.**

**Zlotin popukał w dwa faksy leżące przed nim na stole.**

**–Szczegóły nadeszły wczesnym porankiem.**

**–No i? – rzucił wyzywająco Whitlock. – Czy sprawdzenie mnie zadowoliło was?**

**–Frank Royce z pewnością istnieje, co do tego nie ma wątpliwości – odparł Zlotin. – Oba fakсы zawierały z grubsza te same informacje. Ale tego rodzaju szczegóły nietrudno zdobyć. Tak naprawdę szukałem fotografii, której prawdziwość potwierdziłoby godne zaufania źródło. Tylko w taki sposób mogę zostać przekonany, że jesteś Royce.**

**–Jeśli twoi ludzie należycie odrobili zadania domowe, to wiesz, że nie pozuję do fotografii. Zawsze starałem się nie zwracać na siebie uwagi. Przekonałem się, że pozwala to pożyć odrobinę dłużej.**

**–Istnieje fotografia – stwierdził Zlotin z wyraźną satysfakcją w głosie. – Miałem nadzieję, że nadejdzie w czasie, gdy będziesz tu siedł, ale jeszcze na nią czekamy.**

**Whitlock zmrużył niepewnie oczy.**

**–A skąd ona pochodzi?**

**–Znaleziono ją w archiwach wojskowych w Riazaniu.**

**Riazań? Siedziba akademii wojskowej sił specjalnych. W jaki sposób znalazła się tam fotografia Royce'a?**

**–Wyglądasz na zaintrygowanego – rzekł Zlotin, uważnie przyglądając się Whitlockowi. – Jeśli jednak jesteś Royce'em, nie masz się czym martwić, prawda?**

**–Martwię się tak czy owak – odciął się Whitlock wiedząc, że teraz jego jedyną szansą jest improwizacja. – Powiedziałem ci, że nie pozuję przed kamerą. I wedle mojej najlepszej wiedzy jedyna istniejąca fotografia to ta, którą zrobiono, gdy wstępowałem do Armii Brytyjskiej. Więc jak, u diabła, mogła wpaść w ręce Rosjan?**

**–To nie jest fotografia z wojska – odparł Zlotin. – Wiem tylko, że zrobiono ją gdzieś w Afryce. Szczegóły zostaną przefaksowane wraz ze zdjęciem.**

**Cóż, przynajmniej nie była to fotografia z wojska. To stanowiło pewną pociechę. Inaczej nie wypłatałby się żadną gadaniną. Jeśli zdjęcie zrobiono gdzieś w Afryce, może przez pewien czas się upierać, że nastąpiła pomyłka co do osoby. Wprawdzie nie oczekiwał, że Zlotin mu uwierzy, ale przynajmniej uzyska parę dodatkowych sekund na wypłatanie się z coraz bardziej zaciskającej się wokół niego sieci. Saisse znajdował się najbliżej. I miał spluwę. Gdyby mógł dopaść Saisse'a i rozbroić go...**

**–Możesz teraz opuścić nas, jeśli chcesz – odezwał się Jannoc, po raz pierwszy włączając się do rozmowy. – Nikt cię nie będzie zatrzymywał. Dziś późnym popołudniem wyrusza do Algieru frachtowiec. Wystarczy, że podniosę słuchawkę i**

**masz już przejazd do Afryki załatwiony. To zależy tylko od ciebie.**

**Whitlock wiedział, że jeśli się teraz wycofa, będzie to równoznaczne z przyznaniem się do tego, że nie jest Royce'em. Nigdy nie opuści tego pokoju żywy. A gdyby nawet pozwolono mu odejść, jaki pożytek miałyby z niego UNACO, kiedy wyląduje na frachtowcu płynącym do Algieru? Nie, będzie musiał zaryzykować.**

**–A co się stanie, jeżeli mnie nie będzie na tym zdjęciu? – zapytał, znów przechodząc do ofensywy. Wiedział, że pozostało mu już tylko udawanie zucha.**

**–No cóż, będziemy musieli się dowiedzieć, kim naprawdę jesteś – odrzekł Zlotin, sięgając po filiżankę kawy stojącą przy jego lewym łokciu.**

**–Człowiek ratuje życie jakiegoś dzieciaka i oto ma podziękowanie – stwierdził Whitlock, potrząsając głową. – Chryste, teraz wolałbym nigdy nie przyjeżdżać do Marsylii.**

**–Powiedziałem już, jeśli jesteś Royce'em, nie masz się o co martwić – zapewnił go Zlotin.**

**–A ja ci powtarzam, że nie pozuję do zdjęć. Może jakiś korespondent wojenny, maniak migawek, zrobił fotografię komuś innemu i omyłkowo przypisał ją do mnie? Wówczas będę miał diabelnie dużo roboty, by się z tego wytłumaczyć. To trudno nazwać uczciwym układem.**

**–Możesz się oddalić – powiedział Saisse, robiąc gest w kierunku windy.**

**To by ci się podobało, nieprawdaż? – pomyślał Whitlock. Wyczuwał, że Saisse nie tylko go nie lubi, ale także nie ufa mu ani odrobinę. Wydawało się, że Saisse po prostu czeka na przyjemność wsadzenia mu kulki... Wystarczyło, by Jannoc się na to zgodził...**

**–Zaryzykuję – odparł Whitlock, wytrzymując chłodny wzrok Saisse'a. – Mam przecucie, że tu można spodziewać się całkiem ładnych pieniędzy, gdy tylko wszystko się wyjaśni. I lepiej, by się wyjaśniło, bo w przeciwnym razie możecie być pewni, że się załaduję na ten frachtowiec do Algieru.**

**Włączył się faks. Zlotin obrócił się wraz z fotelem. Whitlock poczuł, jak pod włosami zbiera mu się kropla potu i spływa po policzku. Zerknął na Saisse'a, który stał oparty o biurko, trzymając niedbale pistolet w dłoni. Whitlock sprężył się, gotów skoczyć na Saisse'a, gdy zajdzie taka potrzeba...**

**Zlotin wziął do ręki kopię fotografii, długo się jej przyglądał, a potem opuścił na biurko przed Whitlockiem, który powoli, prawie opornie, zdecydował się spojrzeć na nią. Jego pierwszą reakcją było zaskoczenie. A potem, gdy ogarnęła go fala**

odprężenia, miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Na fotografii był on, siedzący pod skałą wraz z członkami Dziewiątego Zespołu Operacyjnego. Zdjęcie zrobiła Sabrina podczas wspólnych ćwiczeń w zapadłym kącie Pensylwanii, gdzie znajdował się obóz UNACO. Dobrze je zapamiętał. Właśnie tego dnia Graham zwichnął nogę. Pozostał więc w bazie, a ćwiczenia kontynuowano bez niego. Najbardziej uderzający był jednak stan fotografii. Miała pozaginane rogi i była pomięta, jakby przez dłuższy czas noszono ją w portfelu. Znak fabryczny roboty Philpotta. Pułkownik był pewny, iż Zlotin będzie sprawdzał Whitlocka, i kazał podrzucić zdjęcie do archiwum. W jaki sposób zdołał tego dokonać w tak krótkim czasie?

–Wyglądasz na zdziwionego – odezwał się Zlotin, przyglądając mu się uważnie.

–Bo jestem – odparł zgodnie z prawdą Whitlock. – Nie pamiętałem o tym wszystkim aż do tej chwili. Obudziły się wspomnienia.

–Zgodnie z nadesłanym tekstem, na odwrotnej stronie fotografii wypisano nazwiska twych trzech kolegów. Kim oni są?

Whitlock musiał szybko pomyśleć. Czy Zlotin blefował, czy też nazwiska rzeczywiście wypisano na odwrotnej stronie zdjęcia, by dodać autentyczności sprawie? A jeśli tak, to jakie? Prawdziwe nazwiska jego kolegów z Dziewiątego Zespołu Operacyjnego? Czy też fałszywe, te, pod którymi wykonywano robotę konspiracyjną. Ale każdy agent operacyjny miał trzy fałszywe nazwiska, on zaś nie znał wszystkich, używanych w Dziewiątym Zespole Operacyjnym. Nie, to muszą być ich prawdziwe nazwiska. Ale czy rzeczywiście? Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

–To jest Simon Houchen, Dietmar Reuter i Johnny Ellis – oświadczył Whitlock, wskazując po kolei ich twarze.

Zlotin wstał i podszedł do windy. Wyraz jego twarzy pozostał obojętny. Zatrzymał się i obejrzał na Whitlocka.

–Jannoc poda ci warunki umowy. Jeśli jesteś z nami, wyruszamy za godzinę. Więc bądź gotowy.

Jannoc zaczekał, aż Zlotin i Saisse opuszczą pokój, a potem podszedł do biurka i zasiadł za nim. Rzucił okiem na zdjęcie, kiwnął głową i odsunął je na bok.

–Warunki umowy są bardzo proste. Za zlecenie, które wykonasz wraz z Rosjaninem, otrzymasz trzydzieści tysięcy funtów. Połowę natychmiast, resztę po zakończeniu operacji. Zajmie ona co najwyżej cztery do pięciu dni. Będziesz podlegał bezpośrednio Rosjaninowi i wykonywał jego rozkazy bez żadnych pytań. Dla ciebie, doświadczonego żołnierza, nie powinno to stanowić żadnej trudności. Obowiązuje zasada: wiesz tylko to, co powinieneś wiedzieć. Rosjanin powie ci później, co według

**niego musisz wiedzieć.**

**Wyraz twarzy Whitlocka nie zdradzał niczego, ale za zdyscyplinowaną maską spokoju ledwie zdołał opanować podniecenie. W najśmielszych marzeniach mógł oczekiwać jakiejś posady w klubie. W ten sposób mógłby stale pilnować Jannoca. A teraz, jak piorun z jasnego nieba, pojawiła się szansa wniknięcia w samo serce operacji. Nareszcie przełom. I jakże im potrzebny! Kluczowe znaczenie polegało na tym, by odegrał swą rolę, to zaś oznaczało, że musi myśleć i zachowywać się jak Royce. Po paru sekundach wstał, wbił dłonie w kieszenie i pogrążony w myślach, zaczął przemierzać pokój. Wreszcie znów popatrzył na Jannoca.**

**–Muszę wiedzieć więcej, nim podejmę decyzję.**

**–Takie są warunki, Royce. Jeśli ci się nie podobają, zawsze jest do dyspozycji frachtowiec, który wypływa do Algieru po południu. Decyzja należy wyłącznie do ciebie.**

**Whitlock zdał sobie sprawę, że balansuje na bardzo cienkiej linii. Royce oczywiście byłby podejrzliwy, jeśli chodzi o umowę na tak niejasnych warunkach, ale równocześnie nie mógł sobie pozwolić na zbytnie przeciąganie sprawy, gdyż groziło to utratą tej roboty. Musiał wiedzieć, kiedy należy ustąpić.**

**–Kim jest ten Rosjanin? Nawet nie znam jego nazwiska.**

**–I tak pozostanie, póki sam ci nie powie – odparł Jannoc.**

**–Jak możesz spodziewać się, że dam ci odpowiedź, nie wiedząc nic o operacji? Zgoda, trzydzieści paczek to cholerna kupa pieniędzy, ale muszę mieć pojęcie o tym, czego oczekuje się ode mnie w zamian. Sam chciałbyś wiedzieć, gdybyś był na moim miejscu, prawda?**

**–Będziesz należał do zespołu pilnującego pewnych więźniów. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.**

**–Gdzie? – nie ustępował Whitlock.**

**–Nie nadużywaj swego szczęścia, Royce. Zawsze mogę znaleźć kogoś innego na twoje miejsce. A więc jesteś z nami, czy nie?**

**–Uważaj, że z wami – odrzekł wreszcie Whitlock. – Już narażałem życie, wiedząc znacznie mniej.**

**Jannoc wyciągnął z kieszeni zaklejoną kopertę i cisnął ją na biurko.**

**–Piętnaście tysięcy z góry, jak uzgodniono. Whitlock rozerwał kopertę i przeliczył**

pieniądze.

–Mogłeś wyznaczyć jednego z własnych ludzi do roboty z Rosjaninem i to by cię grosza nie kosztowało. Więc skąd ta propozycja dla mnie?

–Bo myślę, że jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty. Sprawdziłem cię zeszłej nocy. Byłeś dobrze notowany jako żołnierz w Afryce. I nie tylko to; brałeś udział w większej liczbie akcji niż którykolwiek z pracujących dla mnie ludzi. To z pewnością przeważało szalę na twoją korzyść. Jak to się mówi, doświadczenia nie ma czym zastąpić.

–Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję – stwierdził Whitlock, chowając kopertę do kieszeni.

–Ja także, dla twego dobra.

–A to co ma znaczyć? – zapytał podejrzliwie Whitlock.

–Rosjanin nie ma do ciebie takiego przekonania jak ja, ale ponieważ to ja mówię, co się ma stać, on musi podporządkować się mojej ocenie. Jeśli będziesz co do kropki wypełniał jego rozkazy, on nie sprawi ci żadnych kłopotów. Rozgniewasz go, to cię zastrzeli.

–Teraz wykladasz kawę na ławę – odparł Whitlock.

–Royce, jesteś zawodowym żołnierzem i wiesz, jak wykonywać rozkazy. Po prostu podporządkuj mu się bez zastrzeżeń i z końcem tygodnia będziesz o trzydzieści paczek bogatszy.

Whitlock zastanowił się nad słowami Jannoca i wreszcie udało mu się wymuszenie uśmiechnąć.

–Tak, myślę, że potrafię to zrobić.

–Jestem pewien, że potrafisz – odrzekł Jannoc sięgając po telefon i wzywając Saisse'a, by odprowadził Whitlocka do jego pokoju.

Po wyjściu Saisse'a Whitlock odczekał kilka minut, a potem otworzył drzwi pokoju i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Był pusty. Wyślizgnął się z pokoju, cicho zamknął drzwi za sobą i ruszył w stronę schodów. Było sprawą najwyższej wagi, by skontaktować się z Rustem i poinformować go o ostatnich wypadkach; absolutnie nie mógł przewidzieć, kiedy będzie miał następną okazję. Podeszedł do automatu telefonicznego koło baru na pierwszym piętrze, gdzie Saisse zaskoczył go poprzedniego wieczoru. Bar był zamknięty, a przyległy korytarz bezludny. Zatrzymawszy się, by znów się rozejrzeć, podniósł słuchawkę i wybrał numer

europiejskiej kwatery głównej UNACO w Zurychu. Dyżurny oficer powiedział mu, że może skontaktować się z Rustem w Lizbonie. Whitlock, któremu zaczynało już brakować monet, podał oficerowi numer automatu telefonicznego i poprosił, aby Rust połączył się z nim tak szybko, jak tylko się da. Na telefon Rusta nie musiał długo czekać. Szybko streścił, co wydarzyło się w gabinecie Jannoca tego ranka.

–I jesteś pewien, że użył zwrotu „więźniowie”? W liczbie mnogiej? – spytał Rust, gdy tylko Whitlock skończył swą relację.

–Jestem pewien.

Na drugim końcu linii nastąpiła pełna zamyślenia pauza. Wreszcie Rust się odezwał:

–Jeśli zamierzają posłużyć się innym kryptologiem, a prawdę mówiąc, więcej niż jednym, oznacza to, że Abemu coś mogło się już stać.

–Również tak pomyślałem – zgodził się Whitlock. – Posłuchaj, Jacques, muszę kończyć. Telefonując stąd do ciebie, ryzykuję głowę. Nie wiem, kiedy będę mógł się odezwać. O wszystkim zadecydują okoliczności.

–Rozumiem. Uważaj na siebie, *mon ami*.

–Możesz na to liczyć.

Whitlock odłożył słuchawkę i udał się do pokoju. Gdy otworzył drzwi, ujrzał Saisse'a stojącego przy oknie i wyglądającego na Stary Port.

–Gdzie byłeś? – zapytał Saisse, odwróciwszy się od okna.

–Poszedłem na spacer – odpowiedział zaczepnie Whitlock wiedząc, że jedyną obroną jest natychmiastowy atak. – A zresztą co to ciebie obchodzi?

–Mówiłem ci, żebyś nie opuszczał swego pokoju – warknął Saisse.

–Poprawka, życzyłeś sobie, żebym nie wychodził z klubu – szybko podkreślił Whitlock. – I uważałem, by tego nie zrobić. Zadowolony?

–Jesteś bardzo pewny siebie – oświadczył Saisse, stając twarzą w twarz z Whitlockiem. – Nadmierna wiara w siebie może okazać się niebezpieczną słabością.

–Zapamiętam to sobie – odciął się lodowatym tonem Whitlock. – A teraz, gdy już skończyłeś śledztwo, pewien jestem, że sam znajdziesz drogę do wyjścia stąd.

–Mogłeś wygrać z *monsieur* Jannokiem, ale masz w sobie coś, czemu nie ufam. Nie potrafię tego wyraźnie wskazać, ale gdy to zrobię, Rosjanin dowie się pierwszy.



Saisse uśmiechnął się zimno, otwierając drzwi.

–Jestem przekonany, że zapamięta pan to sobie, *mister* Royce.

Gdy Saisse opuścił pokój, Whitlock padł na łóżko i głęboko westchnął, nie odwracając wzroku od drzwi. Wiedział, że UNACO zrobiła wszystko, by wiadomości o nim były wiarygodne. Jeśli jednak Saisse postanowił zgłębiać jego życiorys, zawsze istniała możliwość, że odkryje coś kompromitującego. W przeszłości przytrafiało się to różnym agentom operacyjnym. Znał ryzyko związane z pracą konspiracyjną. Wszyscy agenci je znali, lecz była to wątpliwa pociecha, gdy dojdzie do zdemaskowania. Ileż razy Carmen błagała go, by się wycofał z pracy operacyjnej, nim mu się coś przytrafi? Czyżby miała rację? Czy nadużywał swego szczęścia za każdym razem, gdy wykonywał kolejne zadanie? Zawsze twierdził, że w konkretnej sytuacji każdy sam sobie zapewnia szczęście. Szczęście, które może trwać nieograniczenie lub odstępuje w jednej chwili.

Czy od niego szczęście miało się właśnie odwrócić?

–To wspaniała wiadomość! – wykrzyknęła Sabrina, gdy Rust zrelacjonował im treść ostatniej rozmowy z Whitlockiem. – Zastanawiające jest to, w jaki sposób pułkownikowi udało się tak szybko umieścić zdjęcie w archiwum rizańskim?

–Sześć lat temu do specnazu trafił nasz człowiek, wyższy oficer. Zna go jedynie pułkownik, Siergiej i ja. Zeszłej nocy podrzucił fotografię, a poza tym miał jeszcze niezbędny kod dostępu. Dzięki temu mógł ją w komputerze antydatować, aby wydawało się, że zapisu dokonano mniej więcej w tym czasie, gdy zrobiono zdjęcie. Nie było sposobu, aby człowiek Zlotina dowiedział się, że fotografię podłożono.

Sabrina spojrzała na Grahama stojącego przy oknie i spoglądającego w zamyśleniu na ulicę.

–Nad czym rozmyślasz, Mike?

–Oczywiste jest, że Zlotin ma kłopoty – odezwał się Wreszcie Graham.

–Czemu tak twierdzisz? – spytał Rust, gdy Graham nie uzasadniał swej opinii.

–Żelazną zasadą Zlotina była praca z ludźmi zaufanymi, a wierzcie mi, trzeba było piekielnie się natrudzić, by zdobyć sobie jego zaufanie. Wiecie na pewno, że miał własną elitarną jednostkę komandosów, a ci, którzy się w niej znaleźli, byli wcześniej starannie prześwietlani. Dlatego wydaje się zupełnie do niego niepodobne, że zwerbował kogoś, kogo poznał dopiero zeszłej nocy. Może to oznaczać tylko jedno: musiało się zdarzyć coś, co zmusiło go do wprowadzenia zmian w ostatnim momencie. Jannoc powiedział do C.W., że będzie musiał pilnować jakichś więźniów. Domyślam się, że Abe Silverman nie żyje. Wiedzieliśmy, że może się to zdarzyć, jeśli

na czas nie otrzyma lekarstwa. Prawdopodobnie Zlotin musiał ściągnąć kogoś w zastępstwie. Być może w grę wchodzi więcej osób. To by nawet tłumaczyło użycie przez Jannoca określenia „więźniowie”...

–Przecież teczki były zaszyfrowane osobistym kodem Abego – wtrącił Rust. – Nikt inny nie wiedział, jak złamać jego szyfr. W tym leżało sedno tej operacji.

–I to stworzyło Zlotinowi możliwość improwizowania najlepiej, jak potrafi.

–Oczywiście – przyznała Sabrina, strzelając palcami. – Wprowadzi kogoś, kto myśli podobnie jak Abe. Kogoś, kto z nim pracował.

–Albo kogoś, kto był jego uczniem – dodał Graham. – Przypuszczam, że postara się o dwóch, może trzech najsłynniejszych kryptologów, by spróbowali złamać szyfr. I skupi się tylko na tych, którzy albo pracowali z Abem Silvermanem, albo uczyli się u niego.

–Być może jesteś na jakimś tropie, Mike – stwierdził Rust po chwili namysłu. – Natychmiast skomunikuję się z pułkownikiem i postaram się, by Centrum dostarczyło nam listę najwybitniejszych kryptologów. Popracujemy nad nią. Tymczasem wy dwoje otrzymacie polecenie załatwienia niewielkiej sprawy.

–Co takiego? – zapytał podejrzliwie Graham.

–Pułkownik jest zdania, że powinniśmy niezwłocznie umieścić pluskwę u Calderego, w barze. Jeśli C.W. nie będzie mógł porozumieć się z nami, Caldere może okazać się jedynym źródłem informacji. Jest bardzo prawdopodobne, że Zlotin lub którykolwiek z jego kumpli zechcą skontaktować z właścicielem winiarni.

–Ale czy tam nie będzie się nadal roilo od gliniarzy? – spytał Graham.

–Przed chwilą rozmawiałem z majorem Inaciem, on zaś powiedział mi, że zespół sądowo-lekarski ukończył pracę w zaułku. Uliczka jest w dalszym ciągu zamknięta, a na posterunku stoi policjant.

–OK, więc jak, u diabła, mamy się tam dostać nie zauważeni? – zapytał Graham.

Rust wyjął z kieszeni pęk kluczy i wręczył je Grahamowi.

–Brygada sił specjalnych znalazła je w mieszkaniu Hardina zeszłej nocy, nim wkroczyła tam miejscowa policja. Są to duplikaty kluczy do winiarni. Jeden z nich otwiera drzwi niewidoczne z zaułka, gdzie został zabity Hardin. Tylko w ten sposób możecie się, nie zauważeni, dostać do budynku.

–To bardzo ryzykowne, Jacques – orzekła Sabrina.

**–Nie. Jeśli nikt was nie zobaczy, to nie ma ryzyka.**

**Rust wyciągnął dwa nadajniki radiowe i wręczył je Grahamowi.**

**–Jedno z was będzie musiało obserwować, podczas gdy drugie wejdzie do budynku. Nie przewiduję żadnych trudności, gdyby jednak coś się wydarzyło, wówczas musicie się natychmiast wycofać. Nie chcę żadnych starć z miejscową policją. Czy to jasne?**

**–Oczywiście – odparł Graham. – A jakie pluskwy mamy umieścić w gabinecie Calderego?**

**–Nasze standardowe CG-11 – odrzekł Rust, wręczając mu miniaturowe urządzenie podsłuchowe, zamknięte w plastikowym opakowaniu. Nie było większe niż główka zapalniczki.**

**–A może by tak założyć również podsłuch do telefonu? – zapytał Graham, chowając aparacik do kieszeni.**

**–Zrobią to jeszcze dzisiaj ludzie z brygady – powiedział Rust. – Mogą założyć podsłuch na linii, na zewnątrz budynku. Co prawda nie sądzę, by Zlotin próbował skontaktować się z Calderem przez telefon, ale musimy być przygotowani na wszelką ewentualność.**

**–A dlaczego ci faceci nie mogą założyć pluskiew w gabinecie? – zapytała Sabrina. – Gdyby pojawiły się jakieś problemy z miejscową policją, mogliby usunąć je mocą swej władzy i zakończyć w ten sposób sprawę.**

**–Pułkownik chce, by przeszukać bar, a obaj zgadzamy się, że to wy macie sprawdzić lokal. Rozliczają nas w ONZ-cie za zawalenie sprawy z teczkami, więc gdyby udało nam się znaleźć coś specjalnego, to z pewnością zagrałoby na naszą korzyść w odpowiednim momencie.**

**–Kto będzie prowadził nasłuch? – zapytał Graham.**

**–Brygada sił specjalnych. Będą składać meldunki bezpośrednio majorowi, on zaś ma przekazywać istotne informacje mnie.**

**–A gdzie w tej chwili znajduje się Caldero? – zainteresowała się Sabrina.**

**–W domu, ze swą rodziną. Winiarnię ma otworzyć dopiero po południu. Macie mnóstwo czasu na przeszukanie lokalu.**

**Rust patrzył za nimi, gdy szli w stronę drzwi.**

**–I pamiętajcie, co powiedziałem: żadnej konfrontacji z miejscową policją. Wynoście się natychmiast, gdyby pojawiły się najmniejsze oznaki kłopotów.**

**Udali się do swoich pokoi, zabrali beretty w kaburach na szelkach i spotkali się w foyer. Wyszli bocznymi drzwiami i przedostali się do miejsca na tyłach hotelu, gdzie stał niebieski passat, zaparkowany przez członka sił specjalnych. Sabrina wyjęła z kieszeni kluczyki i usiadła za kierownicą. Graham rozejrzał się powoli wokół. Zadowolony, że nikt ich nie śledził, usiadł obok niej. Posługując się szczegółową mapą ulic bezpośrednio otaczających hotel, zdołali, skręcając kilkakrotnie, przedostać się na główną arterię, niewidoczni od strony frontowego wejścia do hotelu. Sabrina pojechała na Stare Miasto i zaparkowała w miejscu, z którego było widać budynek.**

**–Tam jest gliniarz – wskazał Graham. Przed taśmą odgradzającą zaułek stał umundurowany policjant. – Do diabła, to przecież rekrut. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat.**

**–Założę się, że w tej chwili myśli o wszystkich innych miejscach, w których mogłyby się znajdować rankiem Bożego Narodzenia – oświadczyła z uśmiechem Sabrina.**

**–Musisz go mieć bez przerwy na widoku – rzekł Graham, sięgając do klamki. – I zawołaj mnie, jeśli postanowi przespacerować się.**

**–A ty dokąd się wybierasz? – spytała Sabrina.**

**–To głupie pytanie – odciął się Graham.**

**–Bynajmniej, jeśli masz zamiar pójść do winiarni. Jacques chce, by przeszukać gabinet Calderego, prawda?**

**–Taa. No i?**

**–Od kiedy umiesz czytać po portugalsku? – spytała, unosząc pytająco brwi.**

**Graham zaklął ze złością pod nosem i opadł na siedzenie. Po chwili wyjął z kieszeni klucze oraz urządzenie podsłuchowe i wręczył je Sabrinie.**

**–Musimy utrzymywać kontakt przez radio. Lepiej będzie, jeśli to ty nadasz pierwsze wezwanie. Odzywaj się, powiedzmy, co pięć minut, po prostu by mieć pewność, że wszystko dzieje się zgodnie z planem.**

**–Zgoda.**

**–Powodzenia – zawołał za nią Graham, gdy wysiadała z wozu.**

Przeszła przez ulicę i, rzuciwszy okiem na policjanta, pozwoliła sobie na lekki uśmiech, gdy zauważyła, że w roztargnieniu roztrząsa ziemię czubkiem buta. Luźna odzież, włosy wepchnięte pod czapkę z daszkiem, bardzo delikatny makijaż sprawiły, że nie przyciągała lubieżnych spojrzeń przedstawicieli płci przeciwnej. Jej mała wyprawa powiodła się. Przemknąwszy przy bocznej ścianie budynku, znalazła się w wąskim zaułku. Był pusty. Zatrzymawszy się, by nałożyć skórzane rękawiczki, wyjęła z kieszeni klucze i przyjrzała się zamkowi w drzwiach. Mógł do niego pasować którykolwiek z pół tuzina kluczy z pęku. Wsunęła pierwszy i spróbowała go obrócić. Nic. Zrobiła to samo z drugim i trzecim. Również nic. Czwarty nawet nie pasował do dziurki. Piąty okazał się właściwy. Uchyliwszy drzwi, weszła ukradkiem do środka i szybko zamknęła je za sobą. Znalazła się w wyłożonym dywanem korytarzu. Prowadził do wahadłowych drzwi, dla których równie dobrym miejscem mógł być jakiś saloon na Dzikim Zachodzie. Wychodziły aa salon gry, o czym wiedziała wcześniej, po obejrzeniu pośpiesznie naszkicowanego planu lokalu, pozostawionego dla nich w samochodzie. Wyjąwszy szkic z kieszeni, zorientowała się we wnętrzu, po czym weszła do sali gier i udała się w stronę schodów po przeciwnej stronie. Dotarwszy do ich szczytu, ostrożnie przeszła korytarzem, aż wreszcie znalazła drewniane drzwi z napisem złotymi literami *Luis Caldere - Gerente*. Znow musiała wypróbować kilka kluczy, nim odszukała właściwy.

W gabinecie nie dało się nie zauważyć biurka. Jego właściciel nie przywiązywał większej wagi do porządku. Na blacie walały się segregatory i teczki, pomieszane z luźnymi kartkami zawierającymi umowy i faktury. Obok przepelnionej popielniczki leżał nie dojezdzony kawałek pizzy, a wyszczerbiona filiżanka kawy stała niebezpiecznie blisko skraju blatu. Sabrina skierowała spojrzenie na oprawioną fotografię, wiszącą pośrodku ściany za biurkiem. Ukazywała uśmiechniętego właściciela lokalu, obejmującego ramieniem jakiegoś zwanego mężczyznę w smokingu. Wyciągnęła z kieszeni CG-11 i ostrożnie wyjęła je z plastikowego opakowania. Potem, włożywszy pudełko do kieszeni, powoli rozejrzała się po pokoju, by zdecydować, gdzie najlepiej będzie umieścić podsłuch. Rozpatrzyła wiele możliwości, włącznie z pojemnikiem na pióra oraz sztucznym kwiatem na szafce kartotecznej za biurkiem, i wreszcie postanowiła ukryć urządzenie wewnątrz jednego z gniazdek elektrycznych, których cały rząd znajdował się w ścianie na prawo od biurka. Wyjęła z kieszeni nóż szwajcarski, przysiadła obok gniazdek i wyciągnęła z oprawki to najbliższe. Otwarcie gniazodka, umocowanie wewnątrz maleńkiego aparaciku i włożenie gniazodka na miejsce trwało krócej niż minutę.

Przysunąwszy się do biurka, zaczęła przeglądać luźno leżące papiery, bardzo uważając, by pozostawić je dokładnie tak, jak leżały. Gdy przejrzała stos, dostrzegła na spodzie otwarty terminarz. Zagryzła wargi, ostrożnie wyciągając notatnik spod faktur, a potem przebiegła wzrokiem odręczne bazgroły w nadziei, że odkryje coś, co okaże się pomocne w sprawie. Większość notatek dotyczyła spotkań, a przynajmniej tak się wydawało. Najpierw były wypisane nazwiska, a obok nich w nawiasie

zaznaczono godziny. Wiele nazwisk powtarzało się regularnie. Wszystkie należały do Portugalczyków. Sabrina doszła do wniosku, że byli to albo przedstawiciele handlowi, albo koledzy po fachu właściciela klubu. Sfotografowała po kolei wszystkie stronicie miniaturowym aparatem, należącym do standardowego wyposażenia każdego agenta operacyjnego. Dotarła do zapisów z ostatnich dwóch tygodni, gdy natrafiła na kartkę z jednym nazwiskiem, nabazgranym na ukos przez całą stronicę. Pod nim zanotowano coś, co uznała za numer telefoniczny. Nazwisko była łatwe do rozpoznania. Berger. Szybko sfotografowała stronicę i odwróciła kartkę. Znow pojawiło się nazwisko Bergera, a pod nim W nawiasie figurowało słowo *meio-dia*, południe. Na kolejnej stronicy znalazła notatkę: *Saisse, Aeroporto, 4.45 po południu*, a pod nią numer telefoniczny. Sfotografowała i tę stronicę. Dwukrotnie jeszcze pojawiało się nazwisko Bergera, z adnotacją *meio-dia* w nawiasie, i raz nazwisko Saisse, z tym samym co poprzednio numerem telefonu. Starannie umieściła notatnik na jego miejscu na biurku i skontaktowała się z Grahamem.

–Zrobiłaś wszystko? – zapytał Graham.

–Tak. Znalazłam też jego terminarz.

–I co? – usiłował ją ponaglić.

–Są notatki dotyczące Saisse’a i Bergera. Sfotografowałam wszystko, co może się nam przydać. Teraz przeszukam biurko. Dzieje się coś na zewnątrz?

–Nic – odrzekł Graham. – Chłopak nie ruszył się z miejsca. Ile czasu może ci to zająć?

–Trudno powiedzieć – odparła. – Zależy, co jeszcze znajdę.

–OK, zgłaszaj się regularnie. Bez odbioru.

Sabrina przeszukała szuflady biurka, ale nie znalazła nic ważnego. Sprawdziła także, czy czegoś do nich nie przyklejono. Następnie zajęła się szafkami kartotecznymi. W dwóch pierwszych szufladach natrafiła na pliki faktur, a trzecia okazała się zamknięta. Jeden z kluczy Hardina pasował do dziurki. Wyciągnęła szufladę. Na podniszczonym dzienniku leżał pistolet. Odsunęła broń i wyjęła dziennik. Przejrzała go. Były w nim zapisy przychodu w każdym dniu przez ostatnie trzy miesiące. Bezużyteczne informacje. Przerzuciła stos teczek. Pod ostatnią znalazła czerwoną książeczkę z tuzinami nazwisk, w większości z adresami i numerami telefonów.

–Sabrina, zgłoś się. Odbiór – rozległ się zaniepokojony głos Grahama.

Natychmiast odpięła radio od paska.

–Co się stało, Mike?

–Kłopoty – brzmiała odpowiedź. – Chłopak przed chwilą otrzymał wiadomość przez radio i teraz zmierza do drzwi, przez które dostałaś się do knajpy. Zabieraj się stamtąd.

–Właśnie znalazłam książkę adresową Calderego. Muszę ją sfotografować.

–Zapomnij o tym. Jeśli gliny dostały jakiś cynk, mogą tu być w mgnieniu oka. Jacques nie życzył sobie żadnych kłopotów z miejscowymi gliniarzami. Wynoś się natychmiast.

–Gdzie jest teraz chłopak? – zapytała, zamykając szufladę.

–Stoi w pobliżu drzwi. Możliwe, że czeka na posiłki. I zdaje się, że ma w zasięgu wzroku wszystkie wyjścia. Będziesz musiała wydostać się przez jakieś drzwi po drugiej stronie budynku. Spróbuję odwrócić jego uwagę, a ty postaraj się wyslizgnąć z zaułka. Podejmę cię przy następnym kwartale.

–Zrozumiałam.

–Wezwij mnie, gdy tylko znajdziesz się na miejscu.

–Potwierdzam, zrobi się. Bez odbioru.

Przyczepiła radio do paska i spojrzała na książeczkę adresową w dłoni, a potem na zamkniętą szufladę przed sobą.

–A, do diabła – powiedziała do siebie i wsunęła książeczkę do kieszeni.

Sprawdziła jeszcze, czy gabinet jest dokładnie w takim stanie, jak go zastała, wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Idąc pośpiesznie korytarzem, rzuciła okiem na plan pomieszczeń i zeszał schodami do sali gier. Nie skierowała się jednak do korytarza, którym poprzednio przechodziła, lecz zręcznie wsunęła się za kontuar barowy i trafiła do małej kuchenki. Stamtąd były dwa wyjścia. Drzwi na lewo prowadziły do głównego pomieszczenia barowego, gdzie wraz z Grahamem po raz pierwszy spotkali Hardina i Calderego. Drugie wychodziły na zaułek, w którym zginął Hardin. Podeszła do nich. Wewnętrzne zasuwki były odsunięte. Odpięła radio i zbliżyła je do ust.

–Zgłoś się, Mike. Odbiór.

–Jesteś gotowa?

–Tak. Czy gliniarz wciąż stoi przy tamtych drzwiach?

–Taa. Nigdzie się nie rusza. Daj mi trzydzieści sekund, a potem wynoś się do

**wszystkich diabłów.**

**–Zrozumiano, zrobi się. Bez odbioru.**

**Z przegródki na rękawiczki Graham wyjął plan miasta, a potem wysiadł z wozu i podszedł do policjanta.**

**–Przepraszam! – zawołał. – Czy pan mówi po angielsku?**

**–Owszem – odpowiedział policjant po chwili wahania.**

**–Co za ulga – ucieszył się Graham. – Chyba się zagubiłem. Muszę się dostać do hotelu Altis. Czy może pan mi pomóc? – Zauważył, że policjant spojrzął na ulicę. – Trochę mi się śpieszy. Przyjechałem do Lizbony tego ranka i miałem spotkać się z żoną i synem w hotelu, godzinę temu. Nie znam nawet numeru telefonu, by się z nimi skontaktować. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł mi pan pokazać na mapie drogę, którą mógłbym jak najszybciej dostać się do hotelu.**

**Policjant niechętnie wziął od Grahama plan i rozłożył go.**

**–Dziękuję – rzekł Graham, z rozmysłem odwracając się od zaułka. – Wie pan, w bagażniku mam wszystkie prezenty bożonarodzeniowe. Przywiozłem je z Nowego Jorku. Mój chłopak ma tylko pięć lat. Jeszcze nie dostał świątecznego prezentu i pewnie już patrzy na zegarek. Żona mnie zabije, naprawdę to robi.**

**–Jesteśmy tutaj – policjant wskazał na mapie ulicę. Sunąc palcem po planie, znalazł miejsce, gdzie znajdował się hotel. – Hotel jest tam.**

**–Żartuje pan – rzucił Graham, robiąc przerażoną minę. – Jak, u diabła, mam się tam dostać najszybciej?**

**Policjant zauważył jakiś ruch. Wykonał obrót w miejscu, sięgając równocześnie do kabury po rewolwer w chwili, gdy Sabrina wynurzyła się z zaułka.**

**–Parar! - warknął, rozkazując zatrzymać się.**

**Na widok wycelowanej broni Sabrina zamarła. Odruchowo skierowała spojrzenie na Grahama, który musiał się na coś zdecydować. Jeśli rozbroi policjanta, skomplikuje to sprawę jeszcze bardziej. Jeżeli Sabrina zostanie aresztowana, Rust i Inacio będą musieli mocno się natrudzić, aby uchronić ją przed oskarżeniem o włamanie.**

**Nagle w uliczkę wjechał samochód i z piskiem opon zatrzymał się obok Sabriny. Wskoczyło dwóch mężczyzn. Obaj ubrani byli w lekkie garnitury i uzbrojeni w pistolety Heckler Koch. Policjant podbiegł do nich. Graham spoglądał z niepokojem, jak jeden z nich pokazał legitymację, na której widok policjant stanął na baczność i**



zasalutował. Drugi mężczyzna pchnął Sabrinę na samochód, wyciągnął berettę z jej kabury, a potem wyjął z kieszeni kajdanki i wykręcając Sabrinie ręce do tyłu, zatrzasnął je na jej nadgarstkach. Otworzył tylne drzwi i gestem nakazał jej wsiąść do wozu. Gdy tylko znalazła się w środku, usiadł obok niej i zatrzasnął drzwiczki. Pierwszy mężczyzna odciągnął policjanta na bok, powiedział coś do niego po cichu, a potem siadł za kierownicą i uruchomił silnik.

Graham szybko wrócił do swego samochodu. Kim byli ci dwaj? Glinami po cywilnemu? Co powinien zrobić? Rust wyraźnie nie życzył sobie kłopotów z miejscową policją. W tych okolicznościach Graham nie mógł uniemożliwić aresztowania Sabriny. Pozostało mu tylko śledzić ich, a potem zameldować o wszystkim Rustowi.

Samochód odjechał spod winiarni. Graham ruszył za nim, uważając jednak, by za bardzo się nie zbliżać. W pewnej odległości od budynku samochód zjechał z ulicy i zniknął za bramą pustej parceli. Grahamowi zaczęło walić serce. Jeśli byli to gliniarze po cywilnemu, czemu tam wjechali? Wiedział, że życie Sabriny może być zagrożone. Musi dostać się do niej jak najszybciej. Zaparkował samochód, wyskoczył z niego i zaczął skradać się do drewnianego parkanu, którym parcela była ogrodzona. Wyjął berettę i, zgięty w pół, pośpieszył do bramy.

Zobaczył samochód zaparkowany mniej więcej pięćdziesiąt metrów od parkanu. Kierowca siedział w środku, a Sabrina, wciąż skuta, i drugi mężczyzna stali obok wozu. Cała trójka była zwrócona plecami do Grahama. Mężczyzna wyjął z kieszeni berettę, a po chwili drugą ręką sięgnął do nadgarstków Sabriny.

–Rzuć broń! – krzyknął Graham, celując dokładnie w plecy mężczyzny. – Rzuć i odsuń się od niej! Natychmiast!

Człowiek obejrzał się przez ramię, a potem cisnął berettę na ziemię.

–Kim jesteś? – zapytał Graham, zbliżając się.

–Kapitan Morales z brygady sił specjalnych – zabrzmiała odpowiedź. – Chciałem właśnie rozkuć twoją partnerkę. Mam kluczyki w dłoni.

Graham i Sabrina wymienili podejrzliwe spojrzenia.

–Połóż je na masce wozu! – rozkazał Graham. – A ty wyjdź z samochodu. Trzymaj ręce tak, bym je widział!

Kierowca wysiadł, trzymając dłonie daleko od ciała.

–Mogę cię zapewnić, że jesteśmy z brygady sił specjalnych. Obaj mamy legitymacje. W kieszeniach.

**–Trzymajcie ręce tak, bym je widział! – krzyknął Graham, biorąc kluczyk. Otworzył kajdanki.**

**Sabrina podniosła swój pistolet.**

**–Teraz obejrzymy legitymacje. Wyjmijcie je powoli i połóżcie na masce. Bardzo wolno.**

**Obaj mężczyźni ostrożnie wykonali polecenie. Sabrina obejrzała dokumenty i, stwierdziwszy z zadowoleniem, że są autentyczne, wsunęła berettę do kabury.**

**–Dlaczego nie pokazaliście mi legitymacji w samochodzie? Zaoszczędzilibyśmy sobie tych kłopotów.**

**–Mieliśmy jak najszybciej wydostać cię z winiarni – odparł Morales, chowając do kieszeni legitymację. – Zamierzaliśmy powiedzieć ci, kim jesteśmy, natychmiast po zdjęciu kajdanków i zwróceniu broni.**

**–Skąd wiedzieliście, że jestem w budynku? – spytała.**

**–Wszystkie rozmowy policyjne są monitorowane w naszej kwaterze głównej – odrzekł Morales. – Mieszkaniec kamienicy naprzeciw winiarni zatelefonował na policję z wiadomością, że widział, jak do budynku wszedł jakiś intruz. Na szczęście major Inacio wiedział o was. W tej sytuacji musieliśmy dotrzeć do baru jak najszybciej i wydostać cię stamtąd. W tej chwili policja już tam jest, ale major Inacio skontaktuje się ze swoim odpowiednikiem w Wydziale Badania Przestępstw Kryminalnych i wtedy zostanie odwołana. Caldere o niczym się nie dowie.**

**–Jak się wam udało dotrzeć tak szybko? – spytał podejrzliwie Graham.**

**–Jak wiesz, od dwóch dni mieliśmy winiarnię pod nieustanną obserwacją. Nasze stanowisko było na końcu ulicy. Gdyby Rosjanin lub ktoś z jego ludzi próbował skontaktować się z Calderem, wiedzielibyśmy o tym natychmiast i moglibyśmy odpowiednio zareagować.**

**–Co miałeś na myśli, mówiąc: „odpowiednio zareagować”? – zainteresował się Graham.**

**Morales wzruszył ramionami.**

**–To zależałoby od decyzji majora Inacia.**

**–Nie, nie zależałoby – zareplikował Graham. – Decyzja należałaby do nas. To nasze śledztwo, nie wasze. My tu dowodzimy. Dobrze będzie, jeśli to sobie zapamiętacie.**

**–Jesteście w naszym kraju – odparował mężczyzna stojący za Moralesem. – Dobrze będzie, jeśli to sobie zapamiętacie.**

**Morales ze złością powiedział coś po portugalsku, a potem uśmiechnął się przepaszająco do Grahama.**

**–Zdajemy sobie sprawę, że to wasze śledztwo. Mnie chodziło o to, że major Inacio, po konsultacji z waszymi przełożonymi, powie, co mamy robić. I to wszystko. – Zwrócił się do Sabriny. – Czy w winiarni znalazłaś coś ważnego?**

**–Nie miałam czasu, by się należycie rozejrzeć. Ale udało mi się pooglądać terminarz Calderego. Były w nim notatki odnoszące się do Bergera i Saisse’a, ludzi Jannoca. Sfotografowałam wszystko, co istotne. Oczywiście prześlemy majorowi kopię filmu, gdy tylko zostanie wywołany.**

**–Docenimy to. A teraz, jeśli pozwolicie, musimy wracać do winiarni. Zmienią nas nie wcześniej niż późnym popołudniem.**

**–Dziękuję za pomoc – powiedziała Sabrina, ściskając dłoń Moralesa.**

**–Nie ma za co – odrzekł, a potem, kiwnąwszy głową Grahamowi, wszedł do wozu. W chwilę później samochód zatoczył półkole i zniknął za bramą.**

**–Doskonałe posunięcie, Sabrino – warknął Graham. – Terminarz to jedyny ślad. Czy nie mogłaś przynajmniej poczekać, aż nasi ludzie wywołają film, a dopiero potem trzaskać dziobem? Nie musimy dawać brygadzie sił specjalnych takich prezentów. Jest tutaj, w Portugalii, tylko naszym pomocnikiem, nie partnerem. Postaraj się zapamiętać to.**

**–Mylisz się – odpaliła ostro Sabrina, wyciągając książkę adresową z kieszeni. – Mam znacznie lepsze źródło informacji o kontaktach Calderego. Proszę, weź ten notes, na wypadek gdybym odczuła nagłą potrzebę podzielenia się informacjami z brygadą sił specjalnych. No jazda, bierz to!**

**Graham zagapił się na notes w wyciągniętej dłoni Sabriny, a potem głęboko westchnął i usiadł na ceglach.**

**–Przepraszam, nie miałem zamiaru aż tak napadać na ciebie. To nie było właściwe.**

**Usiadła obok niego.**

**–Wszyscy jesteśmy podenerwowani, Mike. Byłoby nienaturalne, gdybyśmy tak się nie czuli.**

**–Tylko że ty, podobnie jak C.W., zawsze potrafisz opanować swe emocje. Mnie się**

to nigdy nie udawało. Nie liczę się ze słowami, gdy coś mi leży na wątrobie, nie myślę o tym, że mogę komuś wyrządzić przykrość.

–Mam grubą skórę – odparła z krzywym uśmiechem. – Cóż, muszę ją mieć znajdując się pod ciągłym ostrzałem, od czasu kiedy zaczęliśmy razem pracować.

Graham pochylił się do przodu z rękami na kolanach i spojrzał z ukosa na Sabrinę.

–Ja po prostu rozładowuję napięcie. Nie ma w tym nic osobistego, wiesz o tym.

–Tak się dzieje od początku naszej wspólnej pracy. Byłeś wkurzony, że masz partnera płci żeńskiej. Przy każdej okazji wyłaziłeś ze skóry, żeby mi dołożyć. Czy miało to charakter osobisty, czy zawodowy, nic cię nie obchodziło dopóty, dopóki wiedziałeś, że masz nade mną przewagę. Zdarzyło się nam parę gniewnych starć, prawda?

–Mówisz tak, jakby ci ich brakowało – obruszył się Graham.

–Raczej nie – padła szybka odpowiedź. – A jednak prowadziło to również do dobrych efektów. Wiele dowiedzieliśmy się o sobie, a teraz jesteśmy najlepszym zespołem partnerskim w UNACO. Cel w oczywisty sposób uświęcił środki, a ja niczego nie żałuję.

–Taa – mruknął Graham.

–Czy masz zamiar coś powiedzieć?

–Przestań, tracimy tylko czas – burknął Graham wstając. – Mamy coś do roboty.

Sabrina uśmiechnęła się do siebie. Pewne rzeczy nie zmieniły się ani trochę od chwili, gdy go poznała. Zawsze kierował rozmowę na inny temat, gdy czuł, że staje się zbyt osobista, by wyjść z niej obronną ręką. Potraktowała jako komplement to, że nie chciał dłużej dyskutować o zaletach ich partnerstwa...

–Co cię tak rozbawiło? – zapytał, dostrzegłszy uśmiech na jej wargach.

–Ty – odparła, wstając i otrzepując kurz z dżinsów.

–O co ci chodzi, do cholery?

–Nigdy nie jesteś gotów do rozmów o charakterze osobistym, prawda? Zawsze uciekasz, zmieniając temat. Pamiętaj, Mike, otwartość nie jest oznaką słabości, szczególnie gdy ktoś znajduje się wśród przyjaciół.

–O zaletach naszego partnerstwa możemy porozmawiać innym razem, oczywiście zakładając, że będzie istniało, gdy skończy się to, co nas tu sprowadziło. W tej chwili

**jednak mamy znacznie ważniejsze sprawy, na przykład: wywołanie filmu czy obejrzenie notesu, który znalazłaś w biurze Calderego.**

**–No to ruszajmy – skwitowała Sabrina.**

**–Chciałem ci jeszcze powiedzieć, iż w pośpiechu nie pomyślałaś o tym, że Caldere może nabrać podejrzeń, gdy odkryje brak książki adresowej.**

**–Jeśli policja powie mu, że duplikat kluczy do winiarni znaleziono w mieszkaniu Hardina, to myślę, że nie – odrzekła, a potem spytała: – Czy chcesz, abym to ja prowadziła w drodze powrotnej do hotelu?**

**–Wróciłem! – zawołał Ed Miller, wkraczając do domu. Zamknąwszy za sobą drzwi wejściowe, przeszedł do kuchni, gdzie znalazł Katherine Warren, zajętą przeglądaniem zawartości jakiejś teczki. W jednej ręce trzymała pióro, a w drugiej filiżankę kawy.**

**–Kto obserwuje hotel? – zapytała, nie podnosząc głowy.**

**–Miejscowy reporter nazwiskiem Damas. Ma wobec mnie pewne zobowiązania.**

**–Czy w tym mieście jest chociaż jedna osoba, która nie miałaby wobec ciebie pewnych zobowiązań?**

**–Jedna lub dwie, ale dotrę do nich.**

**Miller postawił na stole dwa pudełka z pizzą.**

**–Wydaje się, że to najbardziej przypomina świąteczny lunch. Jest z indykiem.**

**–To wspaniale – odparła z roztargnieniem, a potem wyprostowała się na krześle i rzuciła pióro na stół. – Co powiedziałeś temu miejscowemu reporterowi o Grahamie i Carver?**

**–Nic. Tego właśnie chciałaś, prawda? Dałem mu jedno zdjęcie, by mógł ich rozpoznać. Ma ich śledzić, jeśli opuszczą hotel, i poinformować nas, dokąd się udali. Wówczas my będziemy mogli ich obserwować.**

**Miller usiadł i wskazał palcem teczkę.**

**–Co tam masz?**

**–Odrabiałam małe zadanie domowe, w czasie gdy ty pilnowałeś hotelu – powiedziała. – Znalazłam nazwisko człowieka, którego Graham i Carver odwiedzili dziś rano w szpitalu.**

**–Siergiej Kolczyński?**

**–Skąd o tym wiesz? – zapytała zaskoczona Katherine.**

**–Ja też odrobiłem małe zadanie domowe dziś rano – odrzekł z uśmiechem Miller. – Korzystając z telefonu w samochodzie, zadałem kilka dyskretnych pytań. Pomogło mi to rozproszyć nudę. A więc czego się dowiedziałeś o Kolczyńskim?**

**–Był ważnym członkiem zespołu UNESCO, przybywającego tu w celach badawczych – odparła. – Poszłam do szpitala, ale okazało się, że nikt niczego nie wie o jego stanie zdrowia. Nie chciałam naciskać, by nie dotarło to do Grahama albo Carver. Nie chcę żadnego alarmu. Musimy rozgrywać tę grę z kartami przy piersi, przynajmniej dopóty, dopóki nie zdobędę dość materiału, aby rzucić im w twarz, że są związani z UNACO.**

**–Potrzebujesz jakichś dowodów? Zakładam, że słyszałeś o jakoby nie spowodowanym incydencie w porcie lotniczym. Trzej zamaskowani mężczyźni napadli na grupę pasażerów, którzy mieli właśnie wsiadać do samolotu odlatującego do Nowego Jorku.**

**–Oczywiście, pisano o tym w gazetach. Według opinii władz sprawcami zajścia byli lewicowi terroryści. Ma to podobno związek z wyborami parlamentarnymi w przyszłym miesiącu. Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego z Kolczyńskim? – Nagle pochyliła się do przodu, wlepiwszy wzrok w twarz Millera. – Czy on był jednym ze zranionych podczas ataku?**

**–On był jedynym zranionym podczas ataku – poprawił ją Miller.**

**–Ed, powiedz mi wszystko, co wiesz – zażądała, wyjmując z torebki, zawieszanej na oparciu krzesła, minimagnetofon.**

**Miller położył swą dłoń na jej ręce, by powstrzymać ją od włączenia aparatu.**

**–Muszę ci wyjaśnić, że jedynym powodem, dla którego mój informator zgodził się współpracować, jest to, że mam pewne fotografie. Ujawnienie ich zniszczyłoby nie tylko jego karierę, ale także małżeństwo. Ani żona, ani żaden z kolegów w policji nie wiedzą o jego skłonnościach do młodych chłopców. Obiecałem mu, że pozostanie anonimowy i mam zamiar dotrzymać słowa. Ustalmy to, zanim będę kontynuował.**

**–Ed, ni cholery nie obchodzi mnie jego zboczenie, chcę tylko wiedzieć, co ci powiedział – oświadczyła Katherine, włączając aparat.**

**–Czasami bywasz prawdziwie zimnokrwistą suką, wiesz o tym?**

**–To należy do mego zawodu – padła zwięzła odpowiedź. – A więc co ci powiedział?**

Miller wyjął z kieszeni pudełko papierosów, wziął jednego i zapalił.

–Historyjkę o ataku przeprowadzonym przez miejscowych terrorystów przekazała prasie brygada sił specjalnych, portugalska jednostka antyterrorystyczna. Przejęła śledztwo od miejscowego wydziału kryminalno-śledczego, ale zanim to nastąpiło, mój informator otrzymał wstępny raport od jednego z oficerów, który był na miejscu zbrodni. Stwierdzał w nim, że zabito czterech ludzi, w tym trzech sanitariuszy, jeden człowiek został ranny, a jeden uprowadzony. Wszystko wskazywało na bardzo profesjonalną operację. Z pewnością nie był to mało znaczący atak grupy terrorystów.

Katherine oblizwała wargi w podnieceniu.

–Co się stało z Kolczyńskim?

–Pocisk trafił go w brzuch. Jego stan był bardzo ciężki, ale operacja się udała i lekarze są teraz pewni, że wyzdrowieje. – Miller zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym na sufit. – Kolejne wiadomości są bardzo interesujące. Brygada sił specjalnych podała, że nazwisko zabitego brzmiało Carlos Pereira i że był miejscowym biznesmenem. Nazwisko było prawdziwe, ale nie zawód. Porucznik Carlos Pereira służył w brygadzie. Podróżował do Nowego Jorku wraz z Kolczyńskim i jeszcze drugim człowiekiem, niejakim Abem Silvermanem.

–I to Silvermana porwano? – wyciągnęła wniosek Katherine.

Miller skinął głową.

–Był podobno pracownikiem UNESCO. To wszystko, co o nim zdołał ustalić mój informator, a przynajmniej tak twierdził. Silverman podróżował z paszportem izraelskim, więc zatelefonowałem do paru znajomych dziennikarzy w Tel-Awiiwie. Jeden z nich nigdy o nim nie słyszał. Drugi, znawca służb wywiadowczych Izraela, powiedział mi, że Silverman był przez pewien czas w latach osiemdziesiątych szefem wydziału kryptologicznego Mossadu.

–Tak więc, jeśli Silverman pracował dla UNACO, mógł wieść do Nowego Jorku jakieś szyfrowane dokumenty – wywnioskowała Katherine. – To z pewnością tłumaczyłoby obecność ochroniarza, prawda?

–Nie tylko to. Kimkolwiek był sprawca napadu, można przypuszczać, że polował właśnie na niego – dodał Miller. – Bez Silvermana szyfrowane wiadomości byłyby bezużyteczne. I z tego powodu mogli go porwać. Był potrzebny do odszyfrowania dokumentów.

–Wobec tego Graham i Carver są tu po to, by odnaleźć Silvermana – powiedziała Katherine. – Ed, to może być dynamit, ale w tej chwili to czyste domysły. Potrzebna

**nam jest kopia raportu przesłanego twemu informatorowi, nim wydział kryminalny został odsunięty od śledztwa – dokończyła, wyłączając magnetofon.**

**–Katherine, on nie może być w to wmieszany – szybko odrzekł Miller. – Jesteś dziennikarką i dobrze wiesz, jak ważne jest zachowanie anonimowości informatorów.**

**–Ani jeden z moich informatorów nie jest pedofilem – odcięła się Katherine. – Chryste, Ed, przecież ty pogardzasz takimi ludźmi jak on, nie mniej niż ja.**

**–Czy nie stwierdziłaś parę minut temu, że nie obchodzi cię jego zboczenie? – zapytał Miller, patrząc jej prosto w oczy.**

**–Powinieneś teraz jednoznacznie odpowiedzieć sobie, wobec kogo chcesz być naprawdę lojalny, Ed – odpaliła ze złością Katherine. Podniosła rękę i uśmiechnęła się miło. – Przepraszam, nie miałam zamiaru tak warczeć na ciebie. To dlatego, że czuję się jak osioł w kagańcu, z marchewką przed nosem.**

**–Interesująca metafora – zauważył Miller, gasząc papierosa.**

**Zadzwonił telefon.**

**–Przepraszam – powiedział Ed, a potem zniknął w holu, by przyjąć rozmowę.**

**Katherine skuliła się w fotelu i przetarła twarz dłońmi. Wiedziała, że Miller ma rację, ale zdawała sobie sprawę, iż nie wydrukują w gazecie historii opartej na relacji z drugiej ręki, i to pochodzącej z anonimowego źródła. Musi mieć ten raport. Podniosła się z fotela i poszła do kuchni. Z chłodziarki wyjęła dietetyczną pepsi. Zamykając drzwi, zauważyła marynarkę Millera, leżącą na pralce stojącej w kącie. Wiedziała, że Ed nigdzie się nie rusza bez książeczki adresowej, wypełnionej nazwiskami. Wsunęła rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i znalazła ją. Ukryła książeczkę w teczce. Gdy wróciła do pokoju, zastała Millera uśmiechającego się do siebie z zadowoleniem.**

**–Wyglądasz jak kot, który właśnie wypił resztę śmietanki – powiedziała, cisnąwszy pustą puszkę do kosza na śmiecie.**

**–To był mój stary kolega, Igor Kolanin, zastępca redaktora naczelnego „Prawdy”. Telefonowałem do niego dziś rano. Chciałem go zapytać, czy nie mógłby się dokopać do czegoś o naszym przyjacielu Kolczyńskim.**

**–I? – niecierpliwiała się Katherine.**

**–Kolczyński był w KGB – odrzekł Miller siadając. – Parę lat temu opuścił tę „firmę”, by przyjąć inną posadę. Nikt jednak nie wie, gdzie się ulokował. Zdaje się, że informacja jest utajniona.**



**–Dokładnie tak, jak informacja Langley o Grahamie i Carver – dodała Katherine.**

**–No właśnie. A to pozwala przypuszczać, że łączy ich UNACO – dokończył Miller.**

**–Nie, dopóki nie ma raportu.**

**–Wiesz doskonale, że nie mam zamiaru ujawniać nazwiska mego informatora – stwierdził Miller.**

**–Ale to nie oznacza, że powstrzymam się od tropienia go, prawda?**

**–A jak zamierzasz to zrobić?**

**Katherine otworzyła teczkę i podniosła do góry czarny notatnik.**

**–Zakładam, że gdzieś tutaj jest nazwisko twego informatora. Zatelefonuję pod wszystkie miejscowe numery, aż go w końcu znajdę. To nie będzie miało zbyt dobrego wpływu na nasze interesy, nieprawdaż?**

**–Zrobiłabyś to bez względu na wszystko – syknął Miller.**

**–Ed, to nie jest jakiś tam reportaż. Taka sprawa zdarza się raz w życiu. Chcę ją mieć. I niech mnie diabli, jeśli pozwolę sobie stracić szansę uzyskania niezbędnego dowodu tylko dlatego, że ty chcesz chronić jakiegoś zbroczony skurwysyna, który już lata temu powinien być wtrącony do więzienia.**

**–Świetnie nadajesz się do gadania o moralności w takiej chwili. Dokręcasz mi śrubę, mając na względzie tylko swój reportaż. Czy nasza przyjaźń nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?**

**–Świetnie nadaję się do gadania o moralności, tak? – Katherine pochyliła się do przodu, z rękami złożonymi na stole. – A co powiesz o twej maleńkiej zagrywce, gdy byłeś korespondentem zagranicznym w Salvadorze? Dałeś cynk wojsku o obozie powstańców po to tylko, by być na miejscu i fotografować, gdy przybędzie armia. Tyle że w obozie znajdowały się kobiety i dzieci, a nie wymachujący bronią rebelianci. Ilu niewinnych straciło życie wskutek twego anonimowego donosu?**

**–Cholernie dobrze wiesz, że nie miałem pojęcia, iż są tam kobiety i dzieci – odpowiedział Miller, przecierając wierzchem dłoni spocone czoło. – Ta sprawa będzie mi towarzyszyć przez resztę mego życia. Chryste, nie powinienem był ci nigdy o tym mówić.**

**–Dochowam tajemnicy – odparła. – Ed, oboje należymy do tego samego gatunku. Zapewne z tego powodu nasza przyjaźń trwa tak długo. Szanujemy się nawzajem, ale też nawzajem popodrzynalibyśmy sobie gardła za dobry reportaż. Nie opowiadaj, że**

nie oszwabiłbyś mnie, gdyby role się odwróciły. Za dobrze cię znam.

–To cię będzie drogo kosztować, Katherine Warren – stwierdził Miller, celując w nią palcem. – Co takiego możesz mi zaoferować, bym poświęcił mego czołowego informatora w wydziale kryminalnym?

–A co byś powiedział na propozycję zamieszczenia twojego nazwiska na tytułowej stronie w „New York Sentinel”, jako współkorespondenta. Czegoś takiego nigdy nie miałeś, prawda?

–Nazywa się Antonio Gonzalez, kapitan Antonio Gonzalez. Pozwól jednak, że ja będę załatwiać z nim ten interes.

–W porządku – odrzekła Katherine, a potem wstała i podeszła do drzwi. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że skorzystam z twojego telefonu? Muszę złożyć Louise życzenia świąteczne, inaczej ona nigdy mi nie wybaczy.

–Dzwon – odparł Miller. – Nawiasem mówiąc, jak się ma twoja siostrzyczka?

–W tej chwili jest na mnie śmiertelnie wkurzona za to, że nie obchodzę Bożego Narodzenia z resztą rodziny. Ale ona zawsze bardziej ceniła sobie życie rodzinne. Zapewne z tego powodu jej małżeństwo trwało tak długo. Moja mała, macierzyńska siostrzyczka.

–Ucałuj ją ode mnie, dobrze?

–Z pewnością – brzmiała odpowiedź. – O, i nie zapomnij życzyć ode mnie Larry’emu Wesołych Świąt! – zawołał za nią Miller.

Katherine wyjrzała spoza drzwi. Uniosła w górę magnetofon.

–Mam przecucie, że będzie mu wesoło, gdy tego wysłucha. Wątpię, by trafił mu się lepszy prezent.

Zlotin bezbłędnie wylądował na pasie startowym. Dwusilnikowy samolot Piper Navaho zatrzymał się kilkanaście metrów od hangarów. Zlotin zgasił silniki, rozpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi kokpitu.

–Zaczekaj tutaj.

Tyle tylko powiedział Whitlockowi, nim wysiadł z samolotu i zniknął w najbliższym hangarze.

Whitlock odpiął pas i zaklął. Gdyby mógł wiedzieć, gdzie się znajdują w tej chwili. Opuuszczając Marsylię, Zlotin zawiadomił go, że zgłosił plan lotu do Monachium. Po dwóch godzinach lotu skontaktował się z Międzynarodowym Portem Lotniczym w Monachium i poinformował, że ma kłopoty z silnikiem i wyląduje w najbliższym możliwym miejscu, by rozwiązać ten problem. Zlotin zapewnił kontrolę ruchu powietrznego w Monachium, że skontaktuje się z nimi, gdy tylko ponownie wzniesie się w powietrze. Ale Zlotin nie wylądował. Zamiast tego zmienił kurs i zmniejszył wysokość, by uniknąć wykrycia przez radary. Whitlock kilkakrotnie próbował ustalić cel podróży, lecz jego pytania zbywane były milczeniem. Wreszcie dał sobie spokój z dociekaniem, licząc na to, że we właściwym czasie dowie się wszystkiego.

Teraz, rozglądając się wokół, Whitlock zrozumiał, że oczywiście wylądowali na opuszczonym lotnisku. Pas startowy porastały chwasty, ściany nie używanych hangarów pokrywały graffiti. Na prawo znajdowała się wieża, z powybijanymi szybami i drzwiami, które groteskowo zwisały na jednym tylko, zardzewiałym zawiasie. Jej ściany, podobnie jak hangary, pokrywały graffiti.

Po chwili Zlotin wysunął się z hangaru i podszedł do samolotu.

–OK, teraz możesz wysiadać – powiedział do Whitlocka.

–Nie ruszę się z miejsca, póki nie dowiem się, gdzie się, u diabła, znajdujemy i co, u diabła, tu robimy? – odpalił Whitlock.

Zlotin przez chwilę zastanawiał się nad wybuchem Whitlocka, a potem wzruszył ramionami.

–Wkrótce i tak się dowiesz, więc powiem ci – zgodził się. – Jesteśmy w Lipsku. To lotnisko dawniej, nim padł mur berliński, należało do wschodniemieckiej milicji.

–To jest tylko połowa odpowiedzi – rzucił wyzywająco Whitlock.

–Przylecieliśmy tu po pasażerów – wyjaśnił Zlotin.

**–Więc gdzie oni są? W hangarze?**

**–Nie, musimy ich tu sprowadzić.**

**–Mam przecucie, że oni w ogóle nie wiedzą o naszym przybyciu – mruknął Whitlock, gramoląc się z kokpitu.**

**–Nie martw się, nie sprawią nam żadnych kłopotów.**

**–Kim oni są?**

**–Ich nazwiska nic ci nie powiedzą.**

**–Skąd ta pewność? – odrzekł Whitlock.**

**Zlotin zatrzymał się przy drzwiach, z dłonią na klamce.**

**–Profesor Günter Auerbach i jego córka Lisl. Whitlock z namysłem zacisnął wargi, a potem wzruszył ramionami.**

**–Faktycznie, nie mogę powiedzieć, by te nazwiska coś mi mówiły.**

**–Tak też myślałem – odparł Zlotin.**

**Myśli Whitlocka galopowały. Choć nigdy nie zetknął się z Günterem Auerbachem, oczywiście słyszał o nim. Gdy Auerbach miał czternaście lat, był wschodniemieckim czempionem w grze w szachy. Już wówczas wywiad Niemiec Wschodnich widział w nim przyszłego rekruta, po tym jak jego ojciec, wyższy oficer w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego, został zdemaskowany jako podwójny agent, pracujący dla CIA. Na kilka godzin przed aresztowaniem starego Auerbacha, jego żona i syn zostali wywiezieni z kraju przez ludzi z podziemia politycznego. Już nigdy Günter nie miał ujrzeć ojca. Po ukończeniu studiów na Sorbonie i po uzyskaniu doktoratu z kryptologii zwerbował go wywiad Niemiec Zachodnich – Federalna Służba Wywiadowcza – i został najmłodszym w dziejach szefem jego specjalnego departamentu kodów i szyfrów. Stanowisko to zajmował przez siedemnaście lat, póki nie runął mur berliński. Wówczas postanowił rozstać się ze szpiegostwem. Powrócił więc do swego domu w Lipsku, wraz z córką Lisl, i objął stanowisko dziekana wydziału kryptologii na tamtejszym uniwersytecie.**

**Whitlock wiedział, że w niektórych kręgach uznaje się Auerbacha za kryptologa lepszego niż Silverman. Choć nie potrafił porównywać wartości tych dwóch specjalistów, wiedział, że Auerbach należy do czołowych kryptologów na świecie. A jeśli Zlotin potrzebował Auerbacha, oznaczało to, że coś już się stało z Silvermanem...**

**–Royce! – warknął Zlotin, stojąc w wejściu do hangaru. – Właź tutaj!**

**Whitlock szybko pośpieszył za nim. W cieniu, za pięciodrzwiowym fordem, zaparkowanym na drugim końcu hangaru, dostrzegł postać, z rękami wbitymi w kieszenie płaszcza sięgającego kolan. Twarz miała częściowo ocienioną rondem czarnej fedory.**

**–Kto to taki? – zaciekawiał się Whitlock.**

**–To mój człowiek w Lipsku. Jeden z niewielu wschodnich Niemców, którym jeszcze ufam.**

**–Czemu trzyma się w cieniu? – zapytał Whitlock, zniżając głos, gdy zbliżyli się do samochodu.**

**–Nie musisz szeptać, on nie rozumie angielskiego – stwierdził Zlotin. – Jest bardzo czujny. Jak wielu jego kolegów, musiał zejść do podziemia, gdy runął mur.**

**–Był w Stasi?**

**–W wywiadzie wojskowym – odrzekł Zlotin, a potem podszedł do mężczyzny i powiedział coś cicho po niemiecku.**

**Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki kluczyki do samochodu i wręczył je Zlotinowi. Ten otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i spojrzał na Whitlocka.**

**–Chodź, ruszamy. Nie mamy wiele czasu.**

**Zlotin zapalił silnik i z hangaru wyjechał na pas biegnący środkiem opuszczonej bazy lotniczej, potem zaś na drogę dojazdową, prowadzącą do głównej szosy do Lipska.**

**–Rosjanin mający powiązania z dawnym wywiadem wojskowym Niemiec Wschodnich? – zastanawiał się na głos Whitlock, próbując sprawdzić, ile da się wydobyć wiadomości ze Zlotina. – Wiedziałeś także, jak się poruszać po bazie, a to pozwala przypuszczać, że już bywałeś tam wcześniej. Skąd ty jesteś? GRU? KGB?**

**Zlotin spojrzał z ukosa na Whitlocka. Jego twarz pozostała bez wyrazu.**

**–Powiedziałem ci już w Marsylii, że nieważne, kim jestem. Dobrze będzie, jeśli to sobie zapamiętasz.**

**–To wariactwo – zirytował się Whitlock. – Wynajęto mnie, bym pracował z tobą, a ja nawet nie znam twego nazwiska. Tego już za wiele, cholernie za wiele, nie sądzisz?**

**–Chcę, by tak pozostało.**

**–OK, doszło do mnie – odparł zwięźle Whitlock.**

**–Dobrze. A teraz może damy sobie spokój z rozmówkami towarzyskimi.**

**–Czy mogę zadać pytanie na temat operacji, czy to też będzie uważane za „rozmówkę towarzyską”?**

**–Możesz pytać – zgodził się Zlotin, ale tonem głosu dał do zrozumienia, że niekoniecznie Whitlock otrzyma odpowiedź.**

**–Z jakiegoś tam powodu mamy porwać profesora i jego córkę oraz zabrać ich do samolotu. Już zgłosiłeś plan lotu do Monachium, więc, by uniknąć jakichkolwiek podejrzeń, będziesz musiał tam wylądować. A to oznacza, że przejdziemy przez kontrolę celną, jeśli nawet masz zamiar natychmiast odlecieć. Więc co zrobisz z naszymi dwoma pasażerami? Jeśli ich uśpisz, będziesz musiał to wytłumaczyć, gdy tylko wylądujemy. A jeśli tego nie zrobisz, w jaki sposób powstrzymasz ich przed podniesieniem alarmu?**

**–To dobre pytanie – odparł po długiej chwili Zlotin.**

**–Czy otrzymam na nie odpowiedź?**

**–Wkrótce sam się przekonasz.**

**To było wszystko, co Zlotin miał do powiedzenia.**

**Whitlock z rezygnacją wzruszył ramionami i pogrążył się w milczeniu, które trwało, póki nie podjechali przed front małego domku z czerwonej cegły, na obrzeżu miasta. Zlotin otworzył schowek na rękawiczki i wyjął pistolet automatyczny Walther P1 z tłumikiem.**

**–Czy ja to mam wziąć? – zapytał Whitlock.**

**–Nie – odparł Zlotin, wsadzając pistolet do kieszeni.**

**Wysiadł z samochodu i dróżką podszedł do drzwi frontowych. Whitlock trzymał się tuż za nim. Zlotin zastukał mocno do drzwi, a potem zwrócił się do Whitlocka:**

**–Ja poprowadzę rozmowę. Nie ma potrzeby, abyś się odzywał. A gdy wydam ci rozkaz, masz go wykonać bez żadnych pytań. Zrozumiano?**

**–Najdokładniej – odrzekł krótko Whitlock.**

**Wewnątrz domu odsunięto zasuwę i drzwi się otworzyły. Jak ocenił Whitlock, dziewczyna miała nie więcej niż szesnaście lat. Krótkie blond włosy okalały jej twarz nie tyle ładną, ile miłą.**

–Ty musisz być Lisl – odezwał się po niemiecku Zlotin, przyjacielsko się uśmiechając.

–Tak, to się zgadza – przyznała z wahaniem.

–Twój ojciec wiele mi o tobie opowiadał – kontynuował Zlotin. – Pracujemy razem na uniwersytecie. Byłem tu w pobliżu, więc pomyślałem, że wpadnę, by życzyć mu Wesołych Świąt.

–To mu sprawi przyjemność. Proszę wejść – powiedziała.

Zlotin gestem wskazał Whitlocka.

–To mój stary przyjaciel. Przyjechał tu na święta ze Stanów. Nie zrobi ci różnicy, jeśli i on wejdzie, prawda?

–Nie, oczywiście nie – powiedziała, posyłając uśmiech Whitlockowi.

–Dziękuję. – Zlotin wykonał ruch, by przepuścić Whitlocka.

–Mój ojciec jest w salonie – wyjaśniła dziewczyna, zamykając za nimi drzwi. – Na pewno nic nie słyszał. Kupiłam mu na Boże Narodzenie taśmę z *Mesjaszem* Haendla i przez cały ranek słucha tego przez słuchawki. Uwielbia muzykę klasyczną.

–A ty raczej nie, wnoszę z tonu twego głosu – rzekł Zlotin, idąc za nią ku drzwiom w głębi holu.

–Nie całkiem – odrzekła, wchodząc do pokoju.

Günter Auerbach siedział w fotelu przed kominkiem. Stopy w rannych pantoflach miał wyciągnięte w stronę ognia, głowę odchyloną do tyłu i zamknięte oczy. Rytmicznie postukiwał palcami w poręczce fotela. Lisl potrząsnęła nim łagodnie. Otworzył oczy i niechętnie zdjął słuchawki. Wstał z fotela, ale na widok pistoletu z tłumikiem w dłoni Zlotina jego uśmiech zgasł. Lisl przytuliła się do ojca, który obronnym ruchem objął ją za ramiona, nie odwracając wzroku od pistoletu.

–Kim jesteście? – zapytał, spoglądając to na Zlotina, to na Whitlocka. – Czego chcecie?

–Nieważne, kim jesteśmy – odparł Zlotin po niemiecku, robiąc krok w ich kierunku. – A chcemy odrobiny pańskiego czasu. Co najwyżej trzy dni. To wszystko.

–Co mam zrobić?

–To się okaże we właściwej chwili – rzekł Zlotin.

–Pan jest Rosjaninem, prawda? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Auerbach zauważył, że Zlotin nieco zmrużył oczy z zaskoczenia, co potwierdziło jego podejrzenie.

–Jest pan bardzo spostrzegawczy, profesorze. Ale przecież zapomniałem, że gdy był pan w BND, współpracował pan blisko z licznymi uciekinierami zarówno z KGB, jak i GRU.

–Więc skąd pan jest? KGB czy GRU? – zaatakował Auerbach z wyraźną pogardą w głosie.

–Ani jedno, ani drugie – warknął poirytowany Zlotin, a potem spojrzał na Lisl, wciąż przytuloną do ojca. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały niepewność. – Panno Auerbach, zechce pani tu podejść? – powiedział przyciszonym głosem, wyciągając w jej stronę wolną rękę.

–Nie! – wykrzyknął Auerbach, zaciskając ręce na jej ramionach. – Macie sprawę do mnie. Nie mieszajcie w to Lisl.

–Pana córka jest na swój sposób równie dla nas ważna jak pan – stwierdził Zlotin. – Nie mam zamiaru zrobić jej krzywdy, jeśli mnie pan do tego nie zmusi. Proszę wybierać, profesorze.

–Dobrze, papo, zrobię to, czego on chce – powiedziała cicho Lisl, a potem wyślizgnęła się z uścisku ojca i podeszła do Zlotina.

Rosjanin wyciągnął z kieszeni małe, metalowe pudełeczko w kształcie cygara i wręczył je Whitlockowi.

–Otwórz je – polecił po angielsku.

Whitlock wykonał polecenie. Wewnątrz znajdowała się strzykawka z igłą w plastikowym ochroniaczu. Gdy wyjął strzykawkę z pudełka, zobaczył, że jest wypełniona przezroczystym, bezbarwnym płynem.

–Pani wraz z ojcem pojedziecie z nami – powiedział Zlotin do Lisl Auerbach. – Aby zapewnić bezpieczeństwo, nie mogę ujawnić celu podróży. Informuję jedynie, że przelot samolotu potrwa kilka godzin. Podczas lotu chcę przedyskutować z pani ojcem pewne sprawy. Mając na względzie bezpieczeństwo, wolałbym, aby pani nie słyszała rozmowy. Dlatego, przed naszym przybyciem tutaj, przygotowałem środek nasenny. Zacznie działać po półgodzinie i będzie pani spała co najwyżej godzinę. Pytam uprzejmie, czy zechce pani podwinąć rękaw?

–Nie, Lisl! – wrzasnął Auerbach, robiąc krok w jej stronę. Zlotin przysunął lufę do głowy Lisl.



**–Profesorze, zaczyna pan nadużywać mej cierpliwości. Jak już wyjaśniłem pańskiej córce, środek nasenny jest całkiem nieszkodliwy. Gdybym naprawdę chciał ją zabić, mógłbym zrobić to teraz, nie sądzi pan? Więc może zechce pan usiąść, nim wydarzy się coś, czego wszyscy będziemy żałować?**

**–Zrób to, czego on żąda, papo – prosiła Lisl, tłumiąc łzy.**

**Auerbach powoli usiadł na stojącym za nim fotelu, nie odrywając wzroku od strzykawki w dłoni Whitlocka.**

**–Rób to – warknął Zlotin. – I upewnij się, że trafiłeś w żyłę.**

**Whitlock znalazł żyłę w zgięciu ręki dziewczyny i ostrożnie wbił jej pod skórę koniec igły, wpuszczając płyn do krwiobiegu.**

**–Masz pięć minut na zabranie waszych paszportów i spakowanie trochę odzieży – zwrócił się Zlotin do Lisl, a potem rozkazał Whitlockowi: – Idź z nią. Pilnuj jej. I upewnij się, że bierze ze sobą tylko ubrania.**

**Zamknął za nimi drzwi i odezwał się do profesora:**

**–Teraz, gdy pańskiej córki nie ma w pokoju, mogę panu powiedzieć, co znajdowało się w strzykawce.**

**–Co jej zrobiłeś, ty sukinsynu! – krzyknął Auerbach, podnosząc się gwałtownie.**

**–Nic. I pozostanie tak, dopóki będzie pan z nami współpracował – odpowiedział spokojnie Zlotin. – I proponowałbym, profesorze, aby przyciszył pan głos. Jestem pewien, że nie chciałby pan zastraszać swej córki bez potrzeby. No, w każdym razie jeszcze nie.**

**–Co znajdowało się w strzykawce? – zapytał z niepokojem Auerbach. Na jego twarzy malował się strach.**

**–Śmiertelny wirus, wyizolowany wiele lat temu w tajnym laboratorium wojskowym w Rosji. Najwyżej tuzin ludzi wie o jego istnieniu. Czas inkubacji wynosi z grubsza siedemdziesiąt dwie godziny. Pierwsze symptomy to lekka gorączka, utrata apetytu, niepokój i nieznaczne zaburzenia orientacji. Praktycznie są to symptomy spotykane we wściekłości. Jeśli w porę nie poda się stosownego leku, wirus zaczyna atakować centralny układ nerwowy. Sam widziałem człowieka umierającego wskutek tego rodzaju infekcji. Widok był absolutnie przerażający. Jego ciało ogarnęły gwałtowne skurcze, odgryzł sobie język, złamał obie ręce i uszkodził kręgosłup, nim wreszcie zapadł w śpiączkę. Śmierć nastąpiła po upływie trzech godzin od pojawienia się pierwszych symptomów.**

**Zlotin patrzył, jak Auerbach padł na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.**

**–Proszę się nie martwić, profesorze, istnieje antidotum. Ukończy pan dla nas pracę w określonym terminie i pana córce zostanie podane antidotum. Nic prostszego.**

**Auerbach nagle podrzucił głowę; jego oczy płonęły.**

**–A jeśli nie – wycedził – będziesz stał i patrzył, jak umiera.**

**–Z pewnością, profesorze, nie ja będę odpowiedzialny za jej śmierć, lecz pan. Pamiętałbym o tym na pana miejscu.**

**–Ty sukinsynu – warknął Auerbach, rzucając się na Zlotina.**

**Rosjanin zrobił unik przed niezdarnym atakiem, pochwycił rękę Auerbacha i wykręcił ją gwałtownie, a potem pchnął go twarzą na ścianę.**

**–Czas upływa, profesorze. Każda tracona przez pana sekunda przybliży termin.**

**–Zrobię to, zrobię cokolwiek chcesz – zgodził się Auerbach. Jego stanowczość załamała się ostatecznie.**

**–To bardzo chwalebne, profesorze – odparł Zlotin, wypuszczając rękę Auerbacha. – W strzykawce znajdował się także środek nasenny, więc proszę się nie niepokoić, gdy pana córka zaśnie w samolocie. Jak powiedziałem, skutki wirusa nie pojawią się przed upływem trzech dni. Pozostawiam panu decyzję o tym, czy powie pan jej o wirusie, czy przemilczy ten fakt.**

**–Powiem jej – powiedział pośpiesznie Auerbach. – Lisl i ja nigdy nie mieliśmy przed sobą sekretów.**

**–Dobrze. To nam rozwiąże wiele problemów. Widzi pan, będziemy musieli przejść w Monachium odprawę celną, a także w Madrycie, nim dotrzemy do celu podróży. Wspominam o tym z tego powodu, że pan lub pańska córka moglibyście na każdym z tych lotnisk zaalarmować władze i spowodować nasze aresztowanie. Musimy podjąć to ryzyko, ale ostrzegam pana, nie mam antidotum przy sobie, a nawet najwybitniejsi toksykolodzy świata nie będą w stanie przygotować odtrutki w czasie, który pozostanie do ocalenia życia pańskiej córki. Stanowię dla niej jedyną szansę. Na pana miejscu, profesorze, pamiętałbym o tym.**

**–Powiedziałem już, że zrobię wszystko, czego pan zechce – oświadczył z goryczą Auerbach.**

**Drzwi się otworzyły i weszła Lisl z torbą podróżną w dłoni. Whitlock szedł tuż za nią.**

**–Jesteśmy gotowi – zawiadomił Zlotina.**

**–Nasz wóz jest zaparkowany przed domem, profesorze – powiedział Zlotin, wskazując gestem drzwi. – Proszę iść przodem.**

**Auerbach położył rękę na ramionach Lisl i wyprowadził ją z pokoju.**

**–Moi koledzy do tej pory już ukończyli swoją część operacji i powinni być w tej chwili w drodze do bazy – rzekł do Whitlocka Zlotin, wsuwając pistolet do kieszeni. Pozwolił sobie na rzadko u niego spotykany uśmiech satysfakcji. – No, wszystko znów przebiega zgodnie z planem.**

**–Powiedziałeś to tak, jakbyś miał wcześniej jakieś trudności – stwierdził Whitlock w nadziei, że dowie się czegoś o Silvermanie.**

**–Mieliśmy chwilowe niepowodzenie – odparł zwięźle Zlotin.**

**–Jakie niepowodzenie? – dopytywał się Whitlock.**

**–To cię nie obchodzi – warknął ostro, a potem otworzył drzwi frontowe. – Idziemy, profesorze? Jestem pewien, że będzie pan chciał przystąpić do pracy tak szybko, jak tylko możliwe, prawda?**

**Wiktor Rodenko i Walentin Jemienkow nie wykonali jednak swoich zadań. Prawdę mówiąc, nic nie szło im zgodnie z planem. Żądano od nich, by pojechali dwadzieścia dwa kilometry za Porto, do malowniczego, nadmorskiego letniska Vila do Conde, gdzie – zgodnie z informacją zaufanego informatora specnazu, lojalnego wobec Zlotina – doktor Alain Fisier i jego żona Marie spędzali piąte z rzędu Boże Narodzenie. Fisier był dziekanem wydziału kryptologii na Sorbonie już od siedmiu lat i chociaż cieszył się opinią szanowanego kryptologa, Zlotin nie od razu wybrał go na partnera Auerbacha. Początkowo zamierzał sprowadzić dwóch innych kryptologów: Brytyjczyka, który pracował dla MI5, oraz Amerykanina związanego z CIA. Pojawiły się jednak trudności ze ściągnięciem ich do Portugalii w tak krótkim czasie i Zlotin zmienił decyzję. Ponieważ Fisier znajdował się obecnie stosunkowo blisko, a przede wszystkim studiował, chociaż przez krótki czas, pod kierownictwem Silvermana, przeto Zlotin wybrał jego i polecił swoim ludziom sprowadzić go wraz z żoną tak szybko, jak to będzie możliwe.**

**Tego ranka Rodenko i Jemienkow wyruszyli samochodem, który kupił Zlotin, gdy tylko przybyli do Lizbony. Obaj pewni byli, że dotrą do Vila do Conde w ciągu godziny, ale żaden z nich nie przewidział serii nieszczęśliwych wypadków, które zaczęły ich trapić podczas tak krótkiej podróży. W okolicach Porto przebili dętkę, w Matosinhos zerwał się pasek klinowy, a na drodze do Vila do Conde napotkali przewróconą ciężarówkę, która na trzy godziny kompletnie zablokowała szosę. W ten sposób do miejsca przeznaczenia dotarli dopiero po czterech i pół godziny od**

wyruszenia z Porto...

Willa Fisierów była jedną z trzydziestu usytuowanych na zboczu pagórka na obrzeżu miasta. Pejzaż zapierał dech w piersi. Od strony północnej rozciągała się mała wioska rybacka Azurara, z flotyllą drewnianych stateczków pogrążonych we śnie na cichych wodach portu. Na południu leżała Vila do Conde ze swymi rozległymi, szerokimi plażami i poszarpanymi rafami koralowymi.

–Taki widok u nas w kraju można by ujrzeć tylko z letniej daczy prezydenta – stwierdził ze zgrozą Jemienkow.

Był to dwudziestodwuletni Gruzin o chłopięcych rysach twarzy i krótko przyszyżonych włosach. Należał do najbardziej obiecujących oficerów, którzy wyłonili się w wyniku wojny w Afganistanie; wielu wojskowych uważało go za następcę Zlotina. Miał charakter, odwagę oraz, gdy było to potrzebne, potrafił być bezwzględny. Mówiono o nim jako o przyszłym dowódcy specnazu. Widziano w nim także ministra obrony w Politbiurze. Ale tak było przed zamachem. Teraz Walentin Jemienkow został pozbawiony stopnia i odrzucony przez swych przełożonych. Stał się dla nich przeżytkiem z epoki dawnego komunizmu, systemu, który nowa Rosja chciała pogrzebać na zawsze. Podczas procesu nazwano go zakałą swego kraju. Lecz Rosja Jelcyna nie była jego krajem. Już nie...

Rodenko rozejrzał się. W przeciwieństwie do Jemienkowa, widok nie zrobił na nim wrażenia. Rodenko był Litwinem, starszym od Jemienkowa o dwanaście lat. Miał tłuste włosy i szare oczy o zimnym, obojętnym wyrazie, głęboko osadzone w prostackiej, ogorzalej twarzy. Od chwili przybycia do Portugalii zapuszczał brodę. Twarda szczecina i siniak pod lewym okiem – pozostałość po ciosie Silvermana, zadany dyplomatką na lotnisku – nadawały jego twarzy groźny wygląd.

Z rozmysłem głośno zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, budząc Jemienkowa z marzeń.

–Muszę ci przerwać podziwianie widoków. Mamy robotę do wykonania i jesteśmy spóźnieni.

Jemienkow był przyzwyczajony do sarkazmów Rodenki, ale dobrze wiedział, że nie należy mu się sprzeciwiać. Przez lata widywał butnych, młodych oficerów, którzy łapali się na tego rodzaju przynętę, a gdy reagowali na sarkastyczne urągania Rodenki, obnażano ich przed frontem równych sobie rangą, często pod lufami, i batożono bezlitośnie, póki nie stracili przytomności. To był sposób Rodenki na niesubordynację. A przecież nigdy – od czasu gdy Jemienkow poznał się z nim – Rodenko nie był wzywany na dywanik za stosowanie brutalnych metod. Narażało to jedynie na szwank jego nadszarpniętą już reputację najbardziej znienawidzonego i siejącego trwogę oficera. Jemienkow nie lubił Rodenki, ale szanował go jako

żołnierza. Wiedział jednak, podobnie jak Zlotin, że to już nie był ten sam Wiktor Rodenko, który nieustraszenie wiódł swych ludzi przeciw afgańskim mudżahedinom. Zniszczyło go aresztowanie po próbie zamachu stanu i nie mógł pojąć, czemu tak wielu byłych kolegów ze specnazu zwróciło się przeciw niemu. A teraz, po przybyciu trzy tygodnie temu do Portugalii, zaczął pić. Jemienkow zauważył, że Zlotin już się niepokoi o to, iż Rodenko może w końcu doprowadzić do niepowodzenia operacji. Nie miał też żadnych wątpliwości, że Zlotin nie zawaha się przed zabiciem Rodenki, jeśli zajdzie taka konieczność... chociaż łączyła ich przyjaźń.

Rodenko mocno zapukał do frontowych drzwi, a potem cofnął się, zaciskając prawą dłoń na pistolecie Makarowa, ukrytym w kieszeni marynarki. Zatupeł parę razy niecierpliwie nogą, a potem zaklął i znów zapukał.

–Gdzie oni są? – warknął do Jemienkowa. Jemienkow osłonił twarz z obu stron dłońmi i zajrzał przez okno do salonu.

–Tu nie ma nikogo – stwierdził, potrząsając głową. – W pokoju jest porządek. Należałoby się spodziewać porzucanych gazet lub pustych szklanek, szczególnie że to Boże Narodzenie. Nie sądzę, by tu byli.

–Po tym wszystkim, co się nam dziś przydarzyło, nie powinniśmy być zaskoczeni – rzucił ze złością Rodenko.

Gdy Jemienkow rozglądał się, na balkonie sąsiedniej willi pojawił się łysy mężczyzna w szlafroku.

–Szukasz doktora, kumplu? – zawołał angielszczyzną z akcentem z Yorkshire.

Podobnie jak Zlotin, Jemienkow płynnie mówił kilkoma językami.

–Zgadza się – odpowiedział. – Wygląda na to, że nie ma ich w domu. Może wie pan, czy wyszli?

–Wyjechali wczoraj karawanikiem. Nie będzie ich przez parę dni. Doktorek prosił mnie i żonę, abyśmy mieli oko na willę. – Jesteście ich przyjaciółmi?

–Tak – odrzekł Jemienkow. – Czy orientuje się pan, dokąd pojechali?

–Gdzieś tam na północ, tyle tylko mówił doktorek. Byliśmy nieźle zaskoczeni, gdy powiedział nam, że się wybiera karawanikiem. Trudno ich posądzać o to, że są najbardziej awanturniczym małżeństwem na ziemi, co?

–Tak, wiem, co pan ma na myśli – odparł chichocząc Jemienkow. – Dlatego zwaliliśmy się tu dzisiaj, nie kłopotząc się wcześniejszym telefonowaniem. Sądziliśmy, że będą w domu.

**–Przykro mi, kumplu, ale wydaje się, że to była zmarnowana wycieczka.**

**–Dziwne, ale my również myśleliśmy o parodniowej podróży na północ. Kto wie, może nawet ich spotkamy. Czy wie pan, jakim samochodem podróżowali?**

**–To było niebieskie capri. Prosił mnie, bym pogrzebał trochę w silniku.**

**–No to dziękuję za pomoc – powiedział Jemienkow, machając do mężczyzny ręką. – Przepraszam, że pana niepokoiłem.**

**–Nie ma sprawy. Czy mam wspomnieć doktorkowi, że byliście tutaj?**

**Jemienkow wzruszył ramionami.**

**–Możliwe, że my także pojedziemy na północ. Jeśli ich nie spotkamy, zatelefonujemy do nich po powrocie. W każdym razie dziękuję.**

**Mężczyzna patrzył za nimi, gdy ścieżką wracali do miejsca, gdzie pozostawili samochód, a potem obejrzał się przez ramię na żonę, która stanęła za nim, ale tak, by nie można jej dostrzec z zewnątrz.**

**–Czemu go okłamałeś? – zapytała, marszcząc podejrzliwie brwi. – Wóz nie był niebieski i wiesz o tym.**

**–I także nie było to capri – odparł mężczyzna, wchodząc do salonu.**

**Podszedł do kredensu i na pierwszej stronie porannej gazety zapisał numer.**

**–Joe, co ty robisz? – zapytała.**

**–Notuję numer rejestracyjny, nim go zapomnę.**

**–Po co, na litość boską? – zdumiała się. – Najpierw kłamiesz, a potem zapisujesz numer rejestracyjny. Co w ciebie wstąpiło?**

**–Nie widziałaś tych typków, prawda?**

**–Nie, słyszałam tylko głos. Jak na mój gust, był wystarczająco przyjemny.**

**–To był głos cudzoziemca... Nie potrafię określić akcentu. Zaniepokoił mnie jednak ten drugi. Chryste, wyglądał parszywie.**

**–Zaraz powiesz mi, że to byli według ciebie złoczyńcy – zauważyła sarkastycznie.**

**–Coś mi się w nich nie spodobało, OK? – warknął, broniąc swego stanowiska. – A doktorek prosił nas, byśmy mieli oko na jego lokal, pamiętasz?**

**–Jeśli tak cię to martwi, to może zatelefonujesz do gliniarzy, żeby ich sprawdzili. Może to cię uspokoi.**

**–I co mam im powiedzieć? Że dwóch facetów szukało naszych sąsiadów? Raczej nie potraktują mnie poważnie, prawda? Nie, zapomnij o tym.**

**Podszedł do przesuwanych drzwi, a potem znów obejrzał się na żonę.**

**–Jeśli jednak pokażą się tu ponownie, zatelefonuję do glin. Przysięgam, że tak zrobię.**

**Jadąc do szpitala, Graham nie próbował uciec przed samochodem, w którym Katherine Warren śledziła ich już wcześniej tego dnia. Tym razem jednak za kierownicą siedział mężczyzna. Nie rozpoznali go, ale podstawowe błędy w sztuce śledzenia pozwalały przypuszczać, że był nowicjuszem w tej robocie. Dotarłszy do szpitala, stwierdzili, że parking jest zatłoczony, i tylko zbieg okoliczności sprawił, iż znaleźli miejsce blisko głównego wejścia. Natomiast nieszczęsny prześladowca, ku ich rozbawieniu, ciągle jeździł w kółko, nie mogąc zaparkować, gdy tymczasem oni wchodzili już do foyer. Pojechali windą na trzecie piętro, pokazali swe identyfikatory nowym dyżurnym strażnikom na korytarzu i pozwolono im wejść do pokoju Kolczyńskiego.**

**Choć twarz miał bladą i ciemne worki pod oczami, co podkreślało przekrwione oczy, Kolczyński mógł już siedzieć na łóżku.**

**–Jak się czujesz, Siergieju? – zapytała Sabrina. – Wyglądasz teraz znacznie lepiej niż dzisiaj rano.**

**–Czuję się znacznie lepiej. Ciągle jestem słaby, ale przypuszczam, że to nic dziwnego, szczególnie że byłem nieprzytomny przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. O, nim zapomnę, życzę Wesołych Świąt.**

**–I my tobie, Siergieju – odrzekł Graham, siadając na krześle.**

**–Coś mi się wydaje, że nie przyniosłeś dobrych nowin? – spytał Kolczyński.**

**–Teraz liczymy jedynie na C.W. – odpowiedziała mu Sabrina – a nawet nie wiemy, gdzie się obecnie znajduje. Został w Marsylii, zwerbowany przez Zlotina, ale nie mamy pojęcia, co mogło się zdarzyć później.**

**–Tak, tak słyszałem – rzekł Kolczyński. – Rozmawiałem niedawno przez telefon z pułkownikiem w Nowym Jorku. Poinformował mnie o ostatnich wydarzeniach. Więc okazuje się, że poza Zlotinem i spółką mamy też jakichś wścibskich dziennikarzy, gotowych wysmarować nazwę UNACO na całą szerokość pierwszej kolumny „New York Sentinel”.**

–I jak dotąd „Bрудny Kartel” nie wygrzebał żadnej historii, którą można by zmusić dziewczynę do porzucenia sprawy – uzupełnił Graham, potrząsając z niezadowoleniem głową. – Pułkownik nakazał im zmienić taktykę i skupić uwagę na Larrym Rynie, nowym redaktorze „Sentinela”. Jest ożeniony z siostrą tej Warren. Miejmy nadzieję, że potrafią wyszperać coś na niego. Jeśli nie, to Sabrina i ja staniemy się bohaterami pierwszych kolumn, najbardziej niechętnymi do tej roli w historii dziennikarstwa, i nie będziemy na to mogli ni cholery poradzić.

–Znajdą coś – zapewnił go Kolczyński. – Zawsze znajdują. Ciągłość istnienia UNACO tego dowodzi.

–Tak przypuszczam – rzekł Graham bez większego przekonania.

–Czy napotkaliście coś w książeczce adresowej Caldere-go? – zapytał Kolczyński.

–W dalszym ciągu analizują ją w kwaterze głównej w Zurychu, ale na razie nie znaleźli nic istotnego – odrzekła Sabrina. – Większość nazwisk to partnerzy w świecie handlu napojami alkoholowymi, odkąd przejął lokal. A zapisy w notatniku też nie wniosły nic nowego. Obok nazwiska Saisse’a był numer telefonu, który okazał się numerem zarezerwowanym w „Le Boudin”, największym kasynie Jannoca w Marsylii. Kolejna ślepa uliczka.

–Bynajmniej nie sądzę, by to była stracona sprawa – oznajmił po dłuższym milczeniu Kolczyński. – Mamy dwa atuty: C.W. zdołał znaleźć się u boku Zlotina, a Michael zna doskonale psychikę naszego przeciwnika. To daje nam szansę odzyskania teczek w stanie nie naruszonym.

–Ty też coś wiesz o Zlotinie, Siergieju – stwierdził Graham, podchodząc do okna. – I masz nade mną pewną ogromną przewagę. Poznałeś go osobiście.

Kolczyński popatrzył na Sabrinę, która z miną winowajcy skinęła głową.

–On wie o próbie ściągnięcia Zlotina do UNACO. Siergieju, musiałam mu o tym powiedzieć.

–Cóż, cieszy mnie, że to wreszcie wyszło na jaw – wyraził swą opinię Kolczyński. – I jeśli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, Michaelu, byłem temu od początku przeciwny.

–Dużo wody upłynęło od tego czasu, Siergieju – powiedział Graham, wyglądając przez okno na parking. Nie dopatrzył się ani śladu samochodu, który śledził ich od hotelu. – Jak go oceniłeś w Moskwie?

–Zachowywał się bardzo arogancko – odrzekł Kolczyński. – Takie było moje pierwsze wrażenie, a podczas kolejnych spotkań nie wydarzyło się nic takiego, co



wpłynęłoby na zmianę opinii. Bardzo jasno oświadczyłem pułkownikowi już po pierwszym spotkaniu, że nie uważam Zlotina za człowieka odpowiedniego dla UNACO. Ale wiecie, jak uparty potrafi być szef, gdy postanowi sobie coś osiągnąć. Równie zdecydowanie odpowiedział mi, że chce wprowadzić Zlotina na miejsce Jacquesa. Muszę jednak dodać, że pułkownik dysponował doskonałym dossier Zlotina. Sądzę, że ono przeważało szalę, wraz ze wszystkimi pochwałami, jakimi Politbiuro przez lata obsypywało Zlotina. Ten człowiek cieszy się opinią wzorowego żołnierza. Zdyscyplinowany, nieustraszony, gotów wykonać każdy rozkaz. Po spotkaniu z nim doszedłem jednak do wniosku, że opinia o Zlotinie i jego rzeczywisty obraz to dwie zupełnie różne sprawy, tak jakby chodziło o inne osoby.

–Taa – westchnął Graham.

–Jest jeszcze coś, co chciałem z wami przedyskutować – dodał po dłuższej chwili Kolczynski. – Jak już powiedziałem, rozmawiałem z pułkownikiem, nim tu przyszliście. Właśnie skończył rozmowę telefoniczną z dyrektorem Rosyjskiej Służby Wywiadowczej... czyli dawniej KGB. Władze rosyjskie są bardzo zaniepokojone z powodu reperkusji, które może wywołać powrót Zlotina, Rodenki i Jemienkowa do kraju, gdzie powinni odsiedzieć karę więzienia.

–O czym ty właściwie mówisz, Siergieju? – Graham podejrzliwie spoglądał na Kolczynskiego.

–Macie ich zabić natychmiast po odzyskaniu teczek – wyjaśnił zwięźle Kolczynski, patrząc Grahamowi w oczy bez zmrużenia powiek.

–A co będzie, jeśli zechcą się poddać? – spytała Sabrina.

–To bez znaczenia – stwierdził Kolczynski. – Nie można pozwolić, by powrócili do Rosji.

–Co się dzieje, Siergieju? – dociekał Graham. – Zawsze pedantycznie trzymałeś się przepisów. Jeśli którykolwiek zespół operacyjny wychylił się, ty zawsze prawieś kazanie i przytaczałeś fragmenty Karty UNACO. A w niej zaś absolutnie, kategorycznie stwierdza się, że podczas pełnienia służby agent operacyjny może użyć siły tylko w odpowiedzi na użycie siły przeciw niemu. A to nie oznacza zezwolenia na zabijanie podejrzanych, na zabijanie z zimną krwią.

–A ty zawsze stosowałeś się do przepisów? Od kiedy? – warknął Kolczynski.

–Oczywiście łamałem przepisy, ale nigdy nie zabiłem bezbronnego podejrzanego. Nigdy.

–Wiem. Nie to miałem na myśli. Może jednak wysłuchasz mnie. – Przerwał, by się skoncentrować. – Gdyby Zlotina lub jego kolegów aresztowano i przekazano

Rosjanom, istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że wkrótce po wylądowaniu na rosyjskiej ziemi zostaną ponownie zwolnieni lub odbici z więzienia. Zeszłej nocy wyborowa jednostka specnazu zdezerterowała z koszar w Riazaniu. Uważa się, że pod bezpośrednim dowództwem majora Piotra Kosłowa...

–Kosłowa? – wtrącił natychmiast Graham. – To szwagier Zlotina. Mówiono, że to liberał. Był jednym z pierwszych wojskowych, którzy potępili zamach sierpniowy i opowiedzieli się po stronie Jelcyna przeciw spiskowcom. Co ty teraz sugerujesz, Siergieju? Ze był przez cały czas w zмовie z twardogłowymi?

Kolczyński skinął głową.

–Władze odnalazły pewne kompromitujące dokumenty, które wiążą go ze Zlotinem. Obecnie, jak się zdaje, sądzą, iż postawa Kosłowa podczas próby zamachu stanu była taktyczną zagrywką.

–I w ten sposób Zlotin i twardogłowi mieliby zaufaną osobę wewnątrz specnazu? – wywnioskowała Sabrina.

–Tak to wygląda – zgodził się Kolczyński.

–Wobec tego to Kosłow mógł stać za napadem na konwój towarzyszący Zlotinowi, Rodence i Jemienkowowi w drodze do więzienia wojskowego na obrzeżu Moskwy? – rzekł Graham.

–Z całą pewnością mógł stworzyć jego koncepcję, ale gdy konwój został zaatakowany, on sam znajdował się w Gruzji.

–Alibi doskonałe. – Graham stanął w nogach łóżka. – Jaka była reakcja pułkownika na pomysł Rosjan, abyśmy my za nich odwalili brudną robotę?

–Oczywiście z miejsca go odrzucił. I musiał tak postąpić. UNACO jest organizacją apolityczną. Gdyby zgodził się na ich żądanie, a prawda wyszła na jaw, uznano by nas za morderców amatorów, działających na rzecz obcego mocarstwa. To by zagroziło całej koncepcji UNACO, a już na pewno zaszargałoby naszą, i tak nadszarpniętą, reputację wśród wielu dyplomatów w Narodach Zjednoczonych.

–To racja – stwierdził Graham.

–Oczywiście, gdybyś zamierzał to rozgrywać dokładnie wedle regulaminu – sprzeciwiła się Sabrina, spoglądając na Grahama. – Ale co się stanie, jeśli przekażemy Zlotina Rosjanom jedynie po to, by Kosłow znów go odbił? Nie tylko nasza ciężka praca pójdzie na marne, lecz Zlotin będzie miał kolejną szansę zaplanowania jakiegoś nowego sposobu rzucenia rządu rosyjskiego na kolana. To przecież ty powiedziałeś, że mamy do czynienia z fanatykami, którzy nie cofną się

przed niczym, by zrealizować swe plany. W tym zaś wypadku owe plany mogą spowodować utratę życia setek tysięcy niewinnych ludzi. Do diabła z książkowym regulaminem, Mike. Ja sama z przyjemnością wsadzę mu kulkę, jeśli skutkiem tego będzie ocalenie choć jednego niewinnego.

–A jeżeli nie będzie uzbrojony? – spytał Graham.

–Znaczyłoby to, że jest głupcem – oświadczyła zimno Sabrina.

–Tak, zdaje mi się, że rzeczywiście byłby głupcem – zgodził się Graham, ciągle jeszcze zaskoczony wybuchem Sabriny.

To była z jej strony zupełnie niezwykła reakcja. W ich partnerstwie ona zawsze reprezentowała połówkę pragmatyczną. Jakże często odgrywała rolę jego sumienia, przekonując go, by nie czynił nierozważnego kroku, naruszającego postanowienia Karty UNACO. A teraz sytuacja się odwróciła. Nagle on stał się obrońcą regulaminu. Nie przeoczył oczywiście ironii. Czy Sabrina miała jednak słuszość?

Rozległ się dźwięk pagera, noszonego przez Grahama u paska. Wyłączył go natychmiast, a potem podniósł słuchawkę telefonu na nocnym stoliku przy łóżku Kolczyńskiego i wybrał numer Rusta w hotelu.

–Właśnie telefonował major Inacio – zawiadomił go Rust. – Wpadł na ważny trop. Nie chciał się nad tym rozwodzić przez telefon. W tej chwili jest w drodze do hotelu. Chcę, abyście z Sabrina przyjechali tu tak szybko, jak tylko się da.

–Już wyruszamy, Jacques.

–Jak się czuje Serge?

Graham rzucił okiem na Kolczyńskiego.

–Znacznie lepiej. Prawdę powiedziawszy, odbyliśmy z nim interesującą rozmówkę. Opowiem ci, gdy wrócimy do hotelu.

–Będę oczekiwał – odrzekł Rust. – Przekaż Siergiejowi moje pozdrowienia i powiedz mu, że go odwiedzę, gdy tylko nadarzy się okazja.

–Zrobię to.

–O, Mike, jeszcze coś. Ani słowa o C.W. w obecności Inacia. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby o nim wiedzieć. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

–Jeśli o to chodzi, nie będziesz musiał się ze mną spierać – zgodził się Graham. – Im mniej będzie wiedzieć o tej operacji brygada sił specjalnych, tym lepiej dla

**wszystkich zainteresowanych.**

**–Oczekiwałem takiej opinii – rzekł Rust. – Więc wkrótce ujrzę was dwoje. Cześć.**

**Telefon zamilkł, a Graham odłożył słuchawkę na miejsce.**

**–Musimy wracać do hotelu – wyjaśnił Sabine, a potem zwrócił się do Kolczyńskiego: – Jacques przesyła ci najlepsze życzenia.**

**–Co się dzieje? – zapytał Siergiej. Graham wzruszył ramionami.**

**–Nie jestem pewien. Ale niewątpliwie Jacques przekaże ci wszystko, gdy tylko przyjedzie do ciebie.**

**–Wpadniemy znów w wolnej chwili – obiecała Sabrina, a potem poszła za Grahamem do drzwi.**

**–Następnym razem możecie mi przynieść coś do czytania – zawołał za nimi Kolczyński. – Człowiek nie może czytać w kółko „International Herald Tribune”, sami wiecie.**

**–A może egzemplarz Karty UNACO? – uszczypliwie dodał Graham, obejrzawszy się na niego.**

**–Myślę, Michaelu, że wolałbym kilka magazynów ilustrowanych.**

**–Coś ci wybierzemy, nie martw się – pocieszyła go Sabrina, wychodząc na korytarz. – Sądzisz, że nie miałam racji, popierając Siergieja podczas rozmowy, prawda? – zwróciła się do Grahama.**

**–Czy ja to powiedziałem? – odgryzł się Graham. – Chodźże, Jacques czeka na nas w hotelu.**

**Gdy się odwracał, by ruszyć przed siebie, chwyciła go za rękę.**

**–Mike, jesteś moim partnerem. Rozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co myślisz.**

**–Myślę, że musimy się stawić na odprawę w hotelu – powiedział, wyrywając rękę z jej uścisku. – A teraz ruszajmy.**

**–Wiesz, że mam rację – zawołała za nim, gdy szybkimi krokami przemierzał korytarz.**

**Nie obejrzał się, póki nie dotarł do windy.**

**–Idziesz, czy nie?**

**–Oczywiście – odrzekła podrażniona i pośpieszyła za nim.**

**Inacio zdążył przekazać informacje Rustowi i opuścić hotel w czasie, gdy Graham i Sabrina wracali ze szpitala.**

**–Więc co to za trop? – zapytał Graham, gdy tylko Rust wpuścił ich do pokoju.**

**–Policja w Vila do Conde, małym lotnisku dla turystów na północ od Porto, otrzymała dzisiaj telefon od kobiety. Powiedziała funkcjonariuszom, że dwaj mężczyźni wypytywali o małżeństwo zajmujące sąsiednią willę. Wydaje się, że powiadomiła policję tylko po to, by zyskać trochę spokoju i ciszy, gdyż jej mąż przez cały rano mówił jedynie o tym, jak podejrzanie wyglądał mu jeden z tych mężczyzn. Policja poradziła kobiecie, by zatelefonowała ponownie, jeśli tamci znów się pojawią, i na tym sprawa stanęła. W godzinę później przybył tam oddział z brygady sił specjalnych, by sprawdzić, co się dzieje z doktorem Alainem Fisierem, dziekanem kryptologii na Sorbonie, oraz z jego żoną. Nazwisko profesora znajduje się na liście, którą rozesłałem dziś rano do wszystkich jednostek sił specjalnych na całym świecie.**

**–I okazało się, że ci dwaj ludzie szukali Fisiera? – wywnioskowała Sabrina.**

**Rust skinął głową.**

**–Angielskie małżeństwo zostało już przesłuchane przez ludzi z brygady i mąż z całą stanowczością, na podstawie fotografii, zidentyfikował Rodenkę i Jemienkowa. Jest pewien, że to są ci sami ludzie, których widział dziś rano.**

**–Gdzie jest teraz Fisier? – zapytał Graham.**

**–Wraz z żoną wyjechał gdzieś parę dni temu karawanikiem. Skierowano już do wszystkich jednostek policyjnych rozkaz poszukiwania zarówno Fisierów, jak i obu Rosjan.**

**Także z brygady sił specjalnych wysłano w tamten rejon dodatkowy oddział, by dopomógł w poszukiwaniach Fisierów. Jest sprawą najwyższej wagi, abyśmy dotarli do nich przed Rosjanami, szczególnie w świetle wiadomości, które otrzymałem z Zurychu. Oprócz Fisiera na liście było również nazwisko profesora Günтера Auerbacha, byłego szefa kryptologii w starej Zachodnioniemieckiej Agencji Wywiadowczej, BND. Sąsiedzi widzieli dziś rano, jak profesor wraz z córką opuszczali swój dom w Lipsku, w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jednego opisano jako wysokiego, krótko przystrzyżonego szatyna, o wyraźnie wojskowej postawie. Drugi był czarny, z elegancko przystrzyżonym wąsem i w okularach.**

**–Zlotin i C.W.? – zapytał Graham.**

**–Bezwzględnie tak – odparł Rust. – Oczywiście jest, że Zlotin postanowił wprowadzić**

**Auerbacha i Fisiera, by złamali szyfry Abego.**

**–To znaczy, że Abe już nie żyje – zauważyła Sabrina.**

**–Na to wygląda, bo inaczej po co Zlotinowi jeszcze dwaj kryptolodzy – poparł ją Rust.**

**–W ten sposób zyskamy trochę na czasie – zauważył Graham. – Można uznawać Auerbacha za jednego z czołowych specjalistów w dziedzinie kryptologii, ale wydaje mi się, że nawet on niewiele zrobi z zakodowanymi teczkami, bez względu na to czy będzie miał Fisiera do pomocy. Jeśli w ogóle mógłby złamać szyfry Abego. A poza tym nie ma żadnej gwarancji, że potrafi. Wobec tego możemy się domyślać, po co Zlotin zabrał także córkę Auerbacha. Ma stanowić dodatkowy bodziec podczas łamania szyfrów.**

**–No więc im bardziej będziemy zakłócać plany Zlotina, tym więcej będziemy mieli czasu na odzyskanie teczek, nim zostaną rozszyfrowane – dodał Rust. Zwrócił się do Grahama: – Chcę, abyście ty i Sabrina koordynowali operację w Vila do Conde. Brygada sił specjalnych przetrze cię tam drogą powietrzną. Już przygotowują helikopter. W chwili gdy dotrzecie na lotnisko, będzie gotów do odlotu. Jest sprawą najwyższej wagi, abyśmy odnaleźli Fisierów wcześniej niż Rosjanie. Jeśli to się nam uda, nie tylko pokrzyżujemy plany Zlotinowi. Otworzy się przed nami możliwość aresztowania Rodenki i Jemienkowa, po prostu wpadną w pułapkę. Aresztowanie ich będzie dla Zlotina poważną porażką. Nie spodziewam się, by któryś z nich załamał się podczas przesłuchania, na to są zbyt dobrze wyszkoleni. Ale przynajmniej usuniemy ich z drogi i Zlotin zostanie sam. Wtedy właśnie może popełnić błąd, a my będziemy gotowi, by go upolować w momencie, gdy to się stanie.**

**–Teoretycznie to dobry pomysł – stwierdził Graham, rzucając Sabrinie złośliwe spojrzenie. – Oczywiście dobry dopóty, dopóki jedno z nas nie zabije ich, nim nadarzy się okazja do aresztowania.**

**–Nie wierzę w to – warknęła, podnosząc ręce. – W szpitalu jedynie teoretyzowaliśmy i to wszystko.**

**–No, ja nie tak to odebrałem – odgryzł się Graham.**

**–Chwileczkę – przerwał im Rust, nim Sabrina zdołała odpowiedzieć, i wyciągnął ręce w ich stronę. – W jednej chwili racjonalnie dyskutujemy o sprawie, a w następnej rzucać się sobie do gardła. Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się dzieje?**

**–To różnica stanowisk, nic więcej – odparł Graham, wruszając ramionami.**

**–Nigdy bym się nie domyślił – odparował sarkastycznie Rust. – A teraz może jednak któreś z was powie mi, o co w tym wszystkim chodzi?**

**Sabrina zrelacjonowała Rustowi rozmowę z Kolczynskim.**

**–Więc to była ta „interesująca rozmówka”, o której wspomniał Graham, gdy zatelefonowałem do was do szpitala?**

**–Taa – odrzekł.**

**–Siergiej nie miał prawa opowiadać wam o Koslowie – rozzłościł się Rust. – To była informacja wyłącznie dla kierowniczego personelu UNACO: pułkownika Philpotta, Siergieja i mnie. Dla nikogo więcej, a już na pewno nie dla was dwojga.**

**–Czemu nie? – zapytała Sabrina.**

**–Jak podkreślił Siergiej, pułkownik sprzeciwił się w ogóle pomysłowi wykorzystania UNACO do rozstrzygania sporów między Rosjanami. I z pewnością nie chciał także stawiać żadnego z was w kłopotliwym położeniu, co mogłoby zmienić wasze podejście do sprawy. Za to wskutek niedyskrecji Siergieja teraz jesteście skłóceni. Mogę zrozumieć, czemu to zrobił, ale to jeszcze nie jest wytłumaczenie. Powinien był być mądrzejszy. Uczciwie mówiąc, jestem trochę zaskoczony przede Wszystkim tym, że pułkownik powiedział mu o Koslowie. Ja t tego nie zrobił. Prawdę powiedziawszy, niczego mu nie opowiem o sprawie, gdy się z nim zobaczę. I wolałbym, abyście postąpili podobnie.**

**–Dlaczego? – spytała zdziwiona Sabrina. – Jacques, on jest zastępcą dyrektora UNACO. Ma prawo wiedzieć, co się dzieje.**

**–Jeśli o mnie chodzi, on w tej chwili jest zastępcą dyrektora jedynie nominalnie – stwierdził Rust. – To, co teraz wam powiem, jest tylko do waszej prywatnej wiadomości. Nie licząc pułkownika, Siergieja i mnie, nikt w UNACO o tym nie wie. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że wam powiedziałem, musiałbym się gęsto tłumaczyć.**

**–Chyba znasz nas dość dobrze, by się tego nie obawiać – powiedział Graham.**

**–Na kilka dni przed przybyciem tu, na konferencję, Siergiejowi zaproponowano stanowiska dyrektora Rosyjskiej Służby Wywiadowczej. Powiadomił pułkownika, że da mu odpowiedź po powrocie do Nowego Jorku. Ale pułkownik wie równie dobrze jak ja, że on nie odrzuci propozycji. Od chwili gdy Philpott ponownie objął stanowisko dyrektora UNACO, Siergiej nie był ani przez chwilę szczęśliwy. Uważał, że jego autorytet ucierpiał wskutek przyjęcia jego rezygnacji przez sekretarza generalnego ONZ, więc zgodził się pozostać numerem dwa przy pułkowniku tylko do końca roku. Gdyby nie otrzymał tej propozycji, prawdopodobnie przeszedłby na wcześniejszą emeryturę. Widzicie więc, że po tylu latach on wreszcie wraca do kraju. Teraz jedynie tym ma zaprzątnięte myśli.**

**–Czy obejmiesz po nim stanowisko w Nowym Jorku? – zapytał Graham.**

**–Nie, zostanę w Zurychu. Czuję, że dla UNACO mogę być użyteczniejszy w europejskiej kwaterze niż jako numer dwa przy pułkowniku.**

**–Czy znów proponują tę funkcję C.W.? – spytała Sabrina.**

**–Mówiąc uczciwie, nie wiem, *chérie* - odrzekł Rust, wzruszając ramionami, a potem posłał jej porozumiewawczy uśmiech. – A gdybym nawet wiedział, nie wtajemniczyłbym ciebie. I tak powiedziałem ci już za wiele.**

**–Dziękuję, Jacques, że wyjaśniłeś nam, jaka jest sytuacja – oznajmił Graham.**

**–Nie zapominaj o tym, gdy będziesz chciał dzielić się z Siergiejem najświeższymi nowinami. Nie zrozum mnie źle, uważam, że to fantastyczny facet. Ale musimy liczyć się z faktem, że za kilka tygodni będzie zapewne w drodze powrotnej do Moskwy, by zająć stanowisko szefa RSW, konkurencyjnej wobec nas agencji wywiadowczej.**

**–Nie martw się, podczas następnego spotkania opowiemy w innej formie to, co już wie – zapewnił Graham.**

**–W dalszym ciągu jednak może otrzymywać informacje od pułkownika – zauważyła Sabrina.**

**–Pomówię z Philpottem – odparł Rust. – Gdy tylko się dowie, że Siergiej z rozmysłem dał wam przeciek na temat Kosłowa, możliwe, iż w przyszłości będzie ostrożniejszy w rozmowach z nim.**

**–No to ruszajmy – powiedział Graham wstając. Skierował się ku drzwiom.**

**–Sabrino?! – zawołał Rust, gdy szła za Grahamem. – Pamiętaj, że należysz do jednostki międzynarodowych sił antyterrorystycznych. Wykonywanie zadań wymaga od ciebie postawy obiektywnej i bezstronnej. Czy myślisz, że my wszyscy nie zdajemy sobie doskonale sprawy z tego, co może się zdarzyć, jeśli Zlotin lub którykolwiek z jego kolegów zostaną ponownie odbici i znajdą się na rosyjskiej ziemi? Jeśli jednak zaczniemy odgrywać rolę sędziego, ławy przysięgłych i kata, staniemy się nie lepsi od nich. W przeciwieństwie do opinii niektórych azjatyckich czy afrykańskich ambasadorów przy ONZ, nie jesteśmy mordercami amatorami, stojącymi ponad prawem. Nie dostarczaj im jeszcze więcej argumentów przeciw nam, a już na pewno nie teraz, kiedy jesteśmy tak nisko notowani w Narodach Zjednoczonych. Naprawdę byłoby najkorzystniej dla nas, gdybyśmy mogli ich dostarczyć żywych, jeśli to w ogóle okaże się możliwe. Zostaną przekazani Rosjanom, najlepiej na terytorium neutralnym, a oni mogą robić z nimi co chcą. Mam nadzieję, że od razu zastrzelą sukinsynów. Cokolwiek jednak postanowią, my będziemy mieć czyste ręce. I w ostatecznym rachunku tylko to się naprawdę liczy,**



no nie?

–Odebrałam twój komunikat, Jacques – oświadczyła Sabrina.

Graham lekko położył dłoń na jej ramieniu.

–„Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż wsadzenie kulki Zlotinowi przy pierwszej nadarzającej się okazji”. Niech mnie diabli porwą, jeśli będę robił za Rosjan ich brudną robotę. I nie tylko o to chodzi. Takie działanie rzuciłoby złe światło na UNACO, które, jak to słusznie podkreślił Jacques, w tej chwili nie jest tą absolutnie najpopularniejszą agendą ONZ-tu. Musimy stawiać dobro UNACO ponad nasze osobiste uczucia. Pamiętaj o ty.

–Wiem – odrzekła cichym głosem. Rust uśmiechnął się pod nosem.

–Nigdy nie myślałem, że dożyję dnia, kiedy ostatni buntownik w UNACO szczerze opowie się po stronie zasad prawa i porządku. Chyba się zaniedbujesz, Mike.

–Taa? Po prostu mam nadzieję, że Zlotin okaże się głupcem i wyceluje do mnie z pistoletu, bo to automatycznie da mi prawo do samoobrony. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż odesłanie tego skurwysyna do Moskwy w worku na zwłoki.

– Graham otworzył drzwi. – Chodź, Sabrino, musimy zdążyć na samolot.

Po ich wyjściu Rust przez pewien czas siedział ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, a potem sięgnął po telefon, by połączyć się z Philpottem w Nowym Jorku.

Katherine Warren odłożyła słuchawkę i właśnie miała wziąć notes, leżący obok niej na stole, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe.

–Czy to ty, Ed?! – zawołała.

–Taak, a któżby inny? – odparł Miller z holu. W chwilę później wytknął głowę zza drzwi salonu. – Nie oczekiwałaś nikogo innego, prawda?

Potrząsnęła głową.

–Czy udało ci się spotkać czarującego kapitana Gonzaleza?

–Oczywiście. – Miller zdjął płaszcz i cisnął go na oparcie najbliższego krzesła. – Nagle zaczął bardzo chętnie współpracować, gdy zaproponowałem, że pokażę jego żonie i córce niektóre z fotografii... Nie sądzę, by uznał to za bardzo dobry pomysł, szczególnie że to dzień Bożego Narodzenia.

–Czy dał ci raport? – zapytała, oblizując w podnieceniu usta.

–Powiedziałem ci już, że był bardzo chętny do współpracy – odrzekł Miller, wyjmując

**z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożony dokument. – Czyta się go z fascynacją, ale nie zrozumiesz ani słowa, póki nie będę miał okazji, by go dla ciebie przetłumaczyć.**

**–No więc będziesz mógł to zrobić, gdy wrócimy z hotelu.**

**Miller, który właśnie wziął się do nalewania sobie bourbona ze stojącej na kredensie butelki, zatrzymał się i podejrzliwie obejrzał na Katherine.**

**–Dlaczegoż to my jedziemy do hotelu? Teraz będzie twój dyżur. Ja wchodzę dopiero o północy.**

**–Zmiana planu. Gdy cię nie było, miałam bardzo interesującą rozmowę z twoim kolegą Damasem. Otóż wszedł on do hotelu, by kupić sobie papierosy, a tu wychodzi z windy nasza nieustraszona para, Graham i Carver. Ale zamiast wyjść frontowymi drzwiami, wymknęli się bocznym wyjściem. Damas poszedł za nimi i zdążył zauważyć, że odjeżdżają niebieskim passatem, który parkował za hotelem. Przywołał taksówkę i pojechał za nimi na lotnisko, ale nie potrafił ustalić, dokąd oni się wybierają. I wtedy zatelefonował do mnie.**

**–A więc jeśli mieli samochód na tyłach hotelu, oznacza to, że już o nas wiedzą – stwierdził Miller, nalewając sobie porcyjkę bourbona.**

**–Też tak sądzę. Graham musiał mnie zobaczyć, być może przed szpitalem. Tylko takie wytłumaczenie przychodzi mi w tej chwili do głowy.**

**–Więc co teraz zrobimy?**

**–Zaangażujemy jeszcze paru twoich kolegów. W ten sposób będą trwać w złudzeniu, że pilnujemy białego forda przed frontem hotelu. Dotychczas posługiwaliśmy się tylko jednym wozem, więc Graham i Carver bez trudności dostrzegą go przed hotelem. Drugiego wozu użyjemy, by mieć na oku passata. Oczywiście jest, że jeżdżą passatem w sprawach służbowych, a z forda korzystają wówczas, gdy wybierają się do szpitala. Ładny trik. Ma to jednak dla nas zasadnicze znaczenie. Niech wierzą, że mają nad nami przewagę, a my możemy Wykorzystać tę sytuację jak najkorzystniej dla nas...**

**–Więc po co jedziemy do hotelu?**

**–Damas powiedział, że wynajmie samochód i za godzinę spotka się z nami na tyłach hotelu. Musimy się zorientować, gdzie najlepiej zaparkować wóz, aby ich nie przeoczyć, gdy następnym razem posłużą się passatem.**

**–Jeśli w tej chwili nie ma ich w hotelu, możemy przeszukać pokoje. Mam miniaturowy aparat fotograficzny, więc porobimy zdjęcia. Wszystko pozostawimy na swoim miejscu, tak aby nie dowiedzieli się, że złożyliśmy im wizytę.**

–Ponieważ orientują się, że ich śledzimy, z pewnością postarali się o stosowne środki ostrożności, aby uchronić się przed takimi niespodziankami. Mikrofony, może nawet ukryta kamera...

–Moim zdaniem na tym polega nasza przewaga nad nimi. Przecież oni przyjechali tu rzekomo tylko po to, by odwiedzać Kolczynskiego w szpitalu. Gdybyśmy musieli działać potajemnie, mogliby podejrzewać nas. Ale wątpię, by ich przełożony w ONZ-cie mógł zatelefonować do Larry’ego Ryana w „Sentinelu” i poskarżyć się z tego powodu, czyż nie?

–Gdyby zaś zorientowali się, że byliśmy w ich pokojach, natychmiast by zrozumieli, że odkryliśmy istnienie drugiego samochodu na tyłach hotelu. Bo jakim innym sposobem moglibyśmy się dowiedzieć, że są nieobecni? – Potrząsnęła głową. – Nie, niech sobie myślą, że my ciągle jeszcze szukamy w ciemnościach. To może jedynie zapewnić nam przewagę.

–Argument przyjęty – ustąpił niechętnie Miller. – Mam tylko nadzieję, że na koniec te wszystkie podchody w stylu płaszczka i szpady opłacą się. Bo jeśli UNACO się dowie, że jesteśmy na ich tropie, pociągnie za wszystkie sznurki, by uniemożliwić opublikowanie reportażu. I jestem po prostu zdziwiony, że przez tyle czasu pozwolono nam tropić Grahama i Carver.

–Oczywiście UNACO wie, że ich tropimy, ale w tej chwili na pewno nie życzy sobie reklamy. To zaszkodziłoby tylko poczynaniom Grahama i Carver. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Możesz być pewien, że w ONZ-cie już zadbano o to, by przechwycić mój materiał, gdy tylko Graham i Carver powrócą do Nowego Jorku. Jeśli jednak UNACO nie postara się o jakiś sądowy zakaz opublikowania w „Sentinelu”, w co i tak wątpię, gdyż jeszcze bardziej zwróciłoby to na nich uwagę publiczną, ten reportaż będzie sensacją roku i nic na to nie będą mogli poradzić. Na tym polega piękno sytuacji, Ed. Są przegrani, a to coś, co możemy wykorzystać do końca. Wierz mi, że właśnie to zamierzam.

Helikopter z Grahamem i Sabriną wylądował na boisku do piłki nożnej, blisko małego posterunku policyjnego w Vila do Conde, gdzie brygada sił specjalnych utworzyła centrum dowodzenia w celu koordynacji poszukiwań Fisierów. Samochodem policyjnym przewieziono ich na posterunek. Powitał ich mężczyzna o znajomej twarzy.

–Kapitan Morales, jeśli się nie mylę? – powiedziała Sabrina, ściskając wyciągniętą dłoń.

–Tak, miło mi znów ujrzeć was dwoje.

–Jesteście z pewnością ruchliwymi ludźmi – stwierdził Graham. – Myślałem, że ty i

**twój partner siedzicie w zasadzce przy knajpie Calderego w Lizbonie.**

**–Major Inacio wycofał mnie stamtąd wcześniej i przysłał tutaj. Będę waszym oficerem łącznikowym. Pozostawanie w stanie kawalerskim ma swoje złe strony, szczególnie o tej porze roku.**

**–Nie martw się – pocieszyła go Sabrina i wskazała Grahama. – My jesteśmy w takiej samej sytuacji. Zawsze musimy być w pogotowiu w dzień Bożego Narodzenia. Zdaje się, że to należy do naszego zawodu.**

**–Co masz dla nas? – zapytał Graham.**

**–Mam tu tuzin ludzi, współpracujących z miejscową policją i sprawdzających wszystkie pola karawaningowe w promieniu osiemdziesięciu pięciu kilometrów od miasta, ale jak dotąd nikt nie zauważył ani Fisierów, ani Rosjan – odrzekł Morales, siadając na skraju stołu koło drzwi. – Dwadzieścia minut temu samochód, którym posługiwali się Rosjanie, znaleziono porzucony w bocznej uliczce, blisko willi Fisierów. Do tej pory jednak nie wpłynęły żadne zawiadomienia o kradzieżach samochodów. W Boże Narodzenie właściciel może nawet nie zdawać sobie sprawy, że jego pojazd zniknął.**

**–Jeśli Rosjanie rzeczywiście ukradli samochód – zauważył z namysłem Graham.**

**–Co chciałeś przez to powiedzieć? – zapytał Morales.**

**–Zlotin mógł zostać zmuszony do nagłej zmiany swego pierwotnego planu, ale to nie oznacza, że nie zrobił tego bardzo drobiazgowo – oświadczył Graham. – Moim zdaniem mieli zaparkowany w pobliżu willi drugi wóz, jako rezerwę na nieprzewidziane wypadki. Ponieważ ich samochód widzieli sąsiedzi, nie ryzykowali więc i przesiedli się do drugiego. I należy liczyć się z tym, że już opracowali plan ucieczki. Urzeczywistnią go po porwaniu Fisierów. Zlotin nie pozostawia niczego na los szczęścia. Nigdy.**

**–Masz bardzo wysokie mniemanie o Zlotinie, prawda? – odrzekł Morales.**

**–Szanuję jego zawodową sprawność, sprawność kolegi po fachu, jeśli to miałeś na myśli – odparował Graham.**

**–Capitao? - odezwał się ktoś zza terminalu systemu komputerowego, ustawionego w drugim końcu pokoju.**

**–Sim? - rzekł Morales.**

**–Telefone.**

**–Quem e? - spytał kapitan, sięgając do znajdującego się za nim na stole telefonu.**

**–Sergento Branco – brzmiała odpowiedź.**

**Morales podniósł słuchawkę do ucha i w chwilę później, wzięwszy ze stołu wskaźnik, podszedł do mapy ściennej. Posłużył się nim do określenia na mapie pozycji Branca, a potem otoczył to miejsce czerwonym kółkiem. Wykrzyczawszy do telefonu serię rozkazów, odłożył słuchawkę i zwrócił się do Grahama i Sabriny.**

**–Znaleźliśmy ich – oświadczył z podnieceniem.**

**–Kogo? – Sabrina nie ukrywała ciekawości.**

**–Doktora Fisiera i jego żonę – wyjaśnił Morales. – Są pod opieką dwóch moich ludzi, którzy pozostaną z nimi, dopóki tam nie dotrzemy.**

**–Gdzie to jest?**

**Morales wskazał gestem mapę za swymi plecami.**

**–Na małym polu karawaningowym, blisko wsi Ponte de Lima. Stąd około pięćdziesięciu kilometrów na północ.**

**–A Rosjan ani śladu? – upewniła się.**

**–Na razie nie – rzekł Morales. – Pewne jest to, że przebywają gdzieś w pobliżu. W tym rejonie znajduje się niewiele pól karawaningowych. Sąsiad Fisierów, powodowany rozsądkiem, podał im fałszywe dane co do koloru i marki samochodu, którym podróżują Fisierowie. Ale to zdezorientuje ich tylko na krótki czas. Dlatego musimy wydobyć stamtąd doktora Fisiera i jego żonę tak szybko, jak tylko można. Proponowałbym, aby zrobić to za pomocą helikoptera.**

**–Dokąd zostaną przewiezieni?**

**–Mamy bezpieczny dom w Santiago. Mogą tam pozostać do czasu zakończenia tej sprawy.**

**–Na co wobec tego czekamy? – zapytał Graham, kierując się ku drzwiom.**

**Morales wydał swym ludziom liczne rozkazy i pośpieszył za Grahamem i Sabriną. Dopędził ich przed budynkiem posterunku.**

**–Chodźcie, tam jest mój wóz – powiedział, wskazując gestem białego forda, zaparkowanego po przeciwległej stronie ulicy.**

**Gdy dojechali do boiska futbolowego, pilot, uprzedzony rozkazem przez radio, był**

gotów do startu. Podbiegli do helikoptera i wgramolili się do środka. Morales nie zdążył nawet domknąć drzwiczek za sobą, gdy maszyna zaczęła odrywać się od ziemi.

–Jak daleko jeszcze? – zapytał Graham, puknąwszy Moralesa w ramię.

–Już blisko – odparł zapytany. – Cztery, najwyżej pięć kilometrów. Wkrótce będziemy w stanie...

–*Capitao, olhar!* - przerwał ostro pilot, pokazując jakiś punkt w przestrzeni.

Początkowo kapitan nie zorientował się, co pilot mu pokazuje, ale w chwili gdy helikopter wyleciał z lasu, wszyscy ujrzeni w oddali gęsty, czarny dym. Morales wyczuł instynktownie, że musi się on unosić z pola karawaningowego; lecz gdy helikopter zbliżył się, kapitan zrozumiał, że nie jest to pożar, jak początkowo sądził. Dym nie unosił się spiralą w górę, jak się dzieje nad płomieniami, lecz rozpląwał się na dużym obszarze, przykrywając pole mroczną chmurą.

–Granaty dymne – stwierdziła Sabrina, wyglądając przez okno na czarny całun pod nimi.

–Jeszcze jest bardzo gęsty – dodał Morales, gestem nakazując pilotowi obniżenie lotu. – Oznacza to, że Rosjanie wciąż mogą się tu znajdować.

–Nie ma mowy – warknął za jego plecami Graham. – Tam w dole nie widać własnej dłoni przed twarzą. Rosjanie nie działaliby w takich warunkach. Granaty dymne rzucono, by dezorientować twoich ludzi, aby nie mogli rzucić się w pogoń. Nie, Rosjan już tu nie ma, tego możesz być pewien.

Leżące na siedzeniu obok Moralesa radio nagle zaskrzeczało i ożyło.

–Branco do helikoptera, czy mnie słyszycie, odbiór? – wrzasnął po portugalsku zadyszany głos. – Tu Branco do helikoptera, czy mnie słyszycie, odbiór?

Morales schwycił radio i szybko się przedstawił.

–Co tam się stało w dole?

–Rosjanie zaskoczyli nas, panie kapitanie – padła przygnębiająca odpowiedź. – Nie widzieliśmy ich do chwili, gdy rozwalili okna i wrzucili do przyczepy pojemnik z dymem. Doktor Fisier i jego żona wpadli w panikę i wybiegli z przyczepy. Próbowaliśmy pójść za nimi, ale wpadliśmy pod ogień, jak tylko otworzyliśmy drzwi. Nie dało się ruszyć z miejsca, byliśmy unieruchomieni. Pod przyczepę podjechał samochód, Fisierów ciśnięto na tylne siedzenie, ale dym był tak gęsty, że nie udało się celnie strzelić do Rosjan.

**–A więc uciekli? – syknął Morales.**

**–Tak, panie kapitanie.**

**–Czy przynajmniej nie próbowaliście pojechać za nimi? – złościł się kapitan.**

**Upłynęła chwila, nim nadeszła odpowiedź.**

**–Dopuszcili się sabotażu, panie kapitanie. Przestrzelili koła naszego wozu i zniszczyli radio. Dlatego właśnie nie mogliśmy się do tej pory z panem skontaktować.**

**–Więc skąd łączycie się teraz? – zapytał.**

**–Przed chwilą zjawiała się tu miejscowa policja. Posługuję się jedną z ich radiostacji.**

**–Z minuty na minutę coraz lepiej. Jakim samochodem odjechali Rosjanie?**

**–To była czerwona mazda, panie kapitanie – brzmiała odpowiedź; podano też Moralesowi znaki rejestracyjne. – Skierowali się do drogi dojazdowej do szosy 203. Wtedy straciliśmy ich z oczu. Szosa 203 prowadzi do wybrzeża.**

**–Jak dawno temu to było?**

**–Nie upłynęło nawet pięć minut, panie kapitanie.**

**–No, to przynajmniej jest coś – warknął sarkastycznie Morales. – Chcę, żebyś ty wraz z kapralem Villartą wrócili natychmiast na posterunek policji w Vila do Conde. Kiedy się tam zjawię, na moim biurku mają leżeć pisemne raporty. Zrozumiano?**

**–Tak jest, panie kapitanie – dobiegła markotna odpowiedź.**

**–Bez odbioru.**

**Morales odwrócił się i spojrzał na stojących za nim Grahama i Sabrinę.**

**–To najgorsza z możliwych nowin, jak się obawiam.**

**–Twoi ludzie zgubili Rosjan. Taa, wiemy o tym. – Graham zauważył wyraz zaskoczenia na twarzy Moralesa. – Sabrina mówi po portugalsku. Przetłumaczyła mi istotną treść rozmowy.**

**Morales błysnął oczami w stronę Sabriny.**

**–Wobec tego wiesz także, że znamy markę i znaki rejestracyjne samochodu, którym posługują się Rosjanie.**

–Tak – odrzekł Graham. – Miejscowe gliny już tu są, więc niech się zajmą ewakuacją terenu. A teraz, gdy już wiesz, że twoi ludzie są tam w dole, my powinniśmy pozostać w górze i tropić skurwysynów z powietrza.

Morales kiwnął twierdząco głową, a pilot natychmiast oddalił się od pola karawaningowego. Wiedząc, że Rosjanie mają pięciominutową przewagę w czasie, Morales nakazał pilotowi lecieć wzdłuż drogi 203. Następnie skontaktował się przez radio z porucznikiem Degasem, swoim zastępcą w punkcie dowodzenia w Vila do Conde i wyjaśnił, co się stało. Rozkazał ścigać czerwoną mazdę. Polecił wydać rozkaz specjalny, na mocy którego należy skierować do pościgu dwa dodatkowe helikoptery i wysłać następny oddział sił specjalnych na pole karawaningowe, by tam działał wspólnie z miejscową policją.

–Jeśli ci Rosjanie są tak cwani, jak mówisz, mogli już zmienić samochody – Morales zwrócił się do Grahama, odkładając radio na sąsiednie siedzenie.

–Nie, o ile nie ukradli lub nie porwali jakiegoś w chwili, gdy opuszczali pole karawaningowe. Bardzo wątpię, by chcieli tracić więcej czasu, niż to jest absolutnie niezbędne – sprzeciwił się Graham. – Musisz pamiętać, że znali położenie willi Fisierów, nim się tam pojawili. Dzięki temu mogli zaplanować drogę ucieczki. Nieobecność Fisierów pokrzyżowała im plany. Od tej pory musieli improwizować, przeczesując pola karawaningowe w nadziei, że znajdą Fisierów wcześniej niż my. Nie mieli warunków do przygotowania planu alternatywnego, bo nie wiedzieli, gdzie znajdują się Fisierowie.

–Pojmuję twój punkt widzenia – stwierdził Morales. – Wobec tego, jeśli masz rację, że zaplanowali drogę ucieczki z Vila do Conde, muszą teraz, mając Fisierów, wrócić tam?

–A czy ty byś tak nie zrobił? – odparł Graham, rzucając mu pytające spojrzenie.

–Co z paliwem? – zapytał Morales pilota.

–Wystarczy jeszcze na godzinę – padła odpowiedź. – Czy chce pan, panie kapitanie, abym pozostał na tym kursie?

Morales skinął głową.

–Jeśli pan Graham ma rację co do planu ucieczki, to w tej chwili Rosjanie muszą być w drodze powrotnej do Vila do Conde.

–To wydaje się najlogiczniejsze posunięcie – oznajmił Graham. – I trzeba trzymać się głównej drogi. Rosjanie nie zaryzykują jakiegoś skrótu w obawie zagubienia się. Czując już na karku oddech władz, nie życzyliby sobie tego w żadnym wypadku. Wiedzą, że nie upłynie wiele czasu, gdy cały ten obszar zacznie roić się od policji.



Helikopter podążał za zarysem drogi wijącej się w terenie, biegnącej przez małą wioskę Deao aż do nadbrzeżnego miasta Viana do Castelo, gdzie szosa 203 łączyła się z autostradą E01. Pilot ostro skręcił na południe, aż znaleźli się bezpośrednio nad autostradą. Sprawdził wskaźnik paliwa. Mieli go jeszcze na czterdzieści minut lotu; w tym czasie inne helikoptery zostaną już zmobilizowane i będą mogły kontynuować poszukiwania. Podobnie jak reszta pasażerów, pilot niepokoił się, że do tej pory nie natrafili na mazdę. Jeśli Rosjanie wyprzedzali ich tylko o pięć minut i jeśli trzymali się głównych dróg, helikopter powinien był już przelecieć nad ich samochodem. Jeżeli... Radio na siedzeniu znów zaskrzeczało i ożyło.

–Degas do kapitana Moralesa. Zgłoś się.

Morales wziął radio.

–Tu Morales.

–Wracaj natychmiast na pole karawaningowe.

–Co się stało? – zapytał kapitan swego zastępcę.

–Nie możemy mówić o tym przez radio, panie kapitanie. Jest bardzo prawdopodobne, że Rosjanie podsłuchują naszą rozmowę. Otrzyma pan informacje, gdy tylko dotrze pan na pole.

Morales poczekał, aż Sabrina przetłumaczy Grahamowi słowa Degasa, a potem odwrócił się, mrużąc niepewnie powieki.

–Rosjanie mogliby podsłuchiwać rozmowę tylko w takim wypadku, gdyby mieli radiostację z już wprowadzoną zakodowaną częstotliwością. Jeśli zabrali jedną z radiostacji, czemu Branco wcześniej o tym nie wspomniał?

–Jesteś pewien, że to był Degas? – rzuciła pytanie Sabrina, pokazując na radio w dłoni Moralesa.

–Z pewnością brzmiało to tak, jakby to był on – odrzekł Morales.

–Łatwo jest mówić przez radio zmienionym głosem – zauważył Graham.

Radio znów zatrzeszczało.

–Degas do kapitana Moralesa. Odbiera mnie pan, panie kapitanie?

–Tak jest – odparł pośpiesznie Morales, a potem zwolnił przycisk urządzenia, aby rozmowa nie szła w eter. – Co ty sugerujesz? Chcesz powiedzieć, że Rosjanie w jakiś sposób wcześniej podsłuchali moją rozmowę z Degasem i teraz podszywają się pod

**niego, aby nas wpuścić w maliny?**

**–Podobno Jemienkow mówi płynnie w kilku językach, także po portugalsku – podkreślił Graham.**

**–Jeśli podsłuchują na waszej częstotliwości, to wiedzą już, że goni ich helikopter – dodała Sabrina. – A zdając sobie sprawę, że nie mogą nas przegonić, zrobią wszystko, aby mieć czas na ucieczkę. To ma sens.**

**Morales zamyślił się na chwilę, a potem zbliżył radio do ust.**

**–Skąd mam mieć pewność, że naprawdę rozmawiam z porucznikiem Degasem?**

**Nastąpiła chwila przerwy.**

**–Zrobił pan czerwone kółko wokół Ponte de Lima na mapie w centrum dowodzenia, gdy Branco zatelefonował, że odnalazł doktora Fisiera i jego żonę.**

**Stwierdziwszy, że rzeczywiście rozmawia z Degasem, Morales kazał pilotowi zawrócić helikopter i lecieć nad pole karawaningowe.**

**Gdy tam dotarli, większość dymu już się rozproszyła i pilot mógł wylądować na odcinku drogi, która została tymczasem zagrodzona kordonem miejscowej policji.**

**Morales pierwszy wyskoczył z helikoptera. Pośpieszył do miejsca, gdzie czekało dwóch jego ludzi. Rozmawiali długo. Kiedy Morales podszedł do Grahama i Sabriny, miał ponurą minę. Dwójka z UNACO stała z dala od rotorów, wsunawszy dłonie w kieszenie dla ochrony przed lodowatym wiatrem, który zerwał się godzinę temu.**

**–A więc? – odezwał się Graham.**

**–Branco i Villarta nie żyją – odparł Morales i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Wyciągnął rękę do Grahama i Sabriny, ci jednak potrząsnęli przecząco głowami. – Znalezione ich w przyczepie. Obaj zostali zabici strzałami w potylicę.**

**–A więc to Jemienkow, a nie Branco, rozmawiał z tobą wcześniej przez radio?**

**Morales skinął głową, a potem wsadził papierosa do ust, osłonił dłońmi zapalniczkę i zapalił go.**

**–Dlaczego... co Rosjanie zyskaliby przez... – Sabrina przerwała, gdy nagle coś zaświtało jej w głowie. – Nigdy nie było czerwonej mazdy, prawda?**

**–Owszem, jest – poprawił ją Morales. – Stoi obok przyczepy Fisierów. Rosjanie zabrali z pola karawaningowego inny samochód. Policja znalazła to miejsce, paręset metrów stąd. Naturalnie nie było ani śladu Rosjan czy Fisierów.**

–Oczywiście Rosjanie pozostawili tam także własny wóz, by mieć pewność, że z pola karawaningowego nie będzie widoczny – zauważył Graham. – Musieli jeszcze być tutaj, gdy nadleciał helikopter, więc Jemienkow podszył się pod Branca, wysłał nas w bezsensowną pogoń i w ten sposób mieli czas na udaną ucieczkę.

–To jeszcze nie wszystko – dodał Morales. – Zdaje się, że Jemienkow, podszywając się pod Branca, wezwał przez radio miejscową policję, wkrótce po tym, jak wybuchły granaty dymne, i nakazał im nie reagować na żadne wezwania z pola karawaningowego, ponieważ sprawą już zajmuje się brygada sił specjalnych.

–A nas poinformował, że lokalne gliny już tutaj są – syknął Graham. – Tak więc, wykorzystując jednych przeciw drugim, sprawił, że zarówno brygada sił specjalnych, jak i miejscowi gliniarze będą trzymać się z dala od pola, przynajmniej do czasu, gdy Rosjanie oddalą się z tego terenu.

–Porucznik Degas już zarządził blokadę na głównej szosie do Vila do Conde – wtrącił Morales.

–Gdy zdołają zablokować przejazd, Rosjan dawno tam nie będzie – stwierdził Graham.

–Musisz przyznać, że są pomysłowi – powiedziała Sabrina, nie ukrywając niechęci. – Z pewnością zyskali nad nami przewagę, prawda?

–Wzięli nas na przejażdżkę, dosłownie i w przenośni – prychnął zde gustowany Graham.

Morales głęboko zaciągnął się papierosem, a potem wydmuchnął dym w stronę ciemnego, pokrytego warstwą chmur nieba.

–Będę miał szczęście, jak zachowam mój stopień po rozmowie z majorem.

–Nie tylko ty będziesz pod ostrzałem, kolego – rzekł przygnębiony Graham. – Spieprzyliśmy naszą jedyną realną szansę przydybania tych skurwysynów, a to oznacza, że trzeba wszystko zaczynać od zera.

–Czy jest tutaj coś, co w szczególności chciałbyś obejrzeć? – spytał Morales, obejmując szerokim gestem okolicę. – Jeśli nie, lepiej zabierajmy się do Vila do Conde i złożmy raporty przełożonym. Graham popatrzył na Sabrinę, która pokręciła głową.

–Nic już tu nie możemy zrobić – odpowiedział.

Morales wyciągnął ręce z dłońmi odwróconymi do góry, gdy zaczęły padać pierwsze krople deszczu.

**-Myślę, że czeka nas burza.**

**-Taa, w każdym znaczeniu tego słowa – stwierdził ponuro Graham, śpiesząc za innymi do helikoptera.**

–Daleko jeszcze?

–Teraz już nie – odrzekł Zlotin, gdy Whitlock wszedł za nim na mostek.

Kolejna fala rozbila się o pokład z taką siłą, że Whitlock musiał chwycić za poręcz.

–Ucieszę się, postawiwszy nogi znów na *terra firma* - wystękał przez zaciśnięte zęby.

–Nie czujesz się dobrze na wodzie, co?

–Nie. W samym środku sztormu, na pewno nie – odparł gniewnie Whitlock.

–To nic strasznego – rzekł obojętnym tonem Zlotin. – Jedynie szkwał. Skończy się w ciągu godziny.

–Mówisz to tak, jakbyś był przyzwyczajony do tego rodzaju warunków – stwierdził Whitlock, sadowiąc się na wyściełanej ławce przy tylnej ścianie sterówki.

Zlotin chłodno przyjrzał się odbiciu Whitlocka w zalanej deszczem szybie.

–Czy przyszedłeś tu z jakiegoś określonego powodu?

–Wylazłem na górę, by pomleć jęzorem i to wszystko.

–Doprawdy nie interesują mnie rozmówki towarzyskie z tobą, Royce – odpalił ze złością Zlotin. – Jeśli nie masz nic ważnego do powiedzenia, proponuję, abyś od tej chwili trzymał gębę zamkniętą i pilnował swej roboty.

Z osobistego punktu widzenia Whitlock nie potrafił wyobrazić sobie lepszego układu, ale miało zasadnicze znaczenie, aby przez cały czas zachowywał się tak jak człowiek, pod którego się podszywał. A Royce chciałby dowiedzieć się wszystkiego, co tylko się da, o tajemniczym Rosjaninie, był przecież facetem podejrzliwym. Whitlock wzruszył ramionami.

–Próbowałem być miły, nic więcej.

–Nie zostałeś wynajęty z powodu zalet towarzyskich – odwarknął mu Zlotin.

–Jeśli o tym mowa, to do czego właściwie zostałem wynajęty? – zażądał odpowiedzi Whitlock, wbiwszy spojrzenie w tył głowy Zlotina. – Jannoc powiedział coś o pracy w roli strażnika. Więc kogo właściwie mam pilnować? Profesora z jego córką? O to chodzi?

**–Dowiesz się bardzo szybko.**

**Whitlock zamilkł. Przysłuchując się odgłosom deszczu na zewnątrz, siekącym kropelkom, pukającym rytmicznie do oświetlonych okien, nim zdmuchnął je wiejący wiatr, pograżył się w myślach o wydarzeniach ubiegłych dwunastu godzin.**

**Lipsk opuścili wkrótce po dwunastej w południe i Zlotin poleciał na lotnisko Riem w Monachium. Było ono ich punktem końcowym, wedle planu lotu pierwotnie zgłoszonego z Marsylii. W Monachium Zlotin opisał rzekome kłopoty z silnikiem, które spowodowały ich opóźnienie w przybyciu na lotnisko. Jednemu z techników polecono sprawdzić silnik, co było rutynowym działaniem, ale naturalnie nie znalazł niczego. Wobec tego kontrola lotów udzieliła im wymaganego zezwolenia na kontynuowanie podróży. W sześć godzin później wylądowali w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Barajas w Madrycie, gdzie ponownie czekała ich odprawa celna. Po zatankowaniu paliwa samolot Piper Navaho wystartował do dwugodzinnego lotu do Porto, drugiego co do wielkości miasta Portugalii, gdzie czekał ich na lotnisku wynajęty samochód, wcześniej zamówiony przez Zlotina. Gdy dojechali do Matosinhos, małego nadbrzeżnego miasteczka, leżącego osiem kilometrów na południe od Porto, złowieszcze chmury burzowe już się zbierały nad ich głowami. Na przystani przycumowany był lśniący, dwunastometrowy jacht motorowy *A Agua Bruxa*, „Wiedźma Wodna”. Zlotin wynajął go w Lizbonie, wkrótce po przybyciu do Portugalii.**

**Stanąwszy za kołem sterowym, Zlotin wysłał Whitlocka pod pokład, by miał na oku profesora z córką. Dwoje więźniów siedziało razem na jednej z wyściełanych ławeczek, od czasu do czasu zamieniając parę słów; nie zwracali uwagi na obecność Whitlocka, który zajął miejsce u stóp schodów.**

**Uważnie przyglądał się Lisl Auerbach, próbując wykryć jakiekolwiek oznaki stresu. Ale, jeśli nie liczyć uśmiechów pod adresem ojca, twarz miała bez wyrazu, a obojętne spojrzenie skierowane na swe stopy.**

**Whitlock mógł tylko podziwiać zdecydowanie i spokój tej szesnastolatki, którą spotkał tak straszny los. Pamiętał tę chwilę, gdy ojciec odciągnął ją na bok na porzuconym lądowisku w Lipsku, by poinformować o śmiertelnym wirusie. Ani nie zemdląła, ani nie wpadła w histerię. Zamiast tego mocno przytuliła się do ojca, a potem wzięła go za rękę i w milczeniu poszła wraz z nim do oczekującego samolotu. Wtedy właśnie Whitlock zrozumiał, jak szczególnego rodzaju więź istniała między ojcem i córką. W niejasny sposób poczuł się skrępowany, jak intruz w obliczu bólu rodziny. A jeszcze trudniej było mu to zaakceptować, ponieważ nie mógł zrobić nic, by im pomóc lub podnieść ich na duchu, przynajmniej w tej chwili...**

**–Jesteśmy na miejscu – oświadczył Zlotin, wrywając Whitlocka z zamyślenia.**

C.W. wstał i podszedł do Zlotina. Początkowo w ciemnościach nie widział niczego, ale nagle światła dziobowe wywołały taniec chwiejnych cieni na licu skały, wznoszącej się wysoko nad nimi. Zdawała się wyłaniać z nicości. Odruchowo zrobił krok wstecz, jakby się bał, że jacht może wpaść na nią lada moment.

–Jesteś trochę blisko, co? – powiedział, opanowując się szybko.

Zlotin rzucił mu spojrzenie z ukosa.

–Światła zniekształcają prawdziwą odległość między nami i licem skały. Mamy jeszcze mnóstwo miejsca na manewr wejścia do doku.

–Doku? – zapytał z niedowierzaniem Whitlock. – Gdzie, u diabła, masz zamiar to zrobić? Przed nami jest tylko pionowa skała.

–Tak to wygląda – stwierdził Zlotin – ale po wschodniej stronie wyspy znajduje się jaskinia. Tam właśnie będziemy dokować.

Błyskawica rozdarła ciemności, nagle oświetlając ciemną, odpychającą powierzchnię. Whitlock pochylił się do okna i rzucił w górę spojrzenie pełne zgrozy, wywołanej wielkością skały przed nimi.

–Czterysta dwadzieścia osiem metrów – oświadczył Zlotin, jakby czytając w myślach Whitlocka, nim zakręcił kołem sterowym, kierując dziób przeciw nadbiegającej fali. – Coś imponującego, prawda?

–Skąd znasz jej dokładne wymiary? – zapytał Whitlock, chwytając poręcz w chwili, gdy jacht uniósł się, a potem ostro zapadł we wzburzoną wodę.

–Miałem okazję uzyskać autentyczne plany więzienia, które zbudowano tu w latach pięćdziesiątych. Wysokość wszystkich czterech powierzchni skały była podana w owych planach.

–Na wyspie jest zbudowane więzienie? – odrzekł zdumiony Whitlock.

–Nie na niej, wewnątrz niej. Środek skały jest wydrążony. Węzienie było znane jako *A Fortaleza*. Forteca. Nazwa mówi sama za siebie. Zostało zamknięte w latach osiemdziesiątych, po pożarze, który zniszczył część budowli. Do naszych celów jest jednak doskonałe.

Whitlock zorientował się, że kiwa głową twierdząco.

–Pomysłowe. Ale przede wszystkim jak się o tym dowiedziałeś?

–To cię nie obchodzi – odpalił ostro Zlotin, a potem ruchem kciuka pokazał na drzwi

za sobą. – Przyrowadź tu profesora i jego córkę. Wkrótce dokujemy.

Wróciwszy do salonu, Whitlock zastał Auerbacha stojącego przed jednym z okien, wpatzonego nieobecny wzrokiem w ciemność. Wiedział, że profesor ujrzał jego odbicie w szybie, ale Niemiec nie okazywał, że zwrócił uwagę na jego obecność w pomieszczeniu. Lisl siedziała jeszcze na ławeczce, z dłońmi złożonymi na kolanach i spuszczonego wzrokiem.

–OK, czas ruszać – oświadczył Whitlock z podnóża schodów. Wiedział, że oboje znają angielski, gdyż stwierdził to już w Lipsku. Istotnie, Auerbach płynnie mówił w tym języku jeszcze z czasów swej pracy w BND.

–Gdzie jesteśmy? – spytał Auerbach, nie odwracając się. Whitlock wiedział, że najlepiej będzie pozostawić wszelkie wyjaśnienia Zlotinowi. W ten sposób nie mogło dojść do nieporozumień. Postanowił więc postąpić ostrożnie i posłużył się jednym ze zdań Zlotina:

–Dowie się pan o tym wkrótce.

–Chcę wiedzieć teraz! – zareplikował Auerbach.

–Nie sądzę, by był pan w sytuacji pozwalającej wysuwać jakiegokolwiek żądania, prawda? – odciął się Whitlock. – Teraz chodźmy.

–Powiedziałem...

–A ja powiedziałem: chodźmy! – ostro przerwał mu Whitlock, a potem podszedł do Auerbacha i pogroził mu palcem ostrzegawczo. – Najlepiej dla pana będzie, profesorze, gdy zastosuje się pan do tego, co mu się mówi.

Auerbach groźnie spojrzał na Whitlocka, przecisnął się obok niego, chwycił spod stołu torbę podróżną i szybkim krokiem podszedł do schodów. Tam zatrzymał się, by spojrzeć na córkę, ciągle siedzącą w niepewności na ławeczce.

–Lisl, *komm* - mruknął, gestem przyzywając ją do siebie.

Obrzuciła Whitlocka miążdżącym spojrzeniem, po czym wstała i podążyła za ojcem na mostek.

Whitlock odetchnął głęboko i wolno przetarł twarz dłońmi. Wiedział, że zachowuje się zgodnie z charakterem przybranej postaci, ale mimo wszystko nienawidził siebie za to. Szybko jednak, przypomniawszy sobie, że jest zawodowcem i ma zadanie do wykonania, pozbył się myśli wywołujących poczucie winy i skierował się do góry, na mostek. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że jacht jest już wewnątrz jaskini.



**Podszedł do najbliższego okna i rozejrzał się po niezwyklej otoczeniu. Oceniał, że jaskinia ma przynajmniej sześćdziesiąt metrów szerokości, dwa razy tyle długości i jeszcze ze trzydzieści do szczytu nierównego, łukowatego sklepienia. Metalowa przystań, zaczynająca rdzewieć wskutek lat zaniedbania, biegła przez całą długość jednej ze ścian. Drzwi, wbudowane w lico skały, rozsunęły się i pojawił się Jemienkow w czarnym mundurze. Pobiegnął w dół po metalowych stopniach na przystań.**

**–Rzuć mu cumę – polecił Whitlockowi Zlotin, gdy jacht łagodnie zderzył się z jednym z przymocowanych do przystani odbijaczy.**

**Whitlock podniósł linę i przerzucił ponad burtą. Jemienkow przywiązał cumę do pachołka, a potem cofnął się i, uniósłszy kciuk, dał znak na mostek. Zlotin poczekał, dopóki Whitlock nie wysunie schodni, po czym wyprowadził Auerbachów ze sterówki i dalej na przystań.**

**–Miej ich na oku – nakazał Whitlockowi, idąc w stronę czekającego nań Jemienkova.**

**–Teraz się cieszę, że wzięliśmy helikopter – stwierdził Jemienkow, robiąc gest w stronę statku. – Wygląda, że na zewnątrz jest bardzo burzliwa pogoda.**

**–Przeżywałem gorsze – odparł Zlotin, wzruszając lekceważąco ramionami. – Czy doktor Fisier i jego żona są tutaj?**

**Jemienkow skinął głową.**

**–Przywieźliśmy ich około godziny temu.**

**–Powinniście byli być już po południu – rzekł podejrzliwie Zlotin. – Co się stało?**

**–To długa historia, towarzyszu pułkowniku, i dotyczy także UNACO.**

**–Zaprowadź Auerbachów do ich kwatery, a potem będziesz mógł złożyć mi szczegółowy raport – rozkazał Zlotin.**

**Jemienkow popatrzył na Whitlocka.**

**–Co to za nowa twarz, towarzyszu pułkowniku?**

**–Jest na miejsce Bergera. Nazywa się Royce.**

**–Następny legionista? – spytał Jemienkow.**

**–Nie. To także długa historia. Gdzie jest major Rodenko?**

**–W swej kwaterze, towarzyszu pułkowniku – odrzekł Jemienkow, spoglądając nerwowo na podłogę.**

**–Co się stało? – zapytał Zlotin. – Kapitanie, patrz na mnie, gdy z tobą rozmawiam!**

**Jemienkow niechętnie podniósł wzrok.**

**–On pije, towarzyszu pułkowniku.**

**–Skąd ma alkohol?**

**–Kupił na ładzie stałym, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział z wahaniem Jemienkow.**

**–Wiesz, że wydałem absolutny zakaz przywożenia alkoholu na wyspę. Czemu go nie powstrzymałeś?**

**–Z całym szacunkiem, towarzyszu pułkowniku, major Rodenko jest moim przełożonym i nie mam upoważnienia do kwestionowania jego działań – odparł sztywno Jemienkow. Zlotin poklepał Jemienkova po ręce.**

**–Jesteś dobrym żołnierzem, Walentin. Zaprowadź profesora Auerbacha i jego córkę do ich kwatery, a potem zamelduj się u mnie.**

**–Co z Royce'em? – zapytał Jemienkow.**

**–Zabierz go ze sobą. Niech sobie obejrzy to miejsce.**

**–Tak jest, towarzyszu pułkowniku – padła odpowiedź.**

**–O, i jeszcze coś, Walentin. Royce nie zna naszych nazwisk. Więc niech tak zostanie, zgoda?**

**–Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odparł Jemienkow i pośpiesznie oddalił się, by wykonywać rozkazy.**

**Do uruchomienia metalowych drzwi Zlotin posłużył się kartą magnetyczną. Za nimi znajdował się słabo oświetlony korytarz. Przeszedłszy przez następne drzwi, Zlotin znalazł się w holu kontrolnym. Odchodziło od niego dwanaście skrzydeł więzienia, w każdym znajdowało się sto czterdzieści cel. Zlotin skierował się prosto do skrzydła, w którym Rosjanie urządzili własne kwatery. Przeszedł przez kolejne, jedyne oświetlone drzwi, za którymi znajdował się długi, bezludny korytarz. Rodenko siedział na jednym z łóżek, oparty plecami o ścianę. Kolana miał podciągnięte do piersi, a w dłoni trzymał niedbale butelkę wódki.**

**–Witaj z podróży, *towariszcz* - rzekł Rodenko na widok Zlotina w drzwiach. – Wejdz i**

**usiąść.**

**Zlotin podszedł do łóżka, wyrwał z ręki Rodenki butelkę i cisnął nią o przeciwległą ścianę.**

**–Nie będę tolerował żadnej niesubordynacji. Wyższy oficer powinien wiedzieć, co robi.**

**Rodenko zagapił się na roztrzaskaną butelkę, a potem wstał i podszedł do drzwi. Pokiwał głową sam do siebie, po czym odwrócił się do Zlotina.**

**–Przywiozłem sobie na wyspę jedną butelkę. Jedną nędzną butelkę i to wszystko.**

**–Nie obchodzi mnie, czy przywiozłeś jedną butelkę, czy całą skrzynię, gdyż faktem jest, że złamałeś wyraźny rozkaz – rzucił ze złością Zlotin. – Co się z tobą stało przez ostatnie tygodnie, Wiktorze? Zawsze tak skrupulatnie przestrzegałeś przepisów. Wykonywałeś rozkazy bez pytania i zawsze pierwszy karałeś młodszych oficerów za choćby cień niesubordynacji. To nie jest ten sam Wiktor Rodenko, którego znałem od dwunastu ubiegłych lat.**

**–To ty się trzymasz ubiegłych lat, Nikołaju, nie ja. Wiesz dobrze, że nie masz już nade mną władzy jako oficer wyższy rangą. Sąd wojenny pozbawił nas stopni i wyrzucił z wojska. Tego nie da się cofnąć.**

**–Więc to, co mówisz, sprowadza się do stwierdzenia, że ja nie mogę mieć władzy nad tobą z tytułu stopnia, ale ty możesz powoływać się na swój stopień wobec Jemienkowa, gdy ci to odpowiada, tak to wygląda? – zareagował ostro Zlotin.**

**–Robię to, by go wprawić w dobry humor. A teraz nawet i to przestaje być przekonywające.**

**–Byłeś zwolennikiem puczu, jak my wszyscy. Temu nie możesz zaprzeczyć.**

**–Nie zaprzeczam – odparł Rodenko – ale poparłem go z powodów odmiennych od twoich. Miałem legitymację partii komunistycznej od tak dawna, jak sięgam pamięcią, ale nawet to nie czyni ze mnie ideologa. Nigdy nim nie byłem. Ty powinieneś o tym najlepiej wiedzieć. Zawsze czułem się zawodowym żołnierzem. Wojsko było moim życiem i widziałem, że zostało zagrożone reformami Gorbaczowa. Dlatego poparłem pucz. Ty natomiast szukałeś w wojsku odbicia własnych przekonań politycznych. I tym właśnie się różnimy, Nikołaju. Ty, a prawdę mówiąc, również Jemienkow, wciąż uważacie, że w Rosji komunizm ma przyszłość, i nic was nie powstrzyma przed cofnięciem wskazówek zegara do czasów zimnej wojny. Ja nie jestem tego zdania, przynajmniej po tym, co zobaczyłem podczas próby puczu. Ludzie woleliby umrzeć, niż ujrzyć znów przy władzy konserwatystów w starym stylu. Wtedy właśnie zrozumiałem, że nie mam przed sobą przyszłości w nowej Rosji. Komunizm jest**

**martwy, Nikołaju. Martwy.**

**–Dziwne, że to wszystko wyszło na jaw właśnie teraz. Nie słyszałem, byś się uskarżał, gdy obmyśliłszy sposób wydostania nas z Rosji przez Jannoca.**

**–A czy była inna możliwość? Odrzucić jego ofertę i spędzić następne dwadzieścia pięć lat, zamierzając w jakimś syberyjskim więzieniu? Masz cholerną rację, ja się na to nie uskarżałem. – Rodenko zaczął przemierzać celę wielkimi krokami, aż zatrzymał się przed Zlotinem. – Gdy zaangażowaliśmy Jannoca do odbicia nas, umówiliśmy się, że wykonamy dla niego jakąś robotę, za którą zapłaci nam pół miliona dolarów gotówką. Dopiero gdy dotarliśmy do Portugalii, ty ogłosiłeś malutką, własną poprawkę do planu.**

**–Chcesz przez to powiedzieć, że bierzesz w tym udział wyłącznie po to, by odebrać twoją część z pieniędzy Jannoca? – spytał Zlotin.**

**–Tak – odparł bez ogródek Rodenko. – Do końca życia nie mam zamiaru wracać do Rosji. Przynajmniej z moją działką pieniędzy mam szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa w innym kraju. Przykro mi, Nikołaju, że cię rozczarowałem, ale od samego początku wszedłem w to wyłącznie dla własnych korzyści.**

**Zlotin z namysłem przyglądał się swym stopom, nim podniósł wzrok na Rodenkę.**

**–Czemu czekałeś aż do tej chwili, by mi o tym powiedzieć?**

**–Chciałem oznajmić ci to dopiero wtedy, gdy nam Jannoc zapłaci, ale zostałem zmuszony przez to przedstawienie.**

**–Jakie przedstawienie? – zainteresował się Zlotin.**

**–Wy dwaj, ale szczególnie Jemienkow, bawicie się w żołnierzy od chwili przybycia tutaj. Jeśli ty nie wyszczekujesz rozkazów, robi to Jemienkow ze swoim: „pułkownik Zlotin to, major Rodenko owo”. To mnie doprowadza do wściekłości, Nikołaju.**

**–Dzieje się tak, ponieważ w dalszym ciągu jesteśmy żołnierzami.**

**–Nie, już nie jesteśmy i ty o tym wiesz.**

**–Może nie w twoich oczach. Mam jednak pewność, że mówię też w imieniu kapitana Jemienkova, gdy stwierdzam, że żaden z nas nie uznał legalności sądu wojennego, który wymierzył nam karę za zdradę.**

**–To szaleństwo, Nikołaju – odpalił Rodenko.**

**–Wysłuchaj mnie! – zagrział Zlotin.**

**–Czy to kolejny z twoich rozkazów, towarzyszu pułkowniku? – padła sarkastyczna riposta.**

**–Nie – odrzekł spokojnie Zlotin. – Ty się wypowiedziałeś, Wiktorze, więc uważam, że uczciwość nakazuje, bym i ja miał taką możliwość.**

**–Mów – odburknął Rodenko, wiedząc, że Zlotin ma rację.**

**–Przyjąłem żądania Jannoca nie dlatego, że ujrzałem w nich sposób wydostania się z Rosji, lecz dlatego, że dostrzegłem możliwość zrobienia czegoś dla mego kraju. Nie otaczałem tajemnicą tego, że, jak to sformułowałeś, mam zamiar „cofnąć wskazówki zegara do czasów zimnej wojny”. I wiesz równie dobrze, że takie zapatrywania ma nie tylko mała, ograniczona grupka twardogłowych w wojsku. W całym kraju coraz więcej ludzi popiera wprowadzenie zmian. Bez względu na zło wyrządzone obywatelom przez stary, komunistyczny reżim, a ja pierwszy gotów jestem przyznać, że popełniał błędy, to system ten przynajmniej zapewniał ludziom pracę, mieszkanie i stałe, niskie ceny. Rząd Jelcyna przyniósł plagę bezrobocia, ubóstwa i bezdomności. I nie tylko to; praktycznie w każdym kraju, który oddzielił się od Moskwy, toczy się wojna domowa od chwili podpisania traktatu o Wspólnocie Niepodległych Państw. Rosjanie zabijają się wzajemnie o odpadki niepodległości. Jak można to usprawiedliwiać?**

**–To oni dokonali tego wyboru, Nikołaju – przypomniał mu Rodenko.**

**–Dokonali wówczas tego wyboru – poprawił go Zlotin. – Ale wiem, że w miarę jak nieustannie grzebią swych umarłych, wielu z nich zaczyna rozmyślać nad ceną, którą płacą za tę nową demokrację.**

**–Teraz już wiesz, czemu trzymam się z dala przez wszystkie te lata od ideologii politycznej – odparł Rodenko. – W polityce nie ma jednoznacznych rozwiązań. Nigdy nie ma i nigdy nie będzie.**

**–Więc co z sobą zrobisz, gdy to wszystko się skończy? – zapytał Zlotin. – Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie, otwierającego sklep spożywczy przy bocznej uliczce w Paryżu.**

**–Ja też nie – odrzekł z uśmiechem Rodenko. – W Afryce ciągle brakuje dobrych doradców wojskowych. Zawsze trafi się jakiś skorumpowany dyktator, gotów zapłacić duże pieniądze za kogoś z moją wiedzą i doświadczeniem.**

**–Do chwili gdy wysadzi go z siodła następny skorumpowany dyktator – zauważył pogardliwie Zlotin.**

**–Wtedy po prostu będę renegotjować moją umowę z jego następcą. Jak powiedziałem, bardzo brakuje im doradców wojskowych.**

Rodenko wyrzwał na korytarz, usłyszawszy odgłos zbliżających się kroków. Był to Jemienkow i Whitlock.

–Kto jest z Jemienkowem?

–Ktoś na miejsce Bergera – odparł Zlotin.

–Następny z błaznów Jannoca? – prychnął zde gustowany Rodenko.

–Nie tym razem. Opowiem ci o nim kiedy indziej, a w tej chwili wystarczy, jak będziesz pamiętał, że on nie wie, kim my jesteśmy. Więc żadnych nazwisk w jego obecności.

–To mi znakomicie odpowiada – stwierdził Rodenko. W chwilę później w wejściu pojawił się Jemienkow.

–Towarzyszu pułkowniku, umieściliśmy więźniów w ich kwaterach.

–Dobrze – rzekł Zlotin. – Wkrótce porozmawiam z profesorem Auerbachem i doktorem Fisierem, ale przedtem mamy do przedyskutowania parę spraw. Wejdz, kapitanie.

–Dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

–A, Royce – odezwał się Zlotin, gdy Whitlock wszedł w ślad za Jemienkowem do pomieszczenia. – Czy oprowadzono cię po więzieniu?

Whitlock kiwnął głową.

–Twój kumpel był moim przewodnikiem.

–Jest kapitanem rosyjskich sił zbrojnych – warknął Zlotin. – W przyszłości będziesz się do niego zwracał, wymieniając stopień wojskowy.

–Jest kapitanem specnazu – odciął się Whitlock. – Czemu po prostu nie powiesz tego?

Jemienkow, widząc skierowane na siebie spojrzenie Zlotina, nerwowo przełknął ślinę.

–Nic mu nie powiedziałem, towarzyszu pułkowniku – wyjąkał po rosyjsku. – Przysięgam, że nic mu nie powiedziałem.

Zlotin podniósł rękę, uciszając Jemienkova, a potem popatrzył na Whitlocka.

–Czemu tak twierdzisz?

–Mówicie płynnie po francusku, niemiecku i angielsku. O ile mi wiadomo, popraw mnie, jeśli się mylę, jedyną formacją rosyjskich sił zbrojnych, w której uczy się żołnierzy obcych języków, jest specnaz.

–Okazujesz się sprytniejszy, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka, Royce. Tak, wszyscy jesteśmy oficerami elitarnej jednostki specnazu. – Zlotin wskazał gestem Rodenkę. – Ten oficer ma stopień majora, ja zaś pułkownika.

–Trzech oficerów specnazu, zamelinowanych w opuszczonym więzieniu na wyspie, gdzie przy wybrzeżu Portugalii? – powiedział Whitlock, spoglądając kolejno na wszystkie twarze. – To się robi z minuty na minutę ciekawsze. Więc co ja tu właściwie robię? Jeśli potrzebna wam dodatkowa para rąk, czemu nie sprowadziliście któregoś z waszych ludzi?

–Wystarczy, gdy będziesz wiedział, że zająłeś miejsce kolegi, który pozwolił na to, by powierzony mu więzień zmarł.

Whitlock domyślił się, że owym więźniem musiał być Abe Silverman. Śmierć Abego nie była dla niego żadną niespodzianką. Wiadomość potwierdzała jedynie to, co UNACO od pewnego czasu podejrzewała.

–Więc co się stało z moim poprzednikiem? – spytał Whitlock.

–Został stracony – odrzekł Zlotin, jakby to była drobnostka. – Ale mamy pilniejsze sprawy do przedyskutowania. Jak już widziałeś, pannę Auerbach i panią Fisier umieszczono w innym skrzydle niż kryptologów. Będziesz za nie odpowiadał. My skupimy uwagę na profesorze Auerbachu i doktorze Fisierze.

–A co ta odpowiedzialność obejmuje? – starał się dowiedzieć Whitlock.

–Zwykle obowiązki strażnika i to wszystko. Masz również przygotowywać dla nich wszystkie posiłki przez okres, który spędzimy na tej wyspie. W celi sąsiadującej z twoim pomieszczeniem ustawiliśmy prowizoryczną kuchenkę. Jest niewielka, ale absolutnie wystarczająca na twoje potrzeby. Kobiety będą wypuszczane z cel dwa razy na dobę, raz rano i drugi raz w nocy.

–Kto strzeże zamków u drzwi cel?

–My. Przekonasz się, że jedyne zajęte cele to te, które są właśnie używane. Naprawa tablicy sterującej obwodami pochłonęła nieco czasu. Wszystkie drzwi w tej sieci są czynne, a my trzej mamy karty, pozwalające na dostęp do różnych skrzydeł więzienia. Nie ma potrzeby, abys ty miał taką kartę, ponieważ nie będzie powodu, byś opuszczał swe skrzydło.

–A jeśli będę musiał skontaktować się z wami?

**–Wszyscy mamy radia nadawczo-odbiorcze – odparł Zlotin. – We właściwym czasie i ty takie otrzymasz.**

**–A co z bronią? – wypytywał Whitlock. – Zauważyłem, że kapitan nosi w kaburze pod pachą dziewięćmilimetrowy pistolet Makarowa. Czy to jest standardowy przydział?**

**–Dla nas tak – stwierdził Zlotin.**

**–Czy ja go nie dostanę? – zapytał ostrym tonem Whitlock.**

**–Wątpię, by potrzebny ci był pistolet do pilnowania babci i nastolatki – rzucił pogardliwie Zlotin.**

**–Nie ufasz mi, prawda?**

**–Na zaufanie trzeba zapracować, Royce.**

**–Jeśli mi nie ufasz, czemu mnie wynająłeś?**

**–Nie ja cię wynająłem – przypomniał mu Zlotin. – To zrobił Jannoc. Po prostu zapamiętaj to sobie.**

**–Innymi słowy, jeśli wychylę się z szeregu jak mój poprzednik, bez żadnych skrupułów wsadzisz mi kulkę i wrzucisz moje ciało do oceanu.**

**–Jestem pewien, że potrafimy wymyślić coś oryginalniejszego niż to – odpowiedział Zlotin.**

**Wstał i przywołał na bok Rodenkę.**

**–Odprowadź Royce’a do jego kwatery, a potem zamelduj się u mnie. Gdy wrócisz, powinienem jeszcze być z Fisierem i Auerbachem.**

**–Nie mam cienia sympatii do tego sukinsyna, Nikołaju – stwierdził Rodenko, spoglądając z ukosa na Whitlocka. – Jest cholernie pewny siebie, zbyt pewny siebie, by mu to wyszło na dobre.**

**–Jestem przekonany, że potrafisz wymyślić oryginalny sposób załatwienia go, zanim się stąd wyprowadzimy – odrzekł Zlotin, poklepując go po ramieniu.**

**Rodenko uśmiechnął się chłodno.**

**–Możesz na to liczyć.**

**–Aha, i po drodze weź z magazynu radio nadawczo-odbiorcze i daj je Royce’owi.**



Rodenko skinął głową i skierował się do drzwi.

–Royce, chodź ze mną – warknął do Whitlocka.

Razem opuścili pokój.

Jemienkow patrzył, jak Zlotin bezwładnie opuszcza się na brzeg łóżka i zakrywa złożonymi dłońmi nos i usta, oczy zaś wlepia w potrzaskaną butelkę w kącie pokoju.

–Towarzyszu pułkowniku, czy z wami wszystko w porządku? – zapytał z niepokojem.

Nie było odpowiedzi.

–Pułkowniku? – powtórzył Jemienkow, zbliżając się do łóżka.

Zlotin ostro spojrzał na Jemienkova, marszcząc czoło.

–Co powiedziałaś?

–Wyglądaliście na zmartwionego, towarzyszu pułkowniku – wyjaśniał cicho Jemienkow. – Czy wszystko w porządku?

–W jak najlepszym – szybko zapewnił go Zlotin. A potem, pocierając twarz rękami, dodał: – Nie, nie wszystko jest w porządku. Major Rodenko nie wróci z nami do Rosji, gdy to się skończy.

–Nie rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

–Postanowił wyjechać, kiedy tylko teczki zostaną odszyfrowane, a Jannoc wypłaci nam pieniądze. Zapewne uda się do Afryki jako doradca wojskowy.

–Czy spróbujecie go zatrzymać, towarzyszu pułkowniku? – zapytał Jemienkow.

–Chodzi ci o to, czy zastrzelę go za dezercję?

–Zrobicie to, towarzyszu pułkowniku? – spytał podejrzliwie Jemienkow, który widział, jak Zlotin w Afganistanie uśmiercał kolegów oficerów za dezercję.

–Nie – odparł Zlotin po długiej chwili.

–Rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

–Nie, nie przypuszczam, byś rozumiał. To nie ma nic wspólnego z przyjaźnią.

Zlotin wstał, podszedł do drzwi, a potem zrobił w tył zwrot i spojrzał na Jemienkova.

**–Major Rodenko uratował mi życie w Afganistanie. Nie tylko to, sam omal przy tym nie zginął. Czy wiedziałaś o tym?**

**–Nie, towarzyszu pułkowniku, nie wiedziałem – odrzekł zmieszany Jemienkow.**

**–Wydarzyło się to w czasie ofensywy Kunar w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Zostałem trafiony w nogę odłamkiem z moździerza mudżahedinów, gdy zbliżaliśmy się do Barikot. Porzucono mnie na ziemi niczyjej, a nieustanny ogień mudżahedinów przelatywał mi nad głową. Major Rodenko wyskoczył z ukrycia, przebiegł przynajmniej sto metrów do miejsca, w którym leżałem, i zabrał mnie tam, gdzie było bezpiecznie. Dopiero wówczas przyznał się, że został trafiony. Prawdę mówiąc, został trafiony cztery razy. Dwa razy w brzuch, raz w plecy i raz w bark. I nie tylko był przytomny i konsekwentny; zażądał również pod groźbą użycia broni, by medycy opatrzyli mnie pierwszego. Wkrótce potem stracił przytomność i tylko fachowość jednego z naszych lekarzy polowych uratowała mu życie.**

**Spojrzenie Zlotina znów padło na potłuczoną butelkę.**

**–Walentinie, tchórzy rozstrzeliwuje się za dezercję. Ale cokolwiek niedobrego dzieje się z majorem Rodenką, z pewnością nie jest on tchórzem.**

**–Wiem o tym, towarzyszu pułkowniku.**

**–Obu nas zaniepokoiła nagła zmiana w zachowaniu majora Rodenki, od chwili gdy przybyliśmy do Portugalii. To, co powiedział mi dzisiejszego wieczoru, z pewnością w ogromnej mierze wyjaśnia przyczyny. Uznałem, że słuszne będzie, abyś się o tym dowiedział, choćby po to, by uspokoić twoje sumienie. Ale wymagam, byś zachował to dla siebie. Ani słowa na ten temat do majora Rodenki.**

**–To się rozumie samo przez się, towarzyszu pułkowniku – zapewnił szorstko Jemienkow.**

**–Wobec tego już pora, abyśmy poszli na spotkanie z profesorem Auerbachem i doktorem Fisierem, prawda?**

**Gdy drzwi się odsunęły i Jemienkow wszedł do celi, Alain Fisier skoczył na równe nogi.**

**–Co się stało z moją żoną? – zapytał. – Coście jej zrobili?**

**–Mogę pana zapewnić, że pańska żona jest całkowicie bezpieczna – odparł po francusku Zlotin, ukazując się w drzwiach za Jemienkowem. – Miło mi spotkać pana wreszcie osobiście, doktorze Fisier. Przez całe lata czytałem większość pana prac. Bardzo pouczające, szczególnie dla takiego laika jak ja.**

**–Kim pan jest? – warknął Fisier, robiąc krok w stronę Zlotina.**

**–Dowodzę tutaj – odrzekł Zlotin.**

**–To nie jest odpowiedź na moje pytanie – odparł z oburzeniem Fisier.**

**–Obawiam się, że jest to jedyna odpowiedź, jaką pan otrzyma.**

**Zlotin wskazał gestem krzesło stojące za Fisierem.**

**–Proszę usiąść.**

**–Słuchaj, ty sukinsynu, chcę się widzieć z moją żoną. Natychmiast!**

**Jemienkow chwycił rękę Fisiera, ze złością wykręcił mu ją na plecy i zmusił go, by usiadł na krześle.**

**–Gdy ci się mówi, byś coś zrobił, to masz być posłuszny – syknął Fisierowi do ucha. – Czy jasno się wyraziłem?**

**Fisier energicznie kiwnął głową; twarz miał skurczoną z bólu. Jemienkow rozluźnił chwyt, a Fisier natychmiast przełożył rękę na brzuch i zaczął rozmasowywać nadgarstek.**

**Auerbach groźnie spojrzał na Jemienkova, a potem przeniósł spojrzenie na Zlotina.**

**–Wyraziłeś się jasno – stwierdził po francusku ze względu na obecność Fisiera. – A teraz może powiesz nam dokładnie, czego od nas chcesz?**

**Zlotin skinął na Jemienkova, który przyniósł z korytarza dyplomatkę Silvermana i położył ją na stole pośrodku pokoju. Zlotin otworzył ją i podniósł wieko.**

**–Wewnątrz znajdują się dwa oprawione w skórę skoroszyty, których zawartość zapisano szyfrem. Wasza praca, panowie, ma polegać na jego złamaniu.**

**–A jeśli odmówimy? – rzucił Fisier.**

**–Wówczas skaże pan swoją żonę, jak również pannę Auerbach, na bardzo powolną i bolesną śmierć. Co więcej, będziecie patrzeć, jak umierają. Czy doprawdy chce pan tego, doktorze?**

**Auerbach powstrzymał Fisiera, kładąc mu rękę na ramieniu; wyglądało, że Francuz chce rzucić się na Zlotina.**

**–Zostaw, Alain – powiedział cicho.**

**Przygnębiony Fisier skurczył się na krześle.**

**–Cóż za potwory – odezwał się przyciszonym, pełnym napięcia głosem.**

**–Nie życzę sobie, podobnie jak pan, ujrzeć, jak umiera pańska żona, doktorze – odparł Zlotin. – To by oznaczało, że nie potrafił pan złamać szyfru.**

**–Czy tu, na wyspie, macie już antidotum przeciw wirusowi? – spytał Auerbach.**

**–Tak, i, jak powiedziałem panu w Lipsku, zostanie podane, gdy tylko przekonam się, że złamaliście szyfr.**

**–Skąd możemy wiedzieć, że dotrzyma pan słowa? – zapytał Auerbach.**

**–Nie możecie – odrzekł bez ogródek Zlotin. – Ale czy macie inne wyjście?**

**Auerbach popatrzył na Fisiera.**

**–Alain, musimy się z tym pogodzić. To jest jedyna szansa przeżycia dla Lisl i Marie. Nie mamy wyboru, choćby tylko ze względu na nie.**

**–Wiem – zgodził się ponurym tonem Fisier. Auerbach spojrzał na Zlotina.**

**–Musimy wiedzieć, dla kogo te szyfry przygotowano, zanim przystąpimy do pracy nad nimi.**

**–Są to ściśle tajne akta z UNACO, United Nations Anti-Crime Organization.**

**–Dobry Boże – mruknął Auerbach, nagle poblądłszy jak ściana.**

**–Zawsze uważałem, że UNACO jest mitem – odezwał się do niego Fisier.**

**–Właśnie o to chodziło, aby ludzie na świecie tak myśleli. Ale miałem kontakty z ich wydziałem kryptologii, gdy byłem w BND... – Auerbach nagle przerwał, a potem ostro spojrzał na Zlotina. – Oczywiście teraz to wszystko zaczyna mieć sens. Abe Silverman jest szefem wydziału kryptologii w UNACO, a zarówno doktor Fisier, jak i ja byliśmy jego uczniami na Sorbonie. To dlatego przywiózł pan nas tutaj, tak?**

**–Abe Silverman jest w UNACO? – zdumiał się Fisier. – Myślałem, że przeszedł na emeryturę po opuszczeniu Mossadu.**

**–Kolejna dezinformacja z UNACO – sprostował Auerbach.**

**–Profesor Silverman był szefem kryptologii w UNACO – poprawił go Zlotin.**

**–Co to ma znaczyć: był? – spytał podejrzliwie Auerbach.**

**–Profesor Silverman nie żyje. Dlatego zostaliśmy zmuszeni sprowadzić tu pana i doktora Fisiera.**

**–Zabiliście go, tak? – powiedział zdjęty zgrozą Auerbach.**

**–Nie, w rzeczywistości dostał ataku serca. Oczywiście ma pan słuszość, zostaliście tu sprowadzeni, ponieważ studiowaliście u niego. Szczególnie pan, profesorze. Na Sorbonie był pan uważany za protegowanego Silvermana, nieprawdaż?**

**Auerbach wstał, podszedł do stołu, wziął do ręki jeden z oprawnych w skórę tomów i zaczął go kartkować.**

**–Mogliśmy być uczniami Abego, ale to jest bez znaczenia, gdy sprawa wymaga odszyfrowania. Wiem, że doktor Fisier zgodzi się ze mną, iż Abe Silverman był niekwestionowanym najwybitniejszym autorytetem w dziedzinie kryptologii przez ubiegłe trzydzieści lat. Nad tymi segregatorami możemy spędzić miesiąc i nawet nie zbliżyć się do złamania szyfrów.**

**–Nie macie miesiąca – wtrącił Zlotin. – Pozostało panu około sześćdziesięciu godzin do chwili, gdy skutki wirusa zaczną pojawiać się u pana córki.**

**–To wariactwo! – wrzasnął Fisier i skoczył na równe nogi, ale Jemienkow szybko znalazł się przed nim, zanim doktor zdołał rzucić się na Zlotina. – Günter ma rację, złamanie kodu może nam pochłonąć miesiące. A pan oczekuje, że zrobimy to w ciągu sześćdziesięciu godzin? Na litość boską, proszę być realistą. Potrzeba nam więcej czasu.**

**–Proponowałbym, abyście pracowali na dwie zmiany – rzekł Zlotin, zignorowawszy namiętny wybuch Fisiera. – Powiedzmy osiem godzin pracy, osiem wolnego. Ale tę decyzję pozostawiam całkowicie wam. W sąsiedniej celi będzie zawsze dyżurował jeden z nas, więc jeśli zajdzie taka potrzeba lub, co ważniejsze, jeśli złamiecie szyfr, po prostu zawołajcie.**

**–Potrzebujemy więcej czasu – błagał zdesperowany Fisier.**

**–Sześćdziesiąt godzin to czas, jaki ma do dyspozycji pana żona, doktorze. Obaj panowie cieszą się świetną opinią; teraz pora, abyście udowodnili swą wartość.**

**Zlotin wyjął z kieszeni arkusz papieru i położył go na stole.**

**–Zapisałem tu nazwiska trzech członków UNACO, o których już wiem. Zastępca dyrektora Siergiej Kolczynski, szef wydziału balistyki profesor Marcel Toure i jeden z ich agentów operacyjnych, Michael Graham. Mógł pan słyszeć o Kolczynskim, profesorze.**

**–Jedyne kontakty miałem z Abem Silvermanem – odpowiedział Auerbach. – Nigdy nie poznałem nazwisk ich pracowników. UNACO zawsze działała w ten sposób. Absolutna tajność na wszystkich poziomach.**

**–Szkoda – rzekł Zlotin.**

**Auerbach podniósł papier, a potem spojrzął Zlotinowi w oczy.**

**–Co zamierza pan zrobić z aktami, jeśli uda nam się je odszyfrować? Sprzedać je?**

**Zlotin zerknął na zegarek.**

**–Traci pan czas, profesorze. Pozostało panu tylko sześćdziesiąt godzin, pamięta pan?**

**Jemienkow wydobyl oba tomy z dyplomatki, położył je na stole, po czym zamknął pudło i wyniósł je z pokoju.**

**Zlotin podszedł do drzwi, a potem obejrzał się na obu mężczyzn.**

**–Jestem pewien, że obaj zdajecie już sobie sprawę z daremności prób ucieczki. Gdybyście jednak chcieli obmyślić jakiś skomplikowany sposób wydostania się z wyspy, to radzę wam nie zawracać sobie tym głowy. Nie przedostaniecie się zbyt daleko bez tego – podniósł do góry swą kartę magnetyczną. – A poza tym musielibyście przed wyruszeniem stąd odnaleźć antidotum. To byłoby tylko strata cennego czasu. Dobranoc, panowie.**

**Zlotin wyszedł z celi, Jemienkow zaś wsunął swą kartę do szpary w ścianie. Drzwi do celi zasunęły się.**

**–Czemu nie wspomnieliście, towarzyszu, o partnerce Grahama, Sabrinie Carver? – zapytał Jemienkow, gdy oddalali się korytarzem.**

**–Auerbach kierował wydziałem kryptologii BND przez siedemnaście lat – odparł Zlotin, wsuwając kartę do szpary, by uruchomić drzwi prowadzące do celi, którą przekształcił w swą kwaterę osobistą. – Musiał wiedzieć o wspólnych operacjach, które w tym okresie prowadziła UNACO wraz z BND. To by oznaczało, że znał również personalia członków organizacji biorących udział w tych operacjach.**

**–A powiedział, że znał tylko Silvermana – przypomniał Jemienkow, wchodząc za Zlotinem do celi.**

**–Najdokładniej. Jeśli złamię szyfr, zawsze istnieje możliwość, że Auerbach spróbuje zmienić pewne informacje zawarte w aktach. Nie twierdzę, że to zrobi, ale nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Wobec tego, jeśli poda jako nazwisko partnera**

Grahama jakiegokolwiek inne niż Carver, będziemy wiedzieli, że fałszuje zawartość teczek. Znam także nazwiska dwóch innych agentów operacyjnych, tych, którzy przeszli ze specnazu do UNACO w latach osiemdziesiątych. Będę w stanie sprawdzić wszystko, co ich dotyczy, wykorzystując nasze kontakty w Moskwie.

–Zechcecie napić się kawy, towarzyszu pułkowniku? – zapytał Jemienkow, wskazując mały cylinder na butan, stojący w kącie pokoju.

–Tak, dziękuję ci – odrzekł Zlotin.

–Walentin, zrób dwie – dodał Rodenko, stając w drzwiach. – Royce jest w swojej kwaterze.

–Siadaj, Wiktorze. Chcę wiedzieć dokładnie, co się zdarzyło, gdy tego popołudnia skrzyżowałeś szpady z UNACO.

–Myślę, że lepiej będzie, jeśli opowie ci to Walentin – stwierdził Rodenko, siadając na jednym z drewnianych krzesel. – Ostatecznie to on był tym, który opracował plan naszej ucieczki.

Jemienkow skończył przygotowywać kawę, a potem opowiedział Zlotinowi o wydarzeniach popołudnia. Pułkownik słuchał w milczeniu, mocno ściskając w dłoniach kubek gorącej kawy.

–Są z każdą chwilą bliżej nas – podsumował Rodenko, gdy Jemienkow skończył opowiadanie. – Musimy ich załatwić, nim będzie za późno.

Zlotin przełknął łyk czarnej, gorzkiej kawy, a potem pochylił się do przodu, trzymając łokcie na kolanach.

–To zbyt niebezpieczne – orzekł w końcu.

–Nie będzie, towarzyszu pułkowniku, jeśli zwabimy ich w pułapkę – sprzeciwił się Jemienkow.

Zlotin spojrzał z ukosa na Jemienkova.

–A więc zgadzasz się z majorem Rodenką?

–Tak jest, towarzyszu pułkowniku, zgadzam się – odparł Jemienkow. – Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

–Dokładnie to mam na myśli – stwierdził Zlotin.

–Co chcecie przez to powiedzieć, towarzyszu pułkowniku? – zapytał Jemienkow.

**–Graham jest najlepszy ze wszystkich, tego nie muszę wam mówić – oświadczył Zlotin. – Nie wiem wiele o Sabrinie Carver, ale jeśli jest partnerką Grahama, to musi być dobra. Nie pracowałby z nią, gdyby nie była doskonale wykwalifikowana.**

**–Więc myślisz, że nie zdołamy ich załatwić, o to chodzi? – spytał zaperzony Rodenko.**

**–Tego nie wiem i dlatego nie sądzę, by było warto kusić los.**

**–Jemienkow i ja potrafimy rozprawić się z nimi – powiedział ostrym tonem Rodenko, zjeżywszy się z oburzenia na myśl, że mógłby być oceniany niżej niż para agentów operacyjnych UNACO, szczególnie że jednym z nich jest kobieta.**

**–Nie mogę sobie pozwolić na oddelegowanie was obu do takiej operacji – odrzekł Zlotin. – Gdyby coś się nie powiodło...**

**–Nie może się nie powieść – odciął się Rodenko.**

**–Czy pozwolisz mi dokończyć zdanie? – syknął rozzłoszczony Zlotin.**

**Rodenko sztywno wyprostował się na krześle, z rękami założonymi na piersi, ale nie odezwał się.**

**–Gdyby coś się miało nie powieść, sam jeden nie mógłbym dokończyć tej operacji. – Zlotin potrząsnął głową. – Nie, nie warto ryzykować, gdy jesteśmy tak blisko ostatecznego terminu.**

**–Towarzyszu pułkowniku, jeśli Graham i Carver zdołają nas wytropić w przeciągu najbliższych dni, wtedy nasza ciężka praca pójdzie na marne – powiedział Jemienkow. – Ale jeśli zdołamy ich załatwić w tej chwili, to zdarzenie to poważnie zachwieje całą operacją UNACO. Szefostwo UNACO będzie musiało zorganizować inny zespół, poinstruować go i wysłać tutaj na miejsce Grahama i Carver. To pochłonie cenny czas; UNACO prowadzi wyścig z czasem, podobnie jak my. Musimy przejąć inicjatywę, towarzyszu pułkowniku. Jesteśmy to winni naszym kolegom w ojczyźnie. Oni polegają na nas i wierzą, że przeprowadzimy pomyślnie naszą część operacji.**

**–Walentinie, przypominasz mi bardzo mnie samego, gdy byłem w twoim wieku – zauważył Zlotin. – Nigdy się nie bałem przeciwstawić przełożonym, kiedy różniliśmy się zdaniem; gdyby nawet pociągało to za sobą oskarżenie o niesubordynację. Mówiłeś coś wcześniej o jakiejś pułapce. Czy masz coś określonego na myśli?**

**–Tak, towarzyszu pułkowniku, i potrzeba do tego tylko jednego z nas – odrzekł Jemienkow.**



**–Wobec tego posłuchajmy, co masz do powiedzenia – zgodził się Zlotin. – A jeśli dojdę do wniosku, że to może się powieść, wyrażę zgodę.**

*Dwudziesty szósty grudnia*

Gdy zadzwonił telefon, Graham obudził się w parę sekund. Zapalił lampę na nocnym stoliku i podniósł słuchawkę.

–Halo? – powiedział, sięgając po zegarek. Była trzecia trzydzieści rano.

–Czy to Graham? – padło pytanie.

–Taa, kto mówi? – zapytał podejrzliwie Graham.

–Luis Caldere. Pamięta mnie pan?

–Oczywiście, właściciel baru – odparł Graham. – Czego pan chce?

–Próbują mnie zabić, *senhor* - usłyszał wypowiedzianą nerwowym głosem odpowiedź. – Proszę, musi mi pan pomóc.

–Kto próbuje pana zabić? – Żadnej odpowiedzi. – Caldere, jest pan tam jeszcze?

–Jeszcze jestem. Nie mogę powiedzieć przez telefon. Możemy się spotkać?

–Nie, póki nie usłyszę paru odpowiedzi...

–Śledzą mnie. Jeśli mi pan pomoże, mogę panu wskazać gdzie znaleźć teczki. Proszę, *senhor* Graham, musi mi pan pomóc. Spotkam się z panem za pół godziny przy basenie zbożowym. Jest tam magazyn z białym dachem. Nie może go pan nie zauważyć. Będę czekać przez dziesięć minut przy wejściu, potem odejdę. Proszę nie wzywać policji. Oni mnie zabiją.

–Co pan chce przez to powiedzieć? Że policja bierze w tym udział?

Zapadła cisza. Graham wolno odłożył słuchawkę i przecesał włosy palcami. Co, u diabła, miał z tym począć? Wszystko wskazywało, że jest to pułapka. A jeśli nie jest? Czy może sobie pozwolić na takie ryzyko? Podniósł słuchawkę, połączył się z Rustem.

–Oczywiście, że to pułapka – oświadczył Rust, gdy tylko Graham zrelacjonował mu osobiście rozmowę.

Sabrina odwróciła się od okna.

–A jeśli mylisz się, Jacques? Jeśli Caldere jest uczciwy?

**–Po rozmowie z Mike’em telefonowałem do dyżurnego oficera w dowództwie brygady sił specjalnych. Jak poinformował zespół obserwacyjny, pilnujący baru, Caldere wciąż tam jest.**

**–O tej porze? – zdumiał się Graham.**

**–Ma specjalne rozszerzenie licencji, która pozwala mu na pozostawianie baru otwartym po normalnym czasie zamykania. Co więcej, brygada sił specjalnych ma jego telefon na podsłuchu i oficer dyżurny jest pewien, że w ciągu ostatnich trzech godzin nie było stamtąd żadnych rozmów.**

**–Myślisz, że Jemienkow znów stosuje swe triki?**

**–Czemu nie? Był tak przekonujący, że dzisiejszego popołudnia zdołał oszukać Moralesa. A podszywał się pod kogoś, kogo Morales znał od lat. Ty słyszałeś głos Calderego tylko raz. To musi być pułapka.**

**Zadzwonił telefon. Graham, który był najbliżej, zgłosił się. Wyciągnął słuchawkę do Rusta.**

**–Brygada sił specjalnych do ciebie.**

**Rust wziął od niego słuchawkę, a gdy słuchał głosu po drugiej stronie, przez jego twarz przemknął wyraz zaniepokojenia.**

**–Nie, nie róbcie nic – powiedział wreszcie. – Dziękuję za powiadomienie mnie. Zatelefonuję do was, jak przedyskutuję sprawę z moim zespołem.**

**–Co się stało, Jacques? – spytał zaniepokojony Graham, gdy Rust odłożył słuchawkę.**

**–Po moim telefonie oficer dyżurny polecił zespołowi obserwacyjnemu przyrzeć się barowi dokładniej. Drzwi frontowe nie są zamknięte na zamek, ale Calderego nie ma w środku. Prawdę mówiąc, lokal jest kompletnie pusty.**

**–Więc jak udało mu się przemknąć obok zespołu obserwacyjnego? – zapytała Sabrina.**

**–Mógł po prostu mieć na sobie inną niż zwykle marynarkę, włożyć inny kapelusz i wyjść frontowymi drzwiami – odparł Graham. – Zespół obserwacyjny niczego by nie podejrzewał, szczególnie że wewnątrz budynku paliło się światło.**

**–Z czego wynika, że wiedział, iż jest obserwowany – stwierdziła Sabrina.**

**–A to oznaczałoby, że otrzymał cynk – dodał Graham.**

**–Co sugerujesz, Mike? – zapytał Rust. – Że ktoś z brygady sił specjalnych dał mu cynk?**

**–Cóż, jestem pewien, że to nikt z nas, więc pozostaje tylko brygada sił specjalnych. To potwierdza podejrzenie, które mam od chwili fiaska w Vila do Conde wczorajszego popołudnia. Zdziwiło mnie po prostu, że Rosjanom udało się dotrzeć tak szybko do pola karawaningowego po tym, jak wzięliśmy namiary miejsca pobytu Fisierów. Teraz jestem przekonany, że otrzymał cynk od kogoś, kto znajduje się blisko serca operacji.**

**–Morales? – zapytała podejrzliwie Sabrina.**

**–Mógł być to ktokolwiek z ludzi w ich centrum dowodzenia. Ale w tej chwili to nie jest ważne. – Graham podszedł do okna. – Caldere znajduje się gdzieś tam na dworze. Nie wiadomo, czy ucieka, czy próbuje zwabić nas w pułapkę.**

**–Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – stwierdziła Sabrina.**

**–Zgoda – powiedział Graham, patrząc na zegarek. – Mamy dwadzieścia minut na dostanie się do basenów portowych.**

**–Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to jest pułapka, to założono ją znacznie wcześniej, niż otrzymałeś telefon – ostrzegł Rust.**

**–Musimy jechać, Jacques – rzekł Graham. – A jeśli Caldere mówił prawdę? Jeśli jest śmiertelnie przerażony i ucieka? Nie możemy zrezygnować z najmniejszej szansy doprowadzenia nas do teczek. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.**

**–Przyznaję, ale uważam, że powinien wam towarzyszyć zespół wsparcia, na wypadek gdyby pojawiły się jakiegokolwiek kłopoty.**

**–Jeśli mam słuszość, że w brygadzie sił specjalnych jest kret, nie chcę mieć blisko siebie żadnego z nich, dopóki winny nie zostanie wyeliminowany – odparował Graham.**

**–Sprawa kreta to czysta hipoteza, Mike – rzekł szorstko Rust. – Nie możesz, ot tak sobie, wysuwać zarzutów, nie mając nic na ich poparcie.**

**Graham zwrócił się do Sabriny.**

**–Teraz twoja kolej. Czy chcesz, by brała w tym udział brygada sił specjalnych?**

**–Nie – padła zwięzła odpowiedź.**

**–Posłuchaj, *chérie*...**

–Jeśli przeczcucie Mike’a jest słuszne, to wolę, by mojego tyłka, gdy będziemy jechać do magazynu, pilnował ktoś, komu mogę ufać – przerwała natychmiast.

–OK, jestem gotów zgodzić się z wami w tym wypadku, ale chcę, abyście pozostawali w kontakcie – oświadczył Rust, wskazując stojące na nocnym stoliku radio nadawczo-odbiorcze.

–Będziemy – odparł Graham, idąc do drzwi. – I ani słowa o tym komukolwiek z brygady, przynajmniej do chwili naszego powrotu. Zgoda?

–Zgoda – usłyszał niechętną odpowiedź. – Życzę szczęścia.

–Dziękuję, Jacques – powiedziała Sabrina z uśmiechem, a potem wyszła za Grahamem z pokoju i zamknęła drzwi.

Ed Miller zdusił ziewnięcie i popatrzył na zegarek. Jeszcze godzina do końca jego zmiany. Gdy wracał do domu, jedynym jego życzeniem było skulić się w łóżku i przespać cały dzień. Myśl, że właśnie tak robi, trzymała go przy życiu podczas nudy ostatnich czterech godzin. Sięgnął po kawę stojącą na desce rozdzielczej i skrzywił się zdegustowany, gdy pociągnął łyk z kubka. Kawa była zimna. Wypłuł ją, otworzył okno i wylał zawartość kubka na chodnik. Gdy przez samochód przeleciał powiew wiatru, zadrżał i, szybko zamknąwszy okienko, wyjął ze schowka na rękawiczki termos, by nalać sobie następną porcję. W tym momencie otworzyły się boczne drzwi hotelu i wyszły z nich dwie postacie, z dłońmi wbitymi w kieszenie skórzanych kurtek i głowami pochylonymi pod wiatr. Miller poczuł napływ podniecenia. Choć nie mógł dostrzec ich twarzy, rozpoznał Grahama po noszonej przez niego czapce baseballowej drużyny New York Yankees. Odstawiwszy termos, sięgnął po aparat fotograficzny i zrobił im kilka zdjęć, gdy szli do samochodu. Następnie, starannie ułożywszy aparat na siedzeniu obok siebie, poczekał, aż ich wóz zniknie za najbliższym rogiem, nim uruchomił własny samochód i zaczął śledzić ich z dyskretnej odległości.

Graham zaparkował wóz w słabo oświetlonym ślepych zaułku za Rua Joao Evangelista, blisko nabrzeża, i zgasił silnik.

–OK, gdzie dokładnie znajduje się ów basen zbożowy, patrząc z tej strony? – zapytał, wskazując mapę na kolanach Sabriny.

–Zgodnie z nią jest wprost przed nami, około dwustu metrów stąd – odrzekła. – Otoczony płotem, z głównym wejściem po przeciwnej stronie zaułka.

Graham popatrzył na zegarek. Była prawie czwarta. Sprawdził swą berettę, wsunął ją z powrotem do kabury pod pachą i wysiadł z samochodu. Sabrina wysiadła również i poszła za nim wąskim przejściem, prowadzącym na opuszczony parking. Drewniany płot zewnętrzny, wzmocniony drutem kolczastym, znajdował się po

przeciwnej stronie parkingu. Graham ocenił, iż ma on przynajmniej trzy i pół metra wysokości. Może więcej. Poszli wzdłuż płotu, aż natrafili na wyjście – podwójną, zniszczoną dwuskrzydłową bramę z wyblakłym czarnym napisem: *Doca do Trigo*. Graham pchnął bramę, ale bez zdziwienia przekonał się, że jest zamknięta od wewnątrz.

–Będziemy musieli się wspiąć – szepnęła Sabrina.

Gdy zaczęły padać pierwsze krople deszczu, Graham rzucił nocnemu niebu rozpaczliwe spojrzenie. Rozejrzał się ukradkiem wokoło, a potem, chwyciwszy metalową ramę, podciągnął się i ostrożnie wyjrzał nad szczytem bramy. Choć w baraku paliło się światło, nie widział nikogo wewnątrz. To przynajmniej dobrze im wróżyło. Zapewniwszy sobie lepsze oparcie dla stóp, powoli rozejrzał się wokoło. Na lewo był budynek portowy i urząd celny. Oba ciemne. Paręset metrów przed nim znajdowało się nabrzeże, gdzie dwa żurawie wieżowe chyliły się jak futurystyczni drapieżcy nad masowcem, samotnie nurzającym się w mulistej wodzie. Na prawo stał rząd brudnoszarych silosów zbożowych, ale nigdzie w polu widzenia nie było magazynu z białym dachem...

–Zauważyłeś go? – syknęła z dołu Sabrina.

Już miał zaprzeczyć, gdy dostrzegł samotny budynek, stojący za urzędem celnym. Czy jego dach był brudnobiały, czy szary? Z miejsca, w którym się znajdował, nie był w stanie określić. Na dachu był też jakiś napis, ale nie potrafił rozróżnić liter. Musiał to być magazyn. Gdzież indziej mógłby się znajdować? Dał Sabine sygnał uniesionym kciukiem, a potem przerzucił się nad szczytem bramy i skoczył na ziemię. Gdy się prostował, już miał w ręku berettę. Pośpieszył pod chwilowe ukrycie w stosie rdzewiejących blaszanych beczek, porzuconych za stróżówką. Z miejsca, w którym przysiadł, mógł zajrzeć do wnętrza stróżówki. Na stole leżał otwarty magazyn ilustrowany i termos, lecz nie było ani śladu nocnego stróża. Graham wiedział, że jeśli była to pułapka, stróża już unieszkodliwiono, by umożliwić czekającym w ukryciu dostanie się do magazynu bez niepotrzebnych świadków.

W chwilę później przez bramę przelazła Sabrina i zwinnie wylądowała na ziemi. Podbiegła do miejsca, gdzie przysiadł Graham, i dała nura za beczki.

–Gdzie jest magazyn? – zapytała, wpatrując się w półmrok wokół siebie.

–Myślę, że tam – powiedział Graham, wskazując budynek po przeciwnej stronie na końcu terenu.

Ośloniła oczy przed deszczem i przez pewien czas wpatrywała się w budynek, nim w końcu skinęła głową.

–Tak, to jest to, czego szukamy.

–Rozdzielimy się i podejmiemy do budynku z różnych stron – oświadczył Graham. – W ten sposób zmniejszymy niebezpieczeństwo, jeśli jest to pułapka. Ty trzymaj się zewnętrznego płotu. Doprowadzi cię na tyły magazynu. Ja zajmę się frontem. Spotkamy się przy nabrzeżu za, powiedzmy, pięć minut?

–Zgoda. – Sabrina położyła dłoń w rękawiczce na ramieniu Grahama. – Bądź ostrożny, Mike.

Graham poklepał ją po dłoni, a potem wyskoczył z kryjówki i zygzakami przebiegł przez pas otwartego terenu, póki nie dotarł do bliższego z żurawi wieżowych na nabrzeżu. Zatrzymał się, by odzyskać oddech, a potem sprintem przebył sto metrów do podstawy drugiego żurawia. Dopiero wtedy skulił się i powoli rozejrzał wokół, mrużąc oczy przed siekącym deszczem. Ze swojego miejsca widział zarząd portu i część urzędu celnego, ale nie magazyn. Przyjrzał się uważnie całej długości masowca pod panamską flagą, przycumowanego do nabrzeża nie dalej niż o trzydzieści metrów od niego. Ale i on, podobnie jak całe nabrzeże, wyglądał na opustoszały. Zadowolony z tego, co widzi, wyskoczył spod żurawia i zgięty wpół pobiegł do zarządu portu. Przycisnąwszy się do pobielanej ściany, trzymając berettę blisko twarzy, zakręcił się w miejscu, teraz wyciągając dłoń na całą długość ręki. Ujrzał wtedy skurczoną postać, stojącą z rękami w kieszeniach przed frontem magazynu, z kapeluszem naciągniętym tak, że częściowo zasłaniał jej twarz. Graham otarł krople deszczu z oczu, ale było zbyt ciemno, by stwierdzić, czy jest to Caldere, czy nie. Powoli zaczął posuwać się naprzód, tuż przy ścianie, mocno trzymając berettę w obu dłoniach. Dotarł do jedyne go okna, wychodzącego na nabrzeże, ale postanowiwszy nie ryzykować, schylił się, by przejść pod nim.

Nagły ruch zauważył stojący w pobliżu człowiek i zaczął się rozglądać. Wówczas Graham rozpoznał twarz pod rondem fedory. Caldere natychmiast spojrział ukradkiem na wszystkie strony, a potem pośpiesznym gestem przyzwał Grahama do siebie. Mike wyprostował się wolno i ruszył ostrożnie, trzymając berettę wycelowaną w Calderego.

–*Senhor* Graham – rzucił nerwowo Caldere. – Nie sądziłem, że pan przyjdzie. Nie wziął pan ze sobą policji?

Graham milczał.

Caldere stulił dłonie przy ustach, chuchnął w nie, a potem zatarł, nim wyszedł spod osłony dachu. Pocisk uderzył w ścianę za nim, mijając go z bliska. Graham padł na ziemię, kierując łukiem berettę na stos skrzyń na nabrzeżu, skąd wystrzelono. Niczego nie ujrzał. Caldere, z twarzą skrzywioną z przerażenia, kopnął wściekle w drzwi znajdujące się za nim. Słaby zamek pękł od jego ciosu, i Caldere, szarpnąwszy drzwi, znikł w magazynie. Grahamowi udało się wcisnąć za filar podtrzymujący daszek nad wejściem do urzędu celnego, lecz choć teraz widział wyraźnie skrzynie,

nie potrafił dostrzec strzelca. Wiedział, że nie może iść za Calderem, nie wystawiając się na strzał. Pewną pociechę stanowiło to, że strzelec także nie może pójść za nim, nie ujawniając się. Grahamowi wystarczyłby jeden strzał, by powalić skurwysyna. Ale kto to był? Jeden z Rosjan? Policjant? Caldere twierdził, że tamci chcą go zabić. Kret w brygadzie sił specjalnych? Jeśli rzeczywiście znajdował się tam kret... Popatrzył na zegarek. Minęło pięć minut. Sabrina powinna była usłyszeć wystrzał, ale czy będzie zdolna okrążyć strzelca tak, by znaleźć się nie zauważona za jego plecami?

Z drugiej strony magazynu rozległy się dwa wystrzały. Przewrócono jedną ze skrzyń. Przez chwilę Graham myślał, że Sabrina trafiła strzelca, ale skulona postać wycofała się zza jednej ze skrzyń, napięta, z pistoletem wycelowanym w stronę, skąd strzeliła Sabrina. Strzelec, nagle zrozumiał, że odsłonił się z boku, jeszcze przesunął lufę pistoletu w kierunku urzędu celnego, gdy pocisk Grahama trafił go w nogę. Graham usłyszał jego okrzyk bólu i zobaczył, jak pada na ziemię, a pistolet wysuwa mu się z dłoni. Broń zatrzymała się o kilka centymetrów od skraju nabrzeża. Ściskając jedną dłonią zranioną nogę, strzelec zaczął powoli pełznąć w jej stronę, ryjąc palcami ziemię, gdy rozpaczliwie próbował do niej dotrzeć, nim zostanie obezwładniony. Graham nie tracił czasu. Wyskoczywszy zza filara i pobiegłszy w stronę skrzyń, kopnął pistolet do wody, nim bandzior zdołał go dosięgnąć. Nagle obok pojawiła się Sabrina z berettą wycelowaną w napastnika. Graham szybko go zrewidował. Był czysty. Rąbnął go kolbą za uchem, a potem, już nieprzytomnego, przewrócił na plecy. Żadne z nich go nie rozpoznało. Graham znalazł kawał postrzępionego sznura na jednej ze skrzyń i użył go do związania bandycie rąk i nóg.

–Czy był tu Caldere? – zapytała Sabrina.

–Tak, strzał był w oczywisty sposób przeznaczony dla niego – stwierdził Graham. – Jest w magazynie. Liczę na to, że nie ma stamtąd innego wyjścia, inaczej moglibyśmy go zgubić. Myślę, że po tym wydarzeniu dzisiejszej nocy będzie bardziej rozmowny, jeśli zdołamy przekonać władze, by udzieliły mu ochrony.

Graham poszedł przodem do wyłamanych drzwi, gdzie zajął pozycję tuż przy otwartym wejściu.

–Caldere? – zawołał. – Tu Graham. Teraz możesz już wyjść. Jesteś bezpieczny.

Żadnej odpowiedzi.

–Caldere, załatwiliśmy strzelca! – krzyknęła do niego po portugalsku Sabrina. – Teraz jest bezpiecznie. Możemy cię chronić, jeśli będziesz chciał mówić. Caldere, czy mnie słyszysz?

–Jestem przerażony – odkrzyknął Caldere po angielsku. – Zabiją mnie, jak wyjdę.

Graham zaklął pod nosem i spojrzał z ukosa na Sabrinę.



**–Będę musiał wejść do środka i zabrać go. Pilnuj drzwi.**

**–Ja go zabiorę – oświadczyła Sabrina, wyciągając rękę, nim Graham zdołał odpowiedzieć. – Jeśli jest przerażony, będzie czuł się swobodniej, rozmawiając we własnym języku. Łatwiej będzie w ten sposób skłonić go do wyjścia.**

**Graham bez komentarzy zgodził się z jej rozumowaniem i gestem wskazał drzwi. Weszła do środka i stanęła, by się zorientować. Magazyn zalegała całkowita ciemność.**

**–Caldere? – zawołała. – Caldere, gdzie jesteś?**

**Cisza.**

**–Caldere! – wydarł się Graham od drzwi, z wyraźną już złością w głosie. – Caldere, możesz już wyjść. Caldere!**

**Sabrina obmacała pobliską ścianę, aż wreszcie jej palce natrafiły na wyłącznik. Nacisnęła go. Nic. Czując, że weszli w pułapkę, już miała krzyknąć ostrzegawczo do Grahama, gdy dwa wystrzały odbiły się echem wśród ciemności. Oba pociski trafiły Grahama w pierś, odrzucając go na ścianę. Osunął się na ziemię.**

**–Mike?! – wrzasnęła przerażona Sabrina, biegnąc do miejsca, gdzie leżał.**

**–Proszę go zostawić, panno Carver – usłyszała głos gdzieś z wnętrza zaciemnionego magazynu. – Wsadziłem mu oba pociski w serce. Jest martwy.**

**Sabrina zakręciła się w miejscu, omiatając berettą ciemności. Głos był dystyngowany, jego angielszczyzna miała tylko odrobinę obcego akcentu. Musiał to być Rosjanin. Kimkolwiek był, posługiwał się okularami noktowizyjnymi – pomyślała, wpatrując się bezsilnie w ciemność.**

**–Proszę rzucić berettę, panno Carver! – zawołał ponownie, tym razem z innego kierunku wewnątrz magazynu. – Widzę każdy pani ruch. Proszę rzucić broń.**

**Znała przepisy. Żaden z członków UNACO nie mógł złożyć broni, będąc na służbie. Jeśli jednak tego nie robi, tamten z pewnością zastrzeli także i ją. Natomiast zastosowanie się do jego reguł gry da jej większe szansę. Czasami przepisy trzeba naginać, by dostosować się do sytuacji. Rzuciła berettę na podłogę.**

**–Proszę odrzucić ją kopnięciem – usłyszała.**

**Zrobiła, co jej polecono.**

**–Włącz światło! – padł rozkaz po portugalsku.**

Nagle magazyn zalało światło. Setki drewnianych pojemników stały w równych rzędach, między nimi ciągnął się labirynt wąskich korytarzy, pozostawionych tak, by mogły się w nich zmieścić podnośniki widłowe, zaparkowane przy drzwiach. Sabrina spojrzała na swą berettę, która leżała w najbliższym korytarzu. Wiedziała, że się znajduje zbyt daleko, by próbować rzucić się po nią. Nagle zauważyła jakiś ruch i skierowała wzrok na biegnący górą pomost. O poręcz opierał się mężczyzna, na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech, gdy oceniał jej wygląd. Był uzbrojony w pistolet maszynowy Skorpion. Na ścianie za nim znajdowała się otwarta skrzynka bezpieczników. Tak prosto było schwytać ich w pułapkę.

Mężczyzna ciągle jeszcze patrzył na nią pożądliwie, gdy Graham, uniósłszy swą berettę, władował w niego dwa pociski. Człowiek zatoczył się w tył i potknął o poręcz za sobą. Wylądował z obrzydliwym chrupnięciem na podłodze poniżej.

Graham rzucił się za Sabriną w korytarz, nim seria pocisków zasypała miejsce, w którym przed chwilą leżał. Osunął się na pojemnik i ostrożnie potarł klatkę piersiową.

–Wciąż boli jak diabli – syknął przez zaciśnięte zęby.

–W tej chwili nie czułbyś w ogóle nic, gdybyś nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej – odparła, podnosząc z podłogi swą berettę.

–Tak, wiem – zgodził się, starannie badając wzrokiem pomost nad nimi. Był pusty.

–Wiemy, że jest tu przynajmniej dwóch. Może być więcej.

Nagła seria strzałów rozdarła niepokojąco ciszę. Wydawało się, że jest skierowana na wyjście z magazynu.

–Już się do nas zbliżają – stwierdził Graham, gramoląc się na nogi. – Ten, kto wystrzelił tę serię, nie jest daleko stąd. Musimy ruszać się bez przerwy, to nasza jedyna szansa. Rozdzielimy się i rozpoczniemy ogień z różnych stron.

Sabrina ostrożnie przedostała się na koniec korytarza, trzymając berettę lufą do góry, tuż przy twarzy. Graham dał jej znak uniesionym kciukiem. Kiwnęła głową, a potem zakręciła się w miejscu z wyciągniętą przed siebie bronią i po chwili znikła w sąsiednim korytarzu.

Graham dał nura przez wąską lukę między dwoma rzędami pojemników i przetoczył się do dochodzącego tam korytarza. Był pusty. Uniósł się na jedno kolano i już miał ruszyć dalej, gdy zauważył poruszający się zarys na końcu korytarza. A potem cień znikł. Przez chwilę myślał, że oczy mogą go mylić. Wiedział jednak, że nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Szybko zanurkował ponownie w lukę i przysiadł z plecami przyciśniętymi do pojemnika, nasłuchując bez oddechu odgłosu kroków, które, jak przypuszczał, powinny teraz się zbliżyć. Żadnego dźwięku. Nagle uderzyła go myśl. A

może to być cień Sabriny? Albo gra światła? To postawiło go przed dylematem. Czy powinien zostać tu, gdzie jest, czy ryzykować spotkanie? Myśl o spotkaniu twarzą w twarz, szczególnie że mógł wpaść na Rosjanina, była dla niego smakowitym wyzwaniem. Ale wiedział także, że bez elementu zaskoczenia pozostanie mu tylko ułamek sekundy na załatwienie ich. Niewiele czasu zajęło mu podjęcie decyzji. Stawi czoło. Jeśli nikogo tam nie będzie, to trudno. Z pewnością trwanie w przysiadzie i oczekiwanie, aż coś się wydarzy, było cholernie męczące.

Oblizawszy suche wargi, zacisnął mocniej berettę i już miał potoczyć się na korytarz, gdy naprzeciw niego, na pojemniki ustawione w sztaple, padł cień. Zacisnął zęby, opuścił się na jedno kolano i podniósł berettę, trzymając palec na spuście. Cień zamajaczył bliżej. Zagryzł wargi i zamrugnął z irytacją, czując jak pot spływa mu po czole i do oczu. Cień nagle zatrzymał się. Graham ocenił, że postać znajdowała się obecnie tylko o kilkadziesiąt centymetrów od niego. Wiedział, że musi strzelić w tej samej chwili, gdy postać się pojawi. A jeśli to będzie Sabrina? Ta myśl napadła go zniechęcająco, ale zapewnił sam siebie, że potrafi powstrzymać się od strzału, jeśli okaże się, że to ona. Zresztą wątpił w to. Powinna była pilnować innej części magazynu. A jednak cień istniał w dalszym ciągu, pozostając bez zmiany kilkadziesiąt centymetrów od niego.

Chodźże, skurwysynu – ponaglał go Graham. Uzmysłował sobie, że uśmiecha się sam do siebie. I nagle cień się cofnął, a w chwilę później zniknął. Graham wściekle zaklął pod nosem. Miał tylko jedno wyjście, którego bardzo chciał uniknąć. Będzie musiał wyjść na korytarz wiedząc, że ten, kto tam jest, może czekać na niego w zasadzce. Nagle szansę odwróciły się przeciw niemu. Teraz już nie można było wywinąć się od starcia. Otarłszy pot z czoła, oparł się o pojemnik za plecami, a potem obrócił się w miejscu, z wyciągniętą berettą i palcem zaciśniętym na spuście.

Człowiek stał na końcu korytarza, plecami do Grahama. Miał na sobie kamuflażowe spodnie i kamizelkę przeciwodłamkową. Po krótko przyciętych blond włosach Graham natychmiast rozpoznał Jemienkowa. Tamtemu potrzebna była tylko sekunda, by się zorientować, że ktoś jest za nim, ale przewaga była znów po stronie Grahama.

– Nawet o tym nie myśl, Jemienkow – warknął Graham widząc, jak palce Rosjanina zaciskają się na trzymanym w ręce pistolecie Makarowa. – Rzuć go na ziemię, a potem odwróć się powoli, z rękami w powietrzu.

Jemienkow wolno odwrócił głowę, odruchowo kierując wzrok na dwie dziury w kurtce Grahama. Potem, w ślad za głową, zaczęło odwracać się ciało, a pistolet łukiem kierował się ku Grahamowi. Ten wystrzelił dwukrotnie. Pierwszy pocisk trafił Jemienkowa w brzuch, drugi wbił się w żebra. Jemienkow krzyknął i zatoczył się do tyłu, z twarzą skurczoną w bólu, a potem zniknął za rzędem pojemników. Graham zaklął wściekle i natychmiast pogonił za nim. Dotarł do końca korytarza i wykonał

obrót, by objąć ruchem lufy sąsiedni korytarz. Na najbliższym pojemniku widniało krwawe odbicie dłoni, ale nie było śladu Jemienkowa. Graham wszedł do następnego korytarza, kierując się krwawym tropem. Ten też był pusty. Odporność Jemienkowa zdumiała Grahama. Wpakował mu dwie kulki w brzuch, a on ciągle poruszał się dość szybko, by umknąć. Ślady prowadziły na koniec korytarza. Graham zatrzymał się, wbijając wzrok w ostatni sztapel pojemników, wznoszący się ponad korytarzem. Na najniższym poziomie było jeszcze więcej krwi. Jemienkow musiał się tu potknąć i uchwycić pojemnika, by nie upaść. Skręcił na prawo. Graham sprawdził korytarz za sobą. Był wolny. Już miał wejść w przyległy korytarz, gdy kątem oka dostrzegł ruch za sobą.

–Rzuć broń, Graham – usłyszał i zza pojemników na drugim końcu korytarza wyszedł Caldere. – Powiedziałem: rzuć broń!

Graham stał w niewygodnej pozycji do strzału w obrocie. Jeśli spudłuje, Caldere tego nie zrobi, przynajmniej nie z tej odległości. Pomyślał, by dać szczupaka i strzelać podnosząc się z pierwszego przewrotu, ale ta pozycja również nie gwarantowała powodzenia.

–Rzuć broń! – warknął ponownie Caldere, powoli zbliżając się do Grahama.

Graham zastanawiał się, co zrobić, gdy nagle, niczym duch, zza pojemników wyłoniła się Sabrina, z berettą wycelowaną w plecy Calderego. Graham nie odrywał wzroku od twarzy zbliżającego się doń mężczyzny.

–Nie, to ty rzuć swoją broń – sucho rozkazała Sabrina po portugalsku.

Caldere zamarł z miną przerażoną i zaskoczoną. Nic nie słyszał. Wpatrując się w wycelowaną w siebie berettę Grahama, nie miał wyboru. Wolno opuścił pistolet.

Sabrina szybko rozbroiła go.

–Ilu was tu jest?

–Tylko czterech. – Caldere ujrzał powątpiewanie w oczach Grahama. – Przysięgam, że tak jest, *senhor*.

–Pójdiesz przodem do wyjścia – rozkazał mu Graham. – Jeśli czekają nas jakieś miłe niespodzianki, pierwszy pocisk trafi ciebie.

–Co to była za strzelanina, którą słyszałam wcześniej? – Sabrina zwróciła się do Grahama.

–Wsadziłem dwie kulki Jemienkowowi, ale mimo to zdołał uciec – odrzekł Graham. – Bóg wie, gdzie ukrył się teraz.

**–Przy odrobinie szczęścia może jest martwy – stwierdziła.**

**–Nie licz na to. – Graham omiatał wzrokiem korytarz. – Ty pilnuj Calderego, ja idę za Jemienkowem.**

**Caldere odczekał, aż Graham się odwrócił, i wtedy nagle rzucił się na Sabrinę, trafiając ją w bok twarzy zaciśniętą pięścią. Zanim Graham się zorientował, Caldere zdążył już zniknąć z pola widzenia.**

**W magazynie rozległ się pojedynczy wystrzał. Sabrina dała nura w przyległy korytarz. Podnosząc się z pierwszego przewrotu, miała berettę już wycelowaną w postać na drugim końcu magazynu. Był to Jemienkow. Uniosła się na jedno kolano, trzymając palec zaciśnięty na spuście. Ale nie strzeliła. Jemienkow stał oparty plecami o ścianę, z brodą opuszczoną na piersi. Pistolet Makarowa luźno zwisał z jego dłoni, a przód kamizelki przeciwodłamkowej był przesiąknięty krwią. Przyciskając lewą dłoń do poszarpanego brzucha, zgrzytał z męki zębami, powoli osuwając się na podłogę i pozostawiając ukośną smugę krwi na ścianie nad sobą.**

**–Mike, sprawdź Calderego – zawołała, nie spuszczając z oczu Jemienkova. A potem podniósłszy się wolno zbliżyła się do Rosjanina, trzymając berettę wycelowaną w jego pierś.**

**Dopiero wtedy Jemienkow popatrzył na nią. Oczy miał zamglone, oddech chrapliwy i nierówny. Chwycił go gwałtowny atak kaszlu, a pienista krew pojawiła się na wargach i zaczęła spływać po podbródku.**

**–Odłóż broń! – rozkazała.**

**Jemienkow pogardliwie splunął na ziemię, a potem uniósł pistolet w jej stronę. Zarówno Sabrina, jak i Graham równocześnie wystrzelili. Pociski rozerwały klatkę piersiową Jemienkova, odrzucając tył jego głowy na ścianę. Pistolet wysunął mu się ze skrwawionych palców, martwe ciało padło bokiem na podłogę. Sabrina podbiegła do leżącego, kopnięciem odrzuciła pistolet i sprawdziła puls. Potrząsnęła głową.**

**–Caldere też nie żyje – stwierdził Graham, wskazując ciało leżące na ziemi, oparte o jeden z pojemników. – Ale to nie pocisk go zabił.**

**–Co chcesz powiedzieć?**

**–Jego śmierć wskazuje na zatrucie cyjankiem potasu – rzekł Graham. – Domyślam się, że Jemienkow posługiwał się nabojami z cyjankowymi czubkami. Wiadomo, że mordercy ze specnazu używali ich w Afganistanie.**

**–Więc nawet rana mięśniowa zabija ofiarę?**

Graham skinął głową.

–Caldere został trafiony tylko w ramię. Gdyby nie cyjanek, żyłby nadal.

–Ale czemu Jemienkow chciał go uśmiercić? – zdziwiła się Sabrina.

–Oczywiście wiedział zbyt wiele; Jemienkow nie mógł dopuścić do tego, by informacje wpadły w nasze ręce.

–Czy powiedział cokolwiek, nim umarł?

–Tak, brzmiało to jakby *samba dancerino*.

–*Samba dancerino* to po portugalsku tancerz samby.

–Niesłychanie zrozumiałe – zauważył zgryźliwie Graham.

Sabrina zamilkła na chwilę, marszcząc czoło w namyśle.

–Czy to mogło brzmieć *Sambra Dancarinoi* - zapytała wreszcie.

–Taa, tak mogło brzmieć. Co to oznacza?

–Tancerz Cienia – odrzekła. – A jeśli pamięć mnie nie myli, UNACO miała na Bliskim Wschodzie agenta, który występował pod pseudonimem „Tancerz Cienia”.

–Jak, u diabła, mógł drobny bandzior w rodzaju Calderego wiedzieć o nim?

–Nie wiem – odparła z pretensją w głosie Sabrina. – Mogło to być także hasło kodowe, może oznaczające któregoś z Rosjan. Albo w ogóle mogło tym nie być... – Uśmiechnęła się do Grahama. – Przynajmniej mamy jednego żywego jeńca. Zobaczmy, co ma do powiedzenia.

–Nie liczyłbym na to, że wiele się od niego dowiemy. Sądzę, że został zaangażowany tylko na robotę dzisiejszej nocy.

–Niemniej warto spróbować – powiedziała, kierując się ku wyjściu.

–W tej chwili wszystkiego warto spróbować – padła pełna zwątpienia odpowiedź.

Dotarłszy do drzwi, Sabrina zamarła.

–Mike, podejdź tutaj.

–Co się stało? – zawołał Graham.

**–Po prostu podejdź tutaj.**

**Graham pośpieszył do miejsca, gdzie stała w pewnej odległości od drzwi wejściowych. Na zewnątrz, blisko drzwi, na nabrzeżu leżało rozciągnięte ciało mężczyzny. Graham stwierdził, że dwa pociski trafiły go w twarz. Jeden wszedł przez lewe oko, drugi odstrzelił większą część nosa. Choć niemożliwe było rozpoznanie zmasakrowanej twarzy, na podstawie ubrania Graham mógł stwierdzić, że nie jest to bandyta, z którym zetknęli się wcześniej.**

**–Tu, na zewnątrz, może znajdować się jeszcze jeden bandzior – ostrzegła Sabrina, podejrzliwie spoglądając na wyjście.**

**–Strzały nie padły z dworu – sprzeciwił się Graham. – Spójrz na pozycję ciała. Oczywiście jest, że pociski trafiły go w twarz, a siła uderzenia cisnęła na plecy. Gdyby ugodzono go z zewnątrz magazynu, leżałby twarzą w dół. Nie, strzały padły z wewnątrz.**

**–Oczywiście to ta seria, którą usłyszeliśmy zaraz potem, jak położyłeś typa na pomoście – zgodziła się Sabrina. – Wówczas zdziwiłam się, że ktoś celuje tak daleko od nas, szczególnie że wiedzieli, gdzie byliśmy. Teraz to ma sens.**

**–Ale kto to jest, jeśli to żaden z nich? Pewne jak wszyscy diabli, że nie stróż nocny, nie w takim ubraniu. W tej marynarce wygląda, jakby właśnie przybył z pola golfowego.**

**Sabrina, przygięta, wyszła na deszcz i, schyliwszy się nad ciałem, wsunęła dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki zabitego. Znalazła portfel i wróciła z nim do magazynu.**

**–No? – zapytał Graham, gdy go otworzyła.**

**–O Boże, nie – powiedziała przerażona.**

**Graham wyrwał jej portfel. Za przezroczystą przegródką wyraźnie widać było kartę legitymacyjną, ale tekst maszynowy napisany był po portugalsku.**

**–Co to jest? – zapytał, pukając w przegródkę palcem.**

**–To karta prasowa, wystawiona na nazwisko Edwarda Millera, dziennikarza, wolnego strzelca, akredytowanego tutaj, w Lizbonie.**

**Graham przez parę sekund wpatrywał się w martwe ciało, a potem wcisnął portfel ponownie w dłoń Sabriny.**

**–Wywołaj Jacquesa przez radio i opowiedz mu, co się zdarzyło. Ten skurwysyn na**

**dworze będzie gadał. W taki czy inny sposób, ale będzie gadał.**

**Sabrina złapała Grahama za ramię.**

**–Myślę, że to ja powinnam pójść po jeńca i przyprowadzić tutaj.**

**–Wypuść moją rękę – syknął ze złością Graham.**

**–OK – odparła, rozluźniając chwyt. – Jazda. Stłucz go i marmoladę, jeśli ci to ulży, bo właśnie to zamierzasz zrobić, prawda?**

**Graham wpatrywał się w leżące na nabrzeżu przemoczone ciało i nie odpowiadał.**

**–Spieprzyliśmy to, nie ma wątpliwości – kontynuowała spokojnie Sabrina. – Powinniśmy byli wykryć Millera na długo przed przybyciem tutaj. Ale nie zrobiliśmy tego i będziemy mieli za to piekło. Czemu jednak wyładowywać swą frustrację na więźniu; to tylko pogorszy naszą sytuację. Po prostu nie warto, Mike. – Położyła lekko dłoń na jego ramieniu. – Pozwól, że ja to załatwię, OK?**

**Wreszcie Graham kiwnięciem głowy wyraził zgodę.**

**–Złożę meldunek Jacquesowi. Gdy się dowie o Millerze, wyjdzie z siebie.**

**–Czy możesz go za to winić? – spytała ponuro Sabrina, znikając w cieniu nocy.**

**–Czemu po prostu nie załatwiliście u Reutera, by faksem powiadomił wszystkie dzienniki świata, że w tej chwili UNACO pełni ściśle tajną misję w Portugalii? – zagrzmiał Rust, gdy Graham i Sabrina zameldowali mu o wydarzeniach w magazynie. – Czemu zapewniać wyłączność tylko dla „New York Sentinel”? Dlaczego nie przekazać tej opowieści wszystkim innym gazetom?**

**–A ty oczywiście nigdy nie popełniłeś błędu, gdy działałeś w terenie – odgryzł się Graham, dotknięty do żywego zjadliwym sarkazmem Rusta.**

**–Naturalnie, popełniałem błędy – odpalił Rust. – Jeden z nich przykuł mnie do tego fotela na kółkach. Ale zawsze starałem się na nich uczyć. Natomiast oczywiste jest, że żadne z was niczego się na własnych błędach nie nauczyło. Ta Katherine Warren zdołała śledzić was nie tylko w Nowym Jorku, również miała was na oku od momentu waszego przybycia do Lizbony. A teraz mamy leżące w kostnicy ciało jej kolegi, zastrzelonego w chwili, gdy pilnował rzekomo tajnej operacji UNACO, oraz bardzo podnieconą Katherine Warren, która domaga się od brygady sił specjalnych informacji, co dokładnie zdarzyło się tej nocy w magazynie. Ma w ręku wszystkie argumenty potrzebne do uzyskania wyłączności w skali światowej na reportaż. Każda stacja telewizji kablowej w Stanach będzie ubiegać się o prawo do zrobienia miniseriale z tego cholernego fiaska. Być może powinniśmy wszyscy podjąć**



**maksymalny wysiłek, bo kiedy ta historia stanie się własnością publiczną, UNACO będzie skończona, a my bez pracy.**

**–Zastosowaliśmy wszelkie środki ostrożności, by wymknąć się tej dziennikarce, gdy tylko dowiedzieliśmy się, że nas śledzi w Nowym Jorku – tłumaczył Graham.**

**–Więc w oczywisty sposób nie okazały się dostateczne, prawda?**

**–Gdy tylko dowiedzieliśmy się, że jest w Lizbonie, mogłeś zastąpić nas innym zespołem operacyjnym – odparował mu Graham. – Uniknęlibyśmy wielu wydarzeń – dodał gniewnie.**

**–Pozostawiono wam tę sprawę, ponieważ Trzeci Zespół Operacyjny cieszy się opinią najlepszego zespołu w organizacji.**

**–Wobec tego proponowałbym, byś sprowadził następny „najlepszy zespół” na nasze miejsce, my zaś wrócimy do Nowego Jorku, złożymy swoje rezygnacje i oszczędzimy organizacji dalszego wstydu.**

**–Czy tego właśnie chcecie? – zaatakował Rust.**

**–Czy tego właśnie ty chcesz? – skontrował Graham.**

**–Chcę przede wszystkim tego, by teczki powróciły do UNACO nietknięte i pomimo ostatniej porażki wciąż wierzę, że wy dwoje możecie wykonać to zadanie najlepiej. A prawdę mówiąc, to samo uważa pułkownik.**

**–Już z nim rozmawiałeś? – odezwała się spod okna Sabrina, po raz pierwszy włączając się w tę wymianę zdań.**

**–Tak, złapałem go w chwili, gdy miał wychodzić. Wątpię, czy uda mu się dobrze wyspać.**

**–Co powiedział? – spytała.**

**–Chce, abyście w dalszym ciągu prowadzili tę sprawę, ale od tego momentu mamy działać ręka w rękę z brygadą sił specjalnych.**

**–Dajże spokój, Jacques, po tym, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, jest tym bardziej oczywiste, że Zlotin ma człowieka w brygadzie sił specjalnych – przerwał Graham.**

**–Nie, dla mnie to nie jest takie oczywiste – odparł podrażniony Rust.**

**–Wiemy od jeńca, że Caldere skontaktował się z nim na długo przed północą, by zorganizować zasadzkę przy basenie – przypomniał mu Graham. – A przecież ludzie z brygady podtrzymują wersję, że zeszłej nocy Caldere telefonował tylko dwa razy, i**

to jedynie do mieszkania, do swej żony. No i zachowanie Jemienkowa. Musiał się skontaktować z Calderem o jakiejś porze zeszłej nocy. Lecz nie posłużył się telefonem. Dlaczego? Bo obaj wiedzieli, że władze założyły podsłuch. A skąd mogliby o tym wiedzieć, gdyby ktoś wcześniej nie dał cynku, i to ktoś, kto ma dostęp do informacji?

–Mogli przyjąć takie założenie, że rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane – odparł Rust i podniósł rękę, nim Graham zaczął sprzeczać się na ten temat. – Major Inacio był siny z wściekłości, gdy się dowiedział o wydarzeniach w porcie dzisiejszej nocy, szczególnie że teraz brygada sił specjalnych będzie musiała wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności, aby nie mieszać w to organizacji. Swoje odczucia bardzo jasno wyraził pułkownikowi Philpottowi. Ten z kolei bez ogródek podzielił się ze mną swoimi wrażeniami. Spotkałem się z poważnym zarzutem za to, że pozwoliłem wam obojgu pójść tam, nie poinformowawszy brygady sił specjalnych. Więc od tej chwili będziemy działać ściśle regulaminowo.

–Innymi słowy, od tej chwili, gdziekolwiek się udamy, będziemy mieli ze sobą przyzwoitkę? – odezwał się Graham z niezadowoloną miną.

–Dokładnie tak. A jeśli wam się to nie spodoba, zostaniecie zastąpieni przez Ósmy Zespół Operacyjny. Tak wyraził się pułkownik.

Graham ze złości rąbnął pięścią w ścianę, a potem odwrócił się na pięcie i stanął twarzą do Rusta.

–Jacques, wiesz, że moje przeczucia są z reguły słuszne...

–Mike, nie chcę tego słuchać – przerwał mu Rust, wygrażając ostrzegawczo palcem. – Otrzymałeś rozkaz, a jeśli ci się nie podoba, to przyleci tu Ósmy Zespół. Jak sam byś powiedział, teraz ty serwujesz.

–Ależ serwis – mruknął Graham.

–Wygląda na to, że w tej sprawie nie mamy wyboru – odpowiedziała Sabrina. – Więc co teraz będzie?

–Przede wszystkim musimy się wynieść z hotelu – stwierdził Rust.

–Dokąd idziemy?

–Do bezpiecznego domu w Estorilu. Należy do brygady sił specjalnych. W ten sposób Katherine Warren się nie dowie, gdzie jesteście, więc przynajmniej ten problem zostanie rozwiązany. Naturalnie nie będziecie już odwiedzać Siergieja, ale po ostatnim numerze, jaki wyciął, może tak będzie lepiej.

**–Co się stanie z Warren? – zapytał Graham.**

**–Znajdzie się pod dwudziestoczworgodzinnym nadzorem ludzi z brygady, więc nie będzie mogła bez ich wiedzy nigdzie się udać.**

**–Mam tylko nadzieję, że obserwacja będzie lepsza niż opieka, którą roztoczyli nad Calderem – rzekł sarkastycznie Graham.**

**–Major Inacio już wszczął wewnętrzne dochodzenie, by wyjaśnić, w jaki sposób Caldere wymknął się z sieci. Obiecał, że jeśli którykolwiek z jego zespołów obserwacyjnych okaże się winny zaniedbań podczas służby, natychmiast podejmie przeciw niemu środki dyscyplinarne.**

**–Mnóstwo dobrego z tego wyniknie – prychnął Graham.**

**–Kiedy wyruszamy do bezpiecznej kwatery? – zapytała Sabrina.**

**–Jak tylko będziemy gotowi – odparł Rust. – Rachunki już zapłaciłem. Kapitan Morales czeka w foyer, by nas odwieźć. Więc im szybciej się spakujecie, tym szybciej możemy się wyprowadzić.**

**–A co z naszym wozem?**

**–Został wyłączony ze służby do chwili naszego wyjazdu – poinformował Rust. – Warren z pewnością odnotowała numer rejestracyjny. Chociaż jest bardzo nieprawdopodobne, by potrafiła śledzić samochód aż do naszego miejsca zakwaterowania, nie ma sensu podejmowanie zbędnego ryzyka. Gdy dotrzecie do bezpiecznego domu, będzie tam inny samochód.**

**–Chodź, Mike, pozbierajmy nasze rzeczy.**

**Graham podszedł do drzwi i obejrzał się na Rusta.**

**–Czy pułkownik rzeczywiście był gotów zastąpić nas przez Ósmy Zespół Operacyjny? – zapytał, potrząsając z niedowierzaniem głową.**

**–Wszystkie inne zespoły operacyjne wykonują w tej chwili jakieś zadania. Tylko wy i Zespół Ósmy pozostawaliście do dyspozycji w momencie wybuchu tej sprawy.**

**–Być może potrafiliby przeprowadzić staruszkę przez pustą ulicę albo znaleźć ślepego kotka w zaułku, ale to zadanie jakby było ponad ich siły, nie uważasz?**

**–OK, no więc popełnili w przeszłości parę błędów, ale nie sądzę, byś był w sytuacji pozwalającej ci na ich osądzenie.**

**–Touché - stwierdziła Sabrina, stojąc przy Grahamie. Graham zmarszczył brwi, a**

**potem wyszedł za nią z pokoju.**

**Estoril, kosmopolityczny kurort na Riwierze Portugalskiej, znajduje się o dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Lizbony. Będąc przystanią dla wygnanych monarchów i obalonych dyktatorów, jest również stałym miejscem spotkań włóczących się po świecie, podróżujących odrzutowcami, członków zamożnej socjety. Miał taki charakter od chwili, gdy stał się modny na przełomie wieków.**

**Bezpieczny dom o pastelowobłękitnych ścianach i dachu z czerwonej dachówki położony był na skraju Estorilu. Osłonięty od nadbrzeżnej szosy kępą dębów, stał na pagórku, skąd rozpościerał się, zapierający dech w piersiach, widok miasta i jego okolicy, ciągnący się jak okiem sięgnąć.**

**–U nas w Stanach bezpieczny dom byłby chałupą z drewnianych bali, ukrytą gdzieś głęboko na prowincji stanu Pensylwania – oświadczył Graham, otwierając przesuwne drzwi, prowadzące prosto z salonu na kryte patio. – Taki jak ten byłby dla większości Amerykanów domem z marzeń.**

**–Niegdyś należał do gwiazdora filmowego – wyjaśnił Morales, wychodząc za nim na patio.**

**–Taa, kogoś słynnego? – zapytał Graham, spoglądając na Atlantyck.**

**Morales potrząsnął głową.**

**–Występował wyłącznie w portugalskich filmach. Po jego śmierci zakupiliśmy willę z masy spadkowej.**

**–Jak na bezpieczny dom, jest to ideał – stwierdził Graham, siadając na wiklinowym fotelu. – Tylko jedna droga podejścia, widoczna z domu, oraz mur otaczający całą działkę. Nader trudno byłoby przedostać się tu niezauważenie.**

**–Albo wydostać – dodał Morales z uśmiechem człowieka dobrze poinformowanego.**

**Graham wyraził zgodę kiwnięciem głowy, a potem popukał w szklane drzwi za swymi plecami.**

**–Kuloodporne?**

**–Wszystkie okna są kuloodporne – zapewnił Morales.**

**Na patio wyszła Sabrina i usiadła na fotelu obok Grahama.**

**–Założę się, że w lecie jest to pułapka na promienie słoneczne – powiedziała, wpatrując się w złowieszcze, ciemne chmury, już zbierające się nad Atlantykiem.**

**–Zgadza się, ale w tej chwili zbliża się ku nam kolejna burza.**

**Morales oparł się plecami o barierkę, splótłszy ręce na piersiach.**

**–Chciałem was właśnie zapytać, czy dowiedzieliście się czegoś użytecznego od bandziora, którego złapaliście w porcie dziś rano?**

**–Niczego, co by nam się naprawdę mogło przydać – stwierdziła Sabrina. – Przekazaliśmy go twoim ludziom, ale wątpię, czy wydobędą z niego coś więcej. Oczywiście jest, że był tylko mordercą do wynajęcia i to wszystko.**

**–Kto go wynajął? – spytał Morales.**

**–Caldere. Wynajął obu oprychów.**

**–Zapewne na polecenie Jemienkowa.**

**–Zapewne – zgodziła się Sabrina.**

**–Jak Jemienkow dostał się do portu? Łodzią? Helikopterem?**

**–Wasi ludzie znaleźli motorówkę przycumowaną blisko magazynu – odparła. – Została wynajęta w firmie lizbońskiej kilka tygodni temu przez kogoś, kto odpowiada rysopisowi Zlotina.**

**Morales wstał.**

**–No, lepiej sobie już pójść. Równo za godzinę będzie odprawa w komendzie. Muszą być obecni wszyscy wyżsi oficerowie.**

**–Są jakieś nowe wiadomości o Katherine Warren? – rzuciła Sabrina za idącym do drzwi Moralesem.**

**–Tyle tylko, że od chwili zabicia Millera robi mnóstwo szumu. Major Inacio zajmuje się nią, ale jestem pewien, że dowiem się wszystkiego na odprawie. Zatelefonuję do was później i przekażę wiadomości. A jeśli będziecie mieli coś ciekawego, to wiecie, gdzie mnie znaleźć.**

**Graham odczekał, aż Morales wyjdzie, a potem podszedł do barierki.**

**–Wyglądał na bardzo zainteresowanego tym, co opryszek mógł nam powiedzieć, lub nie powiedzieć, dzisiejszego ranka.**

**–Do czego właściwie zmierzasz? – zapytała Sabrina.**

**–Sugeruje, że jeśli Morales bawi się w kreta, mógł mieć w przeszłości jakieś**

kompromitujące go kontakty albo z Calderem, albo z bandziorami – odpowiedział z salonu Rust, wiedząc, że mogą między sobą swobodnie rozmawiać: Sabrina już sprawdziła dom i przekonała się, że jest czysty, bez podsłuchu.

Graham odwrócił się do Rusta.

–Jacques, jeśli chcesz, możesz odrzucić sprawę kreta, ale ja nie.

–Nie odrzucam jej, tylko nie wypowiadam się definitywnie w tej kwestii – stwierdził Rust, wjeżdżając na fotelu na patio. – W każdej chwili mogę przyznać, że niektóre z twoich przeczuć okazywały się w przeszłości kluczowe dla rozwiązywania problemów. Ale jestem też świadom, że były inne, które stawiały organizację w kłopotliwych sytuacjach. Zarówno pułkownik, jak i ja niejednokrotnie musieliśmy przeproszać członków wywiadów zagranicznych za twe oszczercze oskarżenia. – Mike, ślizgamy się na bardzo cienkim lodzie, po porażce odniesionej dziś rano, i oskarżanie brygady sił specjalnych o działania, które nie zostały udowodnione, jest nam teraz najmniej potrzebne. Czy jasno się wyraziłem?

–Jak najdokładniej – odparł Graham.

–Dobrze – uciął krótko Rust.

–Ale wiem, że mam rację – dodał szybko Graham.

Rust obdarzył go paskudnym spojrzeniem, a potem podjechał z powrotem do rozsuwanych drzwi.

–Muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Zobaczymy się wszyscy później.

–Chcesz się napić kawy? – zwróciła się Sabrina do Grahama, gdy tylko Rust opuścił patio.

–Taa, czemu nie?

Sabrina przeszła do kuchni i zaparzyła świeżą porcję kawy. Gdy wróciła, niosąc dwa kubki parującego napoju, zastała Grahama w salonie, przy rozsuwanych drzwiach, prowadzących na patio, zamkniętych z powodu mroźnego wiatru, który zerwał się przed kilkoma minutami.

Siedział na sofie, pochylony, z łokciami na kolanach, dłońmi osłaniającymi twarz, i w zamyśleniu wpatrywał się w dywan. Nie zauważył, gdy weszła do salonu i podeszła do niego. Dopiero zapach kawy obudził go z zadumy.

–Przepraszam, byłem daleko stąd – oświadczył, przyjmując od niej kubek.

**–Zauważyłam. Co cię trapi? – zapytała, siadając obok niego.**

**Postawił kubek na stole, a potem znów pochylił się do przodu, składając dłonie.**

**–Właśnie myślałem, że po tym, co spotkało dziś rano Millera, Katherine Warren będzie jeszcze usilniej dążyć do opublikowania swojego artykułu.**

**–A pułkownik Philpott ze zdwojoną siłą będzie się starał ją od tego powstrzymać – odrzekła.**

**–A jeśli nie zdoła? Co się stanie, jeśli „Brudny Kartel” nie wykryje żadnej sprawy, która by ją zmusiła do zrezygnowania z publikacji?**

**–Wykryje – zapewniła. – Zawsze to robili w przeszłości, kiedy UNACO była zagrożona. Tylko dzięki temu organizacji udawało się pozostawać w ukryciu przez te wszystkie lata.**

**–Ale jeszcze nie znaleźli niczego, prawda? – drążył Graham.**

**Łyknęła kawy i postawiła kubek przy swych nogach.**

**–Tu nie chodzi tylko o Katherine Warren, prawda? Wiesz równie dobrze jak ja, że wydrukowano by jej reportaż bez względu na to, co się wydarzyło dziś wczesnym rankiem. Co tak naprawdę cię gryzie, Mike?**

**–Jeśli nie odnajdziemy Zlotina, nim dokumenty zostaną rozszyfrowane, będziemy wówczas musieli ponieść odpowiedzialność zarówno za konsekwencje dotyczące nas, jak i innych agentów operacyjnych, prawda?**

**–Zgoda – odparła z wahaniem.**

**Nie przeoczył niepewności w tonie jej głosu.**

**–A przecież nie mamy najmniejszej kontroli nad wydarzeniami, które staną się treścią reportażu Warren, jeśli kiedykolwiek ukaże się w prasie. Pracujemy nad zadaniem, mając jedną rękę przywiązaną na plecach.**

**–Innymi słowy, już nie kontrolujesz tego, co się wokół ciebie dzieje – wywnioskowała.**

**–Żadne z nas tego nie kontrolowało od chwili, gdy po raz pierwszy natknąłem się na Warren w Nowym Jorku. Po prostu tak to wyszło. Oczywiście „Brudny Kartel” może wygrzebać coś, co zdyskredytuje ją albo jej gazetę, ale to i tak nie jest w naszych rękach. To właśnie tak mnie niepokoi.**

**–Znów odczuwasz taką samą nieufność, jaką odczuwałeś wobec własnych ludzi w**

**Delcie po tym, jak zostali porwani Carrie i Mikey, tak? Teraz wiesz, że wina za to, co ich spotkało, nie obciąża tamtych w najmniejszym stopniu. Musisz znów nauczyć się ufać swym kolegom, Mike. Mnie ufasz, prawda?**

**Graham wlepił wzrok w dywan, ale nie odpowiedział.**

**–Czy to oznacza, że po wszystkim, co przeszliśmy razem, nie masz do mnie zaufania? – zapytała.**

**–Ufam ci – padła niechętna odpowiedź.**

**–Ton twego głosu nie brzmi przekonująco.**

**–Ufam ci, do cholery – odparował Graham – ale ty zasłużyłaś na to zaufanie. Nie znam żadnego faceta z „Brudnego Kartelu”, a teraz muszę powierzyć moje życie ich rękom, bo do tego to się sprowadza, czyż nie? Jeśli nie potrafią zapobiec wydrukowaniu sensacyjnego materiału Warren, to możesz być pewna, że zostaną zawarte kontrakty na zabicie nas, i to znacznie wcześniej, nim ta sprawa stanie się publicznie znana.**

**–Jeśli reportaż się ukáže, UNACO będzie skończona. Wszyscy będą ponosili to samo ryzyko.**

**–Opublikowane rewelacje z pewnością zaszkodzą UNACO, zgoda, ale jej nie zniszczą. Ta dziennikarka nie ma dowodów, że organizacja w ogóle istnieje. Możesz być pewna, że wtedy, kiedy reportaż się ukáže, UNACO zewrze szeregi, ale my pozostaniemy na zewnątrz. Jeśli organizacja ma mieć jakiegokolwiek szansę przetrwania, pułkownik będzie musiał postawić interesy UNACO na pierwszym miejscu. Teraz może rozumiesz, czemu mnie tak niepokoi ta cała sytuacja.**

**–To wszystko tylko hipotezy, Mike.**

**–To jest przeczucie i tyle, opierające się na tym, co ja sam zrobiłbym, będąc na miejscu pułkownika. A cóż innego on może uczynić?**

**–Jeśli do tego dojdzie, otrzymamy potrzebną nam ochronę. Wiesz, że pułkownik zadba o nasze nowe tożsamości i o przeniesienie daleko od Nowego Jorku. Gdy to zrobi, nikt i nigdy nie zdoła nas odnaleźć.**

**–I wtedy wszystko będzie w porządku? – ostro zareagował Graham. – Skończymy jak para kryminalistów korzystających z Programu Ochrony Świadków, do końca życia rzucających spojrzenia przez ramię. A co z naszymi rodzinami? Wiem, że już nigdy nie ujrzałbym matki. Ty nigdy więcej nie zobaczyłabyś rodziców. Czy tego właśnie chcesz?**



–Wstępując do organizacji, oboje wiedzieliśmy, z jakim ryzykiem to się wiąże – powiedziała cichym głosem.

–Odnieść ranę, nawet zginąć podczas pełnienia służby to ryzyko, które mogę wziąć na siebie. Ale wystawienie na widok publiczny przez jakiegoś taniego pismaka, dla jego osobistej chwały, nie należało do umowy. – Graham wstał i podszedł do okna. – Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się nad wynajęciem prywatnego detektywa, aby zaczął grzebać w życiorysie tej Warren, gdyby tylko mogło zapewnić mi to spokój. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym wyraźniej widzę, że nasi ludzie, mając rozliczne możliwości, nie potrafią niczego wygrzebać. To jakie szansę miałyby jakiś działający samotnie prywatny tajniak?

–Możemy tylko wykonywać naszą pracę jak najlepiej i mieć nadzieję, że „Bрудny Kartel” potrafi zdobyć coś, co przyhamuje zapędy Warren – wyraziła swój pogląd Sabrina.

–Jak dotychczas nie zabłysnęliśmy szczególnie, co? – odgryzł się Graham. – Nie pomogło nam także to, że oprócz telefonu z Marsylii nie mieliśmy żadnych wiadomości od C.W.

–Mam tylko nadzieję, że nic mu się nie stało – odparła z nagłym niepokojem.

–Mówimy o C.W. Facet jest żywym talizmanem. Jest agentem operacyjnym UNACO o najdłuższym okresie służby, a najgorszym nieszczęściem, jakie spotkało go podczas dziesięciu lat pracy, było od czasu do czasu rozdarcie jednego z jego szytych na miarę garniturów.

Gdy pierwszy huk gromu przetoczył się przez pociemniałe niebo, Graham spojrzał na morze.

–Nie, nie martw się o niego. On przeżyje nas wszystkich, tego możesz być pewna.

Whitlock doszedł do nieuchronnego wniosku, że Rosjanie zabiją go, gdy nadejdzie pora opuszczenia wyspy. W obecnych okolicznościach wyglądało to na jedyne logiczne zakończenie...

Było bowiem tak, że stał się więźniem w nie mniejszej mierze niż dwie kobiety, których pilnował. Użył słowa „pilnował” w bardzo luźnym znaczeniu, ponieważ poza przygotowywaniem posiłków (Rosjanie sami się żywili) jedynym jego obowiązkiem było towarzyszenie im dwa razy na dobę w spacerze do holu inspekcyjnego, gdzie pozwalano im na piętnastominutowe spotkanie z dwoma naukowcami. Później odprowadzał je do cel. Takie podstawowe obowiązki mogli wykonywać sami Rosjanie podczas swoich dyżurów. Czemu zwerbował go za trzydzieści tysięcy funtów, jeśli wszystko, co miał robić, sprowadzało się do siedzenia bezczynnie w celi przez większą część dnia? Nie wątpił, że Jannoc naprawdę chciał mu się odwdziaczyć za

uratowanie życia córki, ale dlaczego Francuz po prostu nie zapłacił mu i w ten sposób nie zakończył sprawy? Po co wprowadził całkowicie obcego człowieka do tak delikatnej operacji? A już najbardziej zdumiewała go akceptacja takiej umowy przez Zlotina. Dlaczego to zrobił? Początkowo Whitlock sądził, że Zlotin potrzebował go do pomocy przy porwaniu Güntera i Lisl Auerbachów. Ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że Rosjanin mógł z powodzeniem zrobić to sam. Whitlock nie potrafił doszukać się sensu w takim postępowaniu...

Pozostawała także sprawa śmierci Bergera. Dlaczego został zabity? Domysły Whitlocka prowadziły do złowieszczych wniosków. Jeśli Bergera przeznaczono na straty, zapewne Rosjanie to samo szykują dla niego. Z tego powodu Zlotin nie dał mu broni na czas pobytu na wyspie. Oczywiście o wiele łatwiej zabić nie uzbrojonego człowieka.

Pod wpływem takich myśli przeszukał tego ranka kuchnię. Potrzebował czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń w nagłej potrzebie. Znalazł tylko trzy plastikowe łyżki, plastikową łopatkę i dwa tuziny papierowych talerzy. Wszystko zupełnie bezużyteczne. Były też dwie patelnie z lekkiego stopu, ale myśl o tym, że podkradnie się do jednego z Rosjan i rąbnie go w głowę patelnią, można było zaliczyć do pomysłów z komedii slapstickowych. W tej sytuacji wziął się za przeczesywanie wszystkich cel w skrzydle, mając nadzieję, że znajdzie jakąś porzuconą rurkę, kawałek sznura, odłamek stłuczonego szkła; cokolwiek, co nadawałoby się na mordercze narzędzie, a równocześnie byłoby tak niewielkie, że mógłby je ukryć przy sobie. I znów został z pustymi rękami.

Oczywiste było, że Rosjanie nie pozostawiali niczego na los szczęścia. Wiedział, że gdy przyjdzie czas, załatwią zarówno jego, jak i czterech więźniów w taki sam zimny, kliniczny sposób, w jaki podeszli do operacji od samego jej początku...

–Wiktor, obudź się – warknął Zlotin, gwałtownie potrząsając Rodenkę za ramię. – Wiktor!

Rodenko obudził się natychmiast i usiadł.

–Co się stało? – zapytał zaniepokojony.

–Właśnie dostałem z lądu wiadomość, że dziś wczesnym rankiem Walentin został zabity w magazynie.

–A co z Grahamem i Carver? – spytał, opuszczając nogi z łóżka.

–Oboje żyją – syknął ze złością Zlotin.

Rodenko podszedł do stojącej w kącie umywalki i spryskał twarz zimną wodą. Sięgnął po ręcznik, wytarł się i odwrócił do Zlotina.

**–Nim Jemienkow wyruszył do Lizbony, zaplanował wszystko, najdrobniejsze szczegóły. Co mu nie wyszło?**

**–Ocena Grahama. Ostrzegałem Walentina, by nie był zbyt pewny siebie dlatego, że udało mu się wykołować Grahama wczoraj na polu karawaningowym, ale oczywiście jest, że zdecydował, iż jest mądrzejszy. Gdyby posłuchał mnie i zastosował się do rozkazów, nic podobnego by się nie zdarzyło. Rozzłoszczony Zlotin chodził wielkimi krokami po celi, aż w końcu zatrzymał się tuż przed Rodenką.**

**–Przede wszystkim nigdy nie powinienem był się zgodzić na to, by Walentin tam pojechał. Powinienem był sam to zrobić.**

**–Gdybyś ty pojechał, to ty mógłbyś być w tej chwili w kostnicy, a nie Jemienkow – stwierdził Rodenko.**

**–Tego nie byłbym taki pewien – odszczeknął ostro Zlotin. – Wiem, jak działa Graham. Jesteśmy absolutnymi przeciwieństwami i to mnie właśnie tak w nim fascynuje. Zupełnie nie ma pojęcia o taktyce i rzadko działa zgodnie z regulaminem. Istnieje nieskończona lista sytuacji, w których kompletnie zlekceważył rozkazy przełożonych i zamiast tego posłużył się do osiągnięcia swego celu kombinacją mentalności ulicznego łobuziaka oraz czystej brawury.**

**–Z tego, co mówisz, wnioskuję, że jest nieomylny – oświadczył Rodenko, nakładając kamizelkę przeciwodłamkową.**

**–Daleko mu do tego – odparł pośpiesznie Zlotin.**

**Rodenko sięgnął pod łóżko po buty i już miał je włożyć, gdy przerwał czynność, by podnieść wzrok na Zlotina.**

**–Czy weźmiesz się za niego?**

**–Nie, już zaprzepaściliśmy czynnik zaskoczenia. Straciliśmy też cennego członka zespołu. Nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko, w każdym razie nie teraz, gdy jesteśmy tak bliscy osiągnięcia naszego celu.**

**Rodenko skończył zawiązywać sznurowadła i wstał.**

**–Twojego celu, Nikołaju. Śmierć Jemienkova niczego nie zmienia. Gdy tylko te teczki zostaną rozszyfrowane i Jannoc wręczy pieniądze, ja odchodzę.**

**–Wiesz, że nie mogę w pojedynkę dokończyć operacji – odrzekł gorzkim tonem Zlotin.**

**–Posłuż się twym nowym rekrutem – powiedział pogardliwie Rodenko. – Niech**

zapracuje na swoje pieniądze, zamiast siedzieć beczynnie przez cały dzień.

–Zostanie tam, gdzie jest – padła ostra odpowiedź.

–Wciąż nie rozumiem, czemu pozwoliłeś Jannocowi przekonać się do wprowadzenia tego człowieka, szczególnie że nawet nie zamierzasz zastąpić nim Jemienkowa.

–Mam swe powody, Wiktorze, i zostawmy ten temat.

–W takim wypadku pozostaje ci jedynie prosić twych przełożonych w kraju, by przysłali kogoś.

–Nie ma czasu na takie rzeczy, w każdym razie nie w tak późnej fazie operacji – odparł Zlotin.

–Czasu jest dość i wiesz o tym – odpalił Rodenko. – Nie chcesz się skontaktować z twymi przełożonymi tylko dlatego, że zależy ci na tym, aby nie dowiedzieli się, że masz trudności. Zawsze tak było, no nie? Wielki Nikołaj Zlotin nigdy nie przyznaje się do porażek, prawda?

–Na twoim miejscu pilnowałbym języka – zagrzmiał wściekle Zlotin.

–A co? Postawisz mnie przed sądem wojskowym za niesubordynację? To mogłoby podziałać na Jemienkowa, ale na mnie nie robi żadnego wrażenia.

Wzrok Rodenki podążył za ruchem dłoni Zlotina. Spoczęła na kaburze z pistoletem Makarowa.

–Jazda, Nikołaju, zastrzel mnie. Ostatecznie nie pierwszy raz zastrześliłbyś jednego ze swoich oficerów, który ośmielił się powiedzieć to, co myśli, no nie?

Ręka Zlotina zsunęła się z kabury.

–Ile wyniesie kwota, której żądasz za udział w operacji aż do jej zakończenia?

–Chcesz mnie pogłaskać, bym został...

–Ile? – odwarknął Zlotin.

–Cóż, Jemienkow już nie potrzebuje swojej części, prawda? – powiedział Rodenko po chwili namysłu.

–Należy do ciebie – odrzekł bez wahania Zlotin. – To podwoi twój udział. Trzysta tysięcy dolarów.

–A taki dobry komunista jak ty nie będzie wiedział, jak spożytkować dwieście

tysięcy dolarów – kontynuował Rodenko z chytrym uśmiechem. – Równe pół miliona i możesz na mnie liczyć. Biorąc pod uwagę to, co zarobisz na tych aktach, oraz to, że twoi przełożeni nie muszą się nigdy dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tego ranka w magazynie, powiedziałbym, że robisz świetny interes. Ale decyzja oczywiście należy do ciebie.

–Umowa stoi – oświadczył chłodno Zlotin.

–A więc, jak sądzę, teraz moja zmiana – powiedział Rodenko, wsuwając swój pistolet do kabury z pasem, który zapiął dokładnie w tali. Zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał na Zlotina. – Wierz albo nie, Nikołaju, ale przykro mi z powodu Jemienkowa. Wiem, jak go cenisz.

–W tej sprawie rachunki z UNACO są nie zamknięte – odparł cicho Zlotin. – Obiecuję ci, że w taki czy inny sposób zapłacą za śmierć kapitana Walentina Jemienkowa.

Larry Ryan, redaktor gazety „New York Sentinel”, siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu białego mercedesa, mknącego we wczesnej porannej porze przez ulice Nowego Jorku. Dwaj mężczyźni, znajdujący się wraz z nim w wozie, mieli na głowach czarne pończochy, skrywające ich twarze. Choć był całkiem pewien, dla kogo pracują, nie znał ich nazwisk ani nie wiedział, gdzie go wiozą...

Tego ranka tuż po trzeciej obudził go w jego mieszkaniu telefon. Usłyszał głos Katherine Warren. Telefonowała z Lizbony, z wiadomością o śmierci Eda Millera. Przełączył rozmowę do swego gabinetu, by nie budzić śpiącej żony, i po długiej rozmowie z Katherine poszedł do kuchni. Zamierzał zaparzyć kawę, gdy ponownie zadzwonił telefon. Anonimowy rozmówca chciał się z nim spotkać, by przedyskutować znaczenie sprawy, nad którą Katherine Warren pracowała w Lizbonie. Najpierw podejrzewał, że rozmówcą może być pomysłowy reporter z konkurencyjnej gazety. Kiedy jednak padły nazwiska Mike'a Grahama i Sabriny Carver, szybko zrozumiał, że rozmówcą jest ktoś z UNACO albo ktoś, kto dokładnie zna organizację. Bo w jakiż inny sposób telefonujący mógłby wiedzieć o Grahamie i Carver, a także o gazecie, która miała wyłączność na opublikowanie reportażu dotyczącego UNACO? Tak czy inaczej okazja była zbyt kusząca, by ją pominąć, chociaż aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że może wpaść w starannie zaplanowaną pułapkę...

Instrukcje okazały się nader proste. Dwóch ludzi w białym mercedesie, który czeka na niego przed domem, zawiezie go na spotkanie. Miał nie powiadamiać o niczym dyżurnego redaktora, a także nie brać ze sobą żadnych urządzeń nagrywających. Jeśli któryś z tych warunków nie zostanie dotrzymany, spotkanie nie dojdzie do skutku...

Celem podróży był mały kościół katolicki w Greenwich Village. Samochód zatrzymał się z tyłu kościoła, a jeden z mężczyzn wyskoczył i wolno rozejrzał się wokół. Upewniwszy się, że nikt za nimi nie jechał, gestem polecił Ryanowi wysiąść. Kierowca pozostał w samochodzie z dłonią złożoną na rewolwerze ukrytym pod kurtką.

Ryan wysiadł z wozu, zasunął zamek kurtki, by osłonić się przed kłującym wiatrem, i poszedł za przewodnikiem, który poprowadził go pod łukowym sklepieniem do grubych dębowych drzwi. Mężczyzna znowu się rozejrzał, a potem zapukał, posługując się kodem. Rozległ się dźwięk odsuwanej rygly i ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Ryana wprowadzono do środka, a drzwi natychmiast zamknęły się za nimi.

Człowiek, który ich wpuścił, także miał na głowie czarną pończochę. Spod rozpiętej

**kurtki wyglądał pistolet Heckler Koch, w kaburze u pasa. Wziął do ręki wykrywacz mikrofonów, nie większy niż paczka papierosów, i omiół nim ubraniem Ryana. Czerwone światełko nie zapaliło się. Następnie polecił Ryanowi wywrócić kieszenie i na koniec gruntownie go zrewidował. Upewniwszy się, że Ryan jest czysty, wyłączył wykrywacz i kiwnął głową koledze.**

**–Proszę iść za mną – polecił pierwszy z mężczyzn i poprowadził Ryana słabo oświetloną nawą aż do miejsca, gdzie znajdował się konfesjonał.**

**–Wy to wszystko przemyśleliście sobie, co? – odezwał się Ryan z niechętnym podziwem. – Nic dziwnego, że UNACO tak długo pozostawała tajemnicą.**

**Otwarto drzwi konfesjonału i mężczyzna gestem nakazał Ryanowi wejść. Gdy znalazł się w środku, drzwi za nim zamknięto. Ryan usiadł powoli. Spróbował spojrzeć przez kratkę, ale z drugiej strony zawieszono na niej czarną tkaninę. Nie mógł w ten sposób popatrzeć na przylegające stalle.**

**–Muszę przeprosić za to przedstawienie, panie Ryan, ale było konieczne, abyśmy mogli spotkać się potajemnie – usłyszał głos zza kraty.**

**–Całkowicie rozumiem – odparł Ryan. – Proszę mi powiedzieć, czy ten akcent jest irlandzki czy szkocki?**

**–Jest pan na pewno zapracowanym człowiekiem, panie Ryan, więc przejdę wprost do rzeczy – padła ostra odpowiedź. – Czy pański dziennik w dalszym ciągu zamierza publikować tę historię o Mike’u Grahamie i Sabrinie Carver po tym, co spotkało Eda Millera w Lizbonie?**

**–Wie pan cholernie dobrze, że tak. Ed Miller był doskonałym dziennikarzem, który zginął, zbierając materiał do publikacji. Bez względu na inne sprawy, przez pamięć na niego reportaż musi się ukazać w prasie.**

**–I przypuszczam, że nie ma dla pana żadnego znaczenia to, iż ujawniając UNACO, nie tylko naraża pan życie wszystkich jej pracowników, ale też skutecznie zniszczy pan jej wiarygodność jako tajnej agencji?**

**–Jeśli istnieje tajna organizacja antyterrorystyczna, działająca przy ONZ, to opinia publiczna ma prawo o tym wiedzieć – odrzekł Ryan.**

**–Standardowa dziennikarska odpowiedź: „opinia publiczna ma prawo wiedzieć”. Czemu po prostu nie przyzna pan, że nic pana nie obchodzi, co myśli opinia publiczna, dopóki może pan wywalić na całą szerokość pierwszej kolumny jakiś materiał, który ogromnie zwiększy nakład pańskiej gazety? Czy nie mam racji?**

**–Jestem pewien, że nie po to pan mnie tu przywiózł, aby rozmawiać o naszym**

**nakładzie – odrzekł Ryan, uśmiechając się kwaśno.**

**–Rzeczywiście nie. Przywiozłem pana tutaj dzisiejszego ranka sądząc, że uda mi się przemówić do pańskiego rozsądku, ale to się w oczywisty sposób okazuje niemożliwe. Dlatego jestem gotów zaproponować panu bardzo szczegółowy wywiad na temat działalności UNACO, ale w zamian zgodzi się pan zrezygnować z planowanego reportażu o Grahamie i Carver.**

**–Nie ma mowy – odpalił natychmiast Ryan. – Tego rodzaju reportaż zdarza się raz na całe życie. Dwoje tajnych agentów zamieszanych w sieć morderstw i spisków podczas ściśle tajnej operacji w Lizbonie. Jeden jest przystojnym eks-futbolistą o tragicznej przeszłości, drugi zaś olśniewającą blondynką, której uroda mogłaby stopić Brooklyn Bridge w samym środku zimy. Czy oczekuje pan, że odrzucę to w zamian za jakiś wywiad typu „Głębokie Gardło”\*, z kimś, kogo w ogóle nie widziałem?**

**–Ujrzy mnie pan, jeśli zgodzi się na tę umowę. I rzeczywiście pozna pan moje nazwisko, mój stopień i może pan tyle razy mnie sfotografować, ile pan zechce. Mogę podać panu szczegóły operacji, które prowadziliśmy przez lata, wszystkie potwierdzone datami i miejscami. Jedynym moim warunkiem jest to, że żaden z agentów operacyjnych UNACO nie może być wymieniony z nazwiska. Wolno tylko podać ich pseudonimy. Oczywiście nie będzie mógł pan ozdobić twarzą Carver pańskiej pierwszej kolumny, ale gdy skończę, będzie pan miał więcej informacji, niż potrzeba, by ciągnąć tę bombę przez cały tydzień. Proszę pomyśleć, jak się to może odbić na nakładzie pańskiej gazety.**

**–To wszystko nie ma sensu. Czemu jest pan gotów sprzedać swych kolegów tylko po to, by ocalić Grahama i Carver?**

**–Nie będę ich sprzedawał. Oczywiście jest, że postanowił pan opublikować materiał o UNACO, i obaj wiemy, że nie istnieje nic, czym mógłbym pana powstrzymać przed jego wydrukowaniem. Ja to widzę raczej jako sposób na ograniczanie szkód, co może być korzystne zarówno dla pańskiej gazety, jak i dla mojej organizacji, więc w rzeczywistości będę chronił moich ludzi. A prawdę mówiąc, będę również ochraniał pana i pańską rodzinę.**

**–A to co ma znaczyć? – zażądał odpowiedzi Ryan.**

**–Podobnie jak pan odrobił swoje zadanie domowe na temat Grahama i Carver, my również odrobiliśmy nasze zadanie domowe o panu i pańskiej rodzinie. Nawet przywiozłem dossier. Ma pan bardzo ponętą żonę i parkę ślicznych córeczek. Ileż te córeczki mają lat? Ach tak, wiem. Sześć i cztery. Doprawdy jesteś szczęśliwym człowiekiem, Ryan. Sam to sobie stworzyłeś. Wierz mi, z wielką przykrością dowiedziałbym się, że im się coś stało.**



**–Czy grozisz mojej rodzinie, draniu?! – syknął Ryan, przyciskając twarz do kratki.**

**–Oczywiście, że nie – padła natychmiastowa odpowiedź. – Chodzi o to, że Graham postarał się o przekazanie mu do Lizbony pańskiego dossier. Nie przyznałby się do tego otwarcie, ale domyślam się, co postanowił zrobić, jeśli ty posuniesz się za daleko. Oko za oko to jego dewiza. Gdy nie będzie mógł dobrać się do ciebie, to dotrze do twojej rodziny i w ten sposób zmusi cię do reakcji. Oczywiście gdyby do tego doszło, ty i twoja rodzina otrzymacie ochronę, ale szczerze mówiąc, kilku posterunkowych z Wydziału Policji Nowego Jorku to dla niego żadni przeciwnicy.**

**–Wiem, co próbujesz zrobić – wycedził Ryan. Przed oczami miał podniecone buzie swych córeczek, gdy otwierały zeszłego ranka prezenty gwiazdkowe. Co będzie, jeśli wskutek wydrukowania tego materiału coś im się stanie? Nie potrafiłby wówczas żyć. Starał się przekonać samego siebie, że nic im się nie stanie. Jesteś redaktorem jednego z czołowych w kraju dzienników – myślał. Masz obowiązek opublikowania tego materiału. A jednak nie potrafił pozbyć się obrazu tych niewinnych twarzątek...**

**–Ryan, zastanów się nad tym, co powiedziałem, a ja zgłoszę się do ciebie za parę dni po odpowiedź.**

**–Nie ma niczego do przemyślenia – odrzekł Ryan, żywiąc nadzieję, że jego mina nie zdradza niepokoju, który odczuwał. – Już się zdecydowałem wydrukować materiał o Grahamie i Carver i możesz być pewien, że ta rozmowa także znajdzie się w artykule.**

**–Tak czy inaczej zatelefonuję do ciebie. Może postanowisz zmienić decyzję, gdy będziesz miał okazję zastanowić się racjonalnie nad tym, co ci powiedziałem. Przynajmniej będziemy wówczas wiedzieć, że zrobiłem wszystko, by ochronić ciebie i twoją rodzinę. Do widzenia, panie Ryan.**

**–Posłuchaj mnie... – zaczął Ryan, lecz drzwi otwarto szarpnięciem i zamaskowany człowiek pokazał mu gestem, że czas odejść. Ryan niechętnie wynurzył się z konfesjonau, odruchowo kierując wzrok ku zamkniętym drzwiom, prowadzącym do drugiej połowy stall. Gdybyż tylko mógł zerknąć do środka...**

**–Tego bym nie radził, panie Ryan – powiedział mężczyzna cichym, lecz groźnym tonem.**

**Ryan nie odpowiedział. Poprowadzono go do bocznych drzwi, którymi przedostali się do kościoła.**

**–Moi koledzy odwiozą pana do domu – oświadczył zamaskowany mężczyzna. – Dla pańskiego dobra mam nadzieję, że się już nigdy nie spotkamy.**

**Drugi mężczyzna otworzył drzwi i Ryan poszedł za nim po schodach do oczekującego samochodu. W chwilę później wóz ruszył z podjazdu i zniknął w ulicy.**

**Zamaskowany człowiek zamknął za nimi drzwi, zasunął rygiel, a potem pośpiesznie podszedł do konfesjonału i zapukał.**

**–Pułkownik Philpott, może pan już wyjść. On odjechał.**

**Drzwi się otwały i ukazał się Philpott. Wyglądając marynarkę, wskazał maskę z pończochy.**

**–Wiesz, to też możesz zdjąć.**

**Mężczyzna ściągnął pończochę z głowy, odkrywając śniadą twarz i krótko przycięte brązowe włosy. Danny Lowell, były oficer w wydziale wojskowym amerykańskiej Secret Service, szef Ósmego Zespołu Operacyjnego. Sięgnął przez otwarte drzwi i usunął ciemną tkaninę oraz mały mikrofon, dyskretnie umieszczony poniżej kratki w konfesjonale.**

**–Masz wszystko na taśmie? – zapytał Philpott, kierując się ku bocznym drzwiom.**

**Lowell skinął głową.**

**–Nie zgodził się na proponowany przez pana kompromis, prawda, panie pułkowniku?**

**–Nie, ale ja w ogóle się nie spodziewałem, że to zrobi – odparł Philpott.**

**–Nie chwytam, panie pułkowniku – wyraził zdziwienie Lowell, marszcząc brwi. – Myślałem, że sens tego manewru polega na próbie przekonania go, by porzucił zamiar publikowania materiału o Mike’u i Sabine.**

**Philpott zatrzymał się nagle i odwrócił twarzą do Lowella.**

**–Czy doprawdy sądzisz, że naraziłbym całą organizację, ujawniając tajne informacje? – zapytał ze złością.**

**Lowell, w zakłopotaniu, przestąpił z nogi na nogę i opuścił wzrok, niezdolny do wytrzymania przeszywającego spojrzenia Philpotta.**

**–Nie wiem, panie pułkowniku – wyjąkał. – Myślałem, że może sekretarz generalny...**

**–A co wspólnego ma z tym sekretarz generalny? – ostro przeciął Philpott. – Kto kieruje UNACO, Danny? Sekretarz generalny czy ja?**

**–Pan, panie pułkowniku – pośpiesznie odparł Lowell. – Chciałem powiedzieć, że Ósmy Zespół Operacyjny nie miał dziś rano odprawy na temat pańskiego spotkania z Ryanem. Wiem o tej operacji tyle, ile dowiedziałem się z podsłuchu rozmowy w konfesjonale.**

–Mam rozumieć, że oficer dyżurny nie zwołał odprawy, nim przybyliście tutaj dziś rano? – szorstko spytał Philpott.

–Nie było czasu, panie pułkowniku – usprawiedliwiał się Lowell. – Wezwano nas ledwie godzinę temu. Zdążyliśmy tylko wziąć mikrofon z magazynu.

Philpott usiadł na ostatniej ławce i pokrótce zapoznał Lowella z istotą sprawy.

–Gdy ta historia dostanie się do publicznej wiadomości, ich los jest przesądzony – powiedział przerażony Lowell po wysłuchaniu relacji.

–Czy uważasz, Danny, że o tym nie wiem? – odrzekł Philpott. – Wciągnąłem do tej sprawy ludzi, którzy próbują wygrzebać coś na Ryana lub Warren, coś co można by wykorzystać i w ten sposób zmusić gazetę do zrezygnowania z publikacji. Ale do tej pory nie znaleźli niczego. Obawiam się, że śmierć Millera może wpłynąć na decyzję Ryana i postanowi on opublikować materiał Warren jeszcze wcześniej, niż zamierzał. Z tego właśnie powodu zorganizowałem z nim to dzisiejsze spotkanie. Ryan mógł nie połknąć przynęty, ale z pewnością dało mu to do myślenia. Wnoszę to z tonu jego głosu. Jest wytrawnym dziennikarzem, który zna wszystkie triki zawodu, i możesz być pewien, że już planuje jakiś pokrętny sposób zapewnienia sobie wywiadu ze mną na prawach wyłączności i równocześnie zachowania praw wydawniczych do reportażu o Mike’u i Sabrinie. I na to właśnie liczę, bo im dłużej mogę go wodzić na końcu mej wędkii, tym więcej czasu dam „Brudnemu Kartelowi” do pracy nad nim i nad Warren.

–Czemu powiedział mu pan, że Mike może się na niego zasadzić, jeśli nie powstrzyma się przed wydrukowaniem materiału Warren? – zapytał Lowell. – Czy próbował go pan nastraszyć?

–Wolałbym myśleć, że próbowałem go zaniepokoić. Larry Ryan ma tylko jedną piętę Achillesa. Swoje córki. Absolutnie szaleje na ich punkcie. Wspomniałem o nich, w kontekście sprawy, z myślą o tym, że zastanowi się dwa razy, nim ostatecznie postanowi dać materiał do druku. Nie sądzę, że zmieni zdanie, ale może powstrzyma się na jakiś okres, a my w tym czasie znajdziemy coś, czym moglibyśmy się posłużyć. Nazywając sprawę po imieniu, jest to taktyka opóźniania. I jest to wszystko, czym w tej chwili dysponujemy.

Philpott wstał z ławki i skierował się do drzwi.

–Chodź, lepiej wynieśmy się stąd, zanim Ryan przyśle któregoś ze swych pismaków, by sprawdził to miejsce.

Katherine Warren wysiadła na lotnisku im. Kennedy’ego tegoż popołudnia i pojechała prosto do redakcji „New York Sentinel” na Zachodniej Czterdziestej Trzeciej Ulicy, gdzie czekał na nią Ryan.

–Witaj z podróży – zawołał, gdy weszła do jego gabinetu. – Wyglądasz jak ktoś, komu dobrze zrobiłby całonocny sen – dodał, wskazując jej podkrążone oczy.

–Czemu odwołałeś mnie, Larry? – zapytała, patrząc groźnie na niego.

–W obecnych okolicznościach uznałem za właściwsze sprowadzenie cię do kraju – powiedział łagodząco. – Z pewnością nie żądam wycofania się z tego, co robisz, jeśli tak sobie wyobrażasz.

–A do czego tu się przydam, gdy Graham i Carver wciąż są w Lizbonie? – warknęła, a potem podeszła do maszyny w kącie pokoju i naląła sobie kawy.

–Sama powiedziałaś, że Graham i Carver tajemniczo zniknęli z hotelu w parę godzin po śmierci Millera – odparował Ryan. – Są na twoim tropie, Katy.

–Ed miał kontakty w Lizbonie, mogłabym posłużyć się nimi, by ponownie odnaleźć ślady.

–To niemożliwe, Katy – powiedział cicho. – Teraz już nie pozwolą ci zbliżyć się do siebie. Jesteś użyteczniejsza dla mnie tutaj, niż goniąc za cieniami tam.

Łyknęła kawy, a potem z wiszącej na ramieniu torebki wyjęła skoroszyt i cisnęła go na szklany stół przed Ryanem.

–To jest ich dossier, które zebrałam w czasie, gdy byli w Lizbonie. Fotografie, miejsca, daty, godziny. Masz tu wszystko.

–Wspaniale – powiedział, żywo uśmiechając się, ale nie zrobił żadnego ruchu, by wziąć materiały.

–Tylko tyle? Wspaniale. Czy nawet na to nie spojrzysz?

–Wszystko w swoim czasie – odparł Ryan.

–OK, kawę na ławę, Larry. Coś cię trapi, prawda? Ryan opowiedział jej o incydencie w kościele tego ranka.

–Czy kazałeś sprawdzić to miejsce? – zapytała, gdy tylko skończył.

–Po powrocie do domu wysłałem tam kogoś z redakcji, ale tamtych już dawno nie było. Miejscowy ksiądz powiedział, że nic mu nie wiadomo, by ktoś tego ranka korzystał z kościoła, ale oczywiście zapłacono mu, by rznął głupka. Nic konstruktywnego z niego nie wydobydziemy.

Lekki uśmiezek wygiął kąciki jej warg.

**–Mam przecucie, że wpadli w desperację. Oceniam, Larry, że mamy ich na sznurku.**

**–Być może – odrzekł w zamyśleniu Ryan.**

**–Dajże spokój, Larry, czy ty rzeczywiście wyobrażasz sobie, że UNACO dałaby nam na wyłączność materiał o sobie? Jest to z ich strony oczywista zagrywka, aby cię zmusić do wyrzeczenia się reportażu o Grahamie i Carver.**

**–A jeśli nie? – uciął i zaraz podniósł rękę, nim zdołała cokolwiek powiedzieć. – Zgadza się, to pachnie szwindlem wywiadowczym. Nie można jednak wykluczyć tego, że facet mówił uczciwie. I co wtedy? Z tego względu musimy się zastanowić, chociaż wszystko wygląda bardzo podejrzanie. Znamy tło sprawy, mamy szczegóły i zdjęcia, nawet więcej niż trzeba. Jesteśmy pewni, że Graham i Carver należą do układów UNACO, ale nie mamy takich dowodów, jakie są potrzebne do uwiarygodnienia reportażu. Możemy wydrukować ten materiał, lecz musimy dysponować dowodem na istnienie UNACO. Wówczas nie będą to wiadomości z drugiej ręki, lecz z samej organizacji i na dodatek poparte nazwiskiem.**

**–Powiedziałałabym, Larry, że to jest myślenie życzeniowe – odezwała się spod okna Katherine.**

**–Ja też tak uważam, ale pójdzie im na rękę nie wyrządzi nam żadnej szkody. Szczerze mówiąc, nie ma znaczenia, czy reportaż pójdzie pod prasę w tym tygodniu, czy na początku nowego roku. Nie sądzę, by ktokolwiek wśród naszych konkurentów miał taki sam materiał, prawda?**

**–Wydaje mi się, że na pewno nic się nie stanie, jeśli poczekaś na ten telefon. I tak potrzebuję kilku dni na wygładzenie artykułu, nim go przedstawię – zgodziła się. – Chcę też do reportażu dołączyć coś o Edzie.**

**–Świetnie.**

**Ryan podszedł do stosu skoroszytów leżących na biurku, znalazł właściwy i wręczył go Katherine.**

**–Szczegóły o najbliższych rodzinach Grahama i Carver. Fascynująca lektura. Kazałem je zebrać pod twoją nieobecność.**

**–Czy chcesz, abym spróbowała prosić ich o wywiady? – zapytała Katherine, otwierając skoroszyt.**

**–Czemu nie? – odparł Ryan. – Ojciec Carver to były ambasador Stanów Zjednoczonych w Kanadzie i w Zjednoczonym Królestwie. Ale, co lepsze, teściem Grahama jest były pravicowy senator republikański, „Jastrząb” Walsh.**

**Katherine rozłożyła skoroszyt i przeleciała wzrokiem szczegóły na stronie przed sobą.**

**–Rodzice Carver mieszkają w Miami, a Walsh przebywa w Seaford, w stanie Delaware. Będę mogła spotkać się z nimi w ciągu paru najbliższych dni.**

**–Rodzice Carver mieszkają w Miami, ale każdego grudnia przyjeżdżają do Nowego Jorku, by spędzić Boże Narodzenie z córką – wyjaśnił Ryan. – W tej chwili są tutaj.**

**–Tym lepiej – orzekła Katherine, zamykając skoroszyt. – Jeszcze dzisiaj wybiorę się na Manhattan i sprawdzę, co George i Jeanne Carver mogą mieć do powiedzenia na temat swej dziewczynki.**

**–Zrób to.**

**Podeszła do drzwi i zatrzymała się, kładąc rękę na klamce.**

**–A co z tą zawołaną groźbą, którą usłyszałeś dziś rano? Traktujesz to poważnie?**

**–Muszę to poważnie potraktować. Jeśli jednak o tym mówimy, nie jest to pierwsza groźba, jaką usłyszałem, i jestem też pewien, że nie ostatnia. To należy do naszego zawodu.**

**–Czy opowiesz o tym Louise?**

**–Ostatnim razem, gdy jej powiedziałem, że ktoś grozi, iż mnie zabije, widziała morderców za każdym drzewem. Nie warto znów przeżywać tego rodzaju zdenerwowania.**

**Katherine uśmiechnęła się.**

**–OK, ja też będę milczeć na ten temat.**

**–Dziękuję, okażę ci wdzięczność.**

**Otworzyła drzwi, a potem znów obejrzała się na niego z nagle poważną miną.**

**–Wiesz, że Graham jest do tego zdolny, prawda?**

**–Nie martw się, Katy, opublikujemy to, a UNACO nic nie będzie w stanie zrobić.**

**Kiedy Sabrina weszła do salonu, Graham spojrzął na nią przelotnie, a potem znów skupił uwagę na stojącym przed nim telewizorze.**

**–Coś emocjonującego? – zapytała od drzwi.**

**Graham ani na chwilę nie odwrócił wzroku od ekranu.**

**–Mecz piłki nożnej – powiedział.**

**Sabrina uniosła brwi z miną pełną ironii, która nie dotarła do Grahama.**

**–Ho, ho, ależ to emocjonujące.**

**–Taaa – padła roztargniona odpowiedź.**

**–Gdzie jest Jacques? – Sabrina próbowała zwrócić na siebie uwagę.**

**–Jest w gabinecie – odrzekł Graham, wskazując niedbałym gestem drzwi.**

**Podeszła do sofy, gdzie siedział Graham.**

**–Więc jaki jest wynik?**

**–Wynik? – powtórzył, zezując na nią.**

**–No... to znaczy ile goli do tej pory zdobyły obie drużyny? – zapytała z łagodnym sarkazmem.**

**Graham zastanowił się nad pytaniem, a potem sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.**

**–Wiesz, siedzę tu od dwudziestu pięciu minut i nawet nie potrafię powiedzieć, kto gra, a cóż dopiero podać ci wynik.**

**–Wiem, co masz na myśli. Znalazłam w sypialni jakąś starą książkę, ale, przebrnąwszy przez pierwsze dwadzieścia stronic, zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co przeczytałam. Dlatego postanowiłam zejść na dół i zobaczyć co ty i Jacques robicie.**

**–Jacques od godziny załatwia zaległą papierkową robotę.**

**–Przynajmniej ma zajęcie, które pozwala mu nie zauważać tego czekania – odrzekła z westchnieniem Sabrina. – Właśnie zaparzyłam świeżą kawę. Napijesz się?**

**–Taa, to brzmi wspaniale – odparł Graham wstając i idąc za Sabriną do kuchni.**

**Wlała napój do dwóch kubków, postawiła jeden z nich na stole przed Grahamem, a potem ze stojącej za nią chłodziarki wyjęła karton mleka i wręczyła mu.**

**–A, *café* - odezwał się od drzwi Rust, wtaczając się do kuchni.**

**–Cóż było w stanie obudzić cię w takim dniu jak dzisiejszy? – zapytał Graham,**

dolewając mleka do kawy.

–Właśnie skończyłem rozmawiać przez telefon z pułkownikiem Philpottem.

–Jacques? – Sabrina podsunęła mu kubek.

–*Merci, chérie* - odrzekł Rust, przyjmując go.

–Co pułkownik miał do powiedzenia?

Rust opisał spotkanie Philpotta z Ryanem.

–A więc pułkownik poinformował go jednoznacznie, że UNACO rzeczywiście istnieje – skomentowała ostro Sabrina. – Czy było to absolutnie niezbędne?

–To jest ryzyko, które pułkownik musiał podjąć, jeśli jego plan ma mieć jakiegokolwiek szansę powodzenia – oświadczył Rust. – A prawdę powiedziawszy, Philpott potwierdził tylko to, co Ryan już wie, i w dalszym ciągu źródło informacji pozostaje nieznane, co znacznie osłabia sensacyjność sprawy w razie opublikowania. Istotniejsze jest to, że „Brudny Kartel” w ciągu najbliższych paru dni może wygrzebać coś dyskredytującego Ryana lub Warren, a wtedy i ta wiadomość nigdy nie zostanie wydrukowana.

–Rozumiem, że „Brudny Kartel” w dalszym ciągu maca w ciemności? – zapytał gorzkim tonem Graham. – Czym, u diabła, oni się tam zajmują?

–Mike, w tej sprawie pociągają za wszystkie sznurki – zdenerwował się Rust. – Możesz nie mieć o nich dobrego mniemania, ale musisz przyjąć do wiadomości, że od dwóch dni pracują jednocześnie dwie zmiany, by ratować twoją skórę. Pamiętaj o tym, nim zaczniesz ich krytykować.

–No, przynajmniej Warren z nas zeszła – wtrąciła szybko Sabrina, zmieniając temat, gdyż wyczuła między dwoma mężczyznami nagle napięcie.

–Nie całkiem – odrzekł Rust, zwracając się do niej. – Pułkownik otrzymał telefon od twego ojca na krótko przed rozmową ze mną.

–Mego ojca? – zdumiała się Sabrina. – Czego on chciał od pułkownika Philpotta? I skąd wiedział, jak się z nim skontaktować?

–Wydaje się, że twój ojciec ma jakichś wpływowych przyjaciół na Kapitolu – stwierdził Rust. – Dał im znać, że chce rozmawiać z pułkownikiem. Wiadomość dotarła do UNACO i Philpott skontaktował się z nim. Okazało się, że dziś rano Katherine Warren odwiedziła twoje mieszkanie.



**–Przypuszczam, że powinnam być zaskoczona – skwitowała informację pogardliwym wzruszeniem ramion.**

**–Do swego artykułu chciała wywiadu z twoimi rodzicami, ale twój ojciec bardzo dyplomatycznie, lecz dokładnie, powiedział jej, co może sobie zrobić ze swym reportażem.**

**Sabrina uśmiechnęła się.**

**–Tatuś zawsze wiedział, jak się posługiwać słowami.**

**–Jeśli zdecydowali się na przeprowadzenie wywiadu z rodzicami Sabriny, to według wszelkiego prawdopodobieństwa, Mike, wyślą kogoś na spotkanie także z twoją matką w domu spokojnej starości w Santa Monica – zauważył Rust. – Ale pułkownik już poczynił stosowne kroki. Jak tylko Warren lub jakikolwiek reporter pojawią się tam, dowiedzą się, że twoja matka jest bezpośrednio po operacji chirurgicznej i nie może być niepokojona.**

**–I tak niczego by się od niej nie dowiedzieli – odparł cicho Graham.**

**–Czy nic nie mówiłeś matce o UNACO? – spytała Sabrina.**

**Graham zaczął powoli obracać kubek stojący na stole, a potem potrząsnął głową.**

**–Moja matka choruje na chorobę Alzheimera. Niekiedy jest całkowicie przytomna, a w inne dni... do diabła, nawet nie wie, kim jestem.**

**–Przykro mi, Mike, nie miałam o tym pojęcia – rzekła cicho Sabrina, kładąc delikatnie dłoń na jego rękę.**

**–Wiem, że nigdy dotychczas o tym nie wspominałem, ale wydaje mi się, że są takie rzeczy, o których się po prostu nie mówi – powiedział Graham, kręcąc się na krześle.  
– Być może jest to niewłaściwa postawa, nie wiem.**

**–Czy twoja matka myśli, że jesteś w Delcie? – zapytał Rust.**

**–Nie. Wie, że wyszedłem stamtąd po tym, co się zdarzyło z Carrie i Mikeyem. Do dziś pamiętam dzień, gdy przybyłem do Santa Monica, by jej przekazać wiadomość, że zrezygnowałem z pracy w jednostce. Nie odezwała się ani słowem, po prostu siedziała przy oknie z ulubionym portretem Mikeya w dłoniach. Zdaje mi się, że właśnie wówczas zrozumiałem, co przeżywała przez te wszystkie lata, gdy byłem w Delcie. Dlatego nigdy jej nie powiedziałem o UNACO. Nie mogę ponownie narażać jej na taki ból. W tej chwili sądzi, że jestem doradcą do spraw bezpieczeństwa w jakimś biurze w dzielnicy finansowej Nowego Jorku.**

**–Zapewne tak jest lepiej – orzekła Sabrina.**

**–A jednak wie o tobie – powiedział Graham, patrząc z ukosa na Sabrinę.**

**–Doprawdy? – zdziwiła się. – Skąd?**

**–Gdy ostatnim razem przyjechała do mnie na pobyt w chacie nad jeziorem Champlain, znalazła naszą fotografię. Wiesz, to zdjęcie, które zrobił C.W. w zeszłym roku przed restauracją „La Grenouille”, gdy wybraliśmy się tam coś zjeść we trójkę.**

**–Oczywiście wiem. I co jej powiedziałaś? Że to twoja klientka?**

**–Zrobiłbym to, gdybym miał trochę czasu, by pomyśleć. Musiałem powiedzieć to, co przyszło mi do głowy. Wytłumaczyłem jej, że jesteś moją sekretarką.**

**–Jakże oryginalne – odrzekła żartobliwie.**

**–Gdy ma dobre dni, wypytuje o ciebie – dodał Graham z połuśmieszkiem, a potem popatrzył na Rusta siedzącego po drugiej stronie stołu. – Nie, Jacques, nie musisz się martwić o moją matkę. Nie może powiedzieć im tego, czego nie wie. A „Jastrząb” Walsh nie powie Warren nic, jeśli nawet pojedzie, by go spotkać, gdyż gardzi prasą jeszcze bardziej niż mną.**

**Rust uśmiechnął się, a potem zwrócił do Sabriny.**

**–Oczywiście rozumiesz, że nie będziesz mogła pójść do swego mieszkania, jeśli nie zablokujemy reportażu przed twoim powrotem do Nowego Jorku. Nie możemy teraz dopuścić do tego, by Warren ponownie wpadła na trop.**

**–Innymi słowy, zostanę odstawiona na boczny tor do jakiegoś hotelu, tak ma być?**

**–A co ze mną? Ja też mam się zagrzebać w jakimś hotelu?**

**–Obawiam się, że tak, Mike – odrzekł Rust. – Nie wiemy, czy wiedzą już o twojej małej kryjówce nad jeziorem Champlain, ale nie możemy pozwolić sobie na żadne ryzyko. Oboje zamieszkacie w hotelu w centrum miasta, a pułkownik już zalecił, aby wysłać was na dłuższy urlop zaraz po złożeniu raportu. Musicie na pewien czas opuścić Nowy Jork.**

**–A jeśli ta sprawa ujrzy światło dzienne, urlop będzie nieograniczony – podsumował Graham wstając i podchodząc do okna.**

**Rust dopił kawę i postawił kubek na stole.**

**–Cóż, mam jeszcze górę papierkowej roboty do wykonania, nim złożę głowę na poduszce, więc wybaczcie mi, że zostawię was samych.**

**–Czy możemy ci w czymś pomóc? – spytała Sabrina z nadzieją w głosie.**

**–Nie, *chérie*, to wszystko jest robota, którą przywiozłem sobie z Zurychu. Jediną pociechą w tej, doprowadzającej do wściekłości, grze w czekanego jest to, że może uporam się z papierkami.**

**Rust spojrzął po kolei na dwie rozczarowane twarze.**

**–Wiem, że oboje w tej chwili musicie być rozstrojeni. Ale póki nie otrzymamy konkretnej wskazówki co do kolejnych kroków, poty możemy tylko tkwić tu.**

**–A co się stanie, jeśli nie dostaniemy żadnych informacji? – Graham spojrzął na odbicie Rusta w oknie. – Czy po prostu spodziewają się, że będziemy tu siedzieć i wyczekiwać, aż młot spadnie?**

**–Czy sądzisz, Mike, że mnie to nie frustruje? – tłumaczył Rust. – Nic jednak nie możemy zrobić, dopóki nie odezwie się C.W. albo brygada sił specjalnych nie zlokalizuje kryjówek Zlotina.**

**–W takim wypadku nie mamy się o co martwić, no nie? – odpalił sarkastycznie Graham.**

**–Nie naciskaj, Mike – warknął Rust, mierzając palcem w Grahama.**

**–Przestań, Jacques. Czy nie sądzisz, że C.W. skontaktowałby się z nami do tej chwili, gdyby mógł? A co do odnalezienia kryjówki przez brygadę sił specjalnych... – Graham potrząsnął głową i ucichł.**

**–Te nieustanne szpilki pod adresem brygady zaczynają mnie nieco nużyć – rzekł ze złością Rust. – Jest jedną z najlepszych jednostek antyterrorystycznych w Europie i wyłazi ze skóry, by dać nam pełne wsparcie podczas tej operacji.**

**–Nie wsadzałem im szpilek, ale Zlotin nie jest głupcem, Jacques. Zrobił wszystko, by ich kryjówka znajdowała się z dala od uczęszczanych szlaków. To oczywiście z tego powodu C.W. nie był w stanie skontaktować się z nami. Wiem, że brygada sił specjalnych pociąga za wszystkie sznurki, by znaleźć to miejsce, ale przecież to przysłowiowa igła w stogu siana, nieprawdaż? Mogą zaangażować do tego armię i lotnictwo i w dalszym ciągu nie posunąć się nawet o krok. – Graham odwrócił się od okna z ponurą miną. – Mieliśmy szansę znalezienia Zlotina poprzez Calderego i spieprzyliśmy ją. Jeśli C.W. nie będzie w stanie sprawić jakiegoś cudu, to, według mnie, odzyskamy te teczki wtedy, kiedy w końcu pojawią się na czarnym rynku. Oczywiście zakładając, że to właśnie zamierza zrobić Zlotin po ich odszyfrowaniu.**

**–Innymi słowy, UNACO będzie zmuszona do odkupienia teczek – podsumował Rust.**

**–A jakież inne wyjście pozostanie? – spytał Graham, opróżniając kubek.**

**Rust przez chwilę zastanawiał się, a potem znikł w korytarzu, nie ryzykując odpowiedzi.**

**–Nie możemy być pewni, że odzyskamy wszystkie dokumenty osobowe, jeśli nawet pojawią się na czarnym rynku – odezwała się Sabrina, przerywając milczenie.**

**–Zgadzam się, że dla UNACO byłoby to rozwiązanie najgorsze z możliwych. Ale w tej chwili sytuacja wygląda tak, jakby to najgorsze rozwiązanie stało się jedyną możliwością.**

**–Zlotin może jeszcze popełnić błąd, szczególnie że utracił jednego człowieka – zauważyła.**

**–Na to bym nie liczył. Myślę, że wskutek tego stanie się jeszcze bardziej czujny niż dotychczas. Nie może sobie pozwolić na utratę kogokolwiek, nie w chwili, gdy pozostało ich tylko dwóch, aby doprowadzić operację do końca.**

**–Chyba że zwerbuje C.W. na miejsce Jemienkowa – dodała Sabrina.**

**–To właśnie wtedy w grę wchodziłby cud – oświadczył Graham. – Ale jestem przekonany, że nie dopuści go w pobliże teczek. To wszystko jest kwestią zaufania, a C.W. z pewnością nie zdobył zaufania Zlotina w ciągu tych paru dni.**

**–Myślę, że dobrze by nam zrobiło wmieszenie się opatrności, i to natychmiast – powiedziała, wznosząc wzrok ku niebu.**

**–Ja zaś chętnie zawarłbym pakt z diabłem, gdyby to rozwiązało nasze problemy – odparł Graham.**

**–Wiem, o co ci chodzi – rzekła z westchnieniem. A potem, uśmiechnąwszy się kwaśno do Grahama, pokazała pusty kubek na stole przed nim. – Chcesz dolewkę? – zapytała. – Sądzę, że to należy do moich obowiązków... jako sekretarki oczywiście?**

**Graham bez komentarza podsunął do niej kubek, ale z radością dostrzegła, że się zaczerwienił.**

*Dwudziesty siódmy grudnia*

–Złamali szyfr.

Zlotin odrzucił książkę, którą czytał, i podbiegł do stojącego w drzwiach Rodenki.

–Masz klucz?

Rodenko wyciągnął arkusz papieru z górnej kieszeni kamizelki przeciwodłamkowej i wręczył Zlotinowi.

–Wygląda, Nikołaju, że wreszcie ruszamy z interesem.

–Jest tylko jeden sposób, by to stwierdzić – odparł Zlotin, pokazując gestem dwa aluminiowe pudła na stole stojącym w kącie celi.

W jednym z nich znajdował się przenośny komputer i drukarka laserowa, w drugim dodatkowa stacja dysków. Zlotin zespolił je połączeniem sprzęgającym, po czym Rodenko włączył dwa przewody energetyczne do przedłużacza, który połączony był z gniazdkiem wtykowym na korytarzu.

Rodenko patrzył, jak Zlotin wsunął dyskietkę do komputera i w chwilę później na ekranie monitora ukazało się menu.

–Jak długo Jemienkow wprowadzał dane z teczek UNACO na ten dysk? – zapytał.

–Parę nocy.

–To nieźle, biorąc pod uwagę objętość tych dwóch teczek UNACO.

–Walentin należał do nowoczesnych oficerów specnazu. Komputery stały się jego drugą naturą.

–W przeciwieństwie do mnie – powiedział Rodenko. – Nawet nie jestem pewien, co w tej chwili robisz.

–Pamięć dyskowa zawiera program, który zrobi porządek z szyfrem Silvermana, gdy tylko wprowadzę do komputera kluczowe litery naszych specjalistów – rzekł Zlotin, wgrywając wszystko z arkusza. – Kiedy pamięć będzie dysponowała kompletem istotnych informacji, wtedy zaszyfrowane litery zostaną zastąpione tekstem pierwotnym i dowiemy się, czy klucz, który nam dali, jest prawdziwy, czy też próbowali nas oszukać.

**–W takim razie dlaczego nie mogliśmy użyć komputera do odszyfrowywania, zamiast sprowadzać tu tych naukowców? – zainteresował się Rodenko.**

**–Przede wszystkim pojemność tej pamięci jest o wiele za mała, by zmieścić skomplikowany program odszyfrowywania – wyjaśnił Zlotin. – A gdyby nawet komputer miał taki program, byłby on bezużyteczny bez próbek szyfrów Silvermana. Musisz zapamiętać, Wiktorze, że chociaż komputer ma zdolność pamiętania, nie ma własnego umysłu. Potrafi pracować tylko na podstawie parametrów informacji, które zostały weń wgrane.**

**Rodenko tylko kiwnął głową. Podeszedł do łóżka, wziął z niego powieść czytaną przez Zlotina, popatrzył na okładkę, a potem odrzucił książkę na bok i przeszedł do drzwi. Wsadzwszy ręce w kieszenie, długo wpatrywał się w pusty korytarz, a potem znów zwrócił się do Zlotina.**

**–Kiedy rozpocznie się drukowanie?**

**–Gdy będzie gotowe – odburknął poirytowany Zlotin.**

**Rodenko podeszedł do komputera, tupnął niecierpliwie nogą czekając na początek wydruku, a potem prychnął z niesmakiem i powrócił na posterunek przy drzwiach.**

**–Co się z tobą dzieje? – zapytał Zlotin. – Chodzisz tam i z powrotem jak ojciec oczekujący narodzin dziecka.**

**–Wiesz, że nie ufam tym rzeczom – odpalił Rodenko, gestem wskazując komputer.**

**–Nie ufasz im, bo ich nie rozumiesz.**

**–Właśnie – padła zwięzła odpowiedź.**

**W tym momencie, jakby czekała na zaproszenie, pierwsza strona bezdźwięcznie wysunęła się z wylotu drukarki. Zlotin podniósł arkusz i uważnie przeczytał tekst w postaci niezaszyfrowanej.**

**–No? – spytał z niepokojem Rodenko od drzwi.**

**Zlotin przejrzał kilka następnych arkuszy tekstu odkrytego, nim wreszcie spojrzął na Rodenkę.**

**–Wywołaj przez radio Jannoca w Marsylii i powiedz mu, że szyfr został złamany.**

**Słyszając odgłos zbliżających się kroków na korytarzu, Whitlock wysunął się ze swej celi.**

**–Masz tu następnych podopiecznych – oznajmił Zlotin, machnąwszy pistoletem w**

stronę Auerbacha i Fisiera.

Whitlock spojrział na dwóch naukowców, ale nic nie powiedział. Za pomocą swej karty Zlotin uruchomił drzwi celi, w której przetrzymywano Marie Fisier i Lisl Auerbach, i gestem nakazał obu mężczyznom, by weszli.

–Czy odszyfrowali dla ciebie dokumenty? – spytał Whitlock, choć odgadł odpowiedź już w chwili, gdy ujrzał dwóch kryptologów na korytarzu.

–Tak.

–Więc co teraz będzie?

–Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wyniesiemy się stąd jutro rano. Gdy tylko dotrzemy na ląd, otrzymasz pozostałą należność i od tej pory działasz na własną rękę.

–Czemu nie możemy odjechać teraz?

–Bo mam jeszcze pewien nie załatwiony interes, którym muszę się zająć – odparł Zlotin, kierując się ku drzwiom na końcu korytarza.

–A co z antidotum? – zawołał za nim Whitlock.

–Zostanie podane obu kobietom, nim opuścimy wyspę – odparł Zlotin i drzwi zasunęły się za nim.

Whitlock wrócił do swej celi i usiadł na łóżku. Często rozmyślał nad „antidotum” przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Jeśli słusznie przypuszczał, że Rosjanie zabiją więźniów przed opuszczeniem wyspy, to po co było im potrzebne antidotum zwalczające skutki wirusa? A przede wszystkim po co było wstrzykiwać wirusa? Być może strzykawka, którą Zlotin przeznaczył dla Lisl Auerbach w Lipsku, nie zawierała nic więcej niż nieszkodliwy środek uspokajający? Zlotin powiedział Auerbachowi, że w roztworze znajduje się też środek nasenny i rzeczywiście Lisl Auerbach spała podczas lotu do Madrytu.

Mając na uwadze te wszystkie wątpliwości, wymyślił coś, co uważał za wykonalny plan wydostania się ze skrzydła więzienia. Oczywiście wykonalność była uzależniona od środków, jakimi Whitlock dysponował. Miał zamiar urzeczywistnić ów plan dzisiejszego ranka, ale teraz, wiedząc, że nie opuszczą wyspy do jutra, postanowił wstrzymać się do późniejszej pory nocnej, gdy cały kompleks więzienny spowie ciemność. Będzie miał wówczas idealne warunki do wykonania planu, który w wielkiej mierze opierał się na zaskoczeniu, bo tylko ono mogło uwieńczyć wysiłek powodzeniem...

Zlotin wszedł do celi, która była ich pokojem operacyjnym. Znajdował się w nim potężny nadajnik radiowy, system radarowy bliskiego zasięgu – zasilany przez generator spalinowy – zdolny do wykrywania jakiegokolwiek ruchu na wodzie lub w powietrzu w promieniu ośmiu kilometrów od wyspy oraz dwie szafy ze stali pancernej, zawierające mały arsenał, którego Rosjanie zażądali na początku operacji. To wyposażenie zostało dostarczone przez Jannoca, jako jego część umowy, a na wyspę przewieziono je na frachtowcu.

–Czy połączyłeś się z Marsylią? – spytał Zlotin Rodenkę, który siedział przy nadajniku, plecami do drzwi.

Rodenko zakręcił się na krześle obrotowym i wyszczerzył zęby do Zlotina.

–Rozmawiałem osobiście z Jannokiem. Wiadomości bardzo go podnieciły.

–Czy pieniądze są przygotowane?

–Przygotowane i czekają.

Zlotin przysunął sobie drewniane krzesło, odwrócił je tyłem i usiadł na nim okrakiem.

–Czy powiedział, kiedy tu przyleci?

–Jannoc nie pojawi się osobiście – odrzekł Rodenko. – Pieniądze w jego imieniu przekaże Saisse.

–Saisse – powtórzył pogardliwie Zlotin. – Więc kiedy mamy się go tutaj spodziewać?

–Od dwóch dni jest w Lizbonie i czeka na wiadomość z Marsylii, dotyczącą zapłaty. Wedle Jannoca pieniądze powinniśmy otrzymać w najbliższych godzinach.

–Znakomicie – ucieszył się Zlotin. – Oznacza to, że będę mógł rozpocząć negocjacje w sprawie sprzedaży teczek UNACO natychmiast po jego odlocie. Tak więc, jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinienem wrócić do Rosji z końcem roku.

–Pomyślę o tobie, zamarzającym na kość w temperaturze poniżej zera, podczas gdy ja będę leżał rozciągnięty na jakiejś pustynnej plaży z koktajlem w jednej ręce i pół milionem dolców w drugiej.

–Jestem pewien, że to zrobisz – prychnął Zlotin, a potem wstał i podszedł do drzwi. – Aha, żeby nie było żadnych nieporozumień, pieniądze pozostaną zamknięte w sejfie w mojej celi do ukończenia operacji.

–Czemu po prostu nie przyznasz się i nie powiesz, co masz na myśli, Nikołaju? –



**rzucił ze złością Rodenko. – Już mi nie ufasz, prawda?**

**–Już ci nie ufam, bo tak bardzo zmieniłeś się po przybyciu tutaj. Nagle wszystko, co robisz, musi mieć swoją cenę. Wiktorze, nigdy dawniej taki nie byłeś. Co się z tobą stało?**

**–Po raz pierwszy w życiu robię coś dla siebie, a nie dla ukochanej sprawy socjalizmu. A czymże była ta wspaniała sprawa, jak nie garścią pozbawionych twarzy dinozaurów, pogrążonych w zgniliźnie, żyjących niczym królowie, podczas gdy pozostali z nas walczyli, by związać koniec z końcem? Tych samych dinozaurów, których chcesz widzieć znów u władzy. Ciągłe żyjesz przeszłością, Nikołaju. Ja nią nie żyję i na tym polega różnica między nami. – Rodenko cisnął słuchawki na stół i wstał. – O mnie nie musisz się martwić. Dałem ci słowo, że wytrwam do końca, i choć wszystko inne mogło się zmienić, moje słowo mnie zobowiązuje.**

**–Dla twego dobra mam taką nadzieję – odparł chłodno Zlotin, a potem odwrócił się na pięcie i znikł w korytarzu.**

**–Nadlatuje helikopter – zawiadomił Rodenko, pojawiwszy się w drzwiach pomieszczenia Zlotina.**

**–Saisse? – zapytał Zlotin, podnosząc głowę znad powieści.**

**Rodenko skinął głową.**

**–Rozmawiałem już przez radio z pilotem i dałem mu zezwolenie na lądowanie. Powinni się wkrótce pojawić.**

**–No to chodźmy – stwierdził Zlotin. Wziął dyplomatkę ze stolika przy łóżku i pośpieszył za Rodenką.**

**Weszli do holu inspekcyjnego, skąd metalowymi schodkami przedostali się do bezokiennego korytarza. Jego ściany i sufit były opalone i poczerniałe od gorąca pożaru, który bezlitośnie zniszczył górne poziomy więzienia. Na końcu korytarza znajdowały się otwarte drzwi bezpieczeństwa. Przeszli przez nie i potem przez następne, znajdujące się o dwadzieścia metrów dalej, aż dotarli do kolejnych metalowych schodów, prowadzących prosto na lądowisko helikopterów. Zlotin spojrzał nieufnie na stopnie schodów.**

**–Czy jesteś pewien, że już można po nich bezpiecznie chodzić? Ostatnim razem wdrapując się na nie, omal skręciłem kark.**

**–Teraz są absolutnie bezpieczne – zapewnił Rodenko. – Było tylko kilka skorodowanych stopni, uszkodzonych przez pożar. Już je usunąłem. Wszystkie pozostałe są całkiem solidne. Tego jestem pewien, chodziłem po nich w górę i w dół**

wiele razy, od czasu gdy je naprawiłem.

–Wobec tego nie robi ci różnicy, jeśli pójdziesz przodem – Zlotin wskazał schody szerokim gestem.

–To coś nowego – rzekł Rodenko z uśmiechem zadowolenia. – Nikołaj Zlotin idący czyimś śladem.

–Wolę nazywać to zdrowym rozsądkiem – odrzekł Zlotin.

Rodenko poszedł pierwszy, ostrożnie przekraczając luki po brakujących stopniach, zmierzając ku drzwiom bezpieczeństwa u szczytu. Po pokonaniu dwóch trzecich dystansu zatrzymał się i wskazał przerwę między schodkami. Lecz Zlotin doskonale pamiętał miejsce, gdzie prawie zwałił się ze schodów, kiedy paskudnie skorodowane stopnie zarwały się pod jego ciężarem. Gdyby nie zdołał uchwycić się poręczy, to z całą pewnością zabiłby się spadając. Pod nim nie było nic, a od betonowej posadzki na dole dzieliła go siedemdziesięciometrowa odległość.

Rodenko dotarł do szczytu schodów i uruchomił drzwi kartą magnetyczną. Wyszedł na lądowisko helikopterów. W zblakłym kręgu pośrodku stał śmigłowiec, którym przywieziono Fisierów. Okryto go siatką kamuflażową, uniemożliwiającą rozpoznanie z powietrza. Był to standardowy helikopter Westland Scout, zakupiony przez Jannoca dzięki jego licznym kontaktom ze światem przestępczym na kontynencie europejskim, a następnie zmodyfikowany przez Rodenkę dla jego własnych potrzeb. Z podpór podwozia usunął on wyrzutnie rakiet przeciwczołgowych, a potem, wzmocniwszy podwozie helikoptera, bezpośrednio pod kokpitem zamontował szybkostrzelne działko automatyczne, kaliber 30 milimetrów, pozwalające na sześćset dwadzieścia pięć wystrzałów na minutę. Rodenko nie wypróbował jeszcze niszczącej siły ognia, ale sprawdził działko, strzelając do drewnianych skrzyń, które Jemienkow rozmieścił dla niego strategicznie w wodzie. To, że próba zakończyła się powodzeniem, satysfakcjonowało go w wystarczającym stopniu.

–Oto jest – zawołał Zlotin, przekrzykując wiatr i wskazując coś w oddali.

Rodenko zmrużył oczy, spoglądając na zachmurzone niebo w kierunku wskazanym przez Zlotina. Choć dosłyszał z daleka słaby warkot silnika, upłynęło kilka sekund, nim wreszcie zdołał zauważyć mglistą sylwetkę zbliżającego się śmigłowca Bell JetRanger.

Przypomniał sobie niesamowitą zdolność Zlotina, który potrafił dostrzec gołym okiem nawet najśłabszy ruch. Ujawniła się ona podczas kampanii afgańskiej, gdy zbuntowani mudżahedini regularnie urządzali zasadzki na rosyjskie konwoje, które przechodziły górskimi przełęczami, by dostarczać zaopatrzenie swym zmęczonym walką oddziałom. Pośpiesznie wprowadzono jednostki specnazu jako zwiadowcze

oddziały przednie, ochraniające konwoje. Ich nie do pozazdrosczenia zadaniem było wykrywanie pozycji mudzahedinów i przekazywanie informacji myśliwcom bombardującym MiG-27, które wówczas uderzały, zanim konwoje docierały do miejsca zamierzonej zasadzki. Zlotin dowodził siedemnastoma takimi misjami zwiadowczymi i tylko dzięki jego przebiegłości i fenomenalnej ostrości wzroku wszystkie bez wyjątku chronione przez niego konwoje dotarły do celu nie zaatakowane. Tego rekordu nie pobił podczas owej kampanii ani jeden oficer specnazu.

Pilot łagodnie posadził maszynę na lądowisku, zachowując nakazaną ostrożnością odległość między dwoma helikopterami. Saisse był jedynym pasażerem. Natychmiast po wylądowaniu przeciągnął palcem po gardle, pokazując w ten sposób pilotowi, że ma zgasić silnik.

Saisse odpiął pas bezpieczeństwa, otworzył pchnięciem drzwiczki i skrzywił twarz, gdy zimny wiatr wdarł się do ciepłego kokpitu. Popatrzył na dyplomatkę, którą trzymał Zlotin, ale nie ruszył się z miejsca. Wreszcie jego wzrok spotkał się z nieruchomym spojrzeniem Zlotina i wówczas Saisse zrobił ruch ręką, przyzywający go do helikoptera.

Zlotin powoli zbliżył się do maszyny i schyliwszy się pod zwalnającymi płatami, otworzył tylne drzwiczki i wspiął się do środka. Pilot obejrzał się za nim przez ramię, ale nic nie powiedział.

–Czy masz pieniądze? – zapytał Zlotin.

Saisse wziął zniszczoną torbę, leżącą u jego stóp, i położył sobie na kolanach.

–Dostaniesz pieniądze, gdy tylko stwierdzę, że klucz do złamania szyfru jest autentyczny.

–Nie, najpierw wyrzucić pieniądze na lądowisko – zażądał Zlotin. – Potem otrzymasz dokumenty.

Saisse niechętnie wyrzucił pakunek na lądowisko. Zlotin przywołał Rodenkę do helikoptera i czekał, aż ten zabrał torbę. Dopiero potem wręczył dyplomatkę Saisse'owi.

–Odszyfrowałem dla was pierwszą stronicę, abyście mogli stwierdzić, że klucz jest autentyczny – rzekł Zlotin, wręczając Saisse'owi arkusz papieru.

Saisse rozłożył papier i odszukał dokument odpowiadający tej stronicy. Zlotin przepisał ręcznie tekst i nad każdą zaszyfrowaną literą wpisał litery z klucza. Saisse przeczytał uważnie, a potem wybrał na chybił trafił inną stronę, by upewnić się, że Zlotin nie próbował oszukać go, dając fałszywy klucz. Otworzył drugą teczkę i znów

na dowolnej stronie sprawdził, czy nie maniezgodności. Przekonawszy się, że na podstawie klucza może odczytać po angielsku tekst napisany szyfrem, zamknął teczkę i włożył ją do dyplomatki, którą zamknął na zamek i położył u swych stóp. Przeniósł spojrzenie na Rodenkę, klęczącego przy otwartej torbie i przeliczającego jedną z paczek używanych pięćdziesięciodolarowych banknotów. Każda paczka zawierała tysiąc dolarów. Wrzuciwszy paczkę do torby, Rodenko wyjął następną.

–Czy on chce natychmiast przeliczyć wszystko? – spytał poirytowany Saisse.

–Nie ma potrzeby – zapewnił go Zlotin. – Gdyby czegoś brakowało, wiemy, gdzie cię znaleźć.

–Niczego nie brak – odpalił z oburzeniem Saisse.

–Tak więc teraz, gdy masz klucz do odszyfrowania teczek UNACO, Jannoc wreszcie się dowie, kto jest odpowiedzialny za śmierć jego brata. To po prostu potwierdzi fakt, że zemsta może okazać się niebezpieczną i kosztowną obsesją, jeśli zapanuje nad człowiekiem.

–Gdyby nie ta „obsesja” *monsieur* Jannoca, jak ją nazywasz, ty i twoi koledzy gnilibyście w jakimś rosyjskim więzieniu. A teraz jesteście wolni i macie do podziału pół miliona dolarów. Przypomnij to sobie, zanim zaczniesz osądzać motywy *monsieur* Jannoca, skłaniające go do pomszczenia śmierci swego brata.

–Jakże mógłbym zapomnieć o jego szczodroblewości – odpowiedział kpiąco Zlotin, a potem wysiadł z helikoptera. – Odnosi się to jednak do obu stron. Bez nas Jannoc ciągle jeszcze nie zbliżyłby się do prawdy.

–Nie przeceniaj waszej ważności w tej operacji – odparł pogardliwie Saisse. – Ty i twoi koledzy byliście tylko najętymi gorylami i koniec.

–Mam wątpliwości, czy Jannoc zadałby sobie aż tyle trudu, by wydobyć nas z Rosji, gdyby szukał tylko goryli do wynajęcia. Posłużył się nami, gdyż wiedział, że jesteśmy zawodowcami, którzy potrafią wykonać dla niego tę robotę. Myślę też, że uzasadniliśmy tę jego wiarę, odwracając sytuację, gdy partacka niekompetencja Bergera prawie spaliła operację. Nie, gdyby potrzebował tylko najemnych goryli, wówczas nie musiałby szukać nikogo poza tobą, z tą twoją niezdarną prawą ręką, oraz Bergerem, prawda? Dziwne, że nigdy nie pomyślał nawet, by postawić kogoś z was na czele operacji, co?

Saisse obrzucił Zlotina wściekłym spojrzeniem, a potem z hukiem zatrzasnął drzwiczki i gestem polecił pilotowi uruchomić silnik. Zlotin podszedł do Rodenki i obaj w milczeniu patrzyli, jak helikopter powoli nabiera obrotów, by unieść się z lądowiska. Znalazłszy się w powietrzu, wszedł w ostry wiraż i znad wyspy skierował się ku lądowi stałemu.

**–Czy nie zapomniałeś o czymś? – powiedział Zlotin, gdy dźwięk turbinowego silnika helikoptera ucichł w dali.**

**Rodenko niechętnie oddał torbę Zlotinowi, który zaniósł ją do swej celi i zamknął w sejfie obok łóżka. Następnie przeszedł do pokoju operacyjnego i usiadł przed radiostacją.**

**–Czy możemy porozmawiać? – zapytał Rodenko, stojąc za nim w drzwiach.**

**Zlotin zsunął słuchawki na kark, a potem obrócił się na krześle twarzą do Rodenki.**

**–O co chodzi?**

**–Nie powiedziałaś mi, co zrobisz z teczkami. Czy masz już upatrzonego nabywcę, czy też zamierzasz poszukać go teraz?**

**–Pozwól, że sformułuję to następująco: myślę o konkretnym nabywcy.**

**–O kim?**

**–UNACO.**

**–To szaleństwo – zawołał zdumiony Rodenko. – Aresztują cię w chwili, gdy im się pokażesz.**

**–I zniszczą jedyną szansę odzyskania teczek? – rzekł Zlotin. – Nie, nie sądzę, by to zrobili. Dopóty, dopóki trzymam w ręce wszystkie asy, jestem absolutnie bezpieczny.**

**–Ale nie trzymasz. Możesz zahandlować tylko kopią odszyfrowanego tekstu. Jannoc ma prawdziwe teczki UNACO i klucz. To bezpośrednio podważa twoją teorię.**

**–Jannoc ma klucz, to się zgadza, ale nie ma oryginalnych teczek UNACO. Są u mnie.**

**–O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony Rodenko. – Dałeś teczki UNACO Saisse'owi. Sam widziałem, jak posługiwał się nimi, sprawdzając autentyczność klucza.**

**–To, co dałem Saisse'owi, było kopią tekstu szyfrowanego; tą, którą Walentin wgrał do komputera. Wydrukował całość i za pośrednictwem swoich znajomości w Lizbonie polecił profesjonalnie oprawić. Ani Saisse, ani Jannoc nigdy nie dowiedzą się, że mają kopię, bo nie widzieli nigdy oryginalnych teczek UNACO.**

**–W dalszym ciągu nie widzę w tym sensu – oświadczył Rodenko. – To nie zmienia faktu, że Jannoc będzie miał kopię teczek UNACO.**

–Gdyby UNACO mogła przechwycić teczki, nim dotrą do Jannoca, miałbym znacznie korzystniejsze warunki podczas ewentualnych negocjacji z organizacją, z tym się chyba zgodzisz?

–Tak – odparł z wahaniem Rodenko. – Ale skąd mieliby dowiedzieć się, gdzie i kiedy przechwycić teczki?

–Ponieważ ja im to powiem – stwierdził Zlotin. – Gdy byłem w Marsylii, podsłuchałem Jannoca i Saisse’a. Jannoc wiedział, że jest pod ścisłą obserwacją UNACO. Wobec tego postanowiono, iż dokumenty zostaną odszyfrowane gdzieś poza Marsylią, a potem ukryte w skrytce na dworcu, skąd zabierze je jeden z zastępców Jannoca. Jeśli UNACO bacznie przyjrzy się stacji, nie tylko odzyska teczkę, ale także będzie miała więcej niż trzeba dowodów, aby wysłać Jannoca wraz z Saisse’em do więzienia na resztę życia.

–A jeśli Jannoc nas zakapuje?

–W chwili gdy UNACO aresztuje Jannoca i Saisse’a, nas tu od dawna nie będzie, a miejsce naszego pobytu pozostanie nieznane. Cóż takiego powiedzą władzom, co mogłoby mieć wpływ na wynik naszych negocjacji z UNACO? Nie martw się, Wiktorze, mój plan nie ma słabych stron.

–Dopóki UNACO będzie się godzić na twoje warunki – odrzekł Rodenko.

–Czy będą mieli wybór?

Rodenko przez chwilę zastanawiał się nad słowami Zlotina, a potem kiwnął głową.

–Jak zwykle opracowałeś wszystko dokładnie, przewidując najdrobniejsze szczegóły. Z kim skontaktujesz się, aby ustalić spotkanie? Z Grahamem?

–Graham to mała rybka. Jedyne sposoby, by cokolwiek uzyskać, to skontaktować się z samym szczytem. W wypadku UNACO oznacza to ich dyrektora, pułkownika Malcolma Philpotta. – Zlotin włożył słuchawki na uszy. – Myślę, że nadszedł czas na rozegranie tej partii. Rozpocznie ją gambit.

–Szach-mat.

Skonsternowany Graham wpatrywał się w szachownicę, a potem przeniósł wzrok na Sabrinę, która siedziała na podłodze po drugiej stronie stołu.

–To piąta z kolei wygrana przez ciebie partia.

–I jesteś mi winien pięćdziesiąt dolców – odrzekła z przesadnie skromnym uśmiechem.

**–Gdzie, u diabła, nauczyłaś się tak grać w szachy? – spytał z zazdrością.**

**–Mój ojciec nauczył mnie, gdy byłem dzieckiem – powiedziała skromnie, a potem wyciągnęła do niego otwarte dłonie. – Pięćdziesiąt dolców. Wypluj je.**

**–Uregulujemy wszystkie długi, gdy skończymy grać – sprzeciwił się, odpychając jej rękę.**

**–Powtarzałeś to po każdej partii. – Pogroziła palcem. – Jazda, wypłacaj!**

**–Mike! Sabrina!**

**Naglący głos Rusta spowodował, że natychmiast pobiegli do gabinetu.**

**–Co się stało, Jacques? – spytał z niepokojem Graham już od drzwi.**

**–Wejdźcie – rzekł Rust, wskazując gestem sofę. – Siadajcie. Rozmawiałem z pułkownikiem w Nowym Jorku. Zlotin właśnie skontaktował się z nim przez radio w Centrum Dowodzenia i poinformował, że szyfr Abego został dziś rano złamany. Teraz chce nam odsprzedać teczki. Albo też, jak to określił, gotów jest udzielić nam pierwszej odmownej odpowiedzi co do umowy.**

**–Co na to pułkownik? – zapytała Sabrina.**

**–Oczywiście zgodził się na spotkanie. To prawdziwy dar boży. Myśleliśmy, że teczki trafią na czarny rynek. Oczywiście nie zapłacimy okupu wiedząc, że pieniądze zostałyby skierowane na sfinansowanie puczu w Rosji. Musimy natomiast tak zadziałać, by myślał, że gotowi jesteśmy negocjować warunki zwrotu teczek. Gdyby choć przez chwilę podejrzewał, że wiemy o planowanym przewrocie, zerwie umowę i już nigdy nie ujrzymy tych dokumentów. Musimy pójść mu na rękę, aby zyskać na czasie. Trzeba dokładnie przemyśleć, jak go załatwić i odzyskać teczki nienaruszone.**

**–Kiedy się spotkają?**

**–Dziś o czwartej po południu. To znaczy, że za niecałe dwie godziny od tej chwili. Początkowo żądał spotkania z pułkownikiem, ale oczywiście w tak krótkim czasie nie byłoby to możliwe. Wobec tego zgodził się rozmawiać ze mną.**

**–Gdzie się umówiliście? – zapytała Sabrina.**

**–Tu.**

**–Tu? – powtórzyła zaskoczona. – Obawiam się, że nasi współpracownicy z sił specjalnych nie będą nadmiernie uradowani, gdy się dowiedzą o ujawnieniu jednego z ich bezpiecznych domów.**

**–To nie był pomysł pułkownika – stwierdził Rust.**

**–Ale skąd Zlotin mógłby wiedzieć...? – przeciągnęła, gdy nagle coś jej zaświtało. – Informacja z wewnątrz. A więc przeczucie Mike’a okazało się trafne. Zlotin musi mieć kontakt w brygadzie sił specjalnych.**

**–OK, więc miałeś rację – przyznał Rust czując na sobie rozpalony wzrok Grahama.**

**–Dziękuję – powiedział Graham. – Teraz, gdy już wiemy, że Zlotin ma u nich swojego człowieka, możemy wyłączyć ich z akcji.**

**–Nie, Mike, nie po tym, co wydarzyło się w magazynie – sprzeciwił się Rust. – Pułkownik dał słowo Inaciowi, że będą informowani o kolejnych wydarzeniach związanych z tą sprawą i właśnie to dokładnie mam zamiar zrobić.**

**–O kolejnych wydarzeniach? – spytał podejrzliwie Graham. – Jak mam to rozumieć, Jacques? Nie powiesz im o spotkaniu ze Zlotinem?**

**–Oczywiście, że powiem, lecz dopiero po wyjściu Zlotina – odrzekł Rust. – Zlotin jednoznacznie powiadomił pułkownika, że nie życzy sobie wmieszania się sił specjalnych do tej sprawy. Wyraźnie stwierdził, że chce się ze mną spotkać w cztery oczy. Tak więc to, o czym nie wiedzą ludzie z brygady, nie sprawi im przykrości. My natomiast mamy pewność, że w domu nie ma pluskiew, a major Inacio już odwołał zespół obserwacyjny, który znajdował się na zewnątrz, gdyśmy się tu wprowadzali. Nie ma więc sposobu, by dowiedział się o Zlotinie.**

**–Inacio zrobił to jedynie w dowód swego zaufania, gdy pułkownik zapewnił go, że od tej chwili będziemy współpracować – zauważyła Sabrina.**

**–Gotów jestem wziąć za to baty – oświadczył Rust – ale w tej chwili najbardziej musimy wystrzegać się konfliktu ze Zlotinem. Co by było, gdybym zawiadomił siły specjalne o spotkaniu tylko po to, aby śledzili Zlotina, gdy stąd odejdzie? Jest bardzo prawdopodobne, że się zorientuje i nie będzie chciał rozmawiać. To my nadstawiamy głowy, nie oni. Uważam, że nie powinni wiedzieć; w każdym razie nie w tej chwili.**

**–Całkowicie cię popieram – zapewnił go Graham.**

**Także Sabrina skinęła głową na znak zgody.**

**–Powiedziałaś, że chce się z tobą spotkać w cztery oczy. A co my mamy robić? Czy chcesz, abyśmy się wynieśli?**

**–Nigdzie nie pójdziecie – odrzekł Rust. – Gdyby, nie daj Boże, nastąpiły jakieś kłopoty, musicie mnie wesprzeć.**



–Już cię wspieramy, Jacques – rzekł Graham wstając z miejsca i podchodząc do okna. – Muszę przyznać, że czekam na to, by wreszcie stanąć twarzą w twarz z wielkim pułkownikiem Nikołajem Zlotinem.

–Obiecaj mi, Mike, że tego popołudnia będziesz stosował się do rozkazów – ostrzegł go Rust. – Wiem, jaki jest twój stosunek do Zlotina, ale jeśli teraz spieprzymy sprawę, jesteśmy pogrzebani.

–Nie martw się, Jacques, postaram się zachowywać jak najgrzeczniej – odparł, spoglądając z namysłem na Atlantyka. – Możesz na to liczyć.

Gdy zegar ścienny wybił czwartą, zabrzączał domofon przy głównej bramie.

–Tyle przynajmniej można o nim powiedzieć, że jest punktualny – rzekł Rust, biorąc ze stołu w salonie manipulator zdalnego sterowania.

W aparacik był wbudowany miniaturowy ekran telewizyjny, połączony z kamerą telewizji przemysłowej, zamontowaną na murze obok bramy.

–To cecha większości żołnierzy, Jacques – zauważył Graham.

–Z pewnymi słynnymi wyjątkami – dodał Rust, patrząc z ukosa na Grahama.

Stwierdziwszy, że w fordzie siedzi tylko Zlotin, uruchomił bramę i odczekał, aż wóz wjedzie na teren willi, nim ją ponownie zamknął.

–Jest w drodze, Mike. Jestem pewien, że chcesz go osobiście powitać w drzwiach wejściowych.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł wstając Graham.

–I pamiętaj...

–...by się stosować do rozkazów – dokończył Graham. – Tak, Jacques, przypominaj mi stale o tym.

–Idź – polecił Rust, podkreślając słowa ruchem dłoni.

Graham podszedł do drzwi wejściowych. Zatrzymał się, głęboko zaczerpnął powietrza, po czym je otworzył i wyszedł na ganek.

Zaparkowawszy forda blisko bramy, przy wjeździe na wysypany żwirem dziedziniec, Zlotin wziął dyplomatkę, a potem wysiadł z wozu i podszedł do domu.

–To ty jesteś Graham. Rozpoznaję cię na podstawie dossier. Wiele o tobie słyszałem od kilku moich kolegów, którzy zetknęli się z tobą. Wygląda na to, że

**wszyscy bardzo cię cenią.**

**–Taa? – odparł obojętnym tonem Graham. – Masz broń?**

**–Oczywiście – padła natychmiast odpowiedź. – Jestem pewien, że ty także. Mam nadzieję, że nie oczekujesz, iż oddam moją?**

**Graham pozostawił pytanie bez odpowiedzi i gestem wskazał wejście.**

**–Tędy – rzucił szorstko przez ramię, będąc już w drodze do salonu.**

**–Graham, przykro mi było usłyszeć o tym, co się zdarzyło z twoją rodziną – powiedział Zlotin, podążając za nim. – Co za ironia, że zostali zabici przez waszych ludzi.**

**Graham nic nie powiedział.**

**–Więc to prawda – kontynuował Zlotin. – Czytałem w naszych aktach, że ostatecznie pogodziłeś się z utratą rodziny. Słyszałem jednak rozmaite rzeczy o twoim zmiennym usposobieniu i nie byłem pewien, czy można w to uwierzyć.**

**–Oczywiście wszystko to czytałeś, nim zostałeś zdegradowany do szeregowca i wywalony ze specnazu – rzekł chłodno Graham.**

**Dotarli do salonu. Graham zatrzymał się przy drzwiach i gestem wskazał Zlotinowi, by ten wszedł do środka. Zlotin obrzucił rozmówcę lodowatym spojrzeniem, a potem ostrożnie ruszył przed siebie, rozglądając się na wszystkie strony. Jego wzrok zatrzymał się na Sabrinie, stojącej przed drzwiami wychodzącymi na patio. Odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem. Zwrócił się do Rusta.**

**–Zgodnie z umową, mieliśmy się spotkać w cztery oczy. Rust popatrzył na Sabrinę.**

**–Ty i Mike zaczekacie na zewnątrz. Zawołam, gdybym was potrzebował.**

**Kiwnęła głową i poszła w stronę korytarza. Graham podążył za nią i zamknął drzwi.**

**Zlotin pochylił się i przyjrzał szachownicy, stojącej na stole przed sofą.**

**–Philpott powiedział mi, że będziesz negocjował w imieniu UNACO. Jak rozumiem, powiedział ci także, że nie masz kontaktować się z brygadą sił specjalnych w sprawie naszego spotkania dzisiejszego popołudnia?**

**–Tak, powiedział mi – odrzekł zwięźle Rust. – Zaciekawia mnie, skąd się dowiedziałeś, że znajdujemy się tutaj?**

**–Szach-mat dla białych, w ośmiu, najwyżej dziewięciu posunięciach – oświadczył**

Zlotin po paru sekundach. – Mam swoje źródła – dodał, podniósłszy wzrok na Rusta.

–W brygadzie? – zainteresował się Rust, uważnie śledząc twarz Zlotina. Pozostała bez wyrazu, co nie było niespodzianką.

–Jak powiedziałem, mam swoje źródła. I nie wracajmy do tego. – Zlotin ustawił na stole dyplomatkę, po czym usiadł na sofie. – A więc może przystąpimy do interesów?

–Oczywiście – odparł Rust, podjeżdżając do stołu.

–Przede wszystkim chciałbym powiadomić, że istnieją dwie kopie zaszyfrowanego tekstu i obie są w tej chwili w obiegu. Ja mam oryginały dokumentów UNACO, jak również kopię odszyfrowanego tekstu. Kopia szyfru Silvermana wraz z kluczem do złamania szyfru znajdują się w tej chwili w drodze do Jannoca, przebywającego w Marsylii. Przepuszczam, że dostanie je mniej więcej jutro rano.

–Podwójne zagrożenie – stwierdził sucho Rust.

–Wręcz przeciwnie, mogę ci dokładnie powiedzieć, gdzie się znajdą dokumenty po rozszyfrowaniu. Stamtąd odbierze je Jannoc.

Rust podejrzliwie zmarszczył brwi.

–Myślałem, że ty i Jannoc pracujecie ręka w rękę?

–Spowodowałem, że Jannoc tak to sobie wyobraża. Jeśli chodzi o niego, to zakładał, że mój udział w operacji kończy się z chwilą przekazania teczek wraz z kluczem do złamania szyfru w zamian za pewną sumę pieniędzy.

–Tak więc, gdybyśmy przechwycili teczki, nim dotrą do Jannoca, wówczas u ciebie pozostanie tylko jeden komplet, co automatycznie podniesie ich wartość – podsumował Rust.

–Szybko się orientujesz, *monsieur* - odrzekł Zlotin, wyciągając z dyplomatki kopertę i wręczając ją Rustowi. – Tu są wszystkie szczegóły na temat tego, gdzie teczki mają być pozostawione zaraz po ich odszyfrowaniu. Proszę to po prostu uznać za gest dobrej woli z mojej strony.

Rust wziął kopertę, rozciął ją i wyjął kartkę papieru.

–Schowek 17, dworzec St-Charles, Marsylia.

–Jestem pewien, że zarejestrował to jeden z twoich mikrofonów – powiedział Zlotin, powoli rozglądając się po całym pokoju, jakby próbował ustalić oczywiste miejsca ukrycia urządzenia.

**–Jestem pewien, że tak było – odparł Rust, chowając kartkę do kieszeni.**

**Zlotin wyjął z dyplomatki kartonową teczkę i położył ją na stole.**

**–Znajdują się w niej kopie pół tuzina stron zaszyfrowanego tekstu wraz z odpowiadającymi im stronicami tekstu odszyfrowanego. Proszę się nie krępować i przejrzeć je.**

**Rust wziął teczkę i otworzył. Pomiął tekst szyfrowany, zresztą i tak go nie rozumiał. Wystarczyło, że przeczytał na każdej stronicy parę akapitów tekstu otwartego, by zrozumieć, że jest autentyczny. Zamknął teczkę i położył ją na stole.**

**–Ile chcesz?**

**–Podoba mi się człowiek, który przechodzi wprost do rzeczy. Pięćdziesiąt milionów dolarów.**

**–Co? – zachnął się zdumiony Rust.**

**–Za każdą – dodał pośpiesznie Zlotin. – Pięćdziesiąt za tekst szyfrowy i pięćdziesiąt za odszyfrowany. Razem sto milionów dolarów do zapłacenia w surowych diamentach. UNACO ma trzy dni na zastosowanie się do tego żądania. Skontaktuję się z pułkownikiem Philpottem punkt o czwartej po południu trzydziestego grudnia, oczywiście zakładając, że UNACO zgadza się na warunki. Umowa zostanie anulowana, jeśli nie przyjmiecie moich warunków lub okażecie się takimi głupcami, by próbować przechwycić kuriera w momencie odbierania diamentów. W takiej sytuacji zwrócę się do innego klienta.**

**–Czy ty faktycznie uważasz, że UNACO ma sto milionów dolarów, które może przeznaczyć na odzyskanie dokumentów? – spytał Rust, jeszcze oszołomiony wymienioną kwotą.**

**–Nie, ale czterdziestu siedmiu sygnatariuszy pierwotnej Karty UNACO może łatwo zgromadzić takie pieniądze.**

**–A skąd ta pewność, że zgodzą się na tak oburzające żądanie?**

**–Prawdę mówiąc, nie miałem okazji, by przeczytać wszystkie ważne rozdziały po rozszyfrowaniu tekstu. Zwróciłem jednak uwagę na szczegółowe sprawozdanie UNACO na temat, powiedzmy uchybień, których dopuścili się niektórzy członkowie Organizacji Narodów Zjednoczonych w ciągu dziesięciu ubiegłych lat. To fascynująca lektura i wiesz równie dobrze jak ja, że te rewelacje wystarczyłyby do obalenia wielu rządów na świecie, gdyby dostały się do wiadomości publicznej. Ten fakt powinien być dostateczną zachętą do zapłacenia żądanej kwoty.**

**–Jeśli jednak nie zgodzimy się na okup? – zainteresował się Rust. – Pozostaje czarny rynek?**

**–Zapewne uzyskałbym tyle samo na czarnym rynku, gdybym podzielił zawartość teczek na działły i rozprzedał je w tej postaci.**

**–Czemu więc oferujesz tecki nam, zamiast handlować nimi na czarnym rynku? – zapytał podejrzliwie Rust.**

**–Z prozaicznego powodu. Chodzi o czas. Z was mogę ściągnąć okup szybko, natomiast czarny rynek wiąże się z transakcjami, których sfinalizowanie może potrwać długo. Ale nie zrozum mnie źle, z pewnością nie będę miał wyrzutów sumienia, jeśli UNACO nie zastosuje się do moich żądań.**

**–Co do tego nie mam wątpliwości – odrzekł ze złością Rust. – Interesuje mnie inna sprawa. Załóżmy, że wypełnimy twoje polecenia. Jakie otrzymamy gwarancje, że nas nie oszukasz, gdy tylko zgarniesz okup? Ostatecznie już zrobiłeś sobie jedną kopię odszyfrowanego materiału, więc co cię może powstrzymać przed zrobieniem następnych i nielegalną sprzedażą.**

**–Nie ma mowy o jakichkolwiek gwarancjach – odparł Zlotin, wsuwając teczkę z powrotem do dyplomacji. – Poza tym w tej sprawie nie macie wyboru, prawda?**

**–Powiedz mi, Zlotin, co robi taki fanatyczny komunista, jak ty, ze stu milionami dolarów?**

**–To już mój interes, który nie obchodzi ani ciebie, ani nikogo innego z waszej organizacji. Przekaż moje żądania Philpottowi. Jak powiedziałem, skontaktuję się z nim za trzy dni, by usłyszeć odpowiedź. Jestem pewien... – Zlotin przerwał zdanie w połowie, gdy rozległ się ostry pisk urządzenia, które miał przyłączone do paska, połączonego z czujnikiem na podczerwień, przyłączonym do boku samochodu. Ktoś właśnie przeciął promień...**

**–Co to takiego? – spytał Rust, gdy Zlotin szybko wyłączył radionadajnik.**

**Zlotin nie odpowiedział, lecz pobiegł do drzwi na patio. Otworzywszy je, wyszedł i ostrożnie wyjrzał na dziedziniec. Trzech mężczyzn, ubranych w czarne kominiarki i uzbrojonych w karabinki, kierowało się w stronę domu. Gdy Zlotin wykręcił się na pięcie, stając twarzą do Rusta, już miał w ręce pistolet Makarowa.**

**–Co się dzieje? – zawołał Rust, nie odrywając spojrzenia od pistoletu.**

**–Ostrzegłem Philpotta, co się stanie, gdy będzie próbował mnie oszukać – warknął Zlotin, celując z pistoletu do Rusta. – Ostrzegłem go.**

Rust sięgnął po berettę, którą miał przywiązaną do wewnętrznej strony wózka, gdy Zlotin dwukrotnie wystrzelił. Impet pocisków odrzucił Rusta na oparcie wózka, a potem ciało powoli osunęło się naprzód i zważyło na dywan.

Zlotin pędem rzucił się do drzwi na korytarz, zamknął je na klucz, po czym wyjął z dyplomatki dwa granaty dymne. Wyciągnąwszy zawlecarki, cisnął granaty w dwie różne strony pokoju, po czym wypadł na patio. Usłyszał podniecony głos Grahama, dobiegający z korytarza, i gwałtowne łomotanie w drzwi. Po chwili pomieszczenie wypełniła falująca chmura czarnego dymu. Zlotin zamknął za sobą drzwi na patio. Szybko rozejrzał się, podbiegł do stojącego na tarasie stołu i dał podeń nura, niewidoczny z leżącego niżej dziedzińca. Przez radio wywołał Rodenkę.

–Ile czasu potrzeba ci, byś dotarł tutaj? – syknął Zlotin, rzucając bez przerwy wzrokiem wokoło.

–Dwie, najwyżej trzy minuty.

–Jestem zablokowany na patio – warknął Zlotin. – Nie zdołam utrzymać się tu długo.

–Już jestem w drodze – odparł Rodenko i przerwał połączenie.

Zlotin przyczepił radio do paska, trzymając pistolet wycelowany w drzwi. Trochę go pocieszyło, że były kuloodporne, gdyż mógł się czuć bezpieczny dopóty, dopóki pozostawał w zamknięciu. A gdyby Graham lub Carver przedostali się do niego przez gęsty, czarny dym, byłby w stanie ujrzeć ich w tej samej chwili, w której pojawiliby się na tarasie. Wiedział też, że istnieje możliwość, iż zamaskowani ludzie zaatakują patio z poziomu dziedzińca, ale z tym zdoła sobie poradzić. Bał się jedynie tego, że nie uda mu się odeprzeć przedłużonego ataku z wnętrza domu, szczególnie natarcia z użyciem broni automatycznej lub półautomatycznej. Otarł twarz z potu i popatrzył na zegarek. Gdzie jest Rodenko? Co go zatrzymuje?

I wtedy usłyszał dźwięk roztrzaskiwanego drewna, dochodzący z wnętrza salonu. Wyłamywano drzwi. Oblizawszy wyschnięte wargi, ujął oburącz pistolet, czekając aż otworzą się drzwi na patio. Nagle nad jego głową przeleciała seria z broni automatycznej. Wystrzelono ją z dziedzińca. Czy doprawdy mogli go widzieć z dołu? Następną serią przeleciała przez patio, pocisk zrykoszetował o poręcz i wbił się w wiklinowy fotel obok niego. Znów sprawdził czas. Od chwili gdy połączył się przez radio z Rodenką, upłynęły dwie minuty. Gdzież on był?

Salwa pocisków nagle przecięła drewnianą podłogę i Zlotin musiał odskoczyć, by uniknąć trafienia. Ktoś strzelał spod balkonu, on zaś wiedział, że nie może w żaden sposób odpowiedzieć na ogień, nie wystawiając się na widok. Przetarł przedramieniem zalaną potem twarz. Jego wzrok miotał się od drzwi do dziur w podłodze, rozłupywanych pociskami. Zacisnąwszy szczęki, przygotowywał się na

**następną salwę...**

**Wtedy, jak jakiś podstępny, drapieżny ptak, nagle zza dębowego gaju na pokrytym zielenią zboczu pagórka, tuż przed frontem domu, wynurzył się helikopter Westland Scout. Z jego wzmocnionego podwozia rozpoczęło ogień działko automatyczne, kosząc morderczą serią cały dziedziniec. Zlotin usłyszał dolatujący spod balkonu pojedynczy krzyk, a potem działko umilkło. Helikopter manewrował zręcznie; teraz unosił się bezpośrednio nad krytym patio, a z drzwi po stronie pasażera zrzucano drabinkę sznurową.**

**Drabinka otarła się o poręcz, Zlotin rzucił się, by ją chwycić, ale poryw wiatru odsunął ją od wyciągniętych rąk. Począł, aż wahnienie się znów w jego stronę, i kiedy miał zawiesić ramię na szczeblu, nagle drzwi patio się otworzyły i dym zaczął unosić się ku ciemnemu, zasłanemu chmurami niebu. Wykręciwszy się na pięcie, Zlotin wystrzelił serię w stronę drzwi, a potem znów rzucił się ku drabinie. Tym razem ją pochwycił, a wolną ręką zaczął dziko gestykulować pod adresem Rodenki, by uniósł go z patio. Helikopter wznosił się wolno. Nagle Graham przebił się przez dym i skoczył w stronę drabinki. Zdołał chwycić Zlotina oburącz za nogę. Zlotin kopnął, trafiając Grahama w brzuch, ale nie potrafił uwolnić się z uchwytu. Klnąc wściekle, uderzył pistoletem. Cios ześlizgnął się po boku twarzy Grahama, ogłuszając go. Zlotin kopnął ponownie, z dziką siłą uderzając stopą w bark Grahama. Ten stracił równowagę i ciężko upadł na patio.**

**Helikopter wszedł już w ciasny wiraż, odlatując od domu, gdy Sabrina szczupakiem wypadła na balkon i szybko uniosła się na jedno kolano, celując z beretty w Zlotina, który ciągle niepewnie zwisał z powoli wciąganej drabinki sznurowej. Na tę odległość mogła go położyć, ale potrzebny im był żywy, przynajmniej do czasu odzyskania teczek.**

**Wsadziła berettę do kabury i podeszła do Grahama, który z trudem próbował podnieść się na nogi. Skrzywiła się na widok głębokiego cięcia pod lewym okiem, wymierzonego pistoletem. Krew spływała strumieniem po twarzy Grahama aż na koszulkę.**

**–Czy znalazłaś Jacquesa? – spytał z niepokojem, ścierając wierzchem dłoni krew z twarzy.**

**–Nie, w środku dym jest ciągle zbyt gęsty – odrzekła, pomagając mu wstać.**

**Strząsnął ze złością jej dłoń ze swego ramienia.**

**–Jeśli jeszcze go nie znalazłaś, to co, u diabła, tu robisz?**

**–Powiedziałeś, że bierzesz się za Zlotina, więc wyszłam za tobą na wypadek, gdybyś potrzebował pomocy – padła riposta.**

**–Wyraźnie kazałem ci zostać w środku i poszukać Jacquesa. Czemu nigdy, choć raz w życiu, nie możesz zrobić tego, co ci polecono? – złościł się Graham, a potem precyzyjnie przycisnął się obok niej i zniknął w zasnutym dymem salonie.**

**Stłumiła wściekłość i pośpieszyła za nim. Oboje wołali Rusta, ale nie było odpowiedzi. Dym już zaczął się rozpraszać, gdy Graham potknął się o fotel Rusta. Myśląc o najgorszym, opadł na kolana i zaczął metodycznie obmacywać dywan dookoła. Nagle palcami dotknął czegoś. Był to pantofel. Macając dalej, sunął dłonią po nieruchomym cieple i odruchowo cofnął ją, gdy dotknęła przesiąkniętej krwią koszuli.**

**–Sabrina? – zawołał. – Znalazłem Jacquesa. Paskudnie krwawi. Wyniosę go na patio. Stąd ledwie widzę drzwi.**

**–Spotkamy się tam! – odkrzyknęła przez dym.**

**Graham łagodnie wsunął ręce pod Rusta, a potem z wysiłkiem wstał i ostrożnie poniósł go przez pokój na taras. Zorientował się, że Rust nie żyje, zanim jeszcze zaczął sprawdzać mu puls. Zdjąwszy swą kurtkę do baseballu, przykrył nią twarz Rusta, a potem wolno obejrzał się na Sabrinę, która pojawiła się w drzwiach za jego plecami. Spojrzała na ciało szeroko otwartymi oczami, po czym podeszła do poręczy i, mocno objąwszy się rękami, patrzyła w dal, na morze. Z kącika jej oka spłynęła łza, ale Sabrina szybko ją otarła końcami palców.**

**–Z tobą OK? – Graham położył dłoń na jej ramieniu.**

**–Oczywiście – odparła głuchym głosem.**

**–Wiem... – nagle przerwał, wyciągnął berettę z kabury pod pachą i padł na ziemię, pociągając ze sobą Sabrinę.**

**–Co się stało? – spytała zaniepokojona.**

**–Zdaje mi się, że widziałem tam jakiś ruch – wskazał zarośla za dziedzińcem.**

**Sabrina wyciągnęła berettę i wyteżyła wzrok, patrząc w kierunku, który Graham wskazywał palcem. Dokładnie przyjrzała się zaroślom, a potem potrząsnęła głową.**

**–Nic nie widzę. Pewien jesteś, że coś dostrzegłeś?**

**–Oczywiście.**

**–To mi wystarczy. Sprawdźmy tamto miejsce.**

**Wrócili do salonu, gdzie dym rozproszył się już w takim stopniu, że widzieli wyjście**



po drugiej stronie pokoju. Wsuwali się do holu z plecami przyciśniętymi do ściany. Ostrożnie przedostali się do drzwi wejściowych. Sabrina otworzyła je szarpnięciem, a Graham wykonał obrót w miejscu, łukiem omiatając dziedziniec lufą swej beretty. Nie było nikogo. Zauważył czarno ubraną postać rozciągniętą u stóp schodów. Obok niej leżał karabinek. Graham podszedł do ciała. Oceniał, że co najmniej tuzin pocisków trafiło w plecy. Szybko pomacał puls. Nic.

Sabrina wypadła zza drzwi i zygzakami przebiegła w bezpieczne miejsce za fontanną na środku dziedzińca. Wtedy ujrzała skrwawione ciało drugiego człowieka, też ubranego na czarno, przywarte do porytej pociskami ściany tuż pod patio. Graham, pochylony, podbiegł do niej i popatrzył na drugie ciało.

–Co to za jedni?

–Sądząc z ich uzbrojenia, powiedziałbym, że to ludzie z brygady – odparł Graham.

–To nie ma sensu. Dlaczego mieliby być tutaj?

–Mam nadzieję, że dowiemy się tego – rzekł Graham, pokazując palcem zarośla. – Jeśli jest tam jeszcze jeden z nich, może być żywy.

–Idź pierwszy, wiesz, gdzie coś ci mignęło – powiedziała.

Graham wyskoczył zza fontanny i pobiegł sprintem do dębu na skraju dziedzińca. Trzymając berettę oburącz, zakręcił się w miejscu, omiatając lufą zarośla. Znajdujący się tam człowiek osunął się u stóp drzewa, miał strzaskaną lewą nogę, groteskowo skręconą pod sobą. Ściągnął kominiarkę i próbował nią powstrzymać upływ krwi z ziejącej w jego boku rany od kuli. Zauważył wychodzącego zza drzewa Grahama, ale nie próbował sięgnąć po broń. Graham opuścił berettę i podszedł do leżącego.

–Jesteś z sił specjalnych?

Ranny kiwnął głową, przezwyciężając ból.

–Sabrina! – zawołał przez ramię Graham, a potem przyklęknął koło mężczyzny. – Wszystko będzie OK, kumplu. Sprowadzimy tu jakąś pomoc i w mgnieniu oka będziesz w drodze do szpitala.

–Już wezwałem – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Jest w drodze. Moi dwaj koledzy...

Graham potrząsnął głową.

–Obaj nie żyją. Przykro mi. Co tu się, u diabła, stało?

–Helikopter miał działko zamontowane na podwoziu – odparł mężczyzna, zgrzytając z bólu zębami.

–Kto wam dał rozkaz, by tu przyjechać?

–Kapitan Morales.

–Sukinsyn – warknął Graham, a potem spojrzał przez ramię na Sabrinę, która pojawiła się za nim. – Słyszałaś?

Kiwnęła głową.

–A ty uważasz, że Morales jest wtyczką Zlotina?

–Ty nie? – odrzekł Graham.

–Później o tym pomówimy – odparła. – Ten facet wymaga natychmiastowej opieki lekarskiej. Wrócę do domu i zatelefonuję po pomoc.

–Jest już w drodze – zawiadomił Graham.

Sabrina okryła swą kurtką ramiona mężczyzny, a potem ostrożnie wyjęła mu z dłoni kominiarkę, a zamiast niej podała czystą chusteczkę. Wiedząc, że żadne z nich nie jest w stanie nic więcej zrobić bez fachowej pomocy lekarskiej, próbowała podnieść go na duchu. W tym momencie usłyszeli odgłos samochodu zbliżającego się drogą dojazdową do domu.

–Wygląda, że kawaleria wreszcie przybyła – stwierdził Graham, wstając z miejsca. – Ty tu zaczekaj, a ja przyprowadzę pomoc.

–Mike? – zawołała za nim Sabrina. – Zrób teraz jakieś głupstwo, a pułkownik cię ukrzyżuje.

–Hej, zamierzam tylko sprowadzić pomoc dla tego faceta – usłyszała uspokajającą odpowiedź.

–I zetrzeć się z Moralesem, jeśli jest tutaj. Nie mamy żadnych poważnych dowodów na współpracę ze Zlotinem. Musisz zacisnąć zęby do chwili, gdy poznamy wszystkie fakty.

Graham nie czekał, by wysłuchać do końca. Wyszedłszy z zarośli, udał się na dziedziniec, gdzie przed frontem domu stały zaparkowane dwa czarne mercedesy.

–Zostaw go, on nie żyje! – wrzasnął do sanitariusza, który schylił się nad człowiekiem leżącym u stóp schodów na ganek. – Tam w zaroślach jest ranny. Ma strzaskaną nogę i kulkę w żebrach. Widać wyraźnie, że bardzo cierpi.

**Sanitariusz spojrzął na mężczyznę stojącego tyłem do Grahama, obok samochodu. Ten skinął głową i sanitariusz natychmiast podniósł swą torbę i pobiegł w zarośla.**

**Mężczyzna odwrócił się twarzą do Grahama. Był to Morales.**

**–Przyjechaliśmy tu jak najszybciej. Co się stało?**

**Graham chwycił Moralesa i pchnął go na samochód.**

**–Jacques Rust nie żyje, ty sukinsynu, oto co się stało.**

**Żołnierz stojący na posterunku przy drzwiach wejściowych zbiegł ze schodów i wymierzył w Grahama.**

**–Naó - warknął Morales i nakazał opuścić broń.**

**Żołnierz popatrzył na Moralesa, potem na Grahama i powoli opuścił karabinek, by powrócić na posterunek przy drzwiach.**

**Morales wyciągnął ramiona do Grahama.**

**–Przykro mi z powodu twego kolegi, doprawdy przykro. Miałem wątpliwości co do wysyłania tu zespołu bez żadnego wsparcia, ale po prostu wykonywałem rozkazy.**

**–Kto ci kazał wysłać zespół? – zapytał Graham.**

**–Major Inacio. Gdyby to się powiodło, zapewne otrzymałby pochwałę. Ale się nie udało i teraz będzie musiał gęsto się tłumaczyć, gdy tylko ucichnie zamieszanie.**

**–Tu się nie mylisz – odparł Graham, odstępując od Moralesa.**

**Sabrina podbiegła do miejsca, gdzie stali obaj mężczyźni.**

**–Mike, mówiłam ci...**

**–Jest OK – przerwał natychmiast Graham. – Inacio kazał ich wysłać.**

**–Major Inacio? – powtórzyła zaskoczona Sabrina, spoglądając na Moralesa.**

**–Tak – padła krótka odpowiedź.**

**–Skąd wiedział, że jest tu Zlotin? – zapytała.**

**–Dom był pod obserwacją – odparł Morales.**

**–Ale sądziłam, że major Inacio zgodził się po rozmowie z pułkownikiem Philpottem w**

## **Nowym Jorku wycofać zespoły obserwacyjne?**

**–Pod warunkiem, że UNACO będzie współpracować z nami po wypadkach w magazynie wczorajszego ranka – odrzekł Morales. – Nie był przekonany, że UNACO dotrzyma warunków umowy. Jak widać, miał rację.**

**–A czego, u diabła, się spodziewałeś? – spytał ze złością Graham. – Zlotin jednoznacznie oświadczył, że umowa zostanie zerwana, jeśli wmieszają się siły specjalne. To była nasza ostatnia szansa odzyskania nienaruszonych teczek. Musieliśmy zgodzić się na jego żądanie. A teraz Inacio naprawdę spalił nam tę sprawę.**

**–Przede wszystkim gdybyście nam zaufali, można było uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Przecież Zlotin nie wiedziałby o tym, że zawiadomiliście nas o spotkaniu.**

**–Błąd w rozumowaniu – odparł Graham, odruchowo kierując spojrzenie na Sabrinę w nadziei, że się wtrąci, nim on zdoła więcej powiedzieć. Milczała jednak.**

**–Jak mógłby się dowiedzieć? – zaatakował Morales.**

**–Myślę, że Inacio był człowiekiem Zlotina – oświadczył Graham. – Wiem, że nie mam na to dowodów, które uznałby sąd, ale odpowiedz mi na jedno pytanie: w jaki sposób Zlotin dowiedział się o tym domu?**

**–Ja... tylko zakładałem, że to wyście mu powiedzieli? – odrzekł z wahaniem Morales, z odrobiną niepewności w głosie.**

**–To on zaproponował, abyśmy się spotkali tutaj, gdy skontaktował się z pułkownikiem w Nowym Jorku – wyjaśniła mu Sabrina.**

**–No dobrze, założmy więc chwilowo, że major Inacio pracuje dla Zlotina – próbował zrozumieć Morales. – Czemu Zlotin miałby proponować spotkanie z wami tutaj, wiedząc, że to z pewnością będzie świadczyło o istnieniu współpracownika w brygadzie sił specjalnych? To bez sensu.**

**–A ja uważam, że to ma sens – niezwłocznie odparł Graham. – Powiedziałem, że Inacio był wtyczką Zlotina w brygadzie sił specjalnych. To już czas przeszły. Z tego, co Zlotin oświadczył dziś po południu, wynika w sposób oczywisty, że obecnie działa jako wolny strzelec. Dał nam już dość informacji, by skazać Jannoca na dożywocie. Więc już nie potrzebuje Jannoca i nie będą mu potrzebni żadni dawni poplecznicy, prawda? Proponując spotkanie tutaj, dał do zrozumienia, że o bezpiecznym domu dowiedział się od kogoś z waszej brygady. Z jakiego powodu domagałby się, abyśmy wykluczyli z tej sprawy siły specjalne? Wiedział, że jeśli jego człowiek dowie się, że został oszukany, to może wysłać tu oddział, by wyrównać rachunki.**

**–Przypuszczam, że ci trzej prowadzili obserwację już wówczas, gdy Zlotin przybył do domu – rzekła Sabrina, wskazując martwego żołnierza u stóp schodów.**

**Morales kiwnął głową.**

**–Natychmiast rozpoznali Zlotina na podstawie fotografii, którą mamy w kartotece. I wtedy zawiadomili przez radio kwaterę główną.**

**–Czy Inacio był tam wówczas?**

**–Nie, ja byłem oficerem dyżurnym. Z miejsca skontaktowałem się z majorem i wtedy on wydał mi rozkaz wejścia na teren domu.**

**–Oczywiście nie mógł ryzykować czekania – stwierdził Graham. – Jak dokładnie brzmiały jego rozkazy?**

**Morales utkwiał wzrok w ziemi, ciągle jeszcze borykając się z tym, co już uznał za ostateczny dowód powiązania Inacia ze Zlotinem.**

**–Jak brzmiały jego rozkazy, kapitanie Morales? – powtórzył Graham.**

**–Strzelajcie, by zabić – odrzekł Morales ledwie dosłyszalnym głosem.**

**–I z tego powodu trzech ludzi już nie żyje – dodał gorzko Graham.**

**–Co chcesz, bym zrobił? – spytał Morales.**

**–Nic. To już nie należy do nas – stwierdził Graham. – Muszę skontaktować się z pułkownikiem Philpottem w Nowym Jorku i powiadomić go o śmierci Jacquesa. On załatwi, co trzeba, z tutejszymi władzami, by rozpocząć dochodzenie co do Inacia. Ale czy będą w stanie postawić mu jakiegokolwiek zarzuty nie do odparcia, to nader wątpliwe.**

**–A wy nie zrobiliście postępów w staraniach o odzyskanie teczek UNACO – powiedział Morales, patrząc na dwóch żołnierzy, wynurzających się z zarośli. Nieśli na noszach kolegę, któremu zaaplikowano środek nasenny.**

**–Dziś zrobiliśmy więcej niż kiedykolwiek – odparł Graham. – Zlotin nie popełni dwukrotnie tego samego błędu, tego możesz być pewien.**

**–Doskonale sobie poradziłeś – powiedział Zlotin, wchodząc do celi Rodenki.**

**–Za to mi płacisz – odparł Rodenko siedząc na łóżku i czyszcząc swój pistolet.**

**–Odpowiedź najemnika – prychnął pogardliwie Zlotin.**

–Drwij sobie, ile chcesz, ale to nie moje plany pokiełbały się po wydarzeniach dzisiejszego popołudnia – zauważył Rodenko, nie odrywając wzroku od sprężyny powrotnej, którą właśnie czyścił.

–To chwilowe niepowodzenie i nic więcej.

–No to co teraz zrobisz?

–Już skontaktowałem się z moimi przełożonymi w kraju – oświadczył Zlotin. – Zgodzili się, że powinienem działać w dalszym ciągu i zająć się czarnym rynkiem. Prawda, że teraz zgromadzenie kapitału niezbędnego do sfinansowania puczu zajmie o wiele więcej czasu, ale z tym musimy się pogodzić.

–A dlaczego nie podwyższysz ceny i nie złożysz ponownej oferty UNACO? Myślę, że za drugim razem będą skłonniejsi do negocjacji.

–Rozmowy z UNACO są zamknięte – padła lakoniczna odpowiedź.

–To była tylko propozycja, nic więcej.

–Otrzymałem nowe rozkazy. Mam spotkać się z moim szwagrem w Oranie w Algierii. Będzie moim nowym partnerem.

–Chcesz przez to powiedzieć, że nie jestem ci potrzebny? – zainteresował się Rodenko.

–Od pojutra już nie. Wynajęto dla mnie cessnę w firmie w Porto i załatwiono wymagane zezwolenie na lot do Algierii. Od ciebie oczekuję tylko, że rano odwieziesz mnie helikopterem na kontynent. Od tej chwili będziesz wolny.

–O jakiej porze stąd odlatujemy?

–Z pierwszym świtem – odrzekł Zlotin, kierując się ku drzwiom.

–Będę gotów – zawołał za nim Rodenko, a potem powrócił do czyszczenia pistoletu.

Graham nie wiedział, jak długo stał na balkonie, pogrążony w zadumie, gdy wyrwało go z niej głośnie pukanie. Podeszedł do drzwi i zerknął przez judasza, całkowicie pewny, że ujrzy w korytarzu Sabrinę. Tymczasem był to Kolczyński. Graham otworzył mu drzwi, nie zdolawszy opanować wyrazu zaskoczenia.

–Siergieju, co ty tu robisz? Doktor powiedział, że nie zostaniesz wypisany ze szpitala wcześniej niż w połowie przyszłego tygodnia.

–Wypisałem się godzinę temu – oświadczył Kolczyński. – Doktor nie okazał zadowolenia, ale będę się czuł doskonale, jeśli nie dopuszczę do przemęczenia.

**–Jesteś bardzo błądy. Dobrze się czujesz?**

**–Poczuje się dobrze, gdy wreszcie zdecydujesz się zaprosić mnie do środka.**

**Graham odsunął się, by wpuścić Kolczyńskiego do pokoju.**

**–Napijesz się kawy?**

**–Tak, proszę – odrzekł Kolczyński, zacierając ręce. – Czemu w taką noc zostawiasz drzwi balkonu otwarte? Zimno tu jak na Syberii.**

**–Gdy zapukałeś, byłem na balkonie. Uczciwie mówiąc, nie zauważyłem nawet zimna, póki o tym nie powiedziałaś. Wydaje mi się, że mój umysł ciągle zajęty jest czym innym.**

**Graham zamknął przesuwne drzwi, a potem odwrócił się, by spojrzeć na Kolczyńskiego.**

**–Przypuszczam, że słyszałeś o Jacquesie?**

**–A jak myślisz, czemu tu jestem? Pułkownik poinformował mnie o wszystkim przez telefon dzisiejszego wieczoru – powiedział Kolczyński, rozsiadając się w fotelu. – Jak Sabrina zniosła śmierć Jacquesa?**

**–Po opuszczeniu bezpiecznego domu stała się bardzo milcząca. Nie wydaje mi się, by powiedziała choć słowo w samochodzie, gdyśmy tu jechali, a gdy wprowadziliśmy się, zawiadomiła, że zamierza wziąć długą kąpiel. To było ponad godzinę temu.**

**–Oczywiste jest, że chce przez pewien czas zostać sama – skomentował Kolczyński.**

**–Taa, ja też tak to odbieram – odparł Graham, podając Kolczyńskiemu filiżankę kawy.**

**–To zrozumiałe. Ostatecznie był kiedyś jej partnerem.**

**–Łączyło ich coś więcej. Zawsze traktowała Jacquesa jak starszego brata, którego nigdy nie miała. Pamiętasz, jak ona i ja zawsze rzucaliśmy się sobie do gardła, gdy tylko wstąpiłem do UNACO?**

**–Bardzo dokładnie – odparł Kolczyński, spoglądając na Grahama nad brzegiem filiżanki.**

**–Czy wiesz, że niekiedy telefonowała do Jacquesa do Zurychu, by z nim o tym pomówić?**

**–Nie, tego nie wiedziałem – zaciekał się Kolczyński.**

**–Na samym początku. Wydarzyło się to tylko trzy czy cztery razy, póki nie doszliśmy do porozumienia. Ale pamiętam, że w owym czasie byłem na to nieźle wkurzony. Jeśli miała jakiś problem, czemu nie zwracała się do C.W.? On był szefem naszego zespołu, a nie Jacques.**

**–Zawsze dziwiłem się, czemu nie lubiłeś Jacquesa – stwierdził Kolczyński.**

**–Nigdy nie było tak, bym żywił urazę do Jacquesa – bronił się Graham. – Miałem dla niego najwyższy szacunek. Zawsze był prawdziwym zawodowcem. Jednym z najlepszych w tej grze i wiesz o tym równie dobrze jak ja.**

**–Wiem, że szanowałeś go na płaszczyźnie profesjonalnej, ale nigdy nie czułeś się z nim swobodnie na gruncie towarzyskim, zgadza się?**

**–Na gruncie towarzyskim nie czuję się swobodnie z większością ludzi – odparł Graham, przeczesując włosy palcami. – Jezu, to był tylko niewinny komentarz, a ty nagle pakujesz w to jakiś tam freudyzm.**

**–OK, temat zamknięty – podsumował Kolczyński, a potem wskazał na telefon. – Poproś Sabrinę. Mam coś do przedyskutowania z wami.**

**Graham zatelefonował, a Sabrina obiecała, że zaraz się zjawi. Po chwili Graham wprowadził ją do pokoju.**

**–Jak się czujesz, Siergieju?**

**–Jeszcze trochę słabo, ale wszystko będzie dobrze – zapewnił ją Kolczyński.**

**–Myślałam, że pułkownik przyleci, by osobiście kierować operacją – zainteresowała się. – To właśnie dawał do zrozumienia, gdy Mike rozmawiał z nim dzisiaj.**

**–Taki miał zamiar. Ponieważ siedem zespołów też wykonuje w tej chwili zadania, nie mógł natychmiast opuścić Centrum Dowodzenia. Dlatego zapytał mnie, czy czuję się na siłach pokierować operacją.**

**–W interesie UNACO czy dla KGB? – wypalił Graham.**

**Kolczyński ostro spojrzał na niego. Niepewnie zmrużył oczy.**

**–Co KGB ma z tym wspólnego?**

**–Przejmujesz tę firmę jako nowy dyrektor na początku przyszłego roku, prawda? – odrzekł Graham. – Czy też powinienem posłużyć się jej nową nazwą: Wywiad Rosyjski?**



**–Jak się o tym dowiedziałeś? – spytał Kolczynski.**

**–Jacques nam powiedział – odparła Sabrina.**

**–Tak, to prawda – przyznał wreszcie Kolczynski. – Przyjąłem funkcję dyrektora nowego Wywiadu Rosyjskiego, ale wciąż jestem zastępcą dyrektora UNACO i będę wykonywał moje obowiązki najlepiej jak umiem. Mam nadzieję, że to wyjaśnia sytuację, ale jeśli któreś z was powątpiewa w moją lojalność, to nadszedł czas, by o tym powiedzieć. A gdyby tak było, wówczas raczej zrzeknę się funkcji, niż narażę tę operację. Nie możemy sobie pozwolić na pracę w atmosferze podejrzeń i niepewności, gdy stawka jest tak wysoka.**

**–Siergieju, nie wątpię w twoją lojalność wobec UNACO – pośpiesznie zapewniła go Sabrina.**

**–Michaelu? – spytał Kolczynski, patrząc na Grahama.**

**–Tracimy czas – rzekł Graham, siadając na łóżku obok Sabriny. – Zacznijmy odprawę.**

**–Trudno to będzie nazwać odprawą – stwierdził Kolczynski, sięgając po aktówkę stojącą na podłodze obok niego. – Prawdę mówiąc, jest tylko jedna informacja, którą mam wam przekazać. Michaelu, wydaje się, że twoje przeczucie związane z Inaciem ostatecznie okazało się słuszne.**

**–Czy został aresztowany? – szybko spytał Graham.**

**–Zniknął – brzmiała odpowiedź.**

**–Co znaczy „zniknął”?**

**–Dokładnie to, co powiedziałem, Sabrino – odparł Kolczynski, wyciągając arkusz papieru z kartonowej teczki. – Jego żona potwierdziła, że wyszedł z domu mniej więcej w tym czasie, gdy przekazano kapitanowi Moralesowi przez telefon rozkaz zamordowania Zlotina. Powiedziała, że miał ze sobą torbę podróżną, lecz nie wie, co zawierała. I wtedy widziano go po raz ostatni.**

**–Czy powiedział żonie, dokąd idzie?**

**–Nie, ale ona była przyzwyczajona do tego, że Inacio wychodził, nic nie mówiąc. To należało do jego pracy. Jest poszukiwany na mocy specjalnego rozkazu, do tej pory jednak władze niczego nie uzyskały.**

**–Ile czasu upłynęło od chwili, gdy opuścił dom, do wydania specjalnego rozkazu? – zainteresowała się Sabrina.**

**–Parę godzin.**

**–Wiec, teoretycznie rzecz biorąc, mógł już nawet dać dyla z kraju – skomentowała.**

**–Teoretycznie tak – przyznał niechętnie Kolczynski.**

**–Może już być martwy – podsunął Graham. – Istnieje możliwość, że popełnił samobójstwo. Musiał zorientować się, że trop w końcu doprowadzi do niego. Więc co będzie, jeśli się okaże, że dokonując ostatniego aktu zemsty, próbował wyrównać rachunki i kazał zabić Zlotina, nim odebrał sobie życie?**

**–Jest taka możliwość, zgoda, i zwrócili na nią uwagę także niektórzy jego koledzy. Ale póki nie zostanie znalezione ciało, muszę zakładać, że jest jeszcze żywy.**

**Kolczynski dopił kawę, zamknął teczkę i wsunął ją do aktówki.**

**–Cóż, jeśli mi wybaczyacie, muszę jeszcze przeczytać wszystkie meldunki, które Jacques napisał w tej sprawie.**

**–Czy zamieszkałeś w hotelu? – spytał Graham.**

**–Tak. Jestem na drugim piętrze, choć muszę przyznać, że widok z niego nie jest nawet w przybliżeniu tak spektakularny, jak ten, który stąd macie na ogrody – stwierdził Kolczynski, podchodząc do przesuwanych drzwi.**

**–To taki drobny luksus, przysługujący skazańcom – rzucił w stronę odchodzącego Graham.**

**–To się jeszcze nie skończyło, Michaelu – odpowiedział Kolczynski.**

**–Nigdy bym się nie domyślił – parsknął Graham.**

**–Pułkownik już skontaktował się z szefami wszystkich największych agencji wywiadowczych, by ich ostrzec, że Zlotin może handlować teczkami na czarnym rynku. Oni ze swej strony zaalarmowali własnych agentów operacyjnych, więc jeśli jakiegokolwiek dokumenty zaczną krążyć nielegalnie, będziemy o tym wiedzieli.**

**–I co wtedy? – zainteresował się Graham.**

**–Złożymy ofertę, oczywiście przez trzecią osobę, i w ten sposób być może uda nam się ustalić, gdzie działa Zlotin, i poczynić stosowne kroki.**

**–Do tego bardzo daleko, lekko licząc – dociął pogardliwie Graham.**

**–Powiedziałem, że to się jeszcze nie skończyło, ale nie powiedziałem, że łatwo będzie odzyskać teczki. Wręcz przeciwnie, uważam, że po tym, co się wydarzyło**

dzisiejszego popołudnia w bezpiecznym domu, Zlotin będzie superostrożny. I nieważne, czy jest daleko, czy nie, on wciąż ma teczki, więc wciąż istnieje szansa na ich odzyskanie. Natomiast za wszelką cenę nie możemy dopuścić do tego, by jakikolwiek z odszyfrowanych dokumentów, nawet najbliższy, trafił do osoby trzeciej, bo wówczas może zostać użyty jako dowód na istnienie UNACO. A to z pewnością oznaczałoby likwidację organizacji, przynajmniej takiej, jaką znamy.

–Trochę na to zbyt późno, gdy „New York Sentinel” planuje własne, wielkie ujawnienie UNACO gdzieś w najbliższych dniach – zauważył Graham.

–Pułkownik ciągle jeszcze hamuje ich za pomocą historyjki, którą wymyślił dla Larry’ego. Tak długo, jak długo Ryan myśli, że może położyć rękę na podwójnej sensacji, zapewne będzie wstrzymywał publikację.

–Będzie wstrzymywał, tylko jak długo? – szybko wytknął Graham. – Facet ma już w rękach zdobycz roku. Wątpliwe, czy będzie chciał trzymać pod sukniem tego rodzaju rewelacje, prawda?

–Mogę się zgodzić, że czasu zaczyna nam brakować, ale w tej chwili każda dodatkowa godzina ma kluczowe znaczenie, jeśli mamy znaleźć coś, co sprawi, że ta opowieść nigdy nie dotrze do opinii publicznej. A wiesz równie dobrze jak ja, iż UNACO słynęła z tego, że umiała niekorzystną sytuację obrócić tak, aby posłużyła organizacji. Tego dowodzi jej nieustanne istnienie, czyż nie?

–Aż do tej chwili – stwierdził po długim namyśle Graham. – Wiem, Siergieju, że masz dobre intencje, ale gdyby istniały jakiegokolwiek brudy obciążające Ryana czy Warren, już by o nich wiedziano.

–Mam nadzieję, że się mylisz – odrzekł Kolczynski, wziął swą aktówkę i wyszedł z pokoju.

Graham zamknął za nim drzwi, a potem zwrócił się do Sabriny.

–Byłaś przez cały czas bardzo milcząca. Z tobą wszystko OK?

Kiwnęła głową.

–Myślałam, to wszystko.

–Jacques?

–Nie, właśnie myślałam o C.W. Chciałabym, aby znalazł jakiś sposób na skontaktowanie się z nami i zawiadomienie, że z nim jest wszystko dobrze. Nie mieliśmy od niego najmniejszej wiadomości od Wigilii, a po tym, co się dzisiejszego popołudnia wydarzyło w bezpiecznym domu...

**–Powiedziałem ci już, że ten facet żyje zaczarowanym życiem – odparł Graham, próbując ją pocieszyć. – Nie martw się, skontaktuje się z nami, gdy będzie mógł.**

**–Zapewne masz rację – szepnęła.**

**–Czy bym ci skłamał? – zapytał pół żartem, pół serio.**

**–Zdarzało się – odrzekła z uśmiechem.**

**–Taa, lecz nie tym razem. Zaufaj mi. – Graham popatrzył na zegarek. – Jest po ósmej, a ja umieram z głodu. Wiesz, od śniadania nie miałem nic w ustach. Masz ochotę na posiłek w restauracji? – Zauważył w jej spojrzeniu wahanie. – Potrafię zrozumieć, jeśli teraz chcesz zostać sama. Ty i Jacques byliście sobie bardzo bliscy.**

**–Jacques był dobrym przyjacielem – odrzekła po namyśle.**

**–Wiem – przyznał cicho Graham.**

**–Chodź – powiedziała wstając. – Nie ty jeden umierasz z głodu.**

**–Jesteś pewna, że nie chcesz chwili samotności?**

**–Już miałam czas dla siebie i dlatego czuję się znacznie lepiej. Teraz jestem gotowa wrócić do owczarni. – Zauważyła, że Graham patrzy na nią niepewnie. – Czybym ci skłamała?**

**–Zdarzało się – odmruknął i chwyciwszy z szafy marynarkę, podążył za nią na korytarz.**

*Dwudziesty ósmy grudnia*

Whitlock popatrzył na świetlny cyferblat swego zegarka. Dwadzieścia minut po północy. Czas, by wykonać swój plan ucieczki...

Ze stolika obok łóżka wziął latarkę elektryczną, podszedł do drzwi i zatrzymał się, nasłuchując jakiegokolwiek odgłosu z celi znajdującej się w głębi korytarza, gdzie przetrzymywano więźniów. Było zupełnie cicho. Wślizgnął się bezgłośnie do sąsiedniej celi, w której znajdowała się prowizoryczna kuchnia; dopiero zamknąwszy za sobą drzwi, zapalił latarkę.

Promień oświetlił przedmioty, które poprzedniego wieczoru zostawił koło cylindra z butanem: budzik, małe lustro kieszonkowe – te rzeczy, jak przypuszczał, należały poprzednio do Bergera – ogarek świecy, pudełko zapalek i dwa kawałki przewodu elektrycznego, mniej więcej równej długości, które znalazł w jednej z cel. Wcześniej już wyjął szkiełko z budzika i przygotował odcinki przewodu elektrycznego, usunąwszy kawałki izolacji z obu końców, pozostawiając zaś gołe druty.

Przyklęknął koło cylindra z gazem i zapalił świecę. Gdy płomień rozbłysnął, zgasił latarkę i odkręciwszy końcówkę z soczewką, wyjął małą szklaną żaróweczkę, w której znajdował się delikatny drucik wolframowy. Teraz miał przystąpić do najtrudniejszej czynności: zerwać bańkę żarówki, nie uszkodzając wewnętrznego drucika. Zaczął poruszać ostrożnie szkłem, ujętym między kciuk i palec wskazujący, próbując poluzować je w takim stopniu, by dało się odjąć od oprawki, ale bez naruszenia drucika. Po kilku minutach uporczywego uciskania poczuł, że szkiełko zaczyna ustępować. Zacisnąwszy zęby, delikatnie zaczął podnosić je i opuszczać, jak dziecko próbujące usunąć ząb mleczny, aż wreszcie oddzieliło się od oprawki. Wytrzeł oczy z potu, a potem, jak najostrożniej, zdjął banieczkę z drucika. Zbliżył świecę do latarki, by się upewnić, że drucik pozostał nie uszkodzony. Oderwawszy zewnętrzną gumową osłonę latarki, przymocował jeden koniec przewodu elektrycznego do obnażonego bieguna ujemnego, drugi zaś do wskazówki minutowej budzika. Następnie przymocował drugi kawałek przewodu: jednym końcem do bieguna dodatniego, drugim do wskazówki godzinowej budzika.

Z pudełka wyjął trzy zapalniczki, każdą z nich przełamał w taki sposób, by utworzyły kształt litery „L” i starannie ustawił je przed latarką, z główkami dotykającymi drucika. Następnie nastawił wskazówkę godzinową na szóstą, minutową zaś na dwadzieścia po szóstej, zdmuchnął świecę i wstał. Teraz zostało mu już tylko jedno: otworzyć zawór cylindra z gazem. Ponieważ cylinder był nowy, Whitlock ocenił, że w ciągu około pięciu minut zawarty w nim gaz wydobędzie się na pokój. Gdy dwa druty zetkną się na cyferblacie zegara, włączy się latarka, a potem rozżarzony drucik zapali

**zapalki...**

**Gdy opuszczał celę, jego wzrok już przyzwyczał się do ciemności. Rzuciwszy swą wатовaną kurtkę na podłogę koło cylindra, zamknął za sobą drzwi kuchni i cichaczem przedostał się do celi znajdującej się najbliżej drzwi bezpieczeństwa. Wyjął z kieszeni lusterko, oparł je o dół drzwi i tak manipulował, aż wreszcie był w stanie widzieć w nim cały długi, pusty korytarz. Teraz już mógł śledzić każdy ruch Rosjan, sam pozostając niewidoczny; w chwili gdy znikną w celi, by zbadać szkody, zdoła się przemknąć do holu inspekcyjnego.**

**Zdawał sobie sprawę, że jego plan wystawiony jest na liczne niepomyślne zbiegi okoliczności, jeśli Rosjanie nie zastosują się do jego starannie opracowanego scenariusza. Co będzie, jeśli Zlotin zostawi strażnika przy drzwiach bezpieczeństwa? Jeśli zamkną za sobą owe drzwi? Jeśli jeden z nich pozostanie na korytarzu? A jednak mimo tych zastrzeżeń wierzył nieugięcie, że zrobił co mógł, dysponując tak ograniczonymi środkami.**

**Wiedział, że jeśli Rosjanie go złapią, to go zabiją. Ale był też pewien, że tak czy owak zamierzają zabić jego i zakładników jeszcze dzisiaj, zanim opuszczą wyspę. W ten sposób istniało jednak prawdopodobieństwo powodzenia. Nie miał nic do stracenia, już nic...**

**Siła eksplozji zatrzęsa całym więzieniem. Zlotin, który spał w swej celi, wyszarpnął pistolet z kabury leżącej na stole obok łóżka i pobiegł do pokoju operacyjnego.**

**–Co się dzieje? – zapytał zdumionego Rodenkę, który z niepokojem wpatrywał się w ekran radaru.**

**–Mogła to być rakietą dalekiego zasięgu – powiedział Rodenko. – Tu nic się nie pokazało. Ten, kto do nas strzela, w oczywisty sposób musi znajdować się poza zasięgiem radaru.**

**–Nie sądzę, by to była rakietą. Władze nie zdecydują się na ostrzelanie więzienia, nie wiedząc gdzie dokładnie znajdują się zakładnicy.**

**Zlotin otworzył arsenał i wyjął z niego dwie pary okularów noktowizyjnych i dwa karabinki samoczynne AK-47. Wręczył parę okularów i jeden karabinek Rodence, a potem podszedł do drzwi.**

**–Jazda, ruszajmy.**

**Rodenko włożył okulary, a potem pobiegł za Zlotinem, kierującym się prosto do skrzydła, gdzie przetrzymywano zakładników. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi bezpieczeństwa. Zlotin dał znak Rodence, by ten uruchomił je swoją kartą magnetyczną.**

**W chwili gdy się rozsunęły, Zlotin wykonał obrót, omiatając lufą AK-47 korytarz. Natychmiast zauważył wygięte drzwi celi w drugim końcu korytarza.**

**–Royce! – ryknął.**

**Nie otrzymawszy odpowiedzi, zignorował roznamiętnione wrzaski i głośne walenie w drzwi, dobiegające z celi zakładników, i pobiegł prosto do pomieszczenia Whitlocka. Było puste. Przekroczywszy zniszczone drzwi, zajrzał ostrożnie do sąsiedniej celi, gdzie znajdowała się dotychczas kuchnia. Część ściany naprzeciw drzwi została wydmuchnięta na zewnątrz siłą wybuchu. Podszedłszy ostrożnie do ziejącej dziury, ujrzał i usłyszał fale rozbijające się o podnóże skały poniżej.**

**Część ściany, obluzowanej przez eksplozję, nagle zapadła się i poleciała w ciemność. Zlotin szybko odsunął się, zaczepiając obcasem o jakiś leżący na podłodze przedmiot. Były to skręcone szczątki cylindra na gaz.**

**–Gdyby to była rakietka, ściana implodowałaby, a nie eksplodowała, prawda? – powiedział Zlotin, gdy w drzwiach ukazał się Rodenko.**

**–Więc co to było? – spytał Rodenko, wyglądając przez wybitą dziurę na leżące w dole morze.**

**–Wynoś się stamtąd! – syknął ze złością Zlotin. – Ściana jest niepewna. Może zwalić się w każdej chwili.**

**Rodenko podszedł do Zlotina, schylnego nad cylindrem od gazu.**

**–Co tam masz?**

**–Przyczynę wybuchu. Przeciek gazu.**

**–To Royce zginął – rzekł Rodenko, podnosząc z podłogi strzęp materiału; wszystko co zostało z kurtki pozostawionej przez Whitlocka w celi. – Możliwe, że przez omyłkę zostawił otwarty zawór cylindra. Może poczuł ze swej celi zapach gazu, a gdy wszedł, by zbadać, co się dzieje, wzniecił iskrę, która spowodowała eksplozję. Iskrę mogło wywołać otwarcie drzwi. Nie miał najmniejszej szansy.**

**–Jeśli w ten sposób powstała iskra, powinien być zostać wyrzucony na zewnątrz, prawda? – sprzeciwił się Zlotin, wybiegając na korytarz. Był pusty. Obejrzał się na Rodenkę. – Więc gdzie jest ciało?**

**–To tylko teoretyczne rozważania – przypomniał Rodenko. – Być może już znajdował się w środku, gdy gaz wybuchł. Siła eksplozji mogła go wyrzucić do morza. Cokolwiek się zdarzyło, nie mógł tego przeżyć.**

**–Chyba że urządził tu przedstawienie, by wyglądało na to, że został zabity – odparł Zlotin.**

**–Po co miałyby to robić? – zdziwił się Rodenko. – Przecież mieliśmy mu zapłacić resztę należnych pieniędzy, nim lano odlecimy. Nie mógł wiedzieć, że zamierzamy zabić...**

**–Oczywiście, pokój operacyjny – przerwał ostro Zlotin, strzeliwszy palcami. – To musi być to.**

**–To musi być co? – spytał Rodenko, ale Zlotin już mknął do drzwi bezpieczeństwa.**

**Rodenko ruszył za oddalającym się Zlotinem. Zamknął drzwi i przebiegł przez hol inspekcyjny do miejsca, gdzie Zlotin już zajął pozycję przed wejściem do oświetlonego skrzydła, w którym znajdował się pokój operacyjny.**

**–Co się dzieje, Nikołaju?**

**–Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia – rzucił Zlotin, podciągając na czoło okulary noktowizyjne. – Jeśli jest tutaj w środku, chcę go wziąć żywcem. Zrozumiano, Wiktorze? Żywcem.**

**Rodenko tylko kiwnął głową.**

**Zlotin pierwszy podążył do pokoju operacyjnego. Rodenko szedł tuż za nim, osłaniając go z tyłu. Dotarłszy do ściany przyległej do pokoju operacyjnego, Zlotin wykonał obrót, trzymając oburącz przygotowany do strzału AK-47. Cella była pusta.**

**–Sprawdź resztę skrzydła, może ukrywać się tam w jednej z cel – polecił, gdy za jego plecami pojawił się Rodenko.**

**Posłużwszy się ponownie kartą, Rodenko zamknął drzwi bezpieczeństwa, nim dokładnie przeszukał wszystkie pomieszczenia. Nie znalazł nikogo. Gdy powrócił, pokój operacyjny był pusty.**

**–Nikołaju? – zawołał. Żadnej odpowiedzi. – Nikołaju? – powtórzył z nagłym niepokojem w głosie.**

**Zlotin wynurzył się ze swej celi, na jego twarzy malowała się wściekłość.**

**–Moja karta magnetyczna zniknęła. Leżała na stole, obok łóżka. Domyślam się, że zabrał ją, by dostać się na lądowisko helikopterów. Na pewno chce uszkodzić maszynę i w ten sposób zatrzymać nas na wyspie.**

**–Helikopter jest zamknięty. – Rodenko wyjął z kieszeni miniaturowy nadajnik. – To**



**uruchamia zamek.**

**–Musimy sprawdzić.**

**Rodenko zamknął za sobą drzwi bezpieczeństwa, a potem chwycił Zlotina za rękę.**

**–Nikołaju, nie wiem, co się tu dzieje, ale gdy tylko znajdziemy Royce'a, będziesz miał coś niecoś do wyjaśnienia.**

**Zlotin spojrzął groźnie na Rodenkę. Wyrwawszy ramię, nasunął okulary noktowizyjne na oczy i pobiegł do metalowych schodów po drugiej stronie holu inspekcyjnego. Pędził, pokonując po dwa stopnie naraz, potem pomknął ze wszystkich sił długim, bezokiennym korytarzem, pozostawił za sobą dwoje otwartych drzwi bezpieczeństwa i zatrzymał się, by nabrać tchu, gdy dotarł do podnóża drugiego ciągu metalowych schodów, prowadzących na lądowisko. Drzwi bezpieczeństwa u ich szczytu były zamknięte. Dogonił go zadyszany Rodenko. Wspinali się ostrożnie, uważając na miejsca po brakujących schodkach.**

**–Jeśli dostał się do helikoptera, czy może uruchomić automatyczne działko? – spytał Zlotin, gdy już znaleźli się u szczytu.**

**–Nie. Jemienkow zainstalował dla mnie w kokpicie mały komputer, sterujący działkiem i wszystkimi instrumentami. Royce nie zdoła uruchomić niczego w kokpicie, nie znając kodów dostępu do programu.**

**–Dobrze. – Zlotin wskazał kartę w ręce Rodenki. – Otwórz drzwi, ja wyjdę pierwszy.**

**Rodenko otarł pot z czoła, po czym wsunął kartę do szpary. Zlotin trzymał AK-47 wycelowany w helikopter. Ujrzeni odsłoniętą siatkę maskującą, drzwiczki od strony pasażera, a także Whitlocka pochylonego nad tablicą sterowniczą w kokpicie. Dopiero gdy Rosjanie podbiegli do śmigłowca, Whitlock podniósł głowę i spojrzął na nich. Zlotin wykonał ruch karabinkiem, nakazując Whitlockowi wysiąść.**

**Whitlock popatrzył na Zlotina, na Rodenkę i na dwa kałasznikowy. Uznawszy beznadziejność swej sytuacji, powoli otworzył drzwiczki kokpitu i wyskoczył na ziemię. Cisnął do stóp Zlotinowi splątana masę przewodów, a potem wolno podniósł rękę nad głowę.**

**–Gdybym miał więcej czasu, zrobiłbym lepszą robotę – oświadczył ze smutkiem.**

**–Zrewiduj go – warknął Zlotin.**

**Rodenko pchnął Whitlocka na ściankę helikoptera i obszukał go. Za spodniami znalazł wręta, ten sam, który zostawił poprzedniego dnia w pokoju operacyjnym. To wyjaśniało, w jaki sposób Whitlock zdołał sforsować drzwi i wyważyć wieko**

ochronne w kokpicie, by dostać się do skomplikowanego systemu przewodów kontrolujących układ sterowania.

–Przypuszczam, że już skontaktowałeś się przez radio ze swymi kolegami – rzekł do niego Zlotin. – Bo po cóż uszkadzałbyś helikopter, gdybyś nie miał powodu, by nas tutaj zatrzymać.

–Kolegami? – powtórzył Whitlock marszcząc brwi.

–Twoimi kolegami z UNACO. Mike'em Grahamem i Sabriną Carver.

–Doprawdy nie wiem, o kim mówisz – odparł Whitlock. – Nazywam się...

–Clarence Wilkins Whitlock – przerwał mu Zlotin. – Dowódca Trzeciego Zespołu Operacyjnego UNACO.

–On jest z UNACO? – spytał zdumiony Rodenko. – Od jak dawna o tym wiedziałeś?

–Znałem jego prawdziwą tożsamość od czasu, gdy go wynająłem w Marsylii – stwierdził Zlotin. – Fotografia, Whitlock, to był bardzo pomysłowy chwyt. Oczywiście pomysł waszego pułkownika Philpotta. I powiódłby się, owszem, gdyby nie to, że mam swojego człowieka w UNACO. W rzeczywistości robił to od chwili, gdy go zwerbowała organizacja.

Whitlock wiedział, że byłoby bezsensowne dalsze udawanie, iż jest Frankiem Royce'em. Zlotin wiedział o nim wszystko.

–Tak więc już w chwili werbowania nie tylko miałeś mnie pod obserwacją, ale również skutecznie wycofałeś z operacji.

–W wielkim skrócie tak właśnie było.

–Czemu po prostu nie zabiłeś mnie w Marsylii?

–Nie mogłem ryzykować. UNACO przymknęłaby Jannoca, gdyby w Marsylii się okazało, że nie żyjesz. Jannoc jest miękki i w końcu zapewne ujawniłby informacje o wyspie. A poza tym, jak słusznie zauważyłeś, w ten sposób zdołałem wyłączyć cię z operacji. No, przynajmniej do tej chwili. Jak powiedziałem, muszę założyć, że już wezwałeś kolegów. Ale nie martw się, potrafimy tu odeprzeć każdy atak. Przecież to jest forteca.

–Tylko we dwóch? Przypuszczam, że teraz jest was tylko dwóch? Nie widziałem tu Jemienkova od paru dni. Zakładam, że jego zniknięcie ma coś wspólnego z jachtem motorowym, który odpłynął stąd w noc Bożego Narodzenia. Cela wychodząca na przystań ma swe zalety. A dziwne, w ogóle nie słyszałem, by powracał.

**–Kapitan Jemienkow został zabity podczas wykonywania zadania – padła sucha odpowiedź.**

**–Moje kondolencje – odparł chłodno Whitlock.**

**–Jego śmierć została już pomszczona. Twój przyjaciel, jak sądzę? Jacques Rust. Zabiłem go osobiście.**

**Gdy Whitlock rzucił się na Zlotina, Rodenko z całej siły uderzył go kolbą AK-47 w tył głowy. Kenijczyk zwałił się nieprzytomny do stóp Zlotina.**

**–Moje kondolencje – rzekł pogardliwie Zlotin, spoglądając z góry na Whitlocka.**

**–Jeśli on już skontaktował się z UNACO, to tylko kwestia czasu, kiedy zaczniesz się tu od nich roić – powiedział z niepokojem Rodenko.**

**–Oceniam, że za godzinę, najdalej za dwie.**

**–Absolutnie nie uda mi się naprawić helikoptera do tego czasu – stwierdził Rodenko.**

**–Tego nie wiesz, póki nie spróbujesz, prawda? Więc zamiast stać tu i jęczeć, czemu nie weźmiesz się do roboty?**

**–A co ty będziesz robić? – spytał Rodenko, urażony nutą sarkazmu w głosie Zlotina.**

**–Ja umieszczę naszego przyjaciela w bezpiecznym miejscu – odparł Zlotin, bez wysiłku podnosząc i biorąc sobie na ramię nieprzytomnego Whitlocka. – Jeśli nie zdołasz naprawić helikoptera, do chwili gdy zwałam się na wyspę, to może dzięki niemu uda się nam zyskać nieco czasu, oczywiście jeżeli będziemy mieli jakąkolwiek szansę wydostania się stąd w jednym kawałku.**

**–Nikołaju? – zawołał za nim Rodenko. – Czemu wcześniej nie powiedziałeś mi o Whitlocku?**

**–To wszystko kwestia zaufania, Wiktorze – podsumował Zlotin, a potem, poprawiając chwyt na ciele Whitlocka, podszedł do drzwi bezpieczeństwa i zniknął schodząc.**

**Gdy zadzwonił telefon, Sabrina obudziła się natychmiast. Usiadła na łóżku, zapaliła światło i podniosła słuchawkę.**

**–Halo? – powiedziała, sprawdzając równocześnie czas na swym zegarku. Była druga siedemnaście.**

**–Sabrina, tu Mike. Rozmawiałem właśnie z Siergiejem. Wzywa nas natychmiast do**

swego pokoju na ważną odprawę.

–Czy powiedział, na jaki temat? – zapytała, niezdolna opanować podniecenia w tonie swego głosu.

–Nie, ale musi to być coś bardzo ważnego, bo chce nas widzieć w środku nocy.

–Już idę.

Odłożyła słuchawkę, odrzuciła pościel i postawiła nogi na podłodze. Była już ubrana w szary dres, więc wsunąwszy stopy w tenisówki, chwyciła z toaletki klucz magnetyczny i wybiegła z pokoju.

Nie zwracając sobie głowy windą, pośpieszyła prosto do wyjścia pożarowego i przeskakując stopnie zbiegła na drugie piętro. Dotarła zadyszana do drzwi Kolczyńskiego i już miała zapukać, gdy usłyszała za sobą zatrzymującą się windę. Drzwi kabiny otwarły się i na korytarz wyszedł Graham. Podeszedł do Sabriny, która stała z rękami na biodrach, ciągle jeszcze próbując złapać oddech, przyjrzał się jej i z niewyraźnym uśmiechem zapukał do drzwi.

Kolczyński otworzył i wprowadził ich do pokoju.

–Siadajcie – powiedział, robiąc im miejsca na łóżku zasypanym kartonowymi teczkami. – Myślę, że wreszcie mamy naszą wielką wygraną. Parę minut temu C.W. skontaktował się z oficerem dyżurnym w Centrum Dowodzenia.

–Czy powiedział, gdzie jest? – zainteresował się Graham.

–Czy z nim wszystko w porządku? – dodała z niepokojem Sabrina.

–Tak, teraz tak. Wiemy, że był to C.W., ponieważ podał swój numer identyfikacyjny w UNACO. Powiedział oficerowi dyżurnemu, że jest w opuszczonym więzieniu zwanym *A Fortaleza*, na wyspie znajdującej się gdzieś u brzegów Portugalii. Nie zna jej dokładnego położenia. Zakładnicy są bezpieczni i dobrze się czują. Powiedział, że udało mu się wymknąć Rosjanom, jednak spodziewa się, że go wkrótce złapią. To się nie trzymało kupy, ale nie chciał się dłużej rozwodzić mówiąc, że musi jeszcze uczynić helikopter niezdolnym do lotu, aby Rosjanie nie mogli opuścić wyspy, nim wy się tam dostaniecie. I na tym transmisja się zakończyła.

–*A Fortaleza*. Forteca? – przetłumaczyła Sabrina. – Czy oficer dyżurny ustalił, gdzie to jest?

–Nie, ale telefonowałem do kapitana Moralesa i powiedział mi, że znajduje się ona u wybrzeży Porto. Została zamknięta już kilka lat temu, gdy pożar uszkodził większą część infrastruktury budynku.

**–Znakomite położenie – stwierdziła Sabrina, nie próbując ukryć podziwu w głosie.**

**–Kiedy tam wchodzimy? – spytał zwięźle Graham.**

**–Gdy tylko obejrzyte plany architektoniczne więzienia – odrzekł Kolczyński. – Kapitan Morales już jest z nimi w drodze do nas.**

**–Czy powiedziałeś mu o C.W.? – zapytała Sabrina.**

**–Tak, wiem, że mogłem mu zaserwować jakąś gadaninę, by wyjaśnić, jak odkryliśmy położenie kryjówki Rosjan. Pomyślałem jednak, że lepiej będzie przyznać się do wszystkiego i powiedzieć mu prawdę.**

**–Jak on to przyjął? – zainteresowała się.**

**–Początkowo niezbyt dobrze. Był zły, że siły specjalne nie zostały poinformowane wcześniej, nim zdołaliśmy zinfiltrować gniazdo przeciwnika. Ale chyba się uspokoił, gdy wytknąłem, że gdyby major Inacio wiedział o C.W., z pewnością podałyby tę wiadomość Zlotinowi. I nie potrzebowałem niczego dodawać. Wydaje się, że w tej chwili major Inacio stał się dla nich bardzo drażliwym tematem, szczególnie że nie znaleziono po nim śladu od wczorajszego popołudnia, kiedy wyszło na jaw jego zniknięcie.**

**–Więc uważasz, że oni nie podniosą rabanu o to, że UNACO ukrywała przed nimi informacje? – spytała.**

**–Biorąc pod uwagę to, że śmierć Jacquesa była bezpośrednim skutkiem zdrady Inacia, uważam, że chętnie zapomną o wszystkim, jak tylko skończy się to zamieszanie.**

**Kolczyński spojrział na Grahama, stojącego przy drzwiach na patio, z rękami mocno zaciśniętymi na piersi.**

**–Co cię niepokoi, Michaelu?**

**–Nie rozumiem, dlaczego miałbyś wprowadzać do tego siły specjalne – rzekł gorzkim tonem Graham. – Możemy to załatwić we własnym zakresie.**

**–Jacques wspominał o twojej wrogości wobec brygady sił specjalnych w swych notatkach – stwierdził Kolczyński. – Faktem jest, że podczas trwania tej operacji ujawniała się wielokrotnie.**

**–Sam powiedziałeś, że uważasz Inacia za odpowiedzialnego za śmierć Jacquesa. Moim zdaniem to wystarczający powód, by im nie ufać – odgryzł się Graham.**

**–Jedno zgniłe jabłko nie musi skazić całej beczki – natychmiast wytknął mu Kolczyński.**

**–Dodałbym, że to zależy od tego, jak długo pozwalano zepsutemu jabłku gnić w beczce, nieprawda? – odparował Graham.**

**–Co ty sugerujesz, Michaelu? Chcesz powiedzieć, że Inacio mógł mieć współwinnych w brygadzie, ludzi, którzy wciąż przekazują informacje Zlotinowi? – zapytał Kolczyński. – o to chodzi?**

**–Niczego nie sugeruję, Siergieju – odparł Graham. – Po prostu czułbym się znacznie bezpieczniej, gdybyśmy, Sabrina i ja, mogli dostać się tam sami.**

**–Będę miał na uwadze twoje komentarze, Michaelu, ale po obejrzeniu planów.**

**Morales miał przy sobie egzemplarz planów architektonicznych kompleksu więziennego. Wyjąwszy je z okładki ochronnej, rozpostarł na łóżku; kilka grubych teczek UNACO posłużyło do przyciśnięcia brzegów.**

**–Po drodze do was miałem okazję przestudiować te plany – powiedział Morales. – O ile zrozumiałem, są tylko dwie drogi do więzienia. Pierwsza to dostęp przez główną bramę, z przystani, druga zaś prowadzi na lądowisko helikopterów na dachu budowli. Oba wejścia zamknięte są drzwiami bezpieczeństwa, które Rosjanie na pewno uruchomili po przybyciu na wyspę.**

**–Wydajesz się tego całkiem pewien – zauważył Kolczyński.**

**Morales wyjął z kieszeni kartę magnetyczną i wręczył ją Kolczyńskiemu.**

**–Znaleźliśmy to przy zwłokach Jemienkowa. Jest to elektroniczny wytrych, pasujący do systemu zabezpieczeń więzienia.**

**–Z pewnością może się przydać – zauważył Kolczyński, obracając powoli w palcach kartę, po czym zwrócił ją Moralesowi.**

**–Istnieje trzecie wejście do więzienia – stwierdziła Sabrina, nie podnosząc głowy znad planu, który studiowała.**

**–Myślę, iż przekona się pani, że się myli, panno Carver – powiedział Morales. – Tu są tylko dwa wejścia i wyjścia z kompleksu więziennego. To w oczywisty sposób wynika z dołączonego tekstu.**

**–W dołączonym tekście wyjaśniono również, że więzienie zbudowane zostało na miejscu starego zamku, datującego się z połowy siedemnastego wieku, następnie w roku 1809 zniszczonego przez francuską marynarkę wojenną podczas wojny o**

wyzwolenie narodowe.

–Tak, jak to również czytałem – odparł Morales – ale nie rozumiem, co pani ma na myśli. Jak pani sama powiedziała, zamek został zniszczony podczas wojny o wyzwolenie narodowe. Nigdy go nie odbudowano.

–Zgoda, ale można tu też przeczytać, że podczas budowania więzienia odkryto niemal nie zniszczone dwa dawne lochy. Jak się przypuszcza, przetrwały one francuskie bombardowanie tylko dlatego, że zbudowano je poniżej poziomu morza.

Graham przykucnął obok Sabriny i położył dłoń na jej ramieniu.

–Pewien jestem, że to fascynująca sprawa, ale czy możemy pominąć lekcję historii i przejść do rzeczy?

–To jest właśnie ta rzecz – odrzekła, pukając w napis na planie. – *Comporta*.

Morales przyjrzał się rysunkowi.

–Nie zauważyłem tego – przyznał zmieszany.

–Czy ktokolwiek zechce mi wyjaśnić, co to, u diabła, jest ta *comporta!* - warknął poirytowany Graham.

–*Comporta* to wrota śluzy; zgodnie z planem były takie, wbudowane w ścianę lochu – wyjaśniła Sabrina. – Jeśli zdołamy przedostać się do podziemi, biegną stamtąd schody do miejsca, które kiedyś było skrzydłem szpitalnym więzienia. Pomiędzy schodami i skrzydłem znajdują się drzwi bezpieczeństwa, ale wątpię, czy Rosjanie je zamknęli. A gdyby nawet tak było, to mamy teraz klucz, by je otworzyć.

Graham przez dłuższy czas studiował plan, a potem wyprostował się, wbił dłoń w kieszenie, podszedł do drzwi na patio i stamtąd wpatrzył się z namysłem w rozgwieżdżone niebo.

–Czy mogę to zobaczyć? – odezwał się Kolczynski, siedząc w swoim fotelu.

Sabrina przyniosła mu plan i wskazała istotne miejsca.

–Więc co dokładnie wymyśliłaś? – spytał Kolczynski.

–Możemy wysadzić wrota śluzy z zewnątrz i tą drogą przedostać się do więzienia – wyjaśniła.

–Oczywiście, to jest jakaś możliwość – zgodził się. Popatrzył na Grahama, który wciąż stał zamyślony.

**–Michaelu, aż nazbyt dobrze znam ten wyraz twarzy, gdy coś knujesz. Co tym razem?**

**–Myślę, że wysadzenie wrót służy to dobry pomysł. W teorii.**

**–To znaczy? – spytała podejrzliwie Sabrina.**

**–Jeżeli my wiemy o tej służbie, to wiedzą i Rosjanie. Aby przedostać się do więzienia, mamy tylko dwa możliwe sposoby: przez główne wejście i przez loch. O lądowisku możemy zapomnieć. Rosjanie usłyszą zbliżający się helikopter dużo wcześniej, nim znajdzie się gdziekolwiek w pobliżu wyspy. Proponuję wykorzystać obie możliwości. Jeśli się rozdzielimy, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie wykryją Sabriny i mnie po tym, jak już dostaniemy się do wnętrza więzienia.**

**–To ma sens – przyznała Sabrina.**

**–A gdzie będzie nasze miejsce w tym małym scenariuszu? – zainteresował się Morales. – Czy też oczekuje się po nas, że tylko posprzątam po UNACO, podobnie jak w magazynie?**

**–Kapitanie Morales, na wyspie jest czterech zakładników – odrzekł Kolczynski. – Mogę cię zapewnić, że Nikołaj Zlotin bez żadnych skrupułów posłuży się nimi jako żywymi tarczami, jeśli pomyśli, że zagraża mu jakiś atak.**

**–Używał ludzkich tarczy w Afganistanie – dodał Graham. – Dzieci, mające zaledwie trzy lata, przywiązywano z przodu rosyjskich czołgów, które eskortowały konwoje wojskowe na przełęczach górskich, opanowanych przez buntowników. Faktem jest, że żaden konwój dowodzony przez Zlotina nie został zaatakowany. To coś wyjaśnia, prawda?**

**Morales milczał.**

**–Najlepszym sposobem będzie zrobienie tego po cichu. Sabrina i ja możemy uwolnić tych zakładników, a potem, gdy wycofamy się w cień, brygadzie sił specjalnych pozostanie zbieranie pochwał. Wyobraź sobie, jakie to będzie miało znaczenie dla wizerunku twojej jednostki, szczególnie w świetle zdrady Inacia.**

**–Ale na nas także zostanie skierowany pierwszy ogień, jeśli operacja się nie powiedzie – podkreślił pośpiesznie Morales.**

**–To prawda, ale mogę ci powiedzieć, że jeśli siły specjalne spróbują wziąć wyspę szturmem, będziecie mieli w rękach czterech martwych zakładników – powiedział Kolczynski zwijając plan i oddając go Moralesowi. – Możesz podczas ataku zabić Zlotina i Rodenkę, ale to będzie słaba pociecha, gdy zaczną sypać się oskarżenia. Wiem, że UNACO nie sprawuje tu żadnej jurysdykcji, a ty, jako wyższy oficer brygady**



sił specjalnych, masz wszelkie uprawnienia, by odrzucić moją decyzję. Mam jednak nadzieję, że zauważysz, iż to, co my mówimy, ma sens.

–Powiedzmy, że zgodziłbym się na wasz plan. Co dokładnie to „zrobienie po cichu” ma oznaczać? – zapytał Morales.

–Będziemy musieli zbliżyć się do wyspy łodzią – wyjaśnił Graham. – Proponowałbym użyć SDV, łodzi do przewozu płetwonurków. W ten sposób będzie trudniej nas wykryć.

–A gdy już znajdziecie się w więzieniu? – dopytywał się dalej Morales.

Graham wzruszył ramionami.

–Będziemy musieli improwizować.

–Innymi słowy oznacza to, że będziemy musieli posługiwać się własnym rozumem – dodała Sabrina, widząc cień niepewności na twarzy Moralesa. – Oczywiście, gdybyśmy dokładnie wiedzieli, gdzie więźniowie są przetrzymywani, wówczas moglibyśmy z góry zaplanować własną strategię. Ale nie wiemy i dlatego będziemy musieli improwizować.

–Ile czasu może zająć wam ta operacja, jeśli pojedziecie samotnie?

–To trudne pytanie, ponieważ nie wiemy, gdzie zakładnicy są uwięzieni – odrzekł Graham. – Będziemy potrzebowali co najmniej trzydziestu minut, by przedostać się do środka, i następne trzydzieści minut na przeszukanie więzienia, zakładając, że nie spotkają nas żadne nagłe niepowodzenia. Oczywiście możemy odnaleźć zakładników o wiele wcześniej, ale dla pewności powiedziałbym, że potrzebujemy półtorej godziny.

–Sześćdziesiąt minut – powiedział po dłuższym namyśle Morales.

–To bardzo wąski...

–A ty zagwarantujesz, że oni wejdą tam tylko sami? – Kolczyński szybko przerwał protest Grahama.

Morales skinął głową.

–Jeśli nie wyjdą w ciągu godziny, wówczas my wkraczamy i przejmujemy akcję.

–To nie jest jakiś wyścig, by przekonać się, kto potrafi najszybciej uzyskać rezultat – warknął Graham do Moralesa. – Stawką jest życie zakładników, co przypominam na wszelki wypadek. A nasz kolega też może w tej chwili być zakładnikiem. Jeśli mamy

**tam wchodzić bez asysty, musimy to zrobić profesjonalnie. Nie uda się to na pewno, jeżeli będziemy musieli nieustannie patrzeć na zegarki, by wiedzieć, ile nam zostało czasu do szarży kawalerii.**

**Morales wyjął z kieszeni arkusz papieru i wręczył go Sabrinie.**

**–Czyta pani po portugalsku, panno Carver. To komunikat, który otrzymałem od moich przełożonych tuż przed wyruszeniem do was. Wiem, że nie powinienem pani go pokazywać, ale być może pozwoli to wam zrozumieć ciężką sytuację, w jakiej się w tej chwili znalazłem.**

**Sabrina rozłożyła arkusz i milcząc przeczytała teleks.**

**–No? – ponaglił Graham.**

**–Kapitan Morales otrzymał rozkaz poprowadzenia na więzienie grupy szturmowej i wzięcia go siłą, jeśli będzie to konieczne. – Sabrina złożyła papier i oddała Moralesowi. – Rozkazy mają być wykonane niezwłocznie.**

**–Teraz może zrozumiecie, czemu mogę wam dać tylko godzinę – zwrócił się Morales do Grahama. – I tak zapewne zostanę ukarany za niesubordynację. Jeśli jednak masz rację co do Zlotina, to poprowadziłbym na wyspę oddział samobójców. Podczas tej operacji już straciliśmy pięciu ludzi i możesz sobie wyobrazić, jaki ma to wpływ na morale. Jeżeli istnieje szansa uwolnienia zakładników bez dalszego rozlewu krwi, będę musiał podjąć to ryzyko, chociaż tym samym decyduję się na niewykonanie wyraźnego rozkazu.**

**–OK, godzina – zgodził się wreszcie Graham. – Kiedy ruszamy?**

**–W bazie wojskowej na peryferiach miasta jest gotów do startu helikopter. Mój oddział już powinien tam być. Jak tylko sporządzisz listę potrzebnych wam rzeczy, każę pilotowi zamówić to dla was przez radio. Wszystko będzie przygotowane, gdy dotrzemy do Porto.**

**–Otrzymasz ją – zapewnił Graham.**

**–Wezmę tylko swoją berettę i kurtkę i już będę gotowa – oznajmiła Sabrina, idąc do drzwi.**

**–Taa, ja też – dodał Graham, podążając za nią.**

**–Spotkam się z wami w holu na dole – rzekł Morales.**

**–Michaelu! – zawołał Kolczynski. – Chcę zamienić parę słów z tobą i Sabriną, nim opuścicie hotel.**

**–Zdaje się, że dobrze się ze sobą porozumiewają – powiedział Morales do Kolczyńskiego, gdy Graham zamknął drzwi.**

**–Ufają sobie nawzajem bezwarunkowo. Myślę, że trzeba by wiele czasu, aby wyjaśnić więź istniejącą między nimi. Mam wrażenie, że dysponują niesamowitą zdolnością przewidywania tego, o czym myśli partner, szczególnie w sytuacjach, gdy działają pod presją. Dla mnie na tym polega rzeczywista siła ich partnerstwa. A przecież mają tak różne osobowości. Dziwne, nieprawdaz?**

**–Mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają – zauważył Morales, składając plan.**

**–Tak, to prawda – odparł dyplomatycznie Kolczyński. Morales uśmiechnął się. Umiął zrozumieć aluzję.**

**–No cóż, muszę skontaktować się z bazą lotniczą, by powiadomić moich ludzi, że jesteśmy w drodze. Pomówimy jeszcze, gdy wrócę.**

**Kolczyński ucisnął dłoń Moralesa, a potem wrócił na swój fotel w oczekiwaniu na Grahama i Sabrinę. Gdy przyszli, zaprosił ich gestem do środka i polecił Grahamowi zamknąć drzwi.**

**–O czym chciałeś z nami mówić, Siergieju? – odezwał się Graham, przysiadłszy obok Sabriny na brzegu łóżka.**

**–Myślałbym, że to całkiem oczywiste, Michaelu – ostro zaczął Kolczyński. – Mogłeś sypnąć piaskiem w oczy kapitanowi Moralesowi, ale przecież on nie widział notatki przesłanej mi zeszłej nocy przez pułkownika, prawda?**

**–A co miałem mu powiedzieć? Że pułkownik dowiedział się od swego informatora we Francji, iż w dniu poprzedzającym napad na ciebie i Abego na lotnisku Saisse kupił nielegalnie system radarowy i dwie boje sonarowe? Czy uważasz, że tak szybko pozwoliby nam działać bez asysty, gdyby przypuszczał, że te urządzenia są już zainstalowane na wyspie?**

**–Pewien jestem, że nie pozwoliby – odrzekł Kolczyński.**

**–Czemu nie powiedziałeś kapitanowi Moralesowi o tej notatce, Siergieju? – zapytała Sabrina. – Myślałam, że kierownictwo UNACO zgodziło się w pełni współpracować z brygadą sił specjalnych po wydarzeniach w magazynie.**

**–Mam zamiar mu powiedzieć, ale dopiero po określeniu wykonalności planu Michaela. Oczywiście jest, że pominął pewne szczegóły, nie chcąc ich ujawniać Moralesowi. – Kolczyński ponownie zwrócił się do Grahama. – Przypuszczam, że masz w zanadrzu jakieś uzupełnienia do twego planu i nie będziesz tak po prostu „improvizować”, kiedy już dotrzesz do więzienia?**

**–Myślę o czymś, Siergieju – odrzekł Graham.**

**–Jeżeli Rosjanie już zainstalowali radar i boje sonarowe, nie zdołamy przedostać się nie wykryci do więzienia – natychmiast wytknęła Sabrina.**

**–Ty nie – powiedział Graham, klepiąc ją po ręce.**

**–Czemu mam wrażenie, że ktoś tutaj chce mnie w coś zrobić? – oświadczyła, spoglądając podejrzliwie na Grahama.**

**–Nie, to Zlotin zostanie wrobiony – sprzeciwił się Graham z uśmiechem zadowolenia. – Z tobą będzie wszystko w porządku, o ile będziesz trzymać się planu.**

**–Sami potrafimy to osądzić, gdy tylko nam powiesz, co zamierzasz – rzekł Kolczynski, krzyżując ręce na brzuchu. – No, Michaelu. Słuchamy.**

–Czy długo potrwa, nim helikopter będzie gotów do startu?

–Najwyżej trzydzieści minut – odrzekł Rodenko, nie oglądając się na Zlotina, który otworzył drzwi kokpitu za jego plecami.

Z sąsiedniego siedzenia wziął latarkę i skierował promień na przewody, które przed chwilą wymienił. Zadowolony ze swej pracy, kiwnął głową.

–Tak, powiedziałbym około trzydziestu minut. Szkody nie były tak wielkie, jak początkowo myślałem.

–To dobrze, bo mamy towarzystwo – oświadczył Zlotin. Rodenko podejrzliwie zmrużył oczy.

–UNACO?

–Jeszcze nie wiem – odparł Zlotin. – Radar wykrył dwie nie zidentyfikowane jednostki, kierujące się ku wyspie.

–Powietrzne czy morskie?

–Morskie – rzekł Zlotin. – Zbliżają się ze wschodu, co pozwala przypuszczać, że wyruszyły z kontynentu.

–Co zamierzasz zrobić? – zapytał Rodenko.

–Najpierw muszę się przekonać, kto tam naprawdę jest – stwierdził Zlotin, poklepując zawieszoną na szyi noktowizyjną lornetę drugiej generacji, wzmacniającą obraz. – Wtedy będę w stanie podjąć odpowiednie decyzje.

Rodenko wygramolił się z kokpitu, podniósł kołnierz bluzy, osłaniając się przed przejmującym wiatrem, i poszedł za Zlotinem do drucianej siatki, wyznaczającej skraj lądowiska. Wbiwszy dłonie w kieszenie, przysiadł obok Zlotina, który wolno zataczał łuk lornetą, wpatrując się w ciemne wody wokół wyspy.

–Oto są – oznajmił wreszcie Zlotin, wyostrzając lornetę na zbliżającą się łódź. – Dwa nadmuchiwane pontony ziemno-wodne, w każdym jedna osoba. Znajdują się jeszcze o pięć, może sześć kilometrów, ale szybko się zbliżają.

–Graham i Carver? – podsunął Rodenko.

–Nie mogę dostrzec ich twarzy, ale zgaduję, że to oni.

**–Oczywiście nic nie wiedzą o radarze – stwierdził Rodenko.**

**–Oczywiście.**

**–W helikopterze jest wyrzutnia raket – powiedział Rodenko. – Czy chcesz, abym ją nastawił? Możemy ich załatwić, gdy znajdą się w zasięgu raket.**

**–Nie – odrzekł Zlotin, opuszczając lornetę. – Gdybyśmy ich teraz zdmuchnęli z wody, to tylko sprowadziłoby posiłki. Im dłużej zdołamy bawić się z nimi, tym więcej będziesz miał czasu na uruchomienie helikoptera.**

**–Co masz zamiar zrobić? – zainteresował się Rodenko.**

**–Nic.**

**–Pozwolisz im wtargnąć na wyspę?**

**–Dokładnie taki mam zamiar, Wiktorze. Istnieją tylko dwie drogi, którymi mogą się tu przedostać: przez główne wejście lub przez wrota śluzy w lochu. Przystań już jest pod kontrolą detektorów podczerwieni oraz kamer telewizji przemysłowej, więc jeśli nawet mają kartę Walentina, nie zdołają zbliżyć się do drzwi bez wywoływania alarmu. Znając metody Grahama, przypuszczam, że wyśle on Carver przez główne wejście. Gdy był w Delcie, cieszył się reputacją specjalisty od materiałów wybuchowych, domyślam się więc, że będzie chciał osobiście wysadzić wrota śluzy. A gdy to zrobi, zatopi loch.**

**–Topiąc tym samym Whitlocka – zauważył Rodenko z chytrym uśmiechem.**

**–I Carver – szybko dodał Zlotin.**

**–Zakładając, że zdołasz wziąć Carver żywcem i zaprowadzić ją do lochu, zanim Graham wysadzi wrota śluzy – zauważył Rodenko.**

**–Zakładając, że potrafię wziąć Carver żywcem? – parsknął z niesmakiem Zlotin. – Jest dobra jak na kobietę, ale mocno wątpię, czy będzie dla mnie równorzędnym przeciwnikiem. A ty?**

**–Nie sugerowałem, że jest – bronił się Rodenko.**

**Zlotin obrzucił Rodenkę chłodnym spojrzeniem, po czym kontynuował wypowiedź:**

**–Graham nie będzie wiedział o jednej rzeczy, a mianowicie o tym, że na zewnątrz wrót śluzy znajduje się metalowa krata, przymocowana sworzniami do skały. Nie wiem, kiedy dokładnie została tam umieszczona, ale z pewnością nie występuje na żadnym z pierwotnych planów. Zobaczyłem ją dopiero wówczas, gdy sprawdzałem**

obszar na zewnątrz wrót śluzy, w ramach programu bezpieczeństwa, kiedy po raz pierwszy pojawiłem się na wyspie. Usunięcie kraty zabierze mu pewien czas, a gdy będzie gotów do wysadzenia wrót, Carver już znajdzie się w lochu.

–Czemu po prostu jej nie zabić?

–Po utracie swej rodziny Grahama obchodzi jedynie Carver. Więc wyobraź sobie, jaki wyrze na nim skutek odkrycie, że jest bezpośrednio odpowiedzialny za jej śmierć? Zawsze winił siebie za to, co spotkało jego żonę i syna. Wówczas ich śmierć niemal go załamała. Tym razem złamie go.

–Mówisz o tym w taki sposób, że wygląda to niemal na sprawę osobistą – zauważył Rodenko.

–Przypuszczam, że poniekąd zawsze była to sprawa osobista. Dokładnie śledziłem karierę Grahama od czasu, gdy stał się wybitnym członkiem Deltę. Teraz nie istnieje nic, czego bym o nim nie wiedział. I vice versa, jak sądzę. Graham i ja, Wiktorze, należymy do tego samego gatunku, tylko znajdujemy się po przeciwnych stronach. A czyż jest lepszy sposób zniszczenia swego arcywroga, niż pozwolić mu zniszczyć samego siebie?

–Wydajesz się bardzo pewny, że Graham da ci przeciw sobie broń do ręki – stwierdził Rodenko.

–Zrobi to – odrzekł Zlotin, wpatrując się w ciemność. – Wierz mi, zrobi.

Wyjątkowy, skonstruowany przez Brytyjczyków subskimmer, obecnie eksploatowany przez wiele jednostek sił specjalnych na całym świecie, może w ciągu sześćdziesięciu sekund zostać przekształcony z łodzi w podwodny pojazd do przewozu płetwonurków.

Gdy Graham sporządzał listę niezbędnego wyposażenia, wybór tego stateczku był oczywisty. Jak tylko helikopter uniósł się z bazy lotniczej pod Lizboną, listę przekazano drogą radiową do przedstawiciela brygady sił specjalnych w Porto. Kiedy helikopter wylądował na odosobnionej plaży gdzieś pomiędzy Porto i przemysłowym miastem Matosinhos, dwa subskimmery, wraz z innymi zamówionymi rzeczami, już na nich czekały.

Graham i Sabrina szybko przebrali się w obcisłe, z neopremu, kombinezony płetwonurków, nałożyli aparaty tlenowe zamkniętego obiegu i wysmarowali twarze kremem kamuflażowym. Tak przygotowani poszli za Moralesem do miejsca, gdzie na płytkiej wodzie łagodnie kołysały się dwa pięciometrowe subskimmery.

–Zsynchronizujemy zegarki – powiedział Morales, podciągając mankiet pulovera. – Podaję czas... Trzecia czterdzieści siedem.

**–Zgoda – potwierdził natychmiast Graham.**

**–Zgoda – powtórzyła za nim Sabrina.**

**–Jedna godzina – przypomniał im Morales. – Jeśli do tej pory nie otrzymamy od was wiadomości, nadlatujemy helikopterami.**

**–Do tej pory będziemy gotowi na otwarcie szampana i wzniesienie toastu za udaną operację – odrzekł Graham.**

**–Ja też wypiję – oświadczyła Sabrina, podchodząc do najbliższego subskimmera.**

**–Boa sorte! - zawołał za nią Morales.**

**–Obrigado - odparła, szybko machnąwszy mu ręką.**

**–Powodzenia – Morales zwrócił się do Grahama.**

**–Obrigado - odpowiedział Graham, po czym nałożył pasywne okulary noktowizyjne i podszedł do drugiego subskimmera.**

**Morales uśmiechnął się i skinął na dwóch stojących obok niego żołnierzy. Pobiegli pomóc zepchnąć subskimmery głębiej na wodę. Gdy już unosiły się swobodnie, Graham i Sabrina weszli na pokład i uruchomili silniki przyczepne o mocy 85 KM. Dali sobie wzajemnie znaki, unosząc do góry kciuki, a potem Graham ruszył pierwszy i pomknął na morze. Sabrina płynęła tuż za nim.**

**Oboje mieli już doświadczenie z subskimmerami, gdyż skrupulatny trening na tych łodziach był częścią niedawnych manewrów UNACO u wybrzeży Nowej Fundlandii. Teraz jednak oboje po raz pierwszy posługiwali się tym sprzętem podczas rzeczywistej operacji.**

**Ostry, szaleńczy wiatr siekł wzburzone morze, ale przepowiadany przez meteorologów ubiegłego wieczoru deszcz jeszcze się nie objawił. Lecz sądząc z chmur, złowieszczo gromadzących się nad głowami, wiedzieli oboje, że początek ulewy jest tylko kwestią czasu. Sabrina, trzymając się blisko Grahama w kilwaterze jego subskimmera, podskakującego na wodzie, przekonała się, iż musi bez przerwy wycierać pianę z soczewek swych okularów noktowizyjnych. Zniechęcona skręciła i płynęła dalej obok, póki wreszcie nie zgasił silnika, gdy byli mniej więcej o kilometr od wyspy.**

**Wyłączywszy silnik, podpłynęła do burty jego łodzi.**

**–Czy dostrzegłeś helikopter? – zapytała widząc, że przeszukuje wyspę potężną lornetą noktowizyjną.**



**–Nie – odrzekł Graham, opuszczając lornetę. – Ale przecież stąd widać tylko część lądowiska. Helikopter jest zapewne ukryty pod siatką maskującą i ustawiony po przeciwnej stronie.**

**Sabrina wzięła od niego lornetę i nastawiła na lądowisko. Ona też nie znalazła helikoptera. Potem powoli przesunęła obiektyw po ciemnej, złowieszczej ścianie skalnej.**

**–Wygląda to jak dekoracja do któregoś ze starych filmów z Borysem Karloffem – oznajmiła, oddając lornetę Grahamowi.**

**–OK, wiesz co robić? – zapytał Graham, sprawdzając swą berettę.**

**–Do tej pory powinnam to już wiedzieć – odrzekła. – Tyle razy omawialiśmy ten plan od chwili, gdy go po raz pierwszy nakreśliłeś w hotelu.**

**–I jesteś pewna, że nie masz co do niego obaw?**

**–Ile razy mam ci powtarzać, Mike, że mam zaufanie do twego rozsądku. Jeśli mówisz, że będzie ze mną OK poty, póki będę trzymać się planu, to mi zupełnie wystarczy.**

**–Taa, będzie OK – zapewnił ją Graham.**

**–Mike, czy pamiętasz, co powiedziałeś w szpitalu Siergiejowi? Mówiłeś, że nie zabijesz Zlotina, jeśli nie będzie miał broni. Czy po tym, co spotkało Jacquesa, w dalszym ciągu tak uważasz?**

**–Jacques miał broń – przypomniał jej Graham.**

**–To nie jest odpowiedź na moje pytanie.**

**Graham przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem wskazał jej subskimmera.**

**–Ty zanurzasz się pierwsza. Ja wywołam Moralesa i powiem mu, że zaraz wchodzimy do środka.**

**Zsunęła okulary noktowizyjne, nałożyła maskę, po czym zajęła się przekształcaniem swego subskimmera w podwodny SDV. Najpierw zamknęła wylot spalin silnika przyczepnego, potem uruchomiła znajdującą się pośrodku subskimmera pompę ssącą, która zaczęła wysysać powietrze z bocznych pływaków. W ciągu paru sekund zapadły się i łódkę szybko zalała woda. Gdy subskimmer dał nura pod fale, Sabrina już siedziała za drążkiem sterowniczym i włączyła dwa elektryczne urządzenia napędowe, znajdujące się po obu stronach dziobu. W ten sposób mogła kierować stateczkiem na prawo i na lewo albo w górę i w dół, zależnie od tego jak obracała**

drażek.

Biorąc namiar z kompasu umieszczonego na poprzeczce przed nią, Sabrina ruszyła w stronę wyspy. Przy maksymalnej prędkości podwodnej subskimmera, wynoszącej tylko dwa i pół węzła, jego posuwanie się do przodu musiało być powolne. Sabrina z rozmysłem trzymała się tuż pod powierzchnią atramentowoczarnej wody, by unikać niebezpiecznych szczytów skałek, którymi usiane było dno morskie. Mogła je obserwować dzięki echosondzie i innemu urządzeniu na poprzeczce. Nie miała prawa popełnić żadnego błędu, w przeciwnym bowiem razie operacja była skazana na niepowodzenie.

Dotarcie do jaskini zabrało jej dwadzieścia minut. Przycumowała subskimmera pod pomostem przystani, po czym, cicho wynurzywszy się na powierzchnię, odrzuciła maskę i aparat tlenowy, nasunęła zaś okulary noktowizyjne. Z wodoszczelnej kabury u pasa wyjęła berettę, wysunęła się spod pomostu i wolno rozejrzała po otoczeniu. Jej uwagę natychmiast zwróciła kamera telewizji przemysłowej, zamontowana na powierzchni skały, obok drzwi bezpieczeństwa. Musiała przyjąć, że Rosjanie ponownie ją uruchomili; ale sądząc z kąta, pod jakim skierowany był obiektyw, Sabrinę można by dostrzec przez kamerę tylko wtedy, gdyby zbliżyła się do drzwi. Na drugim końcu przystani znajdował się detektor podczerwieni, ustawiony na jakiejś pacy. Oczywiście było, że zainstalowano go niedawno, Sabrina zaś nie wątpiła, że urządzenie funkcjonuje. Wiedziała, że detektor wykryje ją, gdy tylko postawi stopę na przystani, ale pewna była, że potrafi go zniszczyć jednym strzałem. Domyślała się, że drugi detektor podczerwieni musiał zostać zainstalowany za małą budką na przystani, blisko wejścia do podziemia. To zresztą było bez znaczenia, gdyż Rosjanie musieli już wykryć subskimmery radarem i teraz czekali na nią ukryci wewnątrz więzienia. Elementem o zasadniczym znaczeniu w planie Grahama było zniszczenie owych detektorów i musiała to zrobić, nim przejdzie przez drzwi bezpieczeństwa.

Podpłynęła do drabinki przynitowanej do boku przystani, po czym powoli wspięła się na szczeble, póki jej głowa nie wynurzyła się ponad powierzchnię. Szybko przeniosła spojrzenie z drzwi bezpieczeństwa na detektor, a potem, lekko oparłszy nadgarstek na górnym szczeblu, chwyciła czerwone oczko urządzenia w celownik beretty i łagodnie nacisnęła spust. Pocisk trafił w cel, roztrzaskując oczko podczerwieni i zwalając rozbity detektor ze skrzyni. Następnie, skierowawszy berettę na kamerę, strzeliła w obiektyw, po chwili zaś wygramoliła się na platformę przystani, gdzie przykucnęła i popatrzyła na budkę na drugim jej końcu. Czy był za nią ukryty detektor podczerwieni? Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – pomyślała i wyprostowała się.

–Imponujące strzelanie, panno Carver – rozległ się głos odbijający się echem po jaskini.

Znów przykucnęła, omiatając lufą beretty całą przystań. Wtedy właśnie dostrzegła

zardzewiały głośnik, umieszczony na przeciwległej ścianie. Pod nim znajdowała się druga kamera telewizji przemysłowej. Ten, kto był operatorem systemu, w oczywisty sposób śledził każdy jej ruch od chwili, gdy postawiła stopę na platformie.

–Przypuszczam, że ma pani przy sobie kartę magnetyczną kapitana Jemienkowa – zahuczał ponownie głos z głośnika. – Proszę się nie krępować i wejść do środka. Oczywiście bez broni.

–Idź do diabła – syknęła i wycelowwała w sam środek obiektywu kamery.

–Jeśli pani spróbuje...

Głos urwał się nagle, gdy pocisk trafił w głośnik.

Sabrina wsunęła do beretty nowy magazynek, a potem ostrożnie zaczęła się zbliżać do drzwi bezpieczeństwa. Mijając budkę, uruchomiła ukryty za nią detektor. Skrzywiła się słysząc przeszywający pisk alarmu, ale posuwała się do ściany przylegającej do drzwi bezpieczeństwa. Gdy tam dotarła, skierowała berettę na detektor i uciszyła go jednym strzałem.

Jak dotąd wszystko w porządku – pomyślała – ale to była najłatwiejsza część. Nagle przypomniała sobie, co Mike powiedział jej, gdy byli w hotelu.

*Wiem, że gdyby Zlotinowi udało się mnie zabić, uznałby to za osobisty triumf. A czyż jest lepszy sposób na osiągnięcie tego celu niż wykorzystanie ciebie do zwabienia mnie w jakąś pułapkę? Jeśli pokażesz się samotnie przy drzwiach bezpieczeństwa, wiem, że zrobi wszystko, aby wziąć cię żywcem. Cały czas mówiłem, że jedyną słabością Zlotina jest to, że można przewidzieć jego posunięcia, a teraz owe przewidywania możemy wykorzystać do uzyskania przewagi. Oczywiście jest to w pewnym stopniu połączone z ryzykiem, ale musisz mi zaufać w tej sprawie, Sabrino...*

Teraz nadszedł czas, by wypróbować tę ufność. Nie chodziło o to, że się niepokoiła. Ufała Mike'owi bez zastrzeżeń. Uśmiechnęła się do siebie. Cały plan obfitował w niebezpieczeństwa i to ją tym bardziej śmieszyło...

Odsunęła zamek błyskawiczny jednej z kieszeni swego skafandra i wyciągnęła kartę magnetyczną. Następnie, przywarłszy plecami do ściany, wsunęła ją do szpary obok drzwi. Rozległ się metaliczny trzask i drzwi się odsunęły. Cisza. To jej bynajmniej nie zaskoczyło. Przecież tamci byli wyszkolonymi agentami specnazu, a nie jakimiś amatorami chętnymi do strzelaniny pod lada pretekstem. Domyślała się, że będą cierpliwie czekać na nią, zaczajeni gdzieś blisko drzwi, póki się nie zbliży. Oczywiście istniała i taka możliwość, że trzymali już broń wycelowaną w wejście, gotowi do rozpoczęcia ognia, gdy tylko ona zdecyduje się wkroczyć do budynku. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Musiała ryzykować. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza,

niskim szczupakiem rzuciła się do środka, omiatając berettą korytarz, gdy toczyła się po podłodze.

Korytarz był pusty. Uniósłszy się na jedno kolano, wolno rozejrzała się wokół, zapamiętując wszystkie miejsca, w których mogli ukrywać się Rosjanie. Na prawo od niej mieściła się poczekalnia. Drzwi były uchylone. Dalej w korytarzu znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia, ale oba zamknięte. Wiedziała, że musi sprawdzić wszystkie trzy pokoje. Zajęła pozycję obok drzwi poczekalni i ostrożnie zaczęła je szerzej otwierać, naciskając końcami palców, a potem zakręciła się w miejscu, trzymając w wyciągniętej ręce berettę.

Na środku pokoju leżeli, twarzą do ziemi, dwaj mężczyźni. Podejrzewając jakąś pułapkę, wycelowała w nich broń i powoli przesuwała się w ich stronę. Była tylko o niecały metr od nich, gdy nagle powstrzymał ją stęchły smród. Ów cuchnący zapach śmierci знаła aż nazbyt dobrze. Krzywiąc nos, przyklękła przy bliższym ciele i niechętnie sięgnęła ręką, by je odwrócić. Był to Abe Silverman. *Rigor mortis* już objął zwłoki, a skóra nabrała przyprawiającego o mdłości niebieskawoszarego koloru. Jak oceniła, Abe był martwy już od paru dni. Odwróciła drugie ciało i, na podstawie fotografii w kartotece UNACO, rozpoznała Heinricha Bergera. Głęboka, poszarpana rana lewej części brzucha była najprawdopodobniej zadana nożem z zestawu przeżycia. Sabrina doszła do wniosku, że ostrze zostało wbite pod żebra, prosto w serce. Śmierć musiała nastąpić prawie natychmiast. Nagle odniosła wrażenie, że ktoś stoi za nią; odwracając się poczuła ostre ukłucie w szyję. Wystrzeliła na ślepo, lecz mglista postać już zniknęła w korytarzu. Próbowwała podnieść się, ale stwierdziła, że stoi niepewnie na nogach i że musi chwycić się oparcia drewnianego krzesła, by nie stracić równowagi. Wyciągnęła igłę z szyi i cisnęła ją ze złością na podłogę, odepchnęła krzesło. Gdy zrobiła krok w stronę drzwi, nogi ugięły się pod nią, potknęła się i upadła prosto na ciało Bergera. Odotoczyła się do tyłu i kopiąc nogami próbowała odepchnąć zwłoki od siebie. Obraz pokoju w jej oczach stawał się mglisty i zniekształcony, a gdy chciała zsunąć okulary noktowizyjne, palce wydały się zdrętwiałe, pozbawione czucia. Beretta wysunęła się jej z dłoni i z hałasem upadła na podłogę.

Potem już nic nie czuła.

Ocknąwszy się, Sabrina stwierdziła, że znajduje się w przesiąkniętym wilgocią, mrocznym pomieszczeniu. Uznała, że jest w jednym z lochów pod więzieniem. Choć mogła stać na kamiennej podłodze, ręce miała wyciągnięte do góry, a para zardzewiałych kajdanek była zatrzaśnięta ciasno na jej nadgarstkach. Kajdanki były połączone z dwoma końcami krótkiego łańcucha, przeciągniętego przez wmurowane w ścianę metalowe kółko. W głowie pulsował jej nieustannie tępy ból, co jeszcze zwiększało frustrację, bo im bardziej szarpała ze złością za przytrzymujący ją łańcuch, tym większy ból zdawał się łomotać w jej głowie. Wreszcie dała sobie spokój i oparła się o ścianę.

**–Sabrina, dobrze się czujesz? – nagle usłyszała znajomy głos.**

**–C.W., czy to ty? – zapytała, wpatrując się w ciemność, w stronę, z której, jak sądziła, dobiegł głos.**

**–Tak – odparł Whitlock. – Czy mnie widzisz? Jestem prawie trzydzieści metrów na prawo od ciebie.**

**–W tej chwili w ogóle niczego nie widzę – padła cierpka odpowiedź. – To te cholerne okulary noktowizyjne. Gdy tylko się je zdejmie, człowiek jest praktycznie ślepy, dopóki oczy nie przyzwyczają się do ciemności.**

**–Czy dobrze się czujesz? – powtórzył.**

**–Moja głowa czuje się tak, jakby była workiem treningowym, a poza tym jestem OK. A co z tobą? Czy wszystko w porządku? Zaczynaliśmy się naprawdę o ciebie niepokoić. Przez tyle dni nie dałeś znaku życia i myśleliśmy, że coś ci się mogło przydarzyć.**

**–To dlatego, że byłem zamknięty wraz z zakładnikami, od chwili przybycia tutaj.**

**–A jak się uwolniłeś?**

**–To długa historia, opowiem ci, gdy się stąd wydostaniemy. Zlotin od początku wiedział, kim jestem. Okazuje się, że nasz człowiek w specnazie pracował dla niego.**

**–Nie mogę powiedzieć, by mnie to zaskoczyło – stwierdziła Sabrina. – Czy Zlotin przyniósł mnie tutaj?**

**–Tak. Byłaś nieprzytomna, ale dał ci zastrzyk, oczywiście po to, by cię obudzić, a potem znikł w więzieniu. Jestem pewien, że znowu będziemy mieli przyjemność spotkać się z nim, choćby po to, aby mógł rozkoszować się faktem, że złapał w swą małą sieć dwoje agentów operacyjnych UNACO. – Nagle przerwał. – Tylko dwoje, prawda? – spytał z niepokojem w głosie. – Mike nie był z tobą?**

**–Nie był.**

**–Dzięki za to Bogu... – Whitlock przeciągnął ostatnie słowo, bo wydało mu się, że słyszy odgłos zbliżających się kroków. – Cśśś. Myślę, że wraca Zlotin.**

**W chwilę później promień bladego światła przeciął celę. Dopiero wówczas Sabrina zorientowała się, że znajdują się w lochu. Jedyna droga dostępu prowadziła od góry. Zauważyła, że podłoga była tak skonstruowana, iż unosiła się pod kątem w stronę ściany przeciwległej do śluzy. W wielu średniowiecznych zamkach takie podłogi w lochach były środkiem do wymuszania zeznań od więźniów. Pomysł opierał się na**

prostym założeniu psychologicznym. Więźnia umieszczano najdalej od śluzy, a ktoś z rodziny, zwykle żona lub dziecko, byli przykuwani do ściany przylegającej do śluzy, którą wówczas otwierano, pozwalając wodzie wpływać do lochu. Więzień najczęściej przyznawał się do zarzutów, by nie skazywać ukochanej istoty na utopienie się. Nacisk psychiczny nieodmiennie skutkował, ale oprawcy, wymusiwszy żądane wyznanie, zazwyczaj topili ofiary. Głównym problemem Sabriny był fakt, że to ona znajdowała się najbliżej wrót śluzy.

Zlotin zszedł po drabinie do lochu. Ubrany był w luźne spodnie kamuflażowe, niebiesko-białe, wypuszczony na wierzch T-shirt oraz rozpiętą kamizelkę przeciwodłamkową. Niósł dwie latarnie.

–Cieszę się, że doszła pani do siebie, panno Carver. Mam nadzieję, że nie odczuwała pani żadnych nieprzyjemnych skutków.

–Nie, póki się tu nie pojawiłeś – powiedziała, patrząc na niego z pogardą.

Wargi Zlotina wykrzywiły się w chłodnym uśmiechu.

–Potrafię zrozumieć pani rozgoryczenie. Jestem pewien, że musi pani odczuwać ból na myśl o tym, z jaką łatwością udało mi się panią unieszkodliwić. I to by było tyle na temat jednej z najlepszych agentek UNACO.

–Dwoje z trojga to nieźle, Zlotin, ale ciągle jeszcze nie złapałeś Mike’a – odparła triumfalnie. – A on jest najlepszy w UNACO.

–Tak, słyszałem, ale przecież nie mam zamiaru „łapać” go, jak to pani sformułowała – odrzekł Zlotin, wieszając latarnie na ścianie nad nimi. – Helikopter jest gotów do odlotu, więc nie widzę powodu, by pozostawać tu choć chwilę dłużej, niż konieczne trzeba.

–Co będzie z nami? – zapytał Whitlock.

–Powiedziałbym, że to całkowicie zależy od Grahama – rzekł Zlotin. – Wiem, że ma zamiar wejść do więzienia, wysadzając wrota śluzy, lecz gdyby dowiedział się, że już tu jesteście, poważnie by się zastanowił nad ryzykowaniem waszego życia. Wobec tego będzie musiał opłynąć wyspę aż do przystani i dostać się tu głównym wejściem. To jednak wiązać się będzie ze stratą cennego czasu i gdyby wreszcie do was dotarł, możecie być oboje martwi. Cóż za dylemat. Chciałbym tylko móc pozostać tu po to, by ujrzeć, jak go rozwiąże.

–Skąd będzie wiedział, że tu jesteśmy? – spytał Whitlock.

–Powinien móc ujrzeć was przez otwór we wrotach śluzy – odrzekł Zlotin, podchodząc do drabiny.

**–Otwór? – zawołała podejrzliwie Sabrina, odruchowo spoglądając na śluzę, odległą o niecały metr od miejsca, w którym stała.**

**Zlotin wspiął się na podest nad lochem, a potem przyklęknął przy kole, ulokowanym dokładnie nad śluzą. Spróbował je obrócić. Nie drgnęło.**

**–Zlotin, co ty, u diabła, robisz?! – wrzasnął przerażony Whitlock, gdy Rosjanin szarpał się z kołem.**

**Nie zwracając uwagi na wybuch Whitlocka, Zlotin zacisnął zęby i zebrał wszystkie siły, by poruszyć kołem. Po wielu sekundach nieustannego nacisku wreszcie ustąpiło. Początkowo do lochu wpłynęła jedynie strużka wody, ale im dłużej kręcił kołem, tym więcej wody lało się przez otwór. Gdy uznał, że jej napływ jest wystarczający, wstał i zajął do lochu, gdzie Whitlock i Sabrina wściekle targali swymi łańcuchami.**

**–Zwariowałeś, Zlotin! – krzyknął Whitlock.**

**–Nie rozumiem, czemu się skarżysz, Whitlock. Nachylenie podłogi faworyzuje cię. Będziesz miał doskonały punkt obserwacyjny, by widzieć, jak twoja koleżanka się topi. Kto wie, jeśli Graham się pośpieszy, być może trafi tu w sam czas, by cię uratować. Ale nie będę tego oczekiwał, wstrzymując oddech. – Zlotin uśmiechnął się lekko, wypowiadając to dwuznaczne zdanie.**

**–Nie możesz nas tu zostawić na śmierć! – wrzasnęła do niego Sabrina.**

**–Powiedziała pani, że Graham jest najlepszy w UNACO. A więc nadszedł czas, by to udowodnić. *Do swidania.***

**Zlotin wciągnął za sobą drabinę, pozostawił ją na podeście, a potem wspiął się kamiennymi schodami, przeszedł przez dwoje otwartych drzwi bezpieczeństwa i dotarł do miejsca, które kiedyś było skrzydłem szpitalnym więzienia. Nasunął na oczy okulary noktowizyjne i poszedł do swojej kwatery, gdzie wyjął z sejfów stojącego w kącie celi torbę podróżną i dyplomatkę. Torba zawierała odprawę Rodenki, dyplomatka zaś teki UNACO. Przed opuszczeniem wyspy miał jeszcze coś do zrobienia. Przeszedł do skrzydła, gdzie przetrzymywano czworo więźniów, i postawił swoje rzeczy obok drzwi bezpieczeństwa. Kryptoanalitycy dotrzymali swej części umowy; on zapewni im szybką śmierć...**

**–Wybierasz się gdzieś? – usłyszał głos za swoimi plecami.**

**Dłoń Zlotina automatycznie sięgnęła do kabury przy pasie po pistolet Makarowa.**

**–Tylko spróbuj, a będziesz martwy, zanim jeszcze odepniesz kaburę – syknął ostrzegawczo głos.**

**Myśli galopem przelatwały przez głowę Zlotina, gdy powoli odsuwał ręce od korpusu. To był Graham, natychmiast rozpoznał jego głos. Graham musiał wślizgnąć się przez główne wejście w czasie, gdy on niósł Carver na dół, do lochu. Czemu oboje ryzykowali wejście do więzienia tą samą drogą? Wiedział, że postępowania Grahama nie da się przewidzieć, ale to wyglądało na niesłychany hazard, szczególnie że stawka była wysoka. Z jego punktu widzenia nie miało to żadnego sensu, ale czas na rozmyślanie o tym przyjdzie później. Jediną jego troską było w tej chwili przedostanie się do helikoptera, by Rodenko mógł odskoczyć maszyną od wyspy, tak daleko jak tylko zdoła, nim nadejdą posiłki, żeby wziąć więzienie siłą. Wiedział, że musi działać szybko, ale równocześnie nie mógł sobie pozwolić na popełnienie najmniejszego błędu. Nie z kimś takim jak Graham...**

**–Odwróć się!**

**Zlotin zrobił, co mu polecono.**

**Graham, który ukrył się w wejściu do jednego ze skrzydeł, przeszedł przez hol inspekcyjny do miejsca, gdzie stał Zlotin. Miał na twarzy okulary noktowizyjne, w ręku trzymał berettę.**

**–Połóż prawą rękę na głowie, a kciukiem i palcem wskazującym lewej wyjmij broń z kabury. I rób to bardzo wolno – rozkazał Graham.**

**Zlotin położył prawą dłoń na głowie i, nie odrywając spojrzenia od beretty, ostrożnie otworzył klapę swej kabury i kciukiem oraz palcem wskazującym wyjął pistolet Makarowa. Wyciągnął broń w stronę Grahama.**

**–Połóż ją na podłodze i kopnij do mnie!**

**Zlotin upuścił pistolet i bokiem buta posunął go po podłodze do stóp Grahama.**

**–Teraz stań twarzą do ściany i przyjmij pozycję do rewizji – rozkazał Graham, odrzuciwszy kopnięciem pistolet pod schody.**

**–Zawrę z tobą umowę, Graham – powiedział Zlotin, nie poddając się. – Ty pozwolisz mi odejść...**

**–Żadnych umów! Stań w pozycji.**

**–Na twoim miejscu wysłuchałbym – powiedział Zlotin. – To może po prostu uratować życie Carver.**

**–O czym ty gadasz?**

**–Carver i Whitlock znajdują się na dole w jednym z lochów. Wrota śluzy są już**



otwarte. Biorąc pod uwagę ilość wody wpływającej do lochu, oceniałbym, że Carver ma co najwyżej pięć minut do chwili, gdy się utopi. Ty pozwolisz mi odejść, a ja dam ci klucze otwierające ich łańcuchy.

–Będę liczyć do trzech, Zlotin – odparł Graham ledwie dosłyszalnym głosem. – Jeśli przez ten czas nie oddasz mi kluczy, zabiję cię i sam je wezmę. Przysięgam, że cię zabiję. A teraz oddaj klucze!

–To nie takie proste – odparł spokojnie Zlotin. – Nie mam ich przy sobie. Są w mojej kwaterze.

–Gdzie jest twoja kwatera?

Oddech Grahama stawał się coraz bardziej nierówny w miarę jak walczył, by opanować niepokój, który ścisnął mu wnętrzności.

–Odrzuć broń, to ci powiem – odrzekł Zlotin.

–Nie ma mowy – padła zwięzła odpowiedź.

–Więc ona umrze – oświadczył Rosjanin, obojętnie wznosząc ramionami.

–I ty także – odpalił Graham.

–Śmierć mnie nie przeraża. O tym wiesz. Ja zaprowadzę cię do mojej kwatery, jeśli ty pozwolisz mi odejść. Umowa stoi?

Graham nienawidził sam siebie za negocjowanie ze Zlotinem, ale jaki miał wybór? Życie Sabriny od tego zależało.

–Zaprowadź mnie – warknął krótko.

Zlotin wiedział, że to będzie dla niego jedyna okazja do załatwienia Grahama. Oczywiście było, że Graham dał się wytrącić z równowagi. Inaczej nigdy by sobie nie pozwolił na przewagę osobistych uczuć nad profesjonalnym rozsądkiem. To był błąd, którego Zlotin by nie popełnił, bez względu na okoliczności.

Zlotin udał, że robi zwrot w prawo, a gdy Graham ruszył za nim, Rosjanin rąbnął pięścią, trafiając go boleśnie w bok głowy. Straciwszy równowagę, Graham ciężko wylądował na podłodze, wypuszczając berettę z ręki. Zlotin poszukał wzrokiem własnego pistoletu, ale był poza jego zasięgiem, pod schodami. Wydobyl z pochwy swój lekki, niemiecki nóż – z zestawu przeżycia Eikhorn – który ukrył z tyłu spodni kamuflażowych, i rzucił się na Grahama. Ten rozpaczliwie usiłował złapać zakrzywionymi palcami swą berettę. Leżała tuż za zasięgiem jego wyciągniętej ręki. Wreszcie udało mu się uchwycić w palce pistolet, lecz gdy go unióś do strzału,

Zlotin ciął go w przedramię ząbkowanym nożem, przecinając skafander i zadając głęboką ranę w rękę. Graham zawył z bólu i wypuścił beretkę, która zawirowała i odskoczyła od niego. Z wysiłkiem próbował stanąć na nogi, gdy Zlotin boleśnie trafił go w żebra czubkiem okutego stałą buta. Krzyknął z bólu, ale zmusił się do powstania wiedząc, że będzie martwy, jeśli straci punkt oparcia.

Rosjanin okrążał go powoli, trzymając nóż zaciśnięty w dłoni. Próbował dźgać Grahama, który musiał odskakiwać, aby ostrze znów go nie zraniło; przyciskał zakrwawioną rękę do połamanych żeber, przyglądając się kołyszącemu się z boku na bok nożowi Zlotina, przygotowującego się do następnego ciosu. Zlotin udał, że robi krok w lewo, ale tym razem Graham nie dał się nabrać. Zamiast tego sparował wymierzone pchnięcie, chwytając równocześnie nadgarstek przeciwnika. Ten szybko zareagował, zaciskając wolną rękę na trzymającej nóż, aby siłą skierować ostrze w brzuch Grahama. Krew na dłoniach Mike'a była jak smar; nie mógł mocno uchwycić nadgarstka Zlotina i musiał bez przerwy cofać się, by unikać ostrza. Dotknął plecami ściany, Rosjanin wzmocnił nacisk. Graham wiedział, że nie zdoła się już długo bronić. Musiał improwizować. Szybko. I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Przerzucił cały ciężar na swą lewą nogę, zmuszając Zlotina do utraty równowagi, nóż skoczył do przodu i wydarł nierówną szramę na ścianie. W tym samym momencie Graham wbił zgięte palce pod noktowizyjne okulary Rosjanina i zdarł mu je z twarzy.

Zlotin nagle przestał widzieć w ciemnościach. Wykorzystując zaskoczenie, Graham zacisnął obie dłonie na nożu i wbił ostrze głęboko w brzuch Rosjanina.

–To za Jacquesa Rusta – syknął.

Zlotin osunął się plecami na ścianę, z dłońmi zaciśniętymi na brzuchu. Przez palce tryskała mu krew. Zdziwienie malowało się na jego twarzy, gdy nogi ugięły się pod nim i zwałił się na ziemię.

Graham zbadał mu puls. Nic. Wiedząc, że Rodenko jeszcze jest gdzieś na wyspie, przez ostrożność schował dyplomatkę i torbę podróżną w jednej z cel, a potem pomknął jak oszalały w stronę lochów, z rozpaczliwą nadzieją, że nie jest zbyt późno, by uratować Sabrinę. Zapamiętał rozkład kompleksu więziennego z planów, które przestudiował w helikopterze, i zdołał lawirując przemknąć się przez labirynt korytarzy, aż wreszcie zdyszany dotarł do skrzydła szpitalnego. Wtedy właśnie usłyszał Whitlocka i Sabrinę wołających o pomoc. Ogarnęło go uczucie ulgi. Nie było za późno! Pobiegł jak szalony korytarzem, przez poczekalnię, gabinet chirurga i znalazł się w drugim korytarzu. Na jego końcu znajdowały się otwarte drzwi bezpieczeństwa, prowadzące do lochów. Przebiegłszy przez nie, skokami pokonał schody i wreszcie dotarł do podestu powyżej lochów.

Whitlock i Sabrina znajdowali się w pomieszczeniu najbardziej oddalonym od schodów. Whitlock był zanurzony po pas, ale Graham z przerażeniem zobaczył, że

nad wodą widać już tylko głowę i wyciągnięte ręce Sabriny. Wiedział, że jeśli chce ją uratować, musi działać szybko.

–Mike, zamknij wrota śluzy! – wrzasnął Whitlock, ujrawszy Grahama na podeście nad nimi.

Graham pośpieszył do koła i próbował nim zakręcić. Nic. Klnąc pod nosem, wytarł krew z dłoni i znów spróbował je obrócić. Nie drgnęło.

–Czy już je zamknąłeś?! – krzyknęła Sabrina, z wysiłkiem starając się utrzymać głowę ponad powierzchnią.

–Zacięło się – zawołał Graham, po raz trzeci próbując zamknąć śluzę. Ale koło nie ruszyło się z miejsca.

–Mike, na miłość boską, zrób coś! – zakrzyczała do niego.

–A jak myślisz, co ja próbuję!! – odwrzasnął. Natarłszy żwirem zakrwawione dłonie, chwycił mocno koło.

Jego ramiona drżały z wysiłku, gdy próbował wymusić obrót. Po paru sekundach nieustannego nacisku ból prawego przedramienia stał się zbyt silny, by go wytrzymać.

–Nie mogę ruszyć tego cholerstwa! – zawołał do nich. – Schodzę na dół. Będę musiał wytrychem otworzyć zamki łańcuchów.

–Mike, cokolwiek zrobisz, postaraj się zrobić szybko! – krzyknęła Sabrina. – Jeszcze minuta i będę pod wodą.

Graham odrzucił okulary i opuścił drabinę do lochu. Schodził po niej, aż dotknął wody, potem popłynął do Sabriny. Musiała odchylić głowę do tyłu, by uniknąć wzbierającej wody, która już pluskała o jej podbródek. Brnąc przez wodę, Graham wyjął z kieszeni oficerski nóż Mausera i ostrożnie wsunął ostrze do dziurki zamka kajdanek, przymocowanych ponad jej głową. Starannie kręcił nim z boku na bok, ale nie zdołał poruszyć zamka końcem ostrza.

–Mike, pośpiesz się – ponagliła Sabrina, wypluwając pierwsze krople wody z ust. – Już stoję na palcach.

–Robię, co mogę – zapewnił Graham, ponownie wsuwając ostrze i ostrożnie kręcąc nim w zamku. Ale ten ani drgnął.

Gdy woda dotarła do nozdrzy Sabriny, dziewczyna zaczęła bełkotać.

**–Mike, ona utonęła! – wrzasnął ze zgrozą Whitlock, widząc, jak głowa Sabriny znika pod wodą.**

**Graham objął ją w pasie i zaciskając zęby od palącego bólu w zranionej ręce, podciągnął do góry, aż jej głowa znalazła się nad powierzchnią.**

**–Muszę otworzyć zamki, nim woda zaleje kajdanki.**

**–Wiem – powiedziała cicho. – W Ośrodku Badawczym udawało mi się utrzymać pod wodą przez dwie minuty. Powinam być w stanie zrobić to tutaj.**

**–Nie martw się, do tej pory wyciągnę cię z tych cholernych łańcuchów – obiecał.**

**Zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem skinieniem głowy poleciła, by ją wypuścił. Widział, jak jej głowa znika pod wodą, i zdawał sobie sprawę z nieustępliwej rzeczywistości, której musiał stawić czoło: jeśli w ciągu najbliższych minut nie zdoła otworzyć zamków na obu kajdankach, Sabrina się utopi.**

**Starannie wsunął ostrze do zamka kolejnych kajdanek i zagryzłszy wargi z taką wściekłością, że pociekła krew, zaczął suwać końcem ostrza w otworze, siłą woli wymuszając otwarcie się. Nic takiego nie nastąpiło. Klnąc straszliwie, spojrzał na zegarek. Już upłynęła minuta od chwili, gdy Sabrina znalazła się pod wodą. Wepchnął koniec ostrza do dziurki i obrócił nim ostrożnie. Znowu nic. W straszliwym napięciu rąbnął pięścią w ścianę i zaczął próbować na nowo.**

**Nagle ostrze zaczepiło o coś. Delikatnie zaczął poruszać nim w otworze, bojąc się nieustannie, że falowanie wody przemieści ostrze. Nagle poczuł, jak zamek ustępuje, wydał okrzyk radości, a kajdanki zsunęły się z nadgarstka. Radość była krótka. Bezwładne ramię Sabriny plusnęło w wodę i zniknęło mu z oczu. Czy była nieprzytomna? Albo martwa? Nie, nie jest martwa, zbeształ się ze złością. Wśród agentów operacyjnych była najlepsza w utrzymywaniu się pod wodą. Więc co się stało? Przez moment kusiło go, by spróbować wydobyć jej głowę ponad wodę, ale wiedział, że będzie to tylko stratą cennego czasu. Poziom wody sięgał już jej przedramion. To była ostatnia szansa. Jeśli nie upora się z zamkiem w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, kajdanki znajdą się pod wodą. A ona umrze.**

**Z nową determinacją, ocierając pot z czoła wierzchem dłoni, Graham wsunął ostrze do dziurki od klucza. Przez czas zdający się wiecznością nic się nie zdarzyło, ale właśnie w chwili gdy zaczął obawiać się najgorszego, czubek ostrza dotarł do zamka. Obracając je ostrożnie, usłyszał wyraźny, metaliczny trzask i kajdanki się otworzyły.**

**Chwycił ją za nadgarstek i ciągnął do góry, aż jej głowa znalazła się wysoko nad wodą. Potem, objąwszy jej klatkę piersiową ramionami, popłynął ku drabinie.**

**–Mike? – krzyknął za nim Whitlock.**

Graham obejrzał się ostro, zaskoczony jego wołaniem. Był tak przejęty uwolnieniem Sabriny, iż prawie zapomniał, że i Whitlock tu się znajduje. Z przerażeniem ujrzał, że woda już podniosła się do poziomu piersi Kenijczyka.

–Wytrzymaj, kumplu, przyjdę do ciebie tak szybko, jak zdołam, ale najpierw muszę spróbować... – Zawiesił głos, wskazując Sabrinę.

–Daj mi nóż, Mike – powiedział Whitlock. – Powinienem sam zdołać otworzyć zamek.

–Taa, oczywiście – odparł z roztargnieniem Graham. Uważnie otoczył głowę Sabriny zdrową ręką i wsunął nóż w dłoń Whitlocka.

Whitlock zauważył krew płynącą z głębokiego cięcia na prawym przedramieniu Grahama, ale nic nie powiedział. Czas na pytania przyjdzie później.

Graham dotarł do drabiny, a potem zanurkował pod Sabrinę i chwytem pożarniczym zawiesił sobie jej bezwładne ciało na ramionach. Zaniósł ją na podest i tam łagodnie złożył na podłodze. Poszukał tętnicy szyjnej i zbadał puls. Nic. Odchylił głowę Sabriny do tyłu, zdjął jej czapkę i rozpiął ekler przy szyi. Potem, zatkawszy jej nos, z siłą wdmuchnął oddech w usta dziewczyny, zmuszając klatkę piersiową do uniesienia. Odsunął swe usta, by pozwolić piersiom opaść. Powtórzył to po raz drugi i znów sprawdził puls. Ciągle nic. Jediną jej szansą był obecnie zewnętrzny masaż serca. Szybko odsunął zamek kombinezonu aż do pępka, a potem, wymacawszy mostek, splótł dłonie i położył je na nagiej skórze, tak by nasada dolnej dłoni spoczywała na mostku. Mocno nacisnął całą masą swego ciała, zmuszając mostek do ugięcia się w stronę kręgosłupa, a potem uniósł dłonie, pozwalając klatce piersiowej się unieść. Powtórzył to piętnaście razy, a co piąty sprawdzał jej puls. Nie było żadnej reakcji.

–Dalej! – krzyknął. – Nie odchodź ode mnie!

Znów powtórzył całą procedurę: dwa razy usta-usta i piętnaście razy masaż. Ciągle ani śladu pulsu.

Whitlock, któremu udało się otworzyć zamki kajdanek, w milczeniu wspiał się po drabinie i przyklęknął obok Grahama.

–Ty rób jej usta-usta, ja będę naciskał klatkę piersiową.

Dwukrotnie jeszcze powtórzyli procedurę i w dalszym ciągu nie mogli wyczuć pulsu.

–Co, u diabła, poszło nie tak? – spytał Graham, spoglądając w dół do lochu, gdzie Sabrina była przykuta do ściany. – Powinna była wytrzymać nawet dłużej.

–Jeszcze nie przeszły jej skutki środka nasennego, który zaaplikował jej Zlotin, nim

ją zniósł tam na dół – powiedział cicho Whitlock, lekko dotykając dłonią ramienia Grahama. – To daremne, Mike, ona odeszła.

–Nie – warknął Graham, odpychając dłoń Whitlocka. – Zrobimy to jeszcze raz. I jeszcze. Nie obchodzi mnie, ile razy...

–Mike – przerwał mu Whitlock – ona nie żyje. Graham odepchnął Whitlocka i znów rozpoczął zabieg usta-usta.

–Oddychaj, niech cię cholera! – wołał, naciskając mostek podstawą dłoni. – Oddychaj!

–Zrobiłeś dla niej wszystko, co mogłeś, Mike – powiedział łagodnie Whitlock. – To koniec, Mike. Ona odeszła.

–To nie koniec – burknął Graham, ciągle z dziką siłą naciskając jej mostek. – Ona chce odetchnąć. Wiem, że chce. Jazda, Sabrina, potrafisz to. Oddychaj, do jasnej cholery. Oddychaj!

Whitlock już chciał odciągnąć Grahama, gdy dostrzegł ruch jej piersi. Czy to była tylko reakcja na nacisk mostka przez Grahama? A potem piersi poruszyły się ponownie. Przycisnął palce do jej tchawicy i wyczuł słabe pulsowanie tętnicy szyjnej.

–Jezu Chryste, ona żyje.

Graham głęboko zaczerpnął powietrza, a potem ścisnął jej nos i mocno westchnął do jej ust. Z napływem powietrza klatka piersiowa uniosła się. Przez chwilę nic się nie działo. A potem, wraz z wydechem, zaczęła kaszleć. Początkowo był to słaby, dławiący się głos, ale gdy Graham ułożył ją na boku, kaszel wzmógł się, ciało Sabriny zadrżało i zwymiotowała na podłogę.

–Ty po prostu nie wiesz, kiedy się poddać, prawda? – rzekł Whitlock z nerwowym chichotem, gdy zdał sobie sprawę, jak byli bliscy jej utracenia.

–Historia mego życia – burknął Graham, a potem odwrócił się do Sabriny leżącej na boku z twarzą skurczoną z bólu i trzymającej się za żołądek.

–Jak się czujesz?

–Głupie pytanie – syknęła i znów zwymiotowała. Whitlock się podniósł.

–Ty zostań tu z Sabriną. Ja ruszam za Zlotinem i Rodenką, jeśli jeszcze są na wyspie.

–Zlotin nie żyje – odparł Graham.

**–A Rodenko?**

**–Nie widziałem go.**

**–Myślę, że wiem, gdzie jest – oświadczył Whitlock, podnosząc okulary noktowizyjne Grahama. – Gdzie twój pistolet?**

**–Upuściłem go, gdy Zlotin mnie ciachnął. Zdaje mi się, że musi być gdzieś w holu inspekcyjnym.**

**Graham patrzył, jak Whitlock podchodzi do schodów.**

**–C.W., bądź ostrożny.**

**–Jeszcze jak – odpowiedział mu Whitlock, a potem zniknął za otwartymi drzwiami u szczytu schodów.**

**Rodenko odwrócił Zlotina na plecy. Nie potrzebował szukać pulsu. Oczywiście było, że Zlotin nie żyje. Co się stało? Dziesięć minut temu Zlotin skontaktował się z nim przez radio i poinformował, że idzie wyjąć dyplomatkę i torbę podróżną z sejfów, a jemu nakazał uruchomić helikopter. Gdy upłynęło dziesięć minut i Zlotin nie dawał znaku życia, Rodenko zaczął się niepokoić. Wreszcie zgasił silnik i, wzięwszy z tyłu helikoptera AK-47, wyruszył na poszukiwanie Zlotina.**

**Wiedział, że musi uciec z wyspy tak szybko jak tylko zdoła, jeśli chce się uratować. Teraz to jedynie mu zostało. Zastanawiał się nad tym, czy nie zabrać ze sobą któregoś więźnia jako zakładnika, ale szybko porzucił tę myśl; byłaby to tylko strata czasu. Pieniądze? Czy Zlotin wyjął je z sejfów, nim został zabity? Czy też wciąż tam się znajdowały? Był sposób, by się o tym przekonać...**

**Rodenko pośpieszył do skrzydła, w którym mieściły się ich kwatery. Miał na twarzy okulary noktowizyjne, więc nie musiał ujawniać swej obecności, zapalając światła. Szedł ostrożnie, aż do kwatery Zlotina. Zatrzymał się przed nią, a potem zakręcił się w miejscu i omiół celę swym AK-47. Ujrawszy, że sejf jest otwarty, zaklął ze złością. Otwarty i pusty. Jeśli, jak podejrzewał, Graham zabił Zlotina, to torba może się znajdować gdziekolwiek. Z pewnością nie było dość czasu, by jej szukać. Będzie musiał uchronić się przed dalszymi stratami, uciekając z wyspy, nim zostanie wykryty. Może spotkać się z Koslowem. To byłby punkt oparcia...**

**Whitlock szedł w stronę lądowiska, gdy natknął się na Rodenkę przykucniętego w holu inspekcyjnym nad ciałem Zlotina. Zobaczył też, że Rodenko jest uzbrojony w AK-47. Whitlock wiedział, że nie zdoła przebyć dzielącej ich odległości i nie zostać zastrzelony. Postanowił zwlekać. Zaczekał, póki Rodenko nie zniknął za otwartymi drzwiami bezpieczeństwa, a potem dyskretnie podążył za nim. Zająwszy stanowisko w celi usytuowanej najbliżej drzwi, czekał na następny ruch Rodenki...**

Usłyszał, jak Rosjanin klnie głośno, a po chwili rozległ się odgłos zbliżających się kroków. Rodenko wracał do drzwi bezpieczeństwa. Whitlock skulił się przy ścianie jak drapieżnik, gotów do skoku w chwili, gdy się ukaże. Tylko w ten sposób mógł wziąć Rodenkę z zaskoczenia. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Gdy Rosjanin ukazał się naprzeciw drzwi, Whitlock skoczył, ciskając nim o przeciwległą ścianę. AK-47 upadł na podłogę i znalazł się poza zasięgiem obu mężczyzn.

Rodenko na moment stracił oddech, ale szybko się opanował i z całej siły opuścił łokieć na bark przeciwnika. Jęknąwszy z bólu, Whitlock upadł na jedno kolano. Rodenko wymierzył mu druzgoczący cios pięścią w bok głowy i Whitlock rozciągnął się na ziemi jak długi, w pobliżu leżącego AK-47. Rodenko sięgał już do kabury po pistolet Makarowa, gdy Whitlock pochwycił kałasznikowa i skierował na Rosjanina. Ten skoczył przez otwarte drzwi w chwili, gdy Whitlock zaczął strzelać.

Whitlock z trudem stanął na nogach, jeszcze czując w głowie dzwonienie od otrzymanego ciosu. AK-47 trzymał mocno oburącz. Pocisk wbił się w ścianę o kilkanaście centymetrów od jego głowy, zmuszając go do odskoczenia z powrotem w głąb korytarza. Usłyszał odgłos oddalających się kroków. Potem zapadła cisza. Odczekał kilka sekund, skoczył przez otwarte drzwi i potoczył się po podłodze, by przykleknąć na jednym kolanie za przewróconą skrzynią. Hol był pusty. Możliwe było, że Rodenko ukrył się w jednym ze skrzydeł, czekając aż przeciwnik się ujawni, ale Whitlock uznał, że najprawdopodobniej Rosjanin jest już w drodze do lądowiska. Nagle błysnęła mu myśl. Rodenko z pewnością zamknie za sobą drzwi bezpieczeństwa, gdy tylko dotrze do lądowiska. Whitlock pomacał kieszeń koszuli, ale karty magnetycznej, którą znalazł w celi Zlotina, teraz tam nie było. Sprawdził pozostałe kieszenie, lecz skutek okazał się taki sam. Zlotin musiał ją zabrać, co oznaczało, że w dalszym ciągu powinna być przy nim...

Uznawszy, że może spokojnie wyjść spoza skrzyni, pomknął do miejsca, gdzie leżało ciało Zlotina, i znalazł przy nim kartę. Wsunął ją do kieszeni, a potem wspiął się po schodach i ostrożnie ruszył osmalonym przez pożar korytarzem, przeszedł przez dwoje otwartych drzwi bezpieczeństwa i wreszcie dotarł do podstawy schodów prowadzących na lądowisko. Drzwi bezpieczeństwa u ich szczytu były zamknięte.

Przyjrząwszy się pustemu korytarzowi za sobą, powoli wspiął się na schody, starannie uważając, by nie postawić stopy w luki po brakujących stopniach. Gdy przebył trzy czwarte odległości, zatrzymał się i chwyciwszy wolną ręką poręcz, przeskoczył dziurę po dwóch schodkach, prosto nad siedemdziesięciometrową przepaścią aż do betonowej posadzki. Kiedy dotarł do szczytu schodów, przytulił się do ściany i wsunął do zamka kartę.

Przez otwarte drzwi wdarł się do środka ryk silnika helikoptera. Whitlock zorientował się, że osiągnął on już szybkość obrotów potrzebną do startu. Wiedział, że jeśli ma uniemożliwić helikopterowi opuszczenie wyspy, musi działać szybko.



Mocno ściskając oburącz AK-47, wyskoczył na zewnątrz. Helikopter Westland Scout stał na zblakłym żółtym kręgu na samym środku lądowiska. Zobaczył Rodenkę na miejscu pilota, gorączkowo manipulującego sterami. Wystrzelił serię w silnik, umieszczony bezpośrednio za kabiną. Pociski nie zrobiły żadnego wrażenia na płycie ze stali pancernej, którą Rodenko własnoręcznie umieścił, gdy tylko Rosjanie otrzymali helikopter. Wobec tego Whitlock skierował AK-47 na miejsce pilota, ale pociski pozostawiły tylko sznureczek zagłębień w kuloodpornym szkłe.

Nagle helikopter uniósł się nad lądowiskiem i okręcił jakby na niewidzialnej osi. W tym momencie Whitlock zrozumiał, co się zaraz stanie. Rzucił się do środka przez otwarte drzwi w chwili, gdy Rodenko dał ognia z armatki automatycznej kaliber 30 milimetrów. Pociski zryły nachyloną ścianę nad schodami, nie czyniąc innej szkody. Whitlock niezdarnie wylądował, stracił równowagę i potoczył się do tyłu po schodach. Serce przestało mu bić, gdy poczuł, że wpada wprost w ziejący otwór w miejscu, gdzie brakowało dwóch stopni. Rozpaczliwie sięgnąwszy do poręczy, zdołał uchwycić ją w palce i przez rozdzierająco bolesną chwilę tylko ten jednoręczny chwyt chronił go przed śmiertelnym upadkiem. Zacisnął zęby, wolno uniósł drugą rękę, mocno uchwycił nią poręcz, a potem, bujając ciałem jak cyrkowiec na trapezie, zaczął nabierać rozpędu. Przy odrobinie szczęścia będzie mógł zaczepić nogą o najbliższy stopień i wciągnąć się ponownie na schody. Wreszcie nabrał dość rozpędu, by spróbować. Wyrzucił nogę w kierunku stopnia, ale źle ocenił odległość i wrzasnął z bólu, gdy kolanem trafił w kant. Nerwowo przelękając ślinę poczuł, że pot na jego dłoniach zaczyna wywoływać taki efekt jak smar. Wiedział, że nie zdoła utrzymać się dłużej...

–Podaj mi rękę.

Whitlock nagle spojrzał w górę, zaskoczony dolatującym stamtąd głosem.

Graham przykucnął nad otworem, wyciągając lewą rękę do Whitlocka.

–Podaj mi rękę – powtórzył.

Whitlock zauważył, że Graham ma szklisty wzrok, a jego twarz nabrała niezdrowej, szarej bladości wskutek utraty krwi.

–Mike, wynoś się stąd. Możesz w każdej chwili zemdleć. Ja znów spróbuję rozhuścić się w górę.

–Na litość boską, podaj mi dłoń – syknął Graham, a potem otoczył poręcz zranioną ręką, by zebrać się w sobie przed czekającym go wysiłkiem.

–Nie masz dość siły, by mnie wciągnąć na górę. Wynoś się stąd w diabły.

Graham zaklął pod nosem, a potem sięgnął w dół i zacisnął dłoń na nadgarstku

**Whitlocka.**

**–Teraz puść poręcz.**

**–Mike, nie jesteś...**

**–Zaufaj mi, kumplu – odrzekł Graham cichym, ale zdecydowanym głosem.**

**Whitlock wiedział, że nie ma innej możliwości, jak podporządkować się Grahamowi. Już zaczynał zsuwać się z poręczy. Z rosnącym poczuciem niepokoju, niechętnie wypuścił poręcz. Widział, jak Graham zaciska zęby z bólu, przyjmując na swą zdrową rękę ciężar ciała Whitlocka, a potem powoli zaczął go podciągać ku sobie.**

**Po paru sekundach napięcia Whitlock wreszcie był w stanie uchwycić wolną ręką najbliższy stopień i podźwignąć się na schody. Znalazłszy się na nich, osunął się na poręcz; na jego spoconej twarzy odmalowała się ogromna ulga.**

**–Jestem twoim dłużnikiem, Mike – powiedział, klepiąc Grahama po ramieniu.**

**–Jak wszyscy diabli – odparł Graham. – Czy dopadłeś Rodenkę?**

**–Nie – odrzekł ponurym tonem Whitlock. – Udało mu się wystartować helikopterem, a potem strzelił do mnie z działka automatycznego. Musiałem dać nura w ukrycie. Wtedy straciłem równowagę i spadłem ze schodów.**

**–Cóż, to jest odpowiedź na moje następne pytanie – orzekł Graham.**

**–Gdzie jest Sabrina?**

**–Wraz ze mną dotarła aż do holu inspekcyjnego, ale oczywiście potrzebuje więcej czasu, by dość do siebie...**

**Graham przerwał i popatrzył w górę, w stronę otwartych drzwi.**

**–Czy ty to słyszysz?**

**Whitlock nasłuchiwał przez chwilę, a potem skinął głową, usłyszawszy w oddali odgłos zbliżających się helikopterów.**

**–Przypuszczam, że są po naszej stronie? – powiedział z nie największym przekonaniem, rzucając Grahamowi podejrzliwe spojrzenie.**

**Graham spojrział na zegarek, a potem z trudem wstał.**

**–Taa, brygada sił specjalnych. Punktualnie. Chodź, lepiej zawiadomimy ich, że teraz oni odpowiadają za Rodenkę. Bo przecież nie mógł zbyt daleko odlecieć.**

**–Czy pomóc ci? – spytał Whitlock widząc, jak niepewnie Graham trzyma się na nogach.**

**–Nie, jestem OK. Trochę kręci mi się w głowie i to wszystko – odparł Graham, przyciskając zranioną rękę do brzucha. – Coś ci jednak powiem. To nie ręka boli mnie w tej chwili. Zlotin trafił mnie butem w żebra. Zdaje się, że parę z nich mi połamał. Chryste, jak to boli.**

**–Więc cierpiełeś przez cały ten czas i nawet słowem o tym nie wspomniałeś – zganił go Whitlock, z rozmysłem przysuwając się do Grahama, na wypadek gdyby ten stracił równowagę i upadł.**

**–Prawdę mówiąc, nie było czasu, aby dyskutować o... – Graham przerwał w chwili, gdy znalazł się na lądowisku. – No, niech mnie diabli. Być może przez cały czas nie doceniałem Moralesa.**

**Whitlock zmarszczył brwi. Kto to taki ten Morales? Przestał się zastanawiać, gdy sam wyszedł na lądowisko i spojrzał na zbliżające się helikoptery. Śmigłowiec Westland Scout wracał na wyspę, eskortowany przez dwa helikoptery Alouette III, należące do sił specjalnych, oba uzbrojone w kierowane przewodowo rakiety, zamocowane na wspornikach podwozi. Jedna alouette pozostawała bezpośrednio nad westland scoutem, druga zaś przyczepiła się do jego ogona. Oba helikoptery wyposażone były w potężne reflektory, wycelowane w bezradnego westland scouta. Rodenko nie miał drogi ucieczki.**

**–Siadaj na lądowisku – huknęły słowa przez głośnik na podwoziu jednego z helikopterów sił specjalnych. – A potem wysiadaj i kładź się twarzą w dół na ziemi z rękami na głowie. Masz na to dziesięć sekund albo rozpoczynamy ogień.**

**Gdy westland scout zawisł na chwilę nad lądowiskiem, nim jego płozy dotknęły ziemi, Whitlock wciągnął Grahama ponownie przez otwarte drzwi, by schować się przed siekącym ich wściekłym wiatrem z wirników. Zgaszono silnik, drzwi kokpitu otworzyły się od środka. Na lądowisko wyskoczył Rodenko z rękami uniesionymi w górę.**

**–Połóż się twarzą do ziemi, a ręce na głowę – zagrzmiało ponownie z alouette znajdującej się tuż nad nim.**

**Rodenko zerknął na oślepiający reflektor, oświetlający go na lądowisku, a potem położył się na brzuchu i założył ręce na kark. Alouette wylądowała na lądowisku i pół tuzina mężczyzn, wszyscy uzbrojeni w pistolety maszynowe, wyskoczyło z otwartych drzwi kabiny. Czterech popędziło do miejsca, gdzie leżał Rodenko, dwóch zbliżyło się do Grahama i Whitlocka z wycelowanymi w nich pistoletami maszynowymi.**

**–To ja, Mike Graham – oznajmił Graham, występując naprzód zza drzwi. Zauważył,**

że spojrzenia ludzi kierują się ku Whitlockowi. – Nie martwcie się, on jest jednym z nas.

Do Grahama i Whitlocka podszedł Morales. Tak jak inni, ubrany był na czarno, a twarz miał pokrytą kremem kamuflażowym. Wręczył im koce, a potem jego spojrzenie pobiegło do zranionej ręki Grahama.

–Wyglądasz, jakbyś odbył piekielną walkę.

–Powinieneś sobie obejrzeć tego drugiego faceta – odparł Graham, otulając ramiona kocem.

–Złotin? – spytał Morales.

Graham skinął głową.

–Nie żyje.

–Gdzie jest panna Carver? – zapytał Morales, rozglądając się dookoła.

–Zostawiłem ją w holu inspekcyjnym. Lepiej będzie, jeśli wyślesz kogoś, by się dowiedzieć, jak ona się czuje.

–A kogokolwiek tam wyślesz, powiedz mu, by uważał na tamtych schodach – dodał Whitlock, pokazując kciukiem za siebie. – Są cholernie niebezpieczne.

Morales warknął jakiś rozkaz do jednego z krążących obok niego ludzi, ten zaś skinął głową i zniknął za drzwiami bezpieczeństwa.

–Sprowadzę sanitariusza, by obejrzał twoją rękę – rzekł Morales. – Może cię załatać, zanim odwieziemy cię do szpitala.

Whitlock odciągnął Moralesa na stronę.

–Trzeba zabrać Mike'a do szpitala jak najprędzej. Stracił masę krwi. Chyba widzisz, jak się chwieje na nogach. Dostał także kopniaka w żebra. Możliwe, że parę z nich jest nawet złamanych.

Morales szybko powiedział coś do radia i w chwilę potem druga alouette osiadła na lądowisku.

–Na pokładzie jest sanitariusz – zwrócił się do Grahama. – Dać ci nosze?

–Na litość boską, to tylko skaleczenie – zaprotestował Graham. – Robisz ze mnie jakiegoś inwalidę. Uważam, że dam radę dojść do helikoptera.

Whitlock popatrzył na Moralesa, bezradnie wzruszając ramionami, ale obaj szybko zareagowali, gdy Graham się potknął. Zdołał jednak utrzymać równowagę.

–Jestem OK – szybko uspokoił ich Graham.

–Właśnie tak wyglądasz, Mike – powiedziała z otwartych drzwi Sabrina. Podeszła do miejsca, gdzie stali trzej mężczyźni.

–Już idzie sanitariusz – stwierdził Morales, pokazując biegnącego ku nim człowieka.  
– Zostawię cię w jego doświadczonych rękach.

Sanitariusz tylko spojrział na Grahama i machnął ręką w stronę helikoptera.

–Musimy natychmiast przewieźć pana do szpitala.

Graham zwrócił się do Whitlocka:

–Czy zostajesz jeszcze na wyspie?

–Tak, muszę pokazać kapitanowi Moralesowi, gdzie trzymani są zakładnicy. Czemu pytasz?

–Zlotin miał przy sobie dyplomatkę i torbę podróżną. Nie miałem okazji do nich zajrzeć, ale domyślam się, że w jednej z nich znajdują się akta UNACO. Zostawiłem je w skrzydle „C”. Druga cela od głównego wejścia po prawej stronie.

–Jestem pewien, że je znajdę – oświadczył Whitlock.

Sabrina objęła ramieniem Grahama, by go podtrzymać.

–Chodź, Mike, zaprowadzimy cię do helikoptera.

–Przestań przynudzać – zirytował się Graham, ale nie próbował wyrwać się jej w drodze do maszyny.

Morales uśmiechnął się pod wąsem.

–To prawda, przeciwności się przyciągają.

–Co? – zapytał Whitlock, marszcząc brwi.

–Przepraszam, właśnie myślałem głośno – odparł Morales. – Przypuszczam, że zakładnicy są zamknięci?

–Tak. Uznaliśmy, że najlepiej będzie zostawić ich tam, gdzie są. Przynajmniej w ten sposób nie groziło im bezpośrednio niebezpieczeństwo.

**–Zaprowadź nas – powiedział Morales i przywołał dwóch ludzi, by towarzyszyli im do więzienia.**

**–Zastanawiam się, jak oni zareagują na wiadomość, że tak naprawdę należę do tych dobrych facetów? – rzekł Whitlock z zamyślonym uśmiechem. – No cóż, zdaje się, że istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, prawda?**

*Dwudziesty dziewiąty grudnia*

–Zatem nie było żadnego wirusa – stwierdził Philpott, gdy skończył czytać raport dostarczony mu przez Whitlocka.

–Nie, panie pułkowniku – odparł C.W.; siedzieli w gabinecie na dwudziestym drugim piętrze budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych. – Gdy wezwałem Rodenkę, by przygotował antidotum, zdradził mi, że historię z wirusem wymyślił Zlotin. Chciał mieć pewność, że profesor Auerbach i doktor Fisier nie będą próbować żadnych sztuczek w czasie pracy nad rozszyfrowaniem dokumentów. Rzecz jasna, Lisl Auerbach i Marie Fisier przeszły staranne badania toksykologiczne, jak tylko dotarliśmy na kontynent. W ich krwi nie znaleziono żadnych śladów obcych substancji. Wygląda na to, że wstrzyknięto im nieszkodliwy środek uspokajający.

–Dzięki Bogu.

–Naprawdę odetchnęliśmy z ulgą dopiero wówczas, gdy termin wyznaczony przez Zlotina minął bez żadnych przykrych niespodzianek – powiedział Whitlock. – Żadne z nas nie czuło się zbyt pewnie, mimo oświadczeń lekarzy, że z kobietami wszystko w porządku.

–To całkiem zrozumiałe – zauważył Philpott. Wyprostował się w fotelu, z namysłem popatrzył na leżący na biurku raport, po czym ponownie spojrział na Whitlocka. – Jak zareagowali na wieść, że w rzeczywistości pracujesz dla UNACO?

–Początkowo z dużą niechęcią, lecz gdy odkryli, że zawiadomiłem władze, atmosfera się poprawiła. Po tym, co przeszli, to chyba całkiem zrozumiałe. Najważniejsze, iż zdołaliśmy ich uwolnić bez szwanku, prawda?

–Co myślisz o profesorze Auerbachu? – spytał Philpott.

–Podczas pobytu na wyspie kontaktowaliśmy się dość rzadko, lecz zauważyłem, że dużo lepiej znosił niewolę niż doktor Fisier. To samo mogę powiedzieć o Lisl Auerbach. Ciągle zaskakiwała mnie swym temperamentem. Dlaczego pan pyta?

–Potrzebujemy nowego kryptologa na miejsce Silvermana – odparł Philpott.

–Chce pan zatrudnić Auerbacha? – mruknął Whitlock, po czym potakująco skinął głową. – Mógłby trafić gorzej.

–Cieszę się, że tak myślisz, gdyż dziś rano zaproponowałem mu posadę.

**–Co odpowiedział?**

**–Obejmie stanowisko z początkiem lutego.**

**Zabrzączał interkom. Philpott wdusił przycisk pod migającym światelkiem.**

**–Słucham.**

**–Są tu Mike Graham i Sabrina Carver, panie pułkowniku – rozległ się głos jego osobistej sekretarki, Sarah.**

**–Wpuść ich – odparł Philpott i za pomocą miniaturowego nadajnika uruchomił rozsuwane drzwi. Odczekał, aż Mike i Sabrina wejdą do wnętrza, po czym zamknął gabinet. – Jak twoja ręka, Mike? – spytał, wskazując na zranione ramię Grahama, wciąż zwisające na temblaku.**

**–Znacznie lepiej, dziękuję – pośpiesznie zapewnił go Graham.**

**–A żebra?**

**–Wciąż bołą, lecz żadne nie jest złamane. Prześwietlenie wykazało, że mam jedynie parę krwiaków.**

**–Rozległych krwiaków na klatce piersiowej – sprostował Philpott. – Dziś rano dostałem kopię orzeczenia.**

**–Mogło być znacznie paskudniej – powiedział Graham i zajął miejsce na czarnym skórzanym fotelu.**

**–To wasz raport? – Philpott zerknął na teczkę trzymaną przez Sabrinę.**

**–Tak jest. – Dziewczyna wręczyła mu dokumenty.**

**–Przed rozpoczęciem zebrania chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną sprawę. Mike, powiedz mi coś o planie uwolnienia zakładników z wyspy.**

**–Siergiej twierdzi, że wszystko już panu przekazał – prędko odparł Graham.**

**–Prawda, lecz spróbuj to opowiedzieć własnymi słowami. Skąd ci przyszło do głowy takie rozwiązanie?**

**–Z góry można przewidzieć posunięcia Zlotina – stwierdził Mike. – To jego jedyna słabość. Działa według schematu, choć w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto odnosi sukces. Podczas służby w Delcie dokładnie przestudiowałem jego strategię i zrozumiałem, że jeśli kiedyś staniemy naprzeciw siebie, z miejsca zyskam przewagę, gdyż łatwiej potrafię się przystosować do nowych sytuacji. By go**



**pokonać, musiałem wpięć jego sposób myślenia. Zaczęłem się zastanawiać, co robi, gdy zobaczy mnie i Sabrinę w pobliżu wyspy. Przecież na pozór nie mieliśmy pojęcia o radarach i sonarze. Mogliśmy działać z zaskoczenia. Do wnętrza więzienia prowadziły tylko dwie drogi: przez główną bramę i przez podziemia. Dwoje intruzów, dwie możliwości. Cudowny scenariusz dla kogoś takiego jak Zlotin. Wiedział, że w Delcie byłem ekspertem od demolki, więc uznał, iż wysadzę śluzę. Pozwoliłem mu tak myśleć i wysłałem Sabrinę pod główne wejście. Zestrzeliła wszystkie czujniki podczerwieni i kamery telewizyjne, co pozwoliło mi bezpiecznie minąć wrota w chwili, gdy ona była już w obrębie murów. Na wyspie było jedynie dwóch Rosjan, z których jeden miał stały dyżur w centrali lub na lądowisku helikopterów, by w porę wykryć ewentualny atak z powietrza. Na Sabrinę mógł zatem czekać tylko drugi i miałem stuprocentową pewność, że będzie to Zlotin. Wiedziałem też, że jej nie zabije, gdyż żywa przedstawiała większą wartość. Mógł ją wykorzystać do wciągnięcia mnie w jakąś pułapkę. Dałem mu więc pięć minut, a potem wkroczyłem do akcji. Resztę już znacie.**

**–„Reszta” wyglądała w ten sposób, że omal nie straciłeś partnerki – warknął Philpott. – A może to też należało do planu?**

**–Panie pułkowniku, nie może pan...**

**–OK – szybko wtrącił Graham, uspokajającym gestem kładąc dłoń na ramieniu Sabriny. – Gniew pułkownika jest w pełni usprawiedliwiony. Przyznaję, nie wziąłem pod uwagę możliwości, że Zlotin otworzy śluzę, a to mogło kosztować cię utratę życia. Błąd, o którym zawsze będę pamiętał. Lecz musi pan wiedzieć – spojrzał na Philpotta – że gdybym jeszcze raz znalazł się w podobnej sytuacji, postąpiłbym dokładnie tak samo.**

**–Zawsze zdajemy sobie sprawę z ryzyka towarzyszącego każdej akcji – dodała Sabrina. – To część naszej pracy. Gdyby Mike uznał, że jutro musimy powtórzyć wszystko od początku, nie wahałabym się ani chwili. Odbici zakładnicy są cali i zdrowi, co mogłoby się nie udać przy szturmie oddziałów specjalnych na wyspę. Wystarczający argument, by plan Mike’a uznać za słuszny.**

**–Cieszę się, że byliśmy tego samego zdania. – Philpott spojrzał jej prosto w oczy.**

**–To znaczy, że pan wiedział? – spytał zaskoczony Graham.**

**–Owszem – odparł pułkownik. – Siergiej zatelefonował do mnie, jak tylko wyszliście z hotelu. Nie miałem wątpliwości, że narażacie się na duże ryzyko, lecz bez wahania wyraziłem zgodę. Jak słusznie zauważyła Sabrina, nie udałooby się uratować więźniów, gdyby agenci brygady sił specjalnych z bronią gotową do strzału wpadli na wyspę.**

**–Co by się stało w razie naszego niepowodzenia? – podejrzliwie dociekał Mike.**

**–Na szczęście do tego nie doszło, więc nie musimy drążyć tematu – odpowiedział Philpott.**

**–Gdzie Siergiej? – pośpiesznie zadał pytanie Whitlock, by skierować rozmowę na inne tory. – Mówił, że wróci dzisiaj, przed zebraniem.**

**–Miał zamiar przylecieć dziś rano, lecz w nocy Rodenko oświadczył, iż nie złoży zeznań nikomu innemu. Musiał więc zostać w Lizbonie do końca przesłuchania. To może potrwać parę dni, jeśli Rodenko naprawdę wie tyle, ile twierdzi.**

**–Sprytnie posunięcie – z namysłem mruknął Graham.**

**Sabrina spojrzała na niego, potem na Philpotta.**

**–Dlaczego?**

**–Każdy rekrut wstępujący do specnazu podpisuje oświadczenie, że nigdy nie zdradzi wrogom swej tożsamości ani szczegółów dotyczących organizacji – odparł Mike. – Karą za złamanie przysięgi milczenia jest śmierć. Rodenko wie, że po powrocie do Rosji otrzyma najwyższy wymiar kary, więc upatruje swej szansy w jakimś kompromisie. Innymi słowy, chce utargować niższy wyrok w zamian za kilka tajemnic państwowych. Na pewno zdaje sobie sprawę, że w rosyjskim aparacie bezpieczeństwa jest wystarczająco wielu twardogłowych, którzy zrobią wszystko, by nie dotarł żywy na salę sądową. A jak łatwiej uchronić skórę, niż przez szczerą rozmowę z Siergiejem, liberalnie myślącym ekspatriantem, mającym duże chody na Kremlu? Za jego wstawiennictwem mógłby się przecież dogadać z władzami w Moskwie.**

**–Niższy wyrok czy nie, i tak spędzi sporo czasu w rosyjskim więzieniu – odezwała się Sabrina.**

**–Nie musi, jeśli będzie miał dość rozsądku – odparł Graham i spojrzał na Philpotta.  
– Na jakich warunkach zgodził się zeznawać?**

**–Oświadczył, że poda władzom Rosji nazwiska wszystkich konspiratorów, w zamian za całkowite umorzenie śledztwa przeciw niemu.**

**–Poszli na to? – zaciekawiał się Whitlock.**

**Philpott skinął głową.**

**–Tak. Jak dotąd, wymienił kilkunastu polityków ze Zgromadzenia Deputowanych oraz kilku wysoko postawionych oficerów Armii Czerwonej, którzy odgrywali wiodącą**

rolę w przygotowaniach do kolejnego puczu. Rebelia miała wybuchnąć w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Zeznania Rodenki uratowały Rosję przed krwawą, długotrwałą i kosztowną wojną domową. Wskazane przez niego osoby już zostały aresztowane, a z własnego źródła na Kremlu wiem, że zabezpieczono także ogromny zestaw materiałów dowodowych. Chyba zgodzicie się ze mną, że żądania Rodenki były niewielką ceną za złapanie o wiele grubszej ryby kierującej konspiracją.

–Mam nadzieję, że nie wypuścicie go na wolność? – wyraziła zaniepokojenie Sabrina.

–Nie – odparł Philpott. – Jest oskarżony o zamordowanie co najmniej dwóch agentów sił specjalnych oraz Hardina, amerykańskiego kelnera pracującego w restauracji Calderego. To starczy, by każdy portugalski trybunał trzykrotnie skazał go na dożywocie.

–Za piętnaście lat wyjdzie – burknął Graham.

–Z nową tożsamością – dodał Philpott. – To także zostało uzgodnione z Rosjanami. Wie, że od chwili gdy zgodził się na współpracę z rządem, jest naznaczony piętnem śmierci.

–Potwierdził, że agenci specnazu zaatakowali konwój wiozący ich do wojskowego więzienia pod Moskwą? – spytała Sabrina.

–Tak – odpowiedział pułkownik. – Operację przygotował Koslow, przy współpracy wiernych mu oficerów, lecz sam trzymał się z dala od miejsca napadu. Zbiegom wręczono fałszywe paszporty i wywieziono ich za granicę na pokładzie trawlera zmierzającego w stronę Szwecji. Stamtąd, z pomocą Saisse’a, trafili do Francji. Koslowa ostatnio aresztowano w Algierii. Został odesłany do Rosji, by stanąć przed sądem wraz z resztą konspiratorów.

–A propos konspiratorów, są jakieś wieści o Inaciu? – zapytał Graham.

–Jak dotąd żadnych. – Philpott potrząsnął głową. – Wątpię, by przebywał w Portugalii. Powiadomiliśmy Interpol, więc schwytanie go jest tylko kwestią czasu.

–Pułkownik mówił mi przed waszym przyjściem, że Saisse też zniknął – odezwał się Whitlock.

–„Zniknął”? – znacząco odezwała się Sabrina.

–Dzięki informacjom uzyskanym od Zlotina mogliśmy przejąć dokumenty w momencie, gdy dotarły na dworzec główny w Marsylii. Policja francuska przeprowadziła później starannie zsynchronizowaną akcję na wszystkie kluby prowadzone przez Jannoca i aresztowała ponad pięćdziesięciu gangsterów.

**Przedstawiciel *gendarmerie* doniósł mi z dumą, iż przestępcza organizacja zostanie rozbita przed końcem roku. Dotyczy to także lokalnych i państwowych oficjeli, którzy siedzieli w kieszeni u Jannoca.**

**–Zatrzymano go? – zainteresował się Graham.**

**–Tak, w głównym kasynie, w „Le Boudin”. Mamy wystarczająco wiele dowodów, by dać mu dożywocie.**

**–I wciąż ani śladu Saisse’a? – wtrąciła Sabrina.**

**–Przepadł tuż po tym, jak w Nantes przekazał dokumenty kurierowi. Jannoc uparcie milczy od chwili aresztowania, lecz niektórzy z jego podwładnych są przekonani, że podejrzewa Saisse’a o zastawienie pułapki. Stracił do niego zaufanie po śmierci brata i otwarcie oskarżał o chęć przejęcia władzy. Saisse w odpowiedzi wytykał mu błędy popełniane podczas zawierania nowych kontraktów, które rzekomo doprowadziły organizację na skraj bankructwa.**

**–Może coś łączy Saisse’a oraz Inacia? – zastanawiał się Graham. – Dziwne, że obaj zniknęli w tym samym czasie.**

**–Grupa analityków z Centrum Dowodzenia właśnie pracuje nad tą teorią – oświadczył Philpott. – Jak dotąd bez rezultatów.**

**–Rodenko może coś wiedzieć – podsunął Whitlock.**

**–Twierdzi, że nie. Jeśli Inacio i Saisse naprawdę są w zмовie, wątpię, by ktoś powiadomił Rosjan. Podejrzewam, że próbowali podejść Jannoca w ten sam sposób, co Saisse, lecz do tej pory możliwość spisku jest jedynie czystą spekulacją. Prawdę poznamy dopiero wówczas, gdy któryś z nich wpadnie w nasze ręce. – Philpott przyciągnął do siebie kolejną teczkę. Otworzył ją. – Powiadomiłem jednostki operacyjne o śmierci Rusta i dostałem kilka próśb związanych z pogrzebem. Słyszałem, Sabrino, że przed wyjazdem z Portugalii rozmawiałaś też o tym z Siergiejem. Skontaktowałem się z mieszkającymi we Francji rodzicami Rusta. Byli zdania, że Jacques powinien bez zbytniego rozgłosu spocząć w rodzinnym Dijon. Oczywiście przychyliłem się do ich prośby, tym bardziej że sam uważam, iż tak będzie najlepiej. Każda większa ceremonia, zwłaszcza z udziałem naszych agentów, wymagałaby starannej ochrony. Obecność policji nie miałaby najlepszego wpływu na pogrążoną w smutku rodzinę. Mam nadzieję, że to zrozumiecie.**

**–Tak jest – cicho odparła Sabrina. – Czy ktoś z UNACO będzie uczestniczył w pogrzebie?**

**–Pojadę tam osobiście w imieniu całej organizacji – powiedział Philpott. – Siergiej weźmie udział w pogrzebie Silvermana, w Hajfie. Nie znam jeszcze dokładnej daty,**

leczyć wiem, że obie uroczystości odbędą się w przyszłym tygodniu. Powiadomię was o szczegółach.

–Ma pan już kandydata na miejsce Rusta? – spytał Graham.

–Tak. C.W. zyskał oficjalną nominację na stanowisko dyrektora europejskiej filii UNACO. Wkrótce odleci do Zurychu, by zaraz po Nowym Roku rozpocząć pracę.

–Mam u ciebie pięćdziesiąt dolców. – Graham z triumfującym uśmiechem zerknął na Sabrinę.

–Przypomnij sobie, jak ostro przegrałeś w szachy. Jesteśmy kwita – odpowiedziała przekornie.

–Założyliście się o to, czy przejmę funkcję Rusta? – z niemalym zaskoczeniem spytał Whitlock.

–Byłeś jedynym pewniakiem na to stanowisko – odparł Mike. – Przynajmniej dla mnie.

C.W. przeniósł spojrzenie na Sabrinę. Uśmiechnęła się niewinnie.

–Próbowałeś już pracować w zarządzie i nie byłeś z tego zadowolony. Myślałam, że się nie zgodzisz na wyjazd do Zurychu.

Whitlock zerwał się z miejsca, przemierzył pokój, po czym obrócił się w stronę przyjaciół.

–Masz rację. Nie podobało mi się na stanowisku zastępcy dyrektora. Lecz sytuacja uległa zmianie. Carmen ma rację mówiąc, że jestem za stary, by wciąż brać udział w akcjach bojowych. Poza tym ciąży na mnie nowa odpowiedzialność, gdyż pierwszy raz w życiu mam zostać ojcem.

Sabrina pierwsza podbiegła do niego.

–Strasznie się cieszę! – zawołała. Uściskała go serdecznie. – Carmen musi czuć się jak w niebie.

–To prawda – przytaknął Whitlock z nieco zamyślonym uśmiechem.

–Gratuluję, stary – dodał Graham.

–Dzięki, Mike – odpowiedział Whitlock.

–Jeśli to będzie chłopak, na pewno otrzyma imię Clarence – oświadczył Graham z łobuzerskim mrugnięciem. – Po ojcu.

**–Nigdy w życiu – zaperzył się Whitlock. – W zupełności wystarczy coś prostszego.**

**–Powiedziałaś już Carmen o przeprowadzce do Zurychu? – spytała Sabrina.**

**Whitlock skinął głową.**

**–Tak. Mieliśmy kolejną sprzeczkę przed moim wyjazdem do Marsylii, więc dziś rano, zaraz po powrocie, odbyłem z nią długą rozmowę, by wyjaśnić sytuację. Potem zadzwoniłem do pułkownika i poprosiłem go, by wziął pod uwagę moją kandydaturę przy obsadzaniu dawnego stanowiska Rusta. Odparł, że właśnie się nad tym zastanawia, a po godzinie zatelefonował z wiadomością, iż sekretarz generalny zatwierdził moją nominację. Carmen była uszczęśliwiona. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że ostatnimi czasy nasze małżeństwo przeżywało ciężkie chwile. Przeprowadzka do Zurychu to najlepsze, co mogło nas spotkać. Nareszcie mamy szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Wprost nie mogę się doczekać dnia wyjazdu.**

**–Mam nadzieję, że sprawy rzeczywiście pójdą po twojej myśli, gdyż z chwilą gdy Warren opublikuje swój reportaż, wszyscy będziemy się żegnać z pracą w organizacji. – Graham obrócił się w stronę Philpotta. – Nasi ludzie nie znaleźli niczego, co można by wykorzystać do utarcia nosa tym pismakom?**

**–Właśnie zamierzałem poruszyć tę sprawę – z niezmaconym spokojem odparł pułkownik. – Zatelefonowałem wczoraj do Larry’ego Ryana i powiedziałem, że dziś po południu wpadniecie do niego z Sabriną, by sprostować kilka drobiazgów przed oddaniem artykułu do druku.**

**Graham i Sabrina wymienili przerażone spojrzenia.**

**–Nie bardzo rozumiem – kwaśno odezwał się Mike.**

**–Zrozumiesz – odpowiedział Philpott, wracając na fotel. – Zawiadomiłem Ryana, iż będziecie punktualnie o czwartej. Lepiej, żebyście się nie spóźnili.**

**Larry Ryan podniósł słuchawkę na pierwszy dźwięk telefonu.**

**–Tak?**

**–Tu strażnik głównego wejścia – usłyszał męski głos. – Są przy mnie pan Graham i panna Carver. Twierdzą, że byli umówieni, lecz nie znalazłem takich nazwisk nigdzie w komputerze.**

**–Nie szkodzi – uspokoił go Ryan. – Proszę ich przyprowadzić wprost do mego gabinetu.**

**–Tak jest.**

**Ryan przerwał połączenie, po czym wystukał numer wewnętrzny.**

**–Katy, tu Larry. Rzuć wszystko i przyjdź do mnie. Zaraz tu będą Graham i Carver.**

**–Już pędzę – pośpiesznie odpowiedziała Katherine Warren.**

**Ryan odłożył słuchawkę, wstał i z górnej szuflady stojącej za biurkiem metalowej szafki wyjął plastikową teczkę. Odsunął artykuł, który właśnie przeglądał, i położył teczkę dokładnie przed sobą.**

**Chwilę później usłyszał pukanie. Katherine przyniosła niemal identyczną aktówkę.**

**–Mamy UNACO w ręku, Larry – oznajmiła zamykając drzwi. – Gdyby nie czuli się przyciśnięci do muru, nie rzuciliby Grahama i Carver na pastwę wilkom.**

**–Pewnie masz rację, choć z drugiej strony nie można wykluczyć, że chcą w ten sposób zmniejszyć rozmiary porażki. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli siądziemy i spokojnie posłuchamy, co mają do powiedzenia.**

**–Jak uważasz. I tak mój artykuł będzie prawdziwą bombą. Wiesz już, kiedy trafi na łamy?**

**–Prawdopodobnie w pierwszym tygodniu nowego roku. Dokładną datę określimy na najbliższym kolegium redakcyjnym.**

**Rozległo się głośnie pukanie. Ryan włączył ukryty magnetofon, rejestrujący za pośrednictwem kilku starannie zamaskowanych mikrofonów każde słowo wypowiedziane w gabinecie. Wstał zza biurka i otworzył drzwi. Nawet nie zerknął na strażnika, lecz obrzucił uważnym spojrzeniem Sabrinę i Mike’a.**

**–Proszę.**

**Gdy weszli do gabinetu, zamknął drzwi i wskazał na stojącą przy oknie Katherine.**

**–Myślę, że zdążyliście już poznać panią Warren?**

**Sabrina z wyraźną niechęcią popatrzyła na dziennikarkę.**

**–Woń w tym pokoju jest istotnie znajoma.**

**–Nie przypuszczałam, że nie umie pani przegrywać, panno Carver – odezwała się Katherine z lekkim uśmiechem zadowolenia.**

**–Gra jeszcze nie dobiegła końca – chłodno stwierdziła Sabrina, wytrzymując jej**

taksujące spojrzenie.

–Widzę, że został pan ranny już po tym, jak Katy wróciła do Nowego Jorku – wtrącił Ryan. – To chyba nic poważnego?

–Nie przyszliśmy tu bawić się w słodkie słówka – gniewnie warknął Mike.

Ryan siadł za biurkiem i rozłożył szeroko ręce.

–OK, więc o co chodzi? W końcu to właśnie wy nalegaliście na spotkanie.

–Chcemy zawrzeć umowę – wyjaśnił Graham.

–Proszę bardzo – z rozbawieniem powiedział Ryan. – Mam jednak nadzieję, że nie będziemy rozmawiać o wycofaniu pewnego artykułu. Zostanie wydrukowany zaraz po Nowym Roku.

Graham położył na biurku wyjętą z nesesera kasetę wideo.

–A wówczas pojawi się jeszcze jedna historia.

Ryan obrócił kasetę w dłoniach, po czym skierował na Mike’a zdumione spojrzenie.

–Jest tu coś, czego mógłbym się przestraszyć?

–Co pan wie o przeszłości swej żony, panie Ryan? – spytała Sabrina.

–Louise i ja nie mamy przed sobą żadnych sekretów – ostrożnie odparł Larry.

Katherine wyraźnie pobladła na dźwięk imienia siostry.

–Zatem słyszał pan, że jako siedemnastolatka uciekła z domu, gdyż nie podobał jej się dostatni styl życia rodziców, i postanowiła sama pokierować swym losem? – ciągnęła Sabrina.

–Spędziła rok w hipisowskiej komunie w okolicach Times Square, lecz potem doszła do wniosku, że to do niczego nie prowadzi. Pogodziła się z rodzicami i z ich pomocą wstąpiła do szkoły dramatycznej – dodał Graham.

–Słyszałem o wszystkim – burknął Ryan. – Co to ma, u diabła, wspólnego z tą taśmą?

–Powinien pan wiedzieć, skoro nie macie przed sobą żadnych tajemnic – odparł Mike. Usiadł na jednym z wyściełanych krzesel stojących przed biurkiem Ryana. – Choć zresztą wątpię, czy wspominała panu o filmie nakręconym podczas pobytu w komunie.



–Filmie? – spytał Larry. Z niepokojem spojrzął na Katherine. Twarz kobiety była biała jak kreda.

–Niskobudżetowa historyjka rozpowszechniana tylko w kręgach nowojorskiego *undergroundu* - wyjaśniła Sabrina. – Niektórzy określą ten film mianem sztuki, lecz większość z nas może uważać go za pornografię. Najbardziej szokujące jest to, że uczestniczą w nim dzieci. Zdołaliśmy obejrzeć jedynie parę sekwencji, potem wyłączyliśmy magnetowid. Cofnęliśmy taśmę do sceny z udziałem pańskiej żony.

Ryan wcisnął kasetę do stojącego na półce odtwarzacza i za pomocą pilota włączył telewizor ustawiony po przeciwległej stronie pokoju. Przez kilka sekund wpatrywał się w ekran, po czym wcisnął wyłącznik. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nagą dziewczyną była jego obecna żona, Louise.

–Skąd to wzięliście? – z wściekłością syknęła Katherine. – Było zaledwie kilka kopii i wszystkie spłonęły podczas pożaru magazynu.

–O tym też wiemy, panno Warren. – Graham skierował wzrok w jej stronę. – Pewien skazaniec z San Quentin dokładnie opisał nam wygląd kobiety, od której wziął pieniądze za podpalenie.

–Do czego zmierzacie? – warknęła Katherine.

–Do niczego – szybko odparł Mike. – Chcemy mieć jakieś dowody, gdyby doszło do procesu. Wyrok pozostaje w gestii sądu.

–Prawdę mówiąc, ów pożar nie ma zbyt wielkiego znaczenia – dodała Sabrina. – Dobrze się stało, że zniszczył setki takich tandetnych „arcydzieł”.

–Nie usłyszałam odpowiedzi na pytanie: skąd wzięliście tę taśmę? – powtórzyła Katherine.

–To nie my – powiedziała Sabrina. – W UNACO działa specjalna grupa osób poszukujących najpaskudniejszych dowodów przeciwko wszystkim, którzy mogą zagrozić bezpieczeństwu organizacji. Docierają na samo dno przestępczego podziemia. Nie wątpię, że tam też znaleźli tę kasetę, lecz w jaki sposób, nie mam pojęcia i nawet nie chcę o tym wiedzieć.

–Więc o co chodzi? – spytał Ryan. – Jeśli opublikujemy artykuł o UNACO, wyślecie kopię filmu szefowi Louise?

–Wyślemy kopię filmu do wszystkich głównych stacji telewizyjnych w całym kraju – sprostował Graham. – Może pan sobie wyobrazić, jakie to będzie miało znaczenie dla dalszej kariery pańskiej żony, zwłaszcza w programach dla najmłodszej widowni? Skandal nieunikniony. A gdyby nawet próbowała walczyć, proszę pomyśleć o swoich

**córkach. Chce pan, by co dzień wracały z płaczem do domu, wytykane palcami przez koleżanki i kolegów? To chyba nie najlepsze rozwiązanie.**

**–A pani matka, panno Warren? – Sabrina spojrzała na Katherine. – Przeniosła się pani do Nowego Jorku, by być przy niej w razie kolejnego zawaha. Przecież jej schorowane serce nie wytrzymałoby wiadomości, że Louise wystąpiła kiedyś w takim filmie.**

**–Teraz, skoro wyłożyliśmy już karty na stół, czas na konkrety – oświadczył Graham. Sięgnął po neseser. – Skontaktujemy się z wami za godzinę. Jeśli zdecydujecie się wydrukować artykuł, będziecie musieli stawić czoło konsekwencjom. Jeżeli go wycofacie, musicie przekazać nam wszelkie informacje o UNACO, jakie zdołaliście zgromadzić, plus negatywy zdjęć osób związanych z tą sprawą. Przypuszczam, że nasza obecna rozmowa była rejestrowana, proszę więc także o taśmę z nagraniem.**

**–I oczywiście zachowacie oryginał filmu – gorzko stwierdził Ryan.**

**–To chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości – odparł Mike.**

**–Wszystko przemyśleliście, prawda?**

**–Za wszelką cenę musimy chronić anonimowość naszej organizacji, pani Warren – powiedziała Sabrina. W ślad za Grahamem podeszła do drzwi, po czym obróciła głowę w stronę Katherine. – To była niezła próba. Może następnym razem dopisze pani szczęście.**

**Katherine z trudem opanowała chęć, by nie trzasnąć drzwiami za wychodzącymi.**

**–Cholerna suka – warknęła i opadła na fotel.**

**Ryan wyjął kasetę z odtwarzacza i wrzucił ją do górnej szuflady biurka.**

**–Kiedy po raz pierwszy dowiedziałaś się o tym filmie?**

**–Louise powiedziała mi wszystko wkrótce po zakończeniu realizacji. Nie miała centa przy duszy, a była zbyt uparta i dumna, by prosić rodziców o pomoc. Za późno pożałowała swego postępuku. Boże, czasem jest wprost niewiarygodnie naiwna...**

**–Kto opłacił podpalacza? – cicho zapytał Ryan. – Ty czy Louise?**

**–Daj spokój, Larry, chyba nie myślisz...**

**–Kto mu zapłacił?! – huknął Ryan.**

**Katherine nerwowym ruchem odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.**

**–Ja. Musiałam ją chronić. Chyba mnie rozumiesz. Czułam się odpowiedzialna...**

**–Louise słyszała o pożarze?**

**–Wiedziała, że magazyn spłonął, lecz nie miała pojęcia, że brałam w tym udział. Chyba uważa to za szczęśliwe zrządzenie losu. Była oczkiem w głowie całej rodziny. Pewnie dlatego tak dobrze radzi sobie z dziećmi.**

**–Pewnie tak – z sarkazmem mruknął Larry.**

**–Chcesz jej pokazać tę kasetę?**

**–A po co? Pewne rzeczy lepiej pominąć milczeniem.**

**–Rozsądna decyzja – odpowiedziała Katherine. – Na dłuższą metę mogłoby to zniszczyć wasze małżeństwo.**

**–A teraz nic się nie stało? – warknął Ryan. – Związek dwojga ludzi musi opierać się na wzajemnym zaufaniu. Wiem, pewnie wymagam zbyt wiele. Już dawno powinienem zrozumieć, że nie może być tak nieskazitelna, na jaką usiłowała wyglądać przy naszym pierwszym spotkaniu.**

**–Rozumiem twój ból, Larry, lecz spróbuj pamiętać, że to był jeden głupi wybryk popełniony przez nastolatkę.**

**–I wszystko załatwione? – Ryan gniewnie walnął pięścią w blat biurka. – UNACO dostała broń przeciw nam i, do ciężkiej cholery, nic nie możemy z tym zrobić!**

**–Byliśmy w przedsionku prawdziwego piekła, Larry – odezwała się Katherine po chwili milczenia. – Mogliśmy zdobyć główną nagrodę. Stać się przedmiotem zazdrości wszystkich gazet w kraju. Niewiele brakowało, prawda?**

**–Tak – odparł Ryan. Podniósł teczkę z biurka i zaczął przeglądać jej zawartość. – Co by było gdyby, Katy... Co by było...**

**Tego popołudnia Whitlock z mieszanymi uczuciami opuszczał gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Podniecenie, jakie odczuwał na myśl o nowych wyzwaniach, czekających na niego po objęciu funkcji dyrektora filii UNACO w Zurychu, gasło pod wpływem smutku po śmierci przyjaciela i dawnego kolegi z Trzeciego Zespołu Operacyjnego, Jacquesa Rusta. Z głębokim poczuciem winy wspominał dzień, gdy postanowił czekać do zmroku z wysadzeniem więzienia. Gdyby zrobił to rano, zgodnie z wcześniejszym planem, odsiecz o wiele pręcej przybyłaby na wyspę i Rust mógłby w dalszym ciągu cieszyć się życiem. Z drugiej strony, ciemność była jego jedynym sprzymierzeńcem i przystąpiwszy do akcji za dnia, mógł sam zginąć, zostawiając zakładników na łasce Rosjan. Ten problem nie miał**

**jednoznacznego rozwiązania i Whitlock zdawał sobie sprawę, że już zawsze będą go dręczyć wyrzuty sumienia...**

**Teraz musiał przede wszystkim wykorzystać szansę na poprawienie stosunków z Carmen i odbudowanie małżeńskiego szczęścia. Nie wątpił, że radość z narodzin dziecka pozwoli mu zapomnieć o przygnębieniu, z jakim opuszczał dotychczasowe stanowisko. Choć tak naprawdę to nie żałował pracy agenta: sam przyznawał, że jest już za stary na uganianie się za młodszymi o kilkanaście lat przestępcami. Tęsknił jedynie za przyjaźnią, jaka łączyła członków Trzeciego Zespołu Operacyjnego, gdyż wiedział, że w Zurychu tego nie znajdzie. Ostatni z dawnych zespołów operacyjnych odchodził do przeszłości. Koniec pewnej epoki? Nie, raczej początek nowej, która w przyszłości przywiedzie go znów do Nowego Jorku na stanowisko szefa organizacji. Dobrze przejrzał plan Philpotta...**

**Było już ciemno, gdy dotarł w okolice swego mieszkania na Manhattanie. Zaparkował białe BMW tam gdzie zwykle, na podziemnym parkingu. Miejsce obok było puste – Carmen jeszcze nie wróciła do domu. Whitlock podszedł do windy i wsunął w szczelinę zamka plastikowy identyfikator. Kątem oka zobaczył jakąś postać wyłaniającą się zza filaru. Fabien Saisse. Gangster na wysokości brzucha trzymał gazetę. Odsunął ją lekko, by odsłonić lufę pistoletu Heckler Koch P9S.**

**–Otwórz drzwi – warknął z wyraźnym francuskim akcentem.**

**Whitlock bez wahania spełnił jego żądanie. Drzwi rozsunęły się z cichym sykiem. Saisse i C.W. wsiedli do windy. Gangster wdusił przycisk z oznaczeniem siódmego piętra.**

**–Po co to wszystko? – spytał Whitlock.**

**–Będzie czas na wyjaśnienia, *monsieur* Whitlock – ironicznie wycedził Saisse. – A może wolisz, by nazywać cię Royce?**

**C.W. nie odpowiedział. Zastanawiał się chwilę, czy nie wyrwać broni z ręki gangstera, nim tamten zdąży pociągnąć za spust, lecz doszedł do wniosku, że ma zbyt małą szansę. Nie warto ryzykować. Lepiej cierpliwie czekać na właściwy moment...**

**Winda stanęła na siódmym piętrze i Saisse dał znak, że pora wysiadać. Ukrył pistolet pod gazetą i wyszedł za Whitlockiem. Stanęli przed drzwiami mieszkania. C.W. wsunął dłoń do kieszeni.**

**–Mam nadzieję, że wyjmiesz tylko klucze – usłyszał za plecami złowieszczy szept Saisse'a.**

**Rzucił mu chłodne spojrzenie, po czym powoli przekręcił klucz w zamku. Z korytarza**

wchodziło się wprost do salonu. Saisse wepchnął Whitlocka za próg i szybko zamknął za sobą drzwi.

–Oddaj mi pistolet – wskazał na pierś Kenijczyka.

–Nie noszę broni – odparł Whitlock.

–Nie będę powtarzał po raz drugi – warknął Saisse, celując w jego stronę.

Whitlock zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło. Podniósł ręce, by przekonać Saisse'a, iż rzeczywiście jest nie uzbrojony.

–Broń pobieramy jedynie na czas akcji. Potem wraca do zbrojowni. Powinieneś to wiedzieć, skoro czytałeś nasze dokumenty. Tam opisano całą procedurę.

Saisse obmacał go nerwowo, po czym wskazał krzesło w pobliżu drzwi. Whitlock usiadł.

–Powiesz mi w końcu, po co przyszedłeś? – spytał.

–Po informacje – padła odpowiedź.

–A gdy je dostaniesz, wpakujesz mi kulkę w głowę – z niesmakiem parsknął C.W. – To ma być układ?

–Układ polega na tym, że zginiesz, jeśli mi nie odpowiesz – zimno odparł Saisse.

W aktach UNACO zgromadzono wiele dowodów brutalności Francuza i Whitlock mógł się spodziewać, że zostanie zabity zaraz po zakończeniu rozmowy. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, iż Saisse nie odważy się strzelić, póki nie będzie wiedział wszystkiego. To stwarzało pewien dylemat. Whitlock uważał, że powinien zwlekać dopóty, dopóki jakiś błąd gangstera pozwoli mu odzyskać kontrolę nad sytuacją. Niestety, w miarę upływu czasu wzrastała możliwość powrotu Carmen. C.W. za nic nie chciał jej mieszać w swoje sprawy, zwłaszcza w jej obecnym stanie, ale jak dotąd, to Saisse trzymał wszystkie asy...

–Skąd wiesz, kim jestem? – spytał. – Wśród papierów nie było żadnych fotografii.

–Znałem jedynie twoje nazwisko z dokumentów UNACO. Dowiedziałem się, gdzie mieszkasz, i od samego świtu obserwowałem budynek. Jak zobaczyłem cię rano wyjeżdżającego z parkingu, pomyślałem: to musi być Whitlock.

–Więc nie szukałeś fałszywego Royce'a? – podejrzliwie zapytał C.W.

–Nie – pogardliwie odparł Saisse.

**–OK, czego chcesz się dowiedzieć?**

**–Cztery lata temu ty i twój dawny partner, Jacques Rust, braliście udział w akcji w Kairze, którą naraił najlepszy informator UNACO na Bliskim Wschodzie, znany jedynie pod pseudonimem Tancerz Cienia.**

**Whitlock dobrze pamiętał tę operację. Tancerz przekazał wiadomość do Centrum Dowodzenia, że do Egiptu trafi pokaźny transport narkotyków. Ładunek czystej heroiny, wartości pięćdziesięciu milionów dolarów, pod silną obstawą miał wyjechać z libańskiej doliny Bekaa do Kairu, gdzie czekali przedstawiciele europejskiego konsorcjum z walizkami pełnymi klejnotów przeznaczonych na zapłatę. Philpott wysłał Whitlocka i Rusta do Kairu, by nawiązali bezpośredni kontakt z Tancerzem Cienia. Po raz pierwszy mieli okazję go spotkać, więc zdziwił ich widok mężczyzny w średnim wieku, nieźle wystraszonego ciągłym życiem w obliczu zagrożenia. Zgodził się jeszcze raz wziąć udział w akcji UNACO, a potem chciał się wycofać. Philpott przystał na jego prośbę.**

**Tancerz Cienia miał już gotowy plan działania. Transport był zbyt dobrze strzeżony, by go przechwycić. Słabe ogniwo było w Kairze. Nie ma zapłaty – nie ma umowy. Tancerz twierdził, że jego ludzie są zdolni przejąć klejnoty na umówionym spotkaniu, nim heroina dotrze do miasta. W zamian chciał pół miliona funtów gotówką i bezpiecznego transportu dla siebie i rodziny poza granicę kraju. Whitlock i Rust zaczęli się wahać, lecz Philpott stwierdził, że Tancerz Cienia już dawno udowodnił swą lojalność wobec UNACO i nie ma powodów, by wątpić w jego intencje. Na pewno wypełni swą część zadania.**

**Tak też się stało. Whitlock i Rust nie brali udziału w krwawej strzelaninie, lecz Tancerz pojawił się wkrótce w hotelu, z klejnotami i jubilerem mającym potwierdzić ich wartość. Otrzymał żądane pół miliona, po czym wyjechał do rodzinnego Bejrutu, by załatwić kilka spraw przed wyjazdem za granicę. Tego samego wieczoru poniósł śmierć, gdy jego samochód czołowo zderzył się z ciężarówką. Śledztwo podjęte przez UNACO nie przyniosło żadnych rezultatów. Ot, jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek...**

**–Wykiwał was, *n'est-ce pas!* - spytał Saisse.**

**Whitlock drgnął, wyrwany z zamyślenia.**

**Philpott użył swych wpływów, by przekonać ówczesnego szefa egipskiej policji, że Tancerz Cienia był jedynym mózgiem planu kradzieży klejnotów i że zdążył ukryć łup przed śmiercią. Wieść o tym dotarła nawet do przestępczego podziemia Libanu. Whitlock i Rust po powrocie do Nowego Jorku złożyli przysięgę milczenia, a do akt UNACO wpisano zmienioną wersję wypadków. Whitlock nie miał pojęcia, co Philpott naprawdę zrobił z klejnotami...**

**–Więc o to chodzi... – odezwał się z namysłem. – Przeczytałeś o akcji i doszedłeś do wniosku, że skoro byłem wówczas w Kairze, mogę cię doprowadzić do skarbu? Szkoda, że muszę cię rozczarować, lecz jak sam napomknąłeś, zostaliśmy wykiwani.**

**–Wiemy, że UNACO brała udział w napadzie – beznamiętnie oświadczył Saisse.**

**–Wiemy? – ze zdziwieniem spytał Whitlock.**

**–Myślisz, że po prostu przejrzałem kilka papierów i przeleciałem taki szmat drogi w nadziei, iż powiesz mi coś o miejscu ukrycia błyskotek? – parsknął Saisse. – Nie, mój drogi. Od trzech lat starannie planowaliśmy to posunięcie.**

**–W dalszym ciągu nie wyjaśniłeś, dlaczego mówisz „my” – odparł Whitlock. Z trudem zachowywał pozory spokoju, gdyż nagle uświadomił sobie, iż Saisse nie jest „samotnym strzelcem”, opanowanym żądzą pieniędzy, lecz zawodowcem na usługach nieokreślonej grupy przestępczej. Jeśli chciał go przechytrzyć, musiał dowiedzieć się czegoś więcej.**

**–Na początku było nas pięciu, lecz teraz zostało dwóch. Spotkaliśmy się w Libanie. Siedziałem tam przez trzy lata jako żołnierz sił rozjemczych ONZ-tu. Tak samo mój adiutant, Heinrich Berger. Był też oddział Portugalczyków.**

**–A w nim Inacio i Caldere? – domyślnie spytał Whitlock.**

**–Joao Inacio i Luis Braga – sprostował Saisse. – Z chwilą gdy doszliśmy do porozumienia, podjęliśmy decyzję, że po powrocie do Portugalii Braga odejdzie z wojska i zmieni nazwisko na Caldere, aby w przyszłości uniknąć wszelkich powiązań z Inaciem. Inacio miał już w kieszeni nominację na dowódcę Special Forces Brigade. Nie mogliśmy dopuścić do wpadki.**

**–Sprytne – stwierdził Whitlock. – Gdy Mike chciał się dowiedzieć od Inacia, co wie na temat Luisa, otrzymał zgrabny zestaw informacji, z pominięciem tych, które mogły wskazać na was.**

**–Jak mówiłem, nie mogliśmy dopuścić do wpadki. Gra szła o pięćdziesiąt milionów dolarów.**

**–A piąty spiskowiec?**

**–Czołowy informator UNACO w Libanie, Nazir Barak – z triumfalnym uśmiechem obwieścił Saisse.**

**–Specjalnie mnie to nie dziwi – z pogardą odparł C.W. – Barak pracował dla każdego, kto mu zapłacił. Wiele wiedział, lecz nie budził zaufania. Skąd zyskał informacje o klejnotach?**

**–Znał Tancerza. Nie z nazwiska, lecz pod jakimś innym pseudonimem. Nie byli przyjaciółmi, choć z racji wykonywanej profesji musieli się kontaktować. Tancerz Cienia przyszedł do Baraka zaraz po zakończeniu akcji i po przyjeździe do Bejrutu. Uważał, że tylko tam będzie w pełni bezpieczny do chwili wyjazdu z kraju. Rzecz jasna, ani słowem nie wspomniał o napadzie, miał jednak klucz do depozytu w Kairze, zarejestrowanego na prawdziwe nazwisko. Niezły pomysł. Barak początkowo puścił to mimo uszu. Po śmierci Tancerza do Libanu dotarła wieść o jego roli w napadzie w Kairze. Barak skojarzył oba fakty i zrozumiał, że stoi u progu czegoś naprawdę wielkiego. Jak dotąd, tylko on wiedział o kluczu. Znalazł go wśród rzeczy Tancerza złożonych w jego domu, lecz nic nie mógł zrobić, nie znając nazwiska dającego wstęp do depozytu. Podjął kilka prób, ale bez rezultatów.**

**–Skąd tam się wzięła wasza czwórka?**

**–Barak był nałogowym hazardzistą i narobił sobie długów w całym Bejrucie. Miał wierzycieli wśród francuskich i portugalskich żołnierzy, stacjonujących wówczas w Libanie. Nieraz dostał po pysku, bo zbyt długo zwlekał z zapłatą. W końcu, gdy kilku zapaleńców zaczęło grozić mu śmiercią, przyszedł do nas. Inacio i ja często korzystaliśmy z jego usług jako informatora. Szukał ochrony. Był mocno zdenerwowany i wygadał się, że może z miejsca spłacić wszystkie długi, jeśli położy łapę na klejnotach. Skłoniliśmy go, by zdradził więcej szczegółów, i w zamian za obiecaną pomoc zgodził się na układy. Proste, nie?**

**–Gdzie była wasza „ochrona”, gdy zginął we własnym domu, zastrzelony przez nieznanego zamachowca? – kąśliwie spytał Whitlock.**

**–Nie ma kogo żałować – odparł Saisse wruszając ramionami. – Najważniejsze, że klucz leżał już wówczas w bezpiecznym miejscu. Po śmierci Baraka postanowiliśmy zdobyć dokumenty UNACO. Inacio wiedział o konferencji w Lizbonie co najmniej rok przed jej rozpoczęciem. Aby odsunąć od niego podejrzenia, próbowaliśmy stworzyć pozory, że zdrajcą jest wtyczka Jannoca w szeregach UNACO, profesor Marcel Toure.**

**–Jannoc oczywiście o tym nie wiedział? – wtrącił C.W.**

**–Oczywiście. Był nam potrzebny jedynie do wyłożenia forsy na całą operację. Wiedziałem, iż się zgodzi, gdy go przekonam, że mógłby wyczytać z tych papierów coś dla siebie.**

**–Jasne – mruknął Whitlock, z namysłem kiwając głową. – Starczyło zabić Christiana Jannoca i stworzyć pozory, że zginął w strzelaninie z rąk agentów. Stary gangster, owładnięty chęcią zemsty za brata, nie liczył się z pieniędzmi, by dotrzeć do dokumentów UNACO. Genialny plan, Saisse.**



**–Sam zastrzeliłem Christiana – z chłodnym uśmiechem powiedział Francuz. – Żadnych wpadek, pamiętasz?**

**–Kto wymyślił, by ściągnąć Rosjan?**

**–Ja. Pierwszy raz usłyszałem o nich od prawników w Moskwie. Chcieli wydostać się z Rosji i potrzebowali kogoś do pomocy. Idealna współpraca. Jannoc tkwił w tym od samego początku. Myślę, że resztę znasz.**

**–A ty z kolei uważasz, że znam prawdziwe nazwisko Tancerza Cienia? – spytał Whitlock.**

**–Możesz je znaleźć – odparł Saisse. – Z dokumentów wynika, że masz w mieszkaniu komputer połączony bezpośrednio z centralnym komputerem w Centrum Dowodzenia w głównej kwaterze UNACO.**

**–Tożsamość Tancerza była znana jedynie kilku najstarszym rangą członkom personelu naszej organizacji – oświadczył C.W. – Na pewno została określona jako tajna, a ja nie mam odpowiedniego zezwolenia, by dostać się do tych programów.**

**–Chcesz wystawić na próbę moją cierpliwość, Whitlock? – warknął Saisse i mocniej zacisnął palec na spuście. – Umiem czytać i wiem, że należysz do Sekcji A, co daje ci wgląd we wszystkie dokumenty UNACO.**

**–OK. Dostaniesz, co zechcesz – posępnie zgodził się Whitlock. Wskazał na drzwi wiodące do sąsiedniego pomieszczenia. – Komputer jest w moim pokoju.**

**–Idź wolno i trzymaj ręce... – Saisse przerwał w pół zdania, gdyż nagle usłyszał zgrzyt klucza w zamku.**

**Whitlock spojrzał na wejście. Carmen. Przez cały czas obawiał się, że nadejdzie. Musiał ją jakoś ostrzec. Niestety, nim zdążył krzyknąć, Saisse przejrzał jego zamiary i trzasnął go kolbą pistoletu w tył głowy. Whitlock chwiejnie osunął się na kolana. Kiedy w pełni odzyskał zdolność widzenia, zobaczył stojącą w drzwiach Carmen. Spoglądała przerażonym wzrokiem to na niego, to na broń w ręku Saisse'a.**

**–Nie podchodź! – syknął gangster, gdy zrobiła krok w stronę Whitlocka.**

**–Wszystko w porządku – pośpiesznie uspokoił ją C.W. – Rób tylko to, co ci każe.**

**–Bardzo mądrze – ze złośliwym uśmiechem wtrącił Saisse. – A teraz zamknij drzwi i chodź tutaj.**

**–Cała sprawa dotyczy tylko mnie i ciebie, Saisse – odezwał się Whitlock. – Nie mieszaj w to mojej żony.**

**–Chodź tu – rozkazał Francuz, celując w głowę kobiety. – Liczę do trzech. Raz.**

**–Na miłość boską, ona jest w ciąży! – gniewnie zawołał C.W. – Już ci mówiłem, że dostaniesz wszystkie informacje. Daj jej spokój!**

**Saisse nieco opuścił broń. Lufa mierzyła teraz w brzuch Carmen.**

**–Dwa.**

**–Co z ciebie za bydlę?! – wrzasnął Whitlock.**

**Carmen nerwowo przełknęła ślinę, zamknęła drzwi i podeszła do Saisse’a. Przyciągnął ją bliżej, ścisnął za gardło i przyłożył do skroni pistolet.**

**–Whitlock, połóż ręce na głowie i powoli idź do swego pokoju. Nie zgrywaj bohatera, bo stracisz żonę.**

**–Tylko spokojnie, Saisse – wysapał C.W. Wstał z klęczek.**

**–Ręce na głowę! – powtórzył gangster.**

**Whitlock splótł dłonie na głowie i krok za krokiem ruszył w stronę drzwi. Wciąż obmyślał sposoby, jak rozbroić Saisse’a. Największym strachem napęłniała go świadomość, że nie może nic zrobić, póki Carmen jest zakładniczką...**

**–O Boże... -jęknęła, łapiąc się za brzuch.**

**–Carmen! – Whitlock z przerażeniem obrócił się w jej stronę.**

**–Ani kroku! – krzyknął Saisse.**

**Carmen z trudem utrzymywała równowagę. Nogi ugiwały się pod nią.**

**–Kręci mi się w głowie. Muszę usiąść – powiedziała błagalnym tonem. – Proszę... Pozwól mi „usiąść“.**

**–Nie – warknął jej w ucho Saisse.**

**–Mówiłem ci przecież, że jest w ciąży – syknął Whitlock. – Pozwól jej usiąść, zanim upadnie.**

**Francuz zaklął z furją, lecz zrozumiał, że nie będzie miał żadnego pożytku z bezwładnie zwisającej mu w ramionach kobiety. Pociągnął ją w stronę najbliższego krzesła. Carmen przechyliła głowę, by zmniejszyć ucisk na gardło, po czym z całej siły wbiła długi i cienki jak szydło obcas w stopę Saisse’a. Metal rozszarpał ciało. Gangster wrzasnął z bólu, lecz krzyk uwiązał mu w krtani, gdyż niemal w tej samej**

chwili łokieć Carmen zgniótł mu jabłko Adama. Zatoczył się w bok, uniósł ręce ku szyi i ciężko chwycił powietrze.

Whitlock skoczył w jego stronę, chwycił rękę trzymającą pistolet i trzasnął nią o ścianę. Broń upadła na podłogę. C.W. zadał przeciwnikowi dwa wściekłe ciosy w żołądek. Saisse zwinął się wpool, a wówczas otrzymał miazdzące uderzenie w kark. Padł bez zmysłów. Whitlock, zaślepiony gniewem, chwycił go za kołnierz i zaczął walić po twarzy.

Carmen próbowała odciągnąć męża, lecz wyrwał się z jej uścisku i dalej tłukł gangstera po zakrwawionych policzkach

–Przestań! – krzyknęła.

Whitlock uniósł głowę, jakby zdziwiony jej głosem, nieprzytomnym wzrokiem potoczył po pokoju, aż wreszcie ponownie spojrzał na Saisse'a. Przez chwilę z wyraźnym przestraczeniem patrzył na swoje dzieło, po czym pomału ułożył gangstera na podłodze, a sam siadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Potrzebował chwili spokoju, by zapanować nad nerwami.

Carmen usiadła przy nim i delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

–Wszystko w porządku – szepnęła.

Whitlock z wolna odchylił głowę. W jego oczach widniało niedowierzanie.

–Nie wiem, co mi się stało. Chyba... – przerwał i bezradnie wzruszył ramionami.

–Ja wiem – oznajmiła Carmen. – Broniłś swojej rodziny.

–Boże, dziecko... – szepnął z niepokojem. – Dziecko...

–Dziecku nic nie dolega – zapewniła go prędko.

–Na pewno?

–Na pewno – oświadczyła z uśmiechem.

–Muszę zatelefonować do pułkownika Philpotta. – Wyciągnął rękę w stronę telefonu. – Zawiadomi policję, by aresztowali Saisse'a.

–Muszę się nim zająć, nim trafi w ręce lekarza – powiedziała Carmen. Wstała.

–Policja to zrobi – burknął Whitlock.

–Wiesz przecież, że składałam przysięgę, gdy uzyskałam dyplom lekarza. Mam

**pewne obowiązki wobec Saisse'a bez względu na to, co naprawdę do niego czuję.**

**Whitlock uznał, że dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu i sięgnął po słuchawkę, by zatelefonować do UNACO.**

**–Więc w końcu udało się nam skompletować układankę – powiedział Philpott po wysłuchaniu relacji Whitlocka.**

**–Jeszcze nie mamy Inacia – przypomniał mu C.W.**

**–Dopadniemy go już niedługo – zapewnił pułkownik. – Inacio i Saisse mogli być współnikami, lecz tak naprawdę każdy z nich myślał o własnej korzyści. Saisse nie weźmie na siebie całej odpowiedzialności. To nie leży w jego naturze.**

**–Nie... Chyba nie. – Whitlock podniósł się z miejsca i wskazał pustą szklankę stojącą na stoliku przy krześle Philpotta. – Mogę panu nalać?**

**Philpott uniósł szklankę.**

**–Niewiele, na strzemiennego. Za godzinę muszę być w ONZ-cie, by przydzielić nowe zadanie Dziesiątemu Zespołowi Operacyjnemu.**

**–W takim razie jeden głębszy na pewno nie zaszkodzi – mruknął Whitlock i szybko zasłonił usta, by ukryć uśmiech. Przez chwilę wyobraził sobie mocno wstawionego Philpotta.**

**–To prawda – wesóło odparł pułkownik z miną świadczącą, że odkrył myśli swego podopiecznego.**

**–Szkoda, że Caldere nie zdążył powiedzieć Mike'owi czegoś więcej niż tylko „Tancerz Cienia” – z namysłem zamruczał C.W., wlewając nieco trunku do szklanki pułkownika.**

**–Zaoszczędziłby nam wielu kłopotów – zgodził się Philpott i z niezadowoleniem potrząsnął głową. – Jak tylko dostałem raport Mike'a, na różne sposoby próbowałem skojarzyć Calderego z Tancerzem Cienia pracującym dla UNACO i za każdym razem nic z tego nie wychodziło. Nie udało mi się ustalić, by między nimi istniał jakiś związek.**

**–Wszystko wskazuje na to, że potrzeba nam więcej informacji – stwierdził Whitlock. Wręczył pułkownikowi szklankę, siadł i sięgnął po zimny kompres leżący na stole. Ostrożnie przyłożył go do opuchniętych palców.**

**–Jak twoja ręka? – spytał Philpott.**

**–Cholernie boli – skrzywił się Whitlock.**

**–Mogę to sobie wyobrazić. Widziałem twarz Saisse’a – sucho powiedział Philpott. – Był ledwo żywy w chwili aresztowania. Odwaliłeś kawał niezłej roboty.**

**–Wiem, że źle postąpiłem – odparł Whitlock. Popatrzył na zmaltretowaną dłoń. – Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Nagle zdałem sobie sprawę, że mogę utracić Carmen i dziecko... Przecież Saisse i tak by ją zabił, gdybym nawet spełnił jego żądania!**

**–Ciebie także – zauważył Philpott. – W pełni rozumiem motywy, którymi się kierowałeś, co jednak nie znaczy, że masz moje rozgrzeszenie. Agenci UNACO powinni chronić prawo, a nie naginać je do własnych potrzeb.**

**–Tak jest – służbiście zareagował Whitlock. – Jak rozumiem, mogą być jakieś kłopoty, jeśli Saisse złoży skargę.**

**–To nasze najmniejsze zmartwienie – oświadczył pułkownik. – Będzie tak zajęty, by się wywinąć od dożywocia, że nawet nie pomyśli o zażaleniach. Nie, chodzi mi o sekretarza generalnego. Wiesz, jak się przestraszył, gdy usłyszał, że agenci UNACO biorą wymiar sprawiedliwości we własne ręce?**

**–Czy to może mieć wpływ na moją promocję? – W głosie Whitlocka dało się słyszeć wyraźny niepokój.**

**–W żadnym wypadku. W końcu to ja zatwierdzam wszystkie nominacje, a nie sekretarz. – Philpott obrócił głowę i z uśmiechem powitał wchodzącą do pokoju Carmen. – Jak się czujesz, moja droga?**

**–Przypuszczam, że dużo lepiej niż Saisse – odpowiedziała. Siadła na kanapie i podwinęła nogi.**

**–Pewnie masz rację – stwierdził Philpott i rzucił karcące spojrzenie na Whitlocka. – C.W. wspomniał mi o twoim dzielnym zachowaniu.**

**Lekceważąco wzruszyła ramionami.**

**–Zaraz po ślubie zaczął mnie uczyć podstawowych elementów samoobrony, tak bym mogła wyjść cało z niespodziewanego ataku. Na siedząco nie dałabym rady, lecz gdy Saisse kazał mi stać, zaczęłam omdlewać. Początkowo myślałam, że tego nie kupi, lecz po chwili doszedł do wniosku, iż nieprzytomna będę zupełnie bezużyteczna. Gdy mnie pociągnął do krzesła, uznałam, że czas działać.**

**–Potrzeba nie lada odwagi, by bronić się w takiej sytuacji – powiedział Philpott. Wysączył resztę trunku i odstawił szklankę.**

**–Nie myśli się o strachu, gdy chodzi o dobro rodziny – odparła Carmen i z łagodnym uśmiechem spojrzała na męża.**

**Philpott sięgnął po laskę i wstał z krzesła.**

**–Pozwólcie, że się pożegnam. Jak wcześniej wspominałem, mam spotkanie w ONZ-cie. C.W., twój raport ma się znaleźć na moim biurku nie później niż jutro o dziesiątej rano.**

**–Oczywiście, panie pułkowniku – odparł Whitlock. Odprowadził gościa do drzwi.**

**–Kiedy dokładnie wyjeżdżacie do Zurychu? – spytał na odchodnym Philpott.**

**–Na trzeciego stycznia mamy zarezerwowany lot Swissairem z lotniska Kennedy’ego – zawołała Carmen, nie wstając z kanapy. – Nie mogę się już doczekać, by zacząć urządzać nowe mieszkanie.**

**–Pułkowniku, chciałbym jeszcze o coś zapytać – odezwał się Whitlock. – Co się stało z klejnotami, które panu przywiozłem?**

**–Zastanawiałeś się kiedyś, skąd wziąłem pieniądze na stworzenie naszej filii w Zurychu? – odrzekł Philpott. Poklepał Whitlocka po ramieniu. – Dobranoc, C.W.**

# Alistair MacLean

Nieżyjący autor szkocki niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły już do kanonu literatury tego gatunku. Urodził się w 1923 roku; w wieku osiemnastu lat wstąpił do Marynarki Królewskiej; ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika. Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców.

Powieść wojenna „H.M.S. Ulisses” (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka „Działa Nawarony” (1957) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy; doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven.

W następnych latach MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego dwudziestu ośmiu powieści zostało sfilmowanych. Oprócz „Dział Nawarony” do najgłośniejszych ekranizacji należały „Tylko dla orłów” z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, „Komandosi z Nawarony” z Harrisonem Fordem, „Stacja arktyczna Zebra” z Rockiem Hudsonem, „Czterdzieści osiem godzin” z Anthonym Hopkinsem, „Przełęcz Złamanego Serca” z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku. Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, min. „Partyzanci” (1982), „San Andreas” (1984) i ostatnia, „Santorini” (1986).

Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1987 roku.

# Alastair MacNeill

Urodził się w Szkocji w 1960 roku. Mając sześć lat wyjechał wraz z rodziną do Afryki Południowej; powrócił do Wielkiej Brytanii w 1985 roku. Od najmłodszych lat interesował się pisaniem; uczestniczył w konkursach literackich. W 1988 roku nawiązał współpracę z wydawnictwem Collins (angielskim wydawcą MacLeana); tam zaproponowano mu rozbudowanie pozostawionych przez MacLeana scenariuszy filmowych o przygodach agentów fikcyjnej organizacji antyterrorystycznej UNACO do rozmiarów pełnych powieści (dwie pierwsze książki z tego cyklu, „Wieżę zakładników” i *Air Force One Is Down*, napisał wcześniej John Dennis). MacNeill podjął się zadania. W 1989 roku ukazał się „Pociąg śmierci”, a potem jeszcze pięć książek, min. „Czas zabójców” (1991), „Śmiertelna pułapka” (1992), „Łamacz kodów” (1993).

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-08**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*